

ORSON SCOTT CARD

CIEŃ OLBRZYMA

Prószyński i S-ka

GW

Tytuł oryginału
SHADOW OF THE GIANT

Copyright © 2005 by Orson Scott Card

Projekt okładki
Jacek Kopański

Redakcja
Lucja Grudzińska

Redakcja techniczna
Anna Troszczyńska

Korekta
Mariola Będkowska

Łamanie komputerowe
Aneta Osipiak

ISBN 978-83-7469-471-1

Wydawca
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa
Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca S.A.
30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

*Edowi i Kay McVeyom, którzy
- życzliwość po życzliwości -
ratują świat*

1

Mandat niebios

From: Graff%pilgrimage@colmin.gov

To: Zupa%battleboys@strategyandplanning.han.gov

Subject: Oferta darmowych wakacji

W dowolnie wybranym miejscu znanego wszechświata. I...
załatwiamy przejazd!

Han Tzu odczekał, aż wóz pancerny zniknie w dali, i dopiero wtedy wkroczył na zapchaną pieszymi i rowerami ulicę. W tłumie człowiek mógł być niewidzialny, ale tylko wtedy, kiedy przesuwał się w tym samym kierunku. Tego jednak Han Tzu - odkąd wrócił do Chin ze Szkoły Bojowej - nigdy nie potrafił się nauczyć. Zdawało się, że zawsze idzie nie pod prąd, ale w poprzek. Jakby miał mapę świata zupełnie inną od tej, której używali wszyscy dookoła.

I znowu to robił: omijał rowery i ludzi sunących przed siebie w tysiącach spraw, aby przedostać się od drzwi swojego bloku mieszkalnego do maleńkiej restauracji po drugiej stronie ulicy.

Jednak nie było to bardzo trudne. Opanował sztukę używania jedynie widzenia obwodowego, tak że oczy spoglądały wprost do przodu. Bez kontaktu wzrokowego inni nie mogli próbować go onieśmielić, upierać się, że mają pierwszeństwo. Mogli tylko go omijać, jakby był kamieniem w nurcie strumienia.

Wyciągnął rękę do klamki i zawahał się. Nie wiedział, dlaczego nie został jeszcze aresztowany i zabity albo odesłany do więzienia, ale jeśli sfotografują go podczas tego spotkania, łatwo będzie im udowodnić, że jest zdrajcą.

Z drugiej strony wrogowie nie potrzebowali dowodów, by go skazać - potrzebna była tylko chęć. Otworzył więc drzwi, usłyszał dźwięk małego dzwonka i ruszył wąskim przejściem między boksami.

Wiedział, że nie powinien się spodziewać samego Graffa. Gdyby minister kolonizacji przybył na Ziemię, wywołałoby to sensację, a Graff unikał sensacji - chyba że była dla niego użyteczna. Ta by nie była. Kogo zatem przyśle? Bez wątpienia kogoś ze Szkoły Bojowej. Nauczyciela? Innego ucznia? Kogoś z jeeshu Endera? Czeką go spotkanie po latach?

Człowiek w ostatnim boksie siedział plecami do drzwi, więc Han Tzu widział tylko jego kędzierzawe siwe włosy. A sądząc po kolorze uszu, był Europejczykiem, nie Azjatą. Jednak interesujące było właśnie to, że nie usiadł twarzą do drzwi i nie mógł zobaczyć, jak Han Tzu podchodzi. Za to kiedy Han Tzu zajmie miejsce, to on będzie siedział twarzą do drzwi, będzie mógł obserwować całą salę.

Nie obejrzał się, kiedy Han Tzu się zbliżał. Był tak mało spostrzegawczy czy tak pewny siebie?

- Witaj - odezwał się cicho, kiedy Han Tzu stanął mu za plecami. - Usiądź, proszę.

Han Tzu zajął miejsce naprzeciwko i zorientował się, że zna tego człowieka, choć nie potrafi go nazwać.

- Nie wymawiaj głośno mojego nazwiska - poprosił tamten.

- To łatwe - odparł Han Tzu. - Nie znam go.

- Ależ znasz. Po prostu nie pamiętasz mojej twarzy. Nie widywałeś mnie zbyt często. Ale szef jeeshu spędzał ze mną dużo czasu.

Teraz Han Tzu sobie przypominał. Te ostatnie tygodnie w Szkole Dowodzenia - na Erosie, kiedy sądzili, że ćwiczą, a w rzeczywistości prowadzili dalekie floty w finałowej rozgrywce wojny z królowymi kopców. Ender, ich dowódca, nie spotykał się z nimi, ale potem dowiedzieli się, że blisko z nim współpracował stary półkrwi Maorys, były kapitan transportowca. Szkolił go. Poganiał. Udawał przeciwnika w symulowanych starciach.

Mazer Rackham. Bohater, który ocalił ludzkość od pewnego zniszczenia podczas

Drugiej Inwazji. Wszyscy sądzili, że zginął w czasie wojny, ale w rzeczywistości wysłano go w bezsensowną podróż z prędkością przyświatlną; efekt relatywistyczny zachował go przy życiu, żeby był na miejscu podczas ostatnich bitew.

Był historią starożytną do kwadratu. Zdawało się, że te dni na Erosie, w jeeshu Endera, należą do poprzedniego życia. A Mazer Rackham był sławnym człowiekiem w świecie jeszcze o dziesięciolecia wcześniejszym.

Najsławniejszy człowiek świata, a prawie nikt nie znał jego twarzy.

- Wszyscy wiedzą, że pilotowałeś pierwszy statek kolonizacyjny - powiedział Han Tzu.

- Skłamaliśmy - odparł Mazer Rackham.

Han Tzu przyjął tę informację i czekał w milczeniu.

- Mamy dla ciebie miejsce na czele kolonii - oznajmił Rackham. - Były świat kopca, koloniści to głównie Chińczycy Han, wiele interesujących wyzwań dla przywódcy. Statek startuje, kiedy tylko wejdiesz na pokład.

To była propozycja! Marzenie. Wynieść się z chaosu na Ziemi, ze zdewastowanych Chin... Zamiast czekać na wyrok śmierci od rozwścieczonego i słabego chińskiego rządu, zamiast patrzeć, jak Chińczycy wiją się pod butem muzułmańskich najeźdźców, może wejść na piękny i czysty statek, pozwolić mu wynieść się w przestrzeń, do świata nietkniętego jeszcze ludzką stopą, stać się założycielem kolonii, która na zawsze zachowa jego imię we wdzięcznej pamięci. Mógłby się ożenić, mieć dzieci i według wszelkiego prawdopodobieństwa być szczęśliwy.

- Ile mam czasu na decyzję? - zapytał Han Tzu.

Rackham zerknął na zegarek, a potem bez słowa spojrzał na niego.

- Niezbyt długie okno możliwości - rzekł Han Tzu.

Rackham pokręcił głową.

- To bardzo atrakcyjna oferta.

Rackham przytaknął.

- Ale nie przyszedłem na świat po to, żeby być szczęśliwym - stwierdził Han Tzu. - Obecny rząd Chin stracił mandat niebios. Jeśli przeżyję zmianę władzy, mogę się przydać nowemu.

- A po to przyszedłeś na świat? - spytał Mazer Rackham.

- Sprawdzali mnie - odparł Han Tzu. - Jestem dzieckiem wojny.

Rackham skinął głową. Potem sięgnął pod marynarkę, wyjął pióro i położył je na stole.

- Co to jest? - spytał Han Tzu.

- Mandat niebios.

Han Tzu zrozumiał, że pióro to broń. Ponieważ mandat niebios zawsze udzielany jest w sytuacji rozlewu krwi. Na wojnie.

- Elementy w nakrętce są bardzo delikatne - powiedział Rackham. - Ćwicz z okrągłymi wykałaczkami.

Po czym wstał i wyszedł z restauracji tylnymi drzwiami. Zapewne czekał tam na niego jakiś transport.

Han Tzu miał ochotę poderwać się i pobiec za nim, żeby zabrał go w kosmos i uwolnił od tego, co czeka w przyszłości.

Przykrył pióro dłonią, przesunął po blacie stołu i schował do kieszeni spodni. To była bron. Co oznaczało, że Graff i Rackham spodziewają się, iż niedługo będzie potrzebował broni osobistej. Jak niedługo?

Wyjął sześć wykałaczek z małego pojemnika stojącego przy ścianie obok sosu sojowego. Potem wstał i wyszedł do toalety.

Zdjął z pióra skuwkę - bardzo ostrożnie, by nie wysypać wciśniętych do niej czterech zakończonych piórkami, zatrutych strzałek. Odkręcił obudowę pióra - były tam cztery otwory wokół części środkowej, gdzie mieściła się rurka z atramentem. Mechanizm został sprytnie zaprojektowany, by obracać się po każdym wystrzale - strzałkowy rewolwer.

Ładował cztery wykałaczki - mieściły się z pewnym luzem. Potem skrzył pióro w całość.

Stalówka zasłaniała otwór, przez który wylatywały strzałki. Kiedy wsunął koniec pióra do ust, jej czubek służył za celownik. Wymierzyć i strzelić...

Wymierzyć i dmuchnąć.

Dmuchał.

Wykałaczka trafiła w ścianę łazienki mniej więcej tam, gdzie celował, tylko jakieś trzydzieści centymetrów niżej. Zdecydowanie broń krótkiego zasięgu.

Pozostałe wykałaczki zużył, sprawdzając, jak wysoko powinien mierzyć, by trafić w cel oddalony o dwa metry. Pomieszczenie było małe i nie pozwalało na dłuższy dystans. Potem zebrał wykałaczki, wyrzucił je i starannie załadował pióro prawdziwymi strzałkami, chwytając tylko za część drzewca z piórkiem.

Po spuszczeniu wody wrócił na salę. Nikt na niego nie czekał. Usiadł więc, zamówił obiad i zjadł bez pośpiechu. Nie warto stawać wobec życiowego kryzysu z pustym żołądkiem, a jedzenie tutaj było całkiem niezłe.

Zapłacił i wyszedł na ulicę. Nie chciał wracać do domu. Gdyby czekał tu, aż go zaaresztują, musiałby radzić sobie z jakimiś opryszkami niskiego szczebla, na których nie warto marnować strzałek.

Dlatego zatrzymał riksę i pojechał do Ministerstwa Obrony.

Panował tam tłok, jak zawsze. Żałował, pomyślał Han Tzu. Tylu wojskowych biurokratów miało sens kilka lat temu, gdy Chiny zdobywały Indochiny i Indie, a miliony żołnierzy próbowały zapanować nad ponad miliardem podbitych ludzi.

Teraz jednak rząd sprawował bezpośrednią kontrolę tylko nad Mandzurią i północną częścią Chin. Persowie, Arabowie i Indonezyjczycy egzekwowali stan wojenny w wielkich miastach portowych na południu, a wielkie armie tureckie czekały w centralnej Mongolii, gotowe błyskawicznie podjąć działania i rozbić chińską obronę. Jeszcze jedna wielka armia chińska została odizolowana w Syczuanie. Rząd nie zgadzał się na kapitulację ani jednego żołnierza, wskutek czego jedna prowincja musiała utrzymać wielomilionowe siły. Żyli tam jak w oblężeniu, z każdym dniem słabsi i bardziej znienawidzeni przez ludność cywilną.

Nastąpił nawet zamach stanu, zaraz po zawieszeniu broni - ale tylko dla pozorów, by przetasować polityków. Jedynie pretekst, by odrzucić warunki rozejmu.

Nikt w wojskowej biurokracji nie stracił stanowiska. A wojskowi napędzali nowy chiński ekspansjonizm. I przegrali.

Tylko Han Tzu został zwolniony z obowiązków i odesłany do domu.

Nie mogli mu darować, że wykazał im ich głupotę. Ostrzegał ich na każdym kroku, a oni ignorowali wszelkie ostrzeżenia. Kiedy wskazywał im drogę wyjścia z kłopotów spowodowanych przez nich samych, odrzucali proponowane plany i nadal podejmowali decyzje motywowane brawurą, ratowaniem twarzy i iluzją, że chińska armia jest niezwyciężona.

Podczas ostatniej narady odebrał im twarz całkowicie. Stał tam - młody człowiek w otoczeniu starców o ogromnej władzy - i nazwał ich głupcami. Dokładnie im wyjaśnił, dlaczego ponieśli tak haniebną klęskę. Powiedział nawet, że utracili mandat niebios - co jest tradycyjnym tłumaczeniem przy zmianie dynastii. Popęłił grzech niewybaczalny, gdyż obecna dynastia twierdziła, że wcale nią nie jest, że nie tworzy cesarstwa, lecz doskonale wyraża wolę ludu.

Zapomnieli jednak, że lud chiński wciąż wierzył w mandat niebios - i wiedział, że rząd już go nie posiada.

Han Tzu pokazał przy bramie swoją nieważną już przepustkę i został natychmiast wpuszczony. Zrozumiał, że istnieje tylko jeden wyobrażalny powód, dla którego nie

aresztowali go jeszcze ani nie zlikwidowali.

Nie odważyli się.

Co potwierdzało, że Rackham miał rację, wręczając mu tę czterostrzałową dmuchawkę i nazywając ją mandatem niebios. W Ministerstwie Obrony działały siły, których Han Tzu nie dostrzegał, siedząc w domu i czekając, aż ktoś postanowi, co z nim zrobić. Nie cofnęli mu nawet pensji. W kręgach wojskowych panowało zamieszanie i panika, i teraz Han Tzu wiedział, że on jest tego ośrodkiem. Że jego milczenie, oczekiwanie było jak tłuczek bezustannie trący w mózdzierz militarnej klęski.

Powinien przewidzieć, że jego *j'accuse* wywrze mocniejszy efekt niż tylko upokorzenie i rozzłoszczenie „zwierzchników”. Pod ścianą stali ich adiutanci - i słyszeli. Oni wiedzieli, że każde słowo Han Tzu jest prawdą.

Domyślał się, że pewnie już z dziesięć razy padł rozkaz zabicia go albo aresztowania. A adiutanci, którzy te rozkazy otrzymywali, z pewnością potrafili udowodnić, że przekazali je gdzie trzeba. Ale przekazali również opowieść o Han Tzu, absolwencie Szkoły Bojowej, członku jeeshu Endera. Żołnierze, którzy mieli go aresztować, dowiadawali się też niewątpliwie, że gdyby słuchano Han Tzu, Chiny nie byłyby pokonane przez islamistów i ich zarozumiałego młodocianego kalifa.

Muzułmanie wygrali, bo mieli dość rozumu, żeby swojego członka jeeshu Endera, kalifa Alai, postawić na czele armii - na czele całego rządu i swojej religii.

Natomiast chiński rząd nie słuchał swojego Endermana, a teraz rozkazał go aresztować.

Podczas tych rozmów z całą pewnością padał zwrot „mandat niebios”.

I żołnierze, jeśli w ogóle wychodzili z koszar, jakoś nie potrafili odnaleźć mieszkania Han Tzu.

Przez tygodnie, które upłynęły od zakończenia wojny, rząd musiał już sobie uświadomić własną bezsilność. Skoro żołnierze nie chcą wypełnić nawet tak prostego polecenia, jak aresztowanie przeciwnika politycznego, który zawstydził rządzących, to niebezpieczeństwo jest poważne.

I dlatego przy bramie uznano przepustkę Han Tzu. Dlatego mógł teraz bez eskorty chodzić wśród budynków Ministerstwa Obrony.

Choć nie całkiem bez eskorty. Kątem oka dostrzegał rosnącą liczbę żołnierzy i urzędników sunących za nim jak cienie, przechodzących między budynkami po ścieżkach równoległych do jego. Naturalnie - wartownicy natychmiast przekazali wiadomość: On tu jest!

Kiedy więc dotarł do wejścia sztabu, zatrzymał się na najwyższym stopniu i odwrócił. Kilka tysięcy mężczyzn i kobiet stało już między budynkami, i z każdą chwilą ich przybywało. Wielu było żołnierzami pod bronią.

Han Tzu przyglądał się, jak rosła ich szereg. Nikt nie odzywał się nawet słowem.

Skłonił się im.

Oni również się skłonili.

Odwrócił się i wszedł do budynku. Strażnicy wewnątrz także się skłonili. Oddał ukłon każdemu z nich osobno i podążył schodami prowadzącymi do gabinetów na drugim piętrze, gdzie czekali na niego najwyżsi urzędnicy.

Na drugim piętrze wyszła mu na spotkanie młoda kobieta w mundurze. Skłoniła się z nisko.

- Z najwyższym szacunkiem, sir - powiedziała - czy zechcesz udać się do gabinetu tego, którego nazywają Śnieżnym Tygrysem?

W jej głosie nie było śladu sarkazmu, jednak imię „Śnieżny Tygrys” było obecnie ironiczne samo w sobie. Han Tzu spojrzał na nią z powagą.

- Jak się nazywacie, żołnierzu?

- Porucznik Biały Lotos.

- Poruczniku, gdyby niebiosy udzieliły dziś swego mandatu prawdziwemu cesarzowi, służyłabyś mu?

- Moje życie należałoby do niego - zapewniła.

- A twój pistolet? Skłoniła się nisko.

On uczynił to samo, po czym ruszył za nią do biur Śnieżnego Tygrysa.

Wszyscy zebrali się w dużej poczekalni - ludzie, którzy byli obecni kilka tygodni temu, gdy Han Tzu oświadczył im z pogardą, że utracili mandat niebios. Teraz spoglądali na niego zimno... Ale nie miał przyjaciół wśród tych wysokich oficerów.

Śnieżny Tygrys stał w drzwiach do swojego gabinetu. Było rzeczą niesłychaną, by wychodził na spotkanie kogokolwiek prócz członków Biura Politycznego, a żaden z nich nie był tu obecny.

- Han Tzu - powiedział.

Han Tzu lekko skłonił głowę, a Śnieżny Tygrys w odpowiedzi skinął mu niemal niezauważalnie.

- Cieszę się, widząc, że wracasz na służbę po swoich zasłużonych wakacjach - rzekł Śnieżny Tygrys.

Han Tzu stał bez ruchu i milczał.

- Proszę, wejdź do gabinetu.

Han Tzu wolno podszedł do otwartych drzwi. Wiedział, że porucznik Biały Lotos stoi przy wejściu i pilnuje, czy nikt nie podnosi ręki, by go skrzywdzić.

Za drzwiami zauważył dwóch uzbrojonych żołnierzy po obu stronach biurka Śnieżnego Tygrysa. Zatrzymał się. Ich twarze nie zdradzały niczego; nawet na niego nie spojrzeli. Wiedział jednak, że wiedzą, kim jest. Zostali wybrani, ponieważ Śnieżny Tygrys im ufał. Nie powinien.

Śnieżny Tygrys przyjął to zatrzymanie jako zaproszenie, by wszedł jako pierwszy. Han Tzu nie podążył za nim, dopóki Śnieżny Tygrys nie usiadł za biurkiem. Dopiero wtedy wszedł do gabinetu.

- Zamknij drzwi, proszę - rzekł Śnieżny Tygrys. Han Tzu odwrócił się i otworzył drzwi na oścież.

Śnieżny Tygrys przyjął tę niesubordynację bez drgnienia powieki. Co mógłby zrobić czy powiedzieć, by nie wydać się żałosny?

Podsunał mu kartkę papieru. Był to rozkaz mianujący go dowódcą armii, powoli umierającej z głodu w prowincji syczuańskiej.

- Wiele razy dowiodłeś swej mądrości - powiedział. - Prosimy cię teraz, byś stał się wybawcą Chin, byś poprowadził tę wielką armię przeciwko naszym wrogom.

Han Tzu nie odpowiedział. Głodna, źle wyposażona, zdemoralizowana i okrążona armia nie zdziała cudów. A on nie miał zamiaru przyjmować od Śnieżnego Tygrysa żadnych poleceń.

- To doskonałe rozkazy, sir - powiedział w końcu głośno. Spojrzał na żołnierzy przy biurku. - Widzicie, jakie znakomite?

Nie byli przyzwyczajeni do tego, by na tak wysokim szczeblu ktoś zwracał się do nich bezpośrednio. Jeden skinął głową, drugi niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Widzę tylko jeden błąd - oznajmił Han Tzu. Mówił dostatecznie głośno, by słyszeli go w poczekalni.

Śnieżny Tygrys się skrzywił.

- Nie ma żadnych błędów.

- Wyjmę tylko pióro i pokażę panu, sir - powiedział Han Tzu. Sięgnął do kieszeni po pióro i odkręcił je. Po czym narysował linię, przekreślając swoje nazwisko u góry kartki. Odwrócił się w stronę otwartych drzwi.

- Nie ma w tym budynku nikogo, kto miałby prawo wydawać mi rozkazy - oświadczył.

Informował w ten sposób, że przejmuje rządy, i wszyscy to zrozumieli.

- Zastrzelcie go - polecił za jego plecami Śnieżny Tygrys. Han Tzu odwrócił się, wkładając pióro do ust.

Zanim jednak zdążył go użyć, żołnierz, który nie chciał przytaknąć, strzelił Śnieżnemu Tygrysowi w głowę, opryskując kolegę krwią, mózgiem i kawałkami kości.

Po czym obaj skłonili się nisko przed Han Tzu.

Han Tzu wyszedł do poczekalni. Kilku starych generałów spieszyło do wyjścia, jednak porucznik Biały Lotos wyjęła pistolet i wszyscy znieruchomieli.

- Cesarz Han Tzu nie udzielił szanownym panom zgody na opuszczenie tego pomieszczenia - powiedziała.

Han Tzu odezwał się do żołnierzy za sobą:

- Proszę pomóc porucznik Białemu Lotosowi zabezpieczyć ten pokój. W mojej ocenie obecni tu oficerowie potrzebują czasu, by rozważyć pytanie, w jaki sposób Chiny znalazły się w obecnej trudnej sytuacji. Chcę, by pozostali tutaj, dopóki każdy z nich nie napisze pełnego wytłumaczenia, jak doszło do popełnienia tak licznych błędów i jak ich zdaniem powinno się postępować.

Zgodnie z jego oczekiwaniem, pochlebcy natychmiast ruszyli do działania, odciągając swych kolegów na miejsca pod ścianami.

- Nie słyszeliście, czego żąda cesarz?

- Uczynimy, co każeś, sługo niebios.

Niewiele im to pomoże. Han Tzu wiedział już, którym oficerom zaufa i powierzy dowództwo chińskich sił zbrojnych.

Ironia polegała na tym, że ci „wielcy ludzie”, poniżeni teraz i piszący raporty o własnych błędach, nigdy nie byli źródłem tych błędów. Tak im się tylko wydawało. A podkomendni, wśród których kłopoty miały swoje źródło, uważali się jedynie za instrumenty woli dowódców. Ale naturą podkomendnych jest lekkomyślne nadużywanie władzy, ponieważ winę zawsze da się przypisać komuś wyżej albo niżej postawionemu.

W przeciwieństwie do zasług, które - jak gorące powietrze - zawsze wędrują w górę.

A od teraz będą się wznosić do mnie...

Han Tzu wyszedł z biura Śnieżnego Tygrysa. Na korytarzu przed każdymi drzwiami stali żołnierze. Słyszeli pojedynczy strzał i Han Tzu z zadowoleniem zauważył, że z ulgą przyjęli odkrycie, iż to nie on został zabity.

Zwrócił się do jednego z żołnierzy:

- Proszę, idź do najbliższego gabinetu i zatelefonuj po lekarza dla szacownego

Śnieżnego Tygrysa.

Po czym wezwał trzech innych.

- Proszę, pomóżcie porucznik Białemu Lotosowi pozyskać pomoc byłych generałów w tamtym pokoju. Poprosiłem ich, żeby napisali dla mnie raporty.

Biegiem ruszyli wykonać polecenia. Han Tzu wydawał instrukcje innym żołnierzom i urzędnikom. Niektórzy z nich odejdą po czystkach, inni awansują. Jednak w tej chwili nikt nawet nie pomyślał o nieposłuszeństwie. W ciągu kilku minut wydał rozkazy zablokowania kompleksu Ministerstwa Obrony. Póki nie będzie gotów, nie chciał, by jakiegokolwiek ostrzeżenie trafiło do Biura Politycznego.

Ale ta ostrożność okazała się próżna. Kiedy bowiem zszedł na dół i wyszedł przed budynek, powitał go ryk tysięcy wojskowych, którzy otoczyli sztab.

- Han Tzu! - krzyczeli. - Wybraniec niebios!

Nie było żadnej szansy, by na zewnątrz kompleksu ktoś nie usłyszał tego hałasu. Zamiast więc schwytać całe Biuro Polityczne od razu, będzie musiał tracić czas i tropić ich, kiedy uciekną z miasta albo spróbują przedostać się na lotnisko lub do rzeki. Jedno wszakże było pewne: ponieważ nowy cesarz został entuzjastycznie przyjęty przez siły zbrojne, żaden Chińczyk nie sprzeciwi się jego władzy. Nigdzie.

To właśnie zrozumieli Mazer Rackham i Hyrum Graff, kiedy dali mu wybór. Jedyne, czego nie docenili, to jak dogłębnie historia Han Tzu przeniknęła do kręgów wojskowych. W końcu nie potrzebował tego strzałkowca.

Chociaż gdyby nie miał go przy sobie, czy wystarczyłoby mu odwagi, by działać tak zuchwale?

Co do jednego nie miał wątpliwości. Gdyby ten żołnierz nie zabił Śnieżnego Tygrysa, zrobiłby to sam - i zabiłby obu żołnierzy, gdyby natychmiast nie uznali jego władzy.

Ręce mam czyste, ale nie dlatego, że nie byłem gotów splamić ich krwią, pomyślał.

Idąc w stronę Wydziału Planowania i Strategii, gdzie chciał założyć tymczasową kwaterę, nie mógł powstrzymać cisnących się do głowy pytań: A gdybym przyjął ich ofertę i odleciał w kosmos? Jaki los czekałby wtedy Chiny?

I następnego, bardziej otrzeźwiającego: Jaki los czeka je teraz?

2

Matka

From: Hmebane%GeneticTherapy@MayoFlorida.org.us

To: JulianDelphiki%Charlotta@DelphikiConsultations.com

Subject: Prognoza

Drogi Julianie,

chciałbym mieć lepsze wieści, jednak wczorajsze testy są rozstrzygające. Terapia estrogenowa nie ma żadnego wpływu na nasady kości. Pozostają otwarte, choć z całą pewnością nie ma żadnych defektów w receptorach estrogenowych na płytkach wzrostowych twoich kości.

Co do Twojej drugiej prośby, oczywiście, nadal będziemy badać twoje DNA, drogi przyjacielu, niezależnie od tego, czy odnajdzie się któryś z twoich porwanych embrionów. Co udało się raz, można zrobić znowu i błędy Volescu mogą powtórzyć się w

przyszłości przy jakiejś innej korekcie genetycznej. Ale historia badań genetycznych jest dość jednostajna. Zmapowanie i wyizolowanie nietypowej sekwencji, potem testy na zwierzętach, by określić, co robi która jej część i jak przeciwdziałać tym efektom – to wszystko wymaga czasu.

Nie ma sposobu, by takie badania przyspieszyć. Gdybyśmy mieli dziesięć tysięcy ludzi pracujących nad tym problemem, musieliby wykonywać te same eksperymenty w tej samej kolejności i zajęłoby im to tyle samo czasu. Pewnego dnia zrozumiemy, dlaczego twój oszałamiający intelekt jest powiązany z niekontrolowanym wzrostem. W tej chwili, mówiąc szczerze, wydaje się to niemal złośliwością ze strony natury, jak gdyby istniało prawo mówiące, że ceną za uwolnienie ludzkich zdolności intelektualnych jest albo autyzm, albo gigantyzm.

Gdyby tylko zamiast szkolenia wojskowego uczono cię biochemii, abyś w swym obecnym wieku był ekspertem w tej dziedzinie... Nie wątpię, że z większym prawdopodobieństwem wpadałbyś na nowe pomysły niż my, o intelekcie spętanym. To gorzka ironia twojego stanu i twojej osobistej historii. Nawet Volescu nie mógł przewidzieć konsekwencji, kiedy wprowadzał zmiany w twoich genach.

Czuję się jak tchórz, przekazując ci te informacje e-mailem zamiast osobiście, ale nalegałeś, by dowiedzieć się wszystkiego jak najszybciej i w formie pisemnej. Dane techniczne zostaną ci oczywiście przekazane natychmiast, gdy dostępne będą końcowe raporty.

Gdyby tylko kriogenika nie okazała się tak martwym polem...

Pozdrowienia
Howard

Kiedy Bob, szef nocnej zmiany w sklepie spożywczym, wyszedł do pracy, Randi usiadła przed monitorem i po raz kolejny zaczęła oglądać program specjalny o Achillesie Flandresie.

Złościło ją, że tak go oczerniali, ale teraz już umiała filtrować te kłamstwa. Megaloman. Szaleniec. Morderca.

Dlaczego nie potrafili dostrzec, kim był naprawdę? Geniuszem, jak Aleksander Wielki, któremu tak niewiele zabrakło do zjednoczenia świata i zakończenia wszystkich wojen.

Teraz psy będą walczyć o resztki dokonań Achillesa, gdy jego ciało spoczywa w nieznanym grobie w jakiejś nędznej brazylijskiej wiosce.

A zabójca, który przerwał nić życia Achillesa, który stanął na drodze jego wielkości, jest teraz podziwiany.... Jakby było coś bohaterskiego w strzeleniu nieuzbrojonemu człowiekowi w oko. Julian Delphiki. Groszek. Narzędzie złego Hegemona, Petera Wiggina.

Delphiki i Wiggin. Niegodni, by żyć na tej samej planecie co Achilles. A jednak podawali się za jego spadkobierców, prawowitych władców świata.

No więc, nieszczęśni głupcy, jesteście spadkobiercami niczego. Bo ja wiem, gdzie jest prawdziwy dziedzic Achillesa.

Poklepała się po brzuchu, choć było to niebezpieczne, gdyż często wymiotowała już od dnia, kiedy embrion na dobre się zagnieździł. Cięża nie była jeszcze widoczna. Randi oceniała na pięćdziesiąt procent szansę, że Bob nie wyrzuci jej z domu, ale przyjmie dziecko jak swoje. Bob wiedział, że nie może spłodzić dziecka - przeszli dostatecznie wiele testów. Nie miało sensu udawanie, bo przecież poprosi o badanie DNA i dowie się i tak.

Poza tym przysięgła, że nikomu nie powie, iż przyjęła implant. Będzie musiała udawać, że miała z kimś romans i teraz chce urodzić dziecko. Bobowi się to nie spodoba. Wiedziała jednak, że życie dziecka zależy do tego, czy dochowa tajemnicy.

Mężczyzna, który przeprowadzał z nią wywiad w klinice płodności, był bardzo stanowczy w tej kwestii.

- Nieważne, komu powiesz, Randi. Wrogowie wielkiego człowieka zdają sobie sprawę, że embrion istnieje. Będą go szukać. Będą obserwować wszystkie kobiety na świecie, które rodzą w pewnym zakresie czasu. Wszelkie pogłoski, że dziecko pochodzi ze sztucznego zapłodnienia, a nie zostało poczęte naturalnie, ściągają ich jak psy gończe. Oni mają nieograniczone możliwości. W swych poszukiwaniach nie będą szczędzić wysiłków. A kiedy znajdą kobietę, o której choćby pomyśla, że może być matką tego dziecka, zabiją ją na

wszelki wypadek.

- Przecież muszą być setki... tysiące kobiet z implantowanym embrionem - protestowała Randi.

- Jesteś chrześcijanką? Słyszałaś o rzezi niewiniątek? Choćby nie wiem jak wiele musieli zabić, te potwory nie cofną się przed niczym, byle tylko nie dopuścić, by to dziecko przyszło na świat.

Randi oglądała zdjęcia Achillesa z okresu pobytu w Szkole Bojowej i wkrótce potem, z domu wariatów, gdzie umieścili go wrogowie, kiedy stało się jasne, że jest lepszym dowódcą niż ten ich hołubiony Ender Wiggin. Czytała w wielu miejscach w sieci, że aby pokonać robale, Ender Wiggin w rzeczywistości korzystał z planów opracowanych przez Achillesa. Mogli gloryfikować tego swojego fałszywego małego bohatera, ale i tak wszyscy wiedzieli, że przypisano mu wszystkie zasługi tylko dlatego, iż był młodszym bratyszkiem Petera Wiggina.

Achilles ocalił świat. I Achilles był ojcem dziecka, które miała urodzić.

Randi żałowała tylko, że nie może być także biologiczną matką i że dziecko nie zostało poczęte w sposób naturalny. Zdawała sobie jednak sprawę, że oblubienica Achillesa musi być bardzo starannie wybrana - mieć właściwe geny, by nie osłabić jego geniuszu, dobroci, kreatywności i dynamizmu.

Lecz oni wiedzieli, kim jest kobieta, którą kochał Achilles. Gdyby w chwili jego śmierci była w ciąży, rozpruliby jej brzuch, by w agonii patrzyła, jak embrion spalać w ogniu.

By zatem chronić matkę i dziecko, Achilles postarał się w tajemnicy wywieźć embrion i umieścić go w macicy kobiety, której mógł zaufać, że donosi dziecko, zapewni mu dom i wychowa w pełnej świadomości jego ogromnego potencjału. Że nauczy go w tajemnicy, kim był naprawdę jego ojciec i jakiej sprawie służył. By mógł kiedyś wypełnić przeznaczenie tak okrutnie przerwane życie Achillesa.

To wielka odpowiedzialność, ale Randi okaże się jej godna.

Bob nie. Prosta sprawa. Randi zawsze wiedziała, że wyszła za człowieka mniej wartościowego od siebie. Bob był dobrym opiekunem, ale brakowało mu wyobraźni, by zrozumieć cokolwiek ważniejszego niż zarabianie na życie i planowanie kolejnej wyprawy na ryby. Mogła sobie wyobrazić, jak zareaguje na wiadomość nie tylko o ciąży, ale też że nie jest to nawet jej dziecko.

Znalazła w sieci kilka miejsc, gdzie różni ludzie szukali „zaginionych” albo „porwanych” embrionów. Wiedziała - ostrzegł ją człowiek, który z nią rozmawiał - że są to

prawdopodobnie wrogowie Achillesa, szukający informacji, które doprowadzą ich... do niej.

Zastanawiała się, czy nie zaalarmuje ich sam akt wyszukiwania ludzi szukających embrionów. Firmy obsługujące wyszukiwarki sieciowe twierdziły, że żaden rząd nie ma dostępu do ich baz danych. Możliwe jednak, że Międzynarodowa Flota przechwytywała wszystkie wiadomości i monitorowała wszystkie pytania. Ludzie mówili, że MF jest w rzeczywistości pod kontrolą rządu Stanów Zjednoczonych, że amerykański izolacjonizm to tylko fasada i że wszystkie swoje plany realizują poprzez MF. Byli też inni, którzy uważali, że jest odwrotnie - USA izolują się, ponieważ tego chce MF, ponieważ większość niezbędnej im technologii kosmicznej jest opracowywana i konstruowana w USA.

To nie może być przypadek, że Peter Hegemon też jest Amerykaninem.

Zrezygnuje z wyszukiwania informacji o porwanych embrionach. To i tak same kłamstwa, pułapki i oszustwa. Wiedziała, że inni ludzie uznaliby ją za paranoiczkę, ale nie wiedzieli tego co ona. Na świecie naprawdę żyją potwory, a ci, którzy ukrywają przed nimi sekrety, muszą zachowywać bezustanną czujność.

Na ekranie widniał straszny obraz. Pokazywali go ciągle: biedne, martwe ciało Achillesa leżące na podłodze w pałacu Hegemona. Wydawał się taki spokojny, bez żadnej rany na ciele. Niektórzy w sieci twierdzili, że Delphiki wcale nie strzelił mu w oko - wówczas na twarzy Achillesa widać by było ślady spalonego prochu, byłaby rana wylotowa i wszędzie pełno krwi.

Nie. Delphiki i Wiggin uwięzili Achillesa, ustawili starcie z policją, udając, że Achilles wziął zakładników, albo wymyślili inny pretekst, by go zabić. Ale w rzeczywistości zabili go zastrzykiem. Albo zatruli jedzenie. Albo zarazili go straszliwą chorobą, tak że umarł, wijąc się z bólu na podłodze, a Delphiki i Wiggin patrzyli na to...

Jak Ryszard III mordujący biedne książątka w Tower.

Ale kiedy mój syn przyjdzie na świat, powiedziała sobie Randi, wszystkie te sfalszowane historie zostaną ujawnione. Kłamcy będą wyeliminowani, a wraz z nimi ich kłamstwa.

Wtedy to nagranie zostanie wykorzystane w prawdziwej historii. Mój syn tego dopilnuje. Nikt już nigdy nie usłyszy kłamstw, jakie teraz powtarzają. I Achilles będzie znany jako ktoś wielki, większy nawet od swego syna, który dokończy dzieła jego życia.

A mnie będą pamiętać i szanować jako kobietę, która dała mu schronienie, urodziła go i wychowała na władcę świata.

Co muszę zrobić, żeby tego dokonać? Nic.

Nic nie ściąga na mnie uwagi. Nic nie czyni mnie nietypową albo dziwną.

A jednak nie mogła wytrzymać tej beczynności. Siedzieć tak, oglądać telewizję, martwić się, gryźć... To na pewno szkodliwe dla dziecka, cała ta adrenalina krążąca w organizmie.

Czekanie doprowadzało ją do szaleństwa. Nie po prostu czekanie na dziecko - to było naturalne i radośnie przyjmowałaby każdy dzień swojej ciąży. To czekanie na zmianę w życiu. Czekanie... na Boba.

Dlaczego ma czekać na Boba?

Wstała z kanapy, wyłączyła telewizor, poszła do sypialni i zaczęła pakować do kartonowych pudeł ubrania i inne rzeczy. Aby opróżnić pudła, wysypała wszystkie obsesyjnie prowadzone rejestry finansowe Boba - niech ma trochę zabawy, sortując je od początku.

Dopiero kiedy zapakowała i okleiła taśmą czwarte pudło, przyszło jej do głowy, że jeśli ma się zachowywać normalnie, powinna mu powiedzieć o dziecku, a potem jego zmusić, żeby się wyprowadził.

' Ale nie chciała już mieć z nim nic wspólnego. Nie chciała ustalania ojcostwa. Chciała zwyczajnie się stąd wynieść. Rzucić to zwykłe, pozbawione znaczenia życie i to bezsensowne miasteczko.

Oczywiście, nie mogła po prostu zniknąć. Stałaby się wtedy osobą zaginioną. Trafiałaby do baz danych. Kogoś by zawiadomiono.

Pudła z ubraniami, kilka ulubionych garnków, patelni i książek kucharskich zapakowała do samochodu, który miała jeszcze sprzed ślubu z Bobem i który zarejestrowany był tylko na nią. Potem pół godziny pisała kolejne wersje listu do Boba; tłumaczyła, że już go nie kocha, że odchodzi i nie chce, żeby jej szukał.

Nie. Nic na piśmie. Nic, o czym można komukolwiek zameldować.

Wsiadła do samochodu i pojechała do sklepu. Z parkingu wzięła wózek, który ktoś zostawił po zakupach, blokując miejsce. Pchnęła go do wnętrza. Pomagała oczyścić parking z porzuconych wózków, co dowodziło, że nie jest mściwa. Była osobą cywilizowaną, która chciała, żeby Bobowi dobrze się powodziło w interesach i w tym jego zwyczajnym, zwyczajnym, zwyczajnym życiu. Pomoże mu, kiedy odejdzie. Kiedy w tym życiu nie będzie już przy nim tak nadzwyczajnej kobiety i dziecka.

Nie zastała go w gabinecie, wyszedł gdzieś na halę. Ruszyła więc go szukać. Nadzorował rozładunek ciężarówki, która dotarła spóźniona z powodu jakiejś awarii w drodze; pilnował, czy mrożona żywność ma temperaturę dostatecznie niską, by bezpiecznie wypakować ją i rozłożyć na półkach.

- Możesz chwilę zaczekać? - zwrócił się do niej. - Wiem, że to ważne, inaczej byś nie

przyjeżdżała, ale...

- Och, Bob, to zajmie najwyżej moment. - Pochyliła się do jego ucha. - Jestem w ciąży i nie z tobą.

Jako że wiadomość składała się z dwóch części, nie zarejestrował jej od razu. Przez moment wyglądał na szczęśliwego. I zaraz poczerwieniał.

Znów się pochyliła.

- Ale nie martw się. Odchodzę. Dam ci znać, gdzie wysłać dokumenty rozwodowe. A teraz wracaj do pracy.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

- Randi! - krzyknął za nią.

- To nie twoja wina, Bob! - zawołała przez ramię. - Nic nie jest twoją winą. Byłeś świetnym facetem.

Idąc przez sklep, czuła się wyzwolona. Była w tak wielkodusznym i radosnym nastroju, że kupiła małe pudełeczko balsamu do warg i butelkę wody mineralnej. Małeńka częśćka zysków ze sprzedaży będzie jej ostatnim wkładem w życie Boba.

Wsiadła do samochodu i ruszyła na południe, ponieważ przy wyjeździe z parkingu wolą skręcić w prawo - ruch był za duży, żeby czekać na okazję do skrętu w lewo. Pojedzie tam, gdzie zanosą ją prądy ruchu. Nie będzie próbowała przed nikim się ukrywać. Da Bobowi znać, gdzie się zatrzymała, kiedy tylko postanowi się tam zatrzymać. Rozwiedzie się z nim całkiem zwyczajnie. Ale nie wpadnie na nikogo znajomego ani nikogo, kto by ją znał. Stanie się praktycznie niewidzialna, nie jak ktoś, kto próbuje się ukryć, ale jak ktoś, kto nie ma absolutnie nic do ukrycia, kto nigdy i dla nikogo nie był ważny.

Nikogo prócz jej ukochanego syna.

3

Przewrót

From: JulianDelphiki%milcom@hegemon.gov

To: Volescu%levers@plasticgenome.edu

Subject: Po co się ukrywać, skoro wcale nie musisz?

Przecież gdyby nam zależało, żebyś zginął albo został skazany, nie sądzisz, że już by do tego doszło? Ten, który cię osłaniał, odszedł i żaden kraj na Ziemi nie udzieli ci schronienia, jeśli ogłosimy fakty dotyczące twoich „osiągnięć”.

Zrobiłeś, co zrobiłeś. Teraz pomóż nam znaleźć dzieci, gdziekolwiek je ukryłeś.

Peter Wiggin zabrał ze sobą Petrę Arkanian, ponieważ знаła Alai, nowego kalifa. Oboje byli kiedyś w jeeshu Endera. I właśnie Alai zapewnił im kryjówkę na tydzień poprzedzając inwazję islamistów na Chiny - czy też wyzwolenie Azji, zależy, której kuźni propagandowej człowiek słuchał.

Teraz jednak wydawało się, że obecność Petry nie ma żadnego znaczenia. Wszyscy w Damaszku zachowywali się zwyczajnie, jakby nie miał znaczenia fakt, iż sam Hegemon przybył jako petent, by zobaczyć się z kalifem. Oczywiście, Peter nie ogłaszał swojej wizyty - zwykły prywatny przyjazd, a on i Petra udawali małżeństwo turystów.

Udawali dokładnie, razem z kłótniami. Ponieważ Petra nie miała dla niego cierpliwości. Wszystko, co robił, mówił, a nawet myślał, było błędne. Wreszcie ostatniej nocy nie wytrzymał i zapytał wprost.

- Wyłumacz mi, Petra, czemu naprawdę mnie nienawidzisz, zamiast udawać, że chodzi o jakieś głupstwa?

Jej odpowiedź była porażająca.

- Bo jedyna różnica, jaką widzę między tobą i Achillesem, polega na tym, że pozwalasz, by inni zabijali za ciebie.

To było tak oczywiście niesprawiedliwe: Peter poświęcił życie na próby uniknięcia wojny.

Przynajmniej teraz rozumiał, dlaczego tak się na niego wścieka. Kiedy Groszek wszedł do otoczonego osiedla Hegemonii, by samotnie zmierzyć się z Achillesem, Peter rozumiał, że naraża swoje życie i że praktycznie nie ma szans, by Achilles dał mu to, co obiecał - embriony dzieci Groszka i Petry, które wykradł ze szpitala wkrótce po zapłodnieniu *in vitro*.

Dlatego kiedy Groszek wpakował pocisk .22 w oko Achillesa, żeby poobijał się jeszcze trochę wewnątrz czaszki, to Peter był jedyną osobą, która uzyskała wszystko, o co jej chodziło: osiedle Hegemonii, bezpieczeństwo zakładników, nawet małą armię, wyszkoloną przez Groszka i dowodzoną przez Suriyawonga, który jednak okazał się lojalny.

Gdy Groszek i Petra nie odnaleźli swoich dzieci, a Groszek umierał, Peter absolutnie nic nie mógł zrobić, żeby im pomóc. Oddał im tylko biuro i komputery, by mogli nadal prowadzić poszukiwania. Wykorzystywał także wszystkie swoje kontakty, by zapewnić im współpracę dowolnego kraju, w którym potrzebowali dostępu do rejestrów.

Zaraz po śmierci Achillesa Petra odczuła ulgę. Dopiero w następnych tygodniach, kiedy zobaczyła, jak Peter stara się odbudować prestiż urzędu Hegemona i próbuje zbudować koalicję, rozwinęła się w niej złość - a może po prostu znów wypłynęła na powierzchnię. Wtedy Petra zaczęła wygłaszać złośliwe uwagi o Peterze, który „bawi się w geopolitycznej piaskownicy” albo „nadyma się bardziej niż głowy państw”.

Powinien przewidzieć, że ta wspólna wyprawa tylko pogorszy sytuację. Zwłaszcza że nie słuchał jej rad w żadnej kwestii.

- Nie możesz tak po prostu się zjawić - mówiła mu.

- Nie mam wyboru.

- To brak szacunku. Jakbyś uważał, że możesz tak sobie zajrzeć do kalifa. W ten sposób traktujesz go jak sługę.

- Dlatego zabrałem ciebie - tłumaczył cierpliwie Peter. - Musisz mu wytłumaczyć, że jedyna możliwość, aby się udało, to podczas potajemnego spotkania.

- Ale on już uprzedził mnie i Groszka, że nie możemy mieć do niego tak swobodnego dostępu jak kiedyś. Jesteśmy niewiernymi. A on kalifem.

- Papież przez cały czas przyjmuje niekatolików. Mnie przyjmuje.

- Papież nie jest muzułmaninem.

- Bądź cierpliwa - poprosił Peter. - Alai wie, że tu jesteśmy. W końcu postanowi się ze mną spotkać.

- W końcu? Jestem w ciąży, panie Hegemonie, mój mąż umiera na całego, ha, ha, ha, a pan tu marnuje część tego czasu, jaki nam razem pozostał. I to mnie wkurza.

- Zaprosiłem cię tutaj. Nie zmuszałem cię do wyjazdu.

- Masz szczęście, że nie próbowałeś.

Ale teraz wszystko się wyjaśniło. Nareszcie zrozumiał. Oczywiście, naprawdę złościła się ze wszystkich tych powodów, o których mówiła. Ale w głębi chodziło o pretensje, że Peter pozwolił Groszkowi zabić, zamiast zrobić to sam.

- Petra - powiedział Peter. - Nie jestem żołnierzem.

- Groszek też nie jest!

- Groszek to najlepszy wojskowy umysł na świecie.

- Więc czemu nie on jest Hegemonem?

- Bo nie chce nim być.

- A ty chcesz. I dlatego cię nienawidzę, skoro już spytałeś.

- Wiesz, czemu chciałem zdobyć ten urząd i co staram się osiągnąć. Czytałeś moje eseje Locke'a.

- Czytałam też twoje eseje Demostenesa.

- One także musiały powstać. Ale zamierzam rządzić jako Locke.

- Nie rządzisz niczym. Nawet tę swoją małą armię masz tylko dlatego, że Groszek i Suriyawong ją stworzyli, a potem pozwolili ci ją wykorzystywać. Masz tę swoją bezcenną osadę i swój personel, ponieważ Groszek zabił Achillesa i oddał ci to wszystko. A teraz znowu wróciłeś do swoich małych demonstracji własnej ważności. Ale wiesz co? Nikogo nie oszukasz. Nie jesteś nawet tak potężny jak papież. On ma Watykan i miliard katolików. Ty

masz tylko to, co dał ci mój mąż.

Peter nie sądził, by była to precyzyjna ocena - przez lata pracował, budując swoją siatkę kontaktów, i nie pozwolił, by zlikwidowano urząd Hegemona. Przez lata doprowadził do tego, że tytuł ten zaczął coś znaczyć. Ocalił Haiti przed chaosem. Kilka niewielkich krajów zawdzięczało swoją niezależność albo wolność jego interwencjom dyplomatycznym i - to prawda - wojskowym.

Jednak bez wątpienia niewiele brakowało, by Achilles odebrał mu to wszystko - przez jego własny głupi błąd. Błąd, przed którym Petra i Groszek ostrzegali, zanim go popełnił. Błąd, który Groszek zdołał naprawić za cenę ogromnego ryzyka.

- Masz rację — rzekł Peter. - Wszystko, co mam, zawdzięczam tobie i Groszkowi. Ale nie zmienia to faktu, że cokolwiek myślisz o urzędzie Hegemona i cokolwiek myślisz o mnie, ja pełnię tę funkcję i próbuję to wykorzystać, żeby uniknąć kolejnej krwawej wojny.

- Próbujesz wykorzystać to stanowisko, żeby zmienić je w stanowisko dyktatora świata. Chyba że wymyślisz jakiś sposób, by sięgnąć aż do kolonii i zostać dyktatorem znanego wszechświata.

- Na razie nie mamy żadnych kolonii. Statki będą jeszcze w drodze, kiedy już wszyscy pomrzemy. Ale gdy dotrą do celu, chcę, żeby wysyłały ansiblem swoje raporty na Ziemię zjednoczoną pod jednym demokratycznym rządem.

- Tę demokrację musiałam jakoś przeoczyć - stwierdziła Petra. - Kto cię wybrał?

- Ponieważ nie mam realnej władzy nad nikim, czy może mieć jakiegokolwiek znaczenie prawna autoryzacja mojego urzędu?

- Kłócisz się jak zawodowy dyskutant. Tak naprawdę nie musisz mieć żadnego pomysłu, wystarczy, że znajdziesz pozornie błyskotliwą ripostę.

- A ty się kłócisz jak dziewięciolatka - odparł Peter. - Zatykasz uszy palcami i wołasz „la, la, la” albo „i ty też”.

Petra wyglądała, jakby chciała go uderzyć. Zamiast tego zatkała uszy palcami.

- I ty też - powiedziała. - La, la, la.

Nie roześmiał się. Wyciągnął rękę, żeby odciągnąć jej dłoń od ucha. Ona jednak zakręciła się błyskawicznie i kopnęła jego rękę tak mocno, aż przez moment sądził, że złamała mu nadgarstek. Zatoczył się, potknął o róg łóżka i z rozmachem usiadł na podłodze.

- Oto Hegemon Ziemi - oświadczyła Petra.

- Gdzie twój aparat? Nie chcesz upublicznić tej sceny?

- Gdybym chciała cię zniszczyć, byłbyś zniszczony.

- Petra, nie posyłałem Groszka do osiedla. On sam się posłał.

- Pozwoliłeś mu iść.

- Tak, pozwoliłem. I okazało się, że miałem rację.

- Ale nie wiedziałeś, że przeżyje. Nosiłam jego dziecko, a ty wysłałeś go na śmierć.

- Nikt nigdzie nie wysyła Groszka - rzekł Peter. - I dobrze o tym wiesz.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Trzasnęłyby drzwiami, ale pneumatyka na to nie pozwoliła.

Zdażył jednak zobaczyć łzy w jej oczach.

Wcale nie nienawidziła Petera. Chciała go nienawidzić. Ale tak naprawdę była wściekła dlatego, że jej mąż umierał, a ona zgodziła się jechać na tę misję, bo wiedziała, że będzie ważna. Tylko że nic z tego nie wychodziło. I pewnie nie wyjdzie.

Peter wiedział o tym. Ale wiedział też, że musi porozmawiać z kalifem Alai, i że musi to zrobić teraz, jeśli rozmowa ma przynieść jakieś efekty. Wolałby, żeby rozmowa odbyła się bez narażania prestiżu urzędu Hegemona. Jednak im dłużej tu tkwił, tym większa była szansa, że rozejdą się wieści o jego wyprawie do Damaszku. I jeśli Alai odmówi, poniży go publicznie i urząd straci na znaczeniu.

Dlatego opinia Petry o nim była wyraźnie niesprawiedliwa. Gdyby zależało mu tylko na własnym autorytecie, nie byłoby go tutaj.

Na pewno ma dość rozsądku, by to wiedzieć. W końcu dostała się do Szkoły Bojowej, prawda? I była jedyną dziewczyną w jeeshu Endera. To kwalifikowało ją jako lepszą od niego - przynajmniej w dziedzinie strategii i przywództwa. Musi dostrzegać, że zapobieżenie krwawej wojnie jest dla niego ważniejsze od osobistej kariery.

I kiedy tylko to pomyślał, usłyszał jej głos we własnej głowie: „Och, jakież to wspaniałe i szlachetne z twojej strony, że życie setek tysięcy żołnierzy stawiasz wyżej od własnego niezatartego śladu w historii. Myślisz, że dadzą ci za to jakąś nagrodę?”. Mogłaby też powiedzieć: „Jedyny powód, że jestem tu z tobą, to właśnie ten, żebyś mógł uniknąć ryzykowania czegokolwiek”. Albo jeszcze: „Zawsze śmiało podejmowałeś ryzyko, kiedy tylko stawka była dostatecznie wysoka i kiedy nie twoje życie było zagrożone”.

No świetnie, Peter, pomyślał. Nie potrzebujesz jej nawet w tym samym pokoju, żeby ciągle się z nią kłócić.

Jak Groszek z nią wytrzyma? Na pewno jego traktuje inaczej.

Nie. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś włącza i wyłącza złośliwość, kiedy zechce. Groszek musiał ją poznać także z tej strony. A jednak z nią został.

I kochał ją. Peter zastanowił się, jak by to było, gdyby Petra patrzyła na niego w ten sam sposób co na Groszka. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to zakochana Petra robiąca do

niego słodkie oczy.

Zadzwonił telefon.

Ktoś upewnił się, że rozmawia z „Peterem Jonesem”, po czym oznajmił:

- O piątej rano proszę być na dole przed północnymi drzwiami lobby.

Pstryk.

Ciekawe, co do tego doprowadziło. Coś w dyskusji z Petrą? Sprawdził, czy nie mają podsłuchu, ale nie wykluczało to użycia przez tamtych jakiegoś nisko zaawansowanego technicznie urządzenia, na przykład człowieka z uchem przyciśniętym do ściany w sąsiednim pokoju.

Co takiego powiedzieliśmy, że w efekcie pozwolili mi na spotkanie z kalifem?

Może kluczowe było to, co mówił o unikaniu krwawej wojny.

A może to, że usłyszeli, jak przyznaje Petrze, iż jego władza może nie mieć prawnego uzasadnienia?

A jeśli to nagrali? Jeśli nagranie wypłynie gdzieś w sieci?

No to wypłynie, a on będzie się starał jakoś wyjść cało z tej sytuacji. I albo mu się uda, albo nie. Nie warto się martwić na zapas. Jutro rano, jeszcze przed świtem, ktoś będzie na niego czekał przed północnym wejściem do lobby. Może zaprowadzą go do Alai, może zdoła osiągnąć to, co trzeba osiągnąć, ocali to, co trzeba ocalić.

Przez chwilę bawił się myślą, by nie mówić Petrze o telefonie. Nie miała w końcu żadnego stanowiska. Nie przysługiwało jej żadne szczególne prawo, by być na tym spotkaniu, zwłaszcza po tej wieczornej kłótni.

Nie bądź zawzięty i małostkowy, powiedział sobie. Jeden taki akt rewanżu daje zbyt wiele przyjemności - człowiek chce go powtarzać znowu i znowu. I coraz częściej.

Dlatego sięgnął po słuchawkę. Odebrała po siódmym sygnale.

- Nie mam zamiaru przepraszać - poinformowała krótko.

- I dobrze - odpowiedział. - Bo nie zależy mi na jakichś przymilnych fałszywych przeprosinach w stylu „Przykro mi, że tak się zdenerwowałaś”. Zależy mi, żebyś była ze mną o piątej rano przed północnymi drzwiami lobby.

- Po co?

- Nie wiem - odparł Peter. - Przekazuję tylko to, co mi powiedziano przez telefon.

- Ma zamiar pozwolić nam spotkać się z nim?

- Albo posyła bandziorów, żeby odwieźli nas na lotnisko. Skąd mogę wiedzieć? Ty byłaś jego przyjaciółką. Ty mi powiedz, jakie ma zamiary.

- Nie mam bladego pojęcia - zapewniła Petra. - Przecież Alai i ja nie byliśmy sobie

bliscy. I czy jesteś pewien, że chcą mnie tam podczas spotkania? Jest mnóstwo islamistów, którzy byliby wstrząśnięci na samą myśl o kobiecie bez czarczaфу, zamężnej, rozmawiającej z mężczyzną, nawet z kalifem.

- Nie wiem, czego oni chcą - rzekł Peter. - Ja chcę, żebyś była na tym spotkaniu.

Zapakowali ich do furgonetki bez okien i powieźli trasą, która - jak uznał Peter - była kręta i zwodniczo długa. Równie dobrze kwatery kalifa mogły się znajdować obok ich hotelu. Ale ludzie Alai zdawali sobie sprawę, że bez kalifa nie ma jedności, a bez jedności islam nie ma żadnej siły, więc nie chcieli ryzykować, że obcy się domyśla, gdzie kalif mieszka.

Jechali tak długo, że mogli dotrzeć poza obrzeża Damaszku. Kiedy wysiedli z samochodu, znaleźli się nie w świetle dnia, ale wewnątrz budynku... albo pod ziemią. Nawet kryty ogród, gdzie ich wprowadzono, miał sztuczne oświetlenie, a odgłosy płynącej, tryskającej i spadającej wody maskowały ewentualne słabe dźwięki, jakie mogłyby przesączać się z zewnątrz i wskazywać, gdzie się znajdują.

Alai nie tyle ich powitał, ile zauważył ich obecność, gdy wszedł do ogrodu. Nie spojrzał nawet na nich, ale usiadł o kilka metrów dalej, patrząc na fontannę, i zaczął mówić:

- Nie chcę cię poniżyć, Peterze Wigginie. Nie powinienes tu przyjeżdżać.

- Wdzięczny jestem, że w ogóle zgodziłeś się ze mną rozmawiać - zapewnił Peter.

- Mądrość nakazywała, abym ogłosił światu, że Hegemon przybył na spotkanie z kalifem i że kalif nie zechciał go przyjąć. Ale nakazałem Mądrości, by była cierpliwa, i pozwoliłem, by Kaprys był dzisiaj moim przewodnikiem w tym ogrodzie.

- Petra i ja przybyliśmy, aby...

- Petra jest tutaj - przerwał mu Alai - bo pomyślałeś, że jej obecność pomoże ci doprowadzić do spotkania, i potrzebowałeś świadka, przed którego zabiciem się zawaham, i ponieważ chciałyś, żeby została twoim sprzymierzeńcem, kiedy jej mąż umrze.

Peter nie pozwolił sobie na rzut oka w stronę Petry, by sprawdzić, jak przyjęła tę uwagę. Znała Alai. Peter nie. Zinterpretuje te słowa tak, jak uzna za właściwe, a nic, co w tej chwili mógłby zobaczyć w jej twarzy, nie pomoże mu w zrozumieniu. Osłabi go tylko, jeśli pokaże, że mu zależy.

- Przybyłem, żeby zaoferować pomoc - oświadczył.

- Dowodzę armiami, które rządzą ponad połową ludności świata - odparł Alai. - Zjednoczyłem wyznawców islamu od Maroka do Indonezji i wyzwoliłem uciśnione ludy pomiędzy nimi.

- Właśnie o różnicy między „podbiłem” a „wyzwoliłem” chciałbym podyskutować.

- A więc jednak przybyłeś robić mi wyrzuty, nie pomagać...

- Widzę, że marnuję czas. Jeśli nie jesteśmy w stanie rozmawiać bez sporów o drobiazgi, to nie jesteś już w stanie przyjąć pomocy.

- Pomocy? - powtórzył Alai. - Jeden z moich doradców, kiedy wyjawilem, że chcę się z tobą spotkać, zapytał mnie: „Ilu żołnierzy ma ten cały Hegemon?”.

- Ile dywizji ma papież? - zacytował Peter.

- Więcej niż ma Hegemon - odparł Alai. - Jeśli tylko papież zechce o nie poprosić. Jak to dawno temu odkryły martwe już Narody Zjednoczone, religia zawsze ma więcej wojowników niż jakaś mglista międzynarodowa abstrakcja.

Peter uświadomił sobie, że Alai wcale nie mówi do niego. Mówi poprzez niego. A więc jednak nie jest to prywatne spotkanie.

- Nie zamierzam okazywać kalifowi lekceważenia - zapewnił. - Widziałem chwałę twoich dokonań i wspaniałomyślność, z jaką traktujesz swoich przeciwników.

Alai odprężył się wyraźnie. Teraz obaj grali w tę samą grę. Peter wreszcie zrozumiał zasady.

- Co można zyskać, poniżając tych, którzy wierzą, że stoją poza władzą Boga? - spytał Alai. - Bóg okaże im swoją potęgę w chwili, którą uzna za właściwą. Do tego czasu rozsądek nakazuje łagodność.

Alai mówił tak, jak oczekiwali tego otaczający go prawdziwi wyznawcy - zawsze podkreślając prymat kalifatu nad siłami nie-islamskimi.

- Zagrożenia, o których chcę rozmawiać - rzekł Peter - nigdy nie będą miały za przyczynę mnie ani też niewielkiego wpływu, jaki mam w świecie. Choć nie zostałem wybrany przez Boga i choć garstka tylko słucha moich rozkazów, ja także pragnę, jak i ty, pokoju i szczęścia dla dzieci bożych na Ziemi.

Teraz nadeszła chwila, by Alai - jeśli całkowicie znalazł się we władzy swych stronników - zaczął z patosem tłumaczyć, jakie to bluźnierstwo, że taki niewierny jak Peter przywołuje imię Boga albo sugeruje, że mógłby zapanować pokój, zanim cały świat znajdzie się we władzy kalifatu.

Zamiast tego Alai powiedział:

- Słucham wszystkich ludzi, ale posłuszny jestem tylko Bogu.

- Był czas, kiedy islam budził nienawiść i lęk na całym świecie - ciągnął Peter. - Ta epoka skończyła się przed naszymi narodzinami, ale twoi wrogowie przywołują teraz te stare historie.

- Te stare kłamstwa, chciałeś powiedzieć.

- Fakt, że żaden człowiek nie może dokonać hadżdżu we własnej skórze i przeżyć, sugeruje, że nie wszystkie te opowieści są kłamstwami. W imię islamu powstały straszliwe typy broni i w imię islamu użyto ich, by zniszczyć najświętsze miejsce na Ziemi.

- Nie jest zniszczone - sprzeciwił się Alai. - Jest chronione.

- Jest tak radioaktywne, że nic nie może przeżyć w promieniu stu kilometrów. I sam wiesz, co zrobiła eksplozja z al-kadar al--aswad.

- Kamień nie był święty sam w sobie. I muzułmanie nigdy go nie czcili. Wykorzystywaliśmy go tylko jako znak, by pamiętać święte przymierze między Bogiem i jego prawdziwymi wyznawcami. Teraz jego molekuly zostały rozpylone i rozproszone po całej Ziemi jako błogosławieństwo dla prawych i klątwa dla niegodziwych, a my, którzy podążamy za islamem, wciąż pamiętamy, gdzie był i co oznaczał, i kłaniamy się temu miejscu w czasie modlitw.

Było to kazanie, które z pewnością powtarzał już wiele razy.

- W owych dniach muzułmanie cierpieli bardziej niż ktokolwiek inny - powiedział Peter. - Ale nie to pamięta większość ludzi. Pamiętają bomby, które zabijały niewinne kobiety i dzieci. I fanatycznych morderców-samobójców, którzy nienawidzili wszelkiej wolności z wyjątkiem wolności przestrzegania najwęższej z możliwych interpretacji szariatu.

Alai zeszywniał.

- Ja sam nie próbuję osądzać - zapewnił Peter szybko. - Nie było mnie wtedy na świecie. Ale w Indiach i Chinach, w Tajlandii i Wietnamie żyją ludzie, którzy boją się, że żołnierze islamu nie przybyli jako wyzwoliciele, lecz jako zdobywcy. Że po zwycięstwie staną się aroganccy. Że kalifat nigdy nie da swobody tym, którzy witali go i wspierali w walce z chińskimi najeźdźcami.

- Żadnego narodu nie zmuszamy do przyjęcia islamu - oświadczył Alai. - Kto twierdzi inaczej, jest kłamcą. Prosimy tylko o otwarcie drzwi przed nauczającymi islamu, aby ludzie mogli wybierać.

- W takim razie wybaczone moje niezrozumienie. Świat widzi te otwarte drzwi i zauważa, że przechodzi się przez nie tylko w jedną stronę. Kiedy naród wybierze islam, ludziom nie wolno już wybrać czegoś innego.

- Mam nadzieję, że nie słyszę echa krucjat w twoich słowach. Krucjaty, pomyślał Peter. Odwieczny straszak. A zatem Alai przyłączył się do retoryki fanatyzmu.

- Powtarzam tylko, co się mówi wśród tych, którzy próbują zjednoczyć się przeciwko tobie i rozpocząć wojnę. Tej wojny mam nadzieję uniknąć. Coś, co bezskutecznie próbowali osiągnąć dawni terroryści - ogólnoswiatowa wojna między islamem i wszystkimi innymi -

może teraz się spełnić.

- Lud boży nie lęka się rezultatu takiej wojny.

- Sam proces jej trwania jest tym, czego chciałbym uniknąć - odparł Peter. - Z pewnością kalif także nie pragnie zbędnego rozlewu krwi.

- Wszyscy, którzy giną, są na łasce Boga. Nie należy się lękać śmierci, ponieważ spotyka wszystkich żyjących.

- I taka jest twoja opinia na temat wojennych rzezi? - upewnił się Peter. - W takim razie zajmowałem ci czas niepotrzebnie.

Udał, że zamierza wstać.

Petra położyła mu dłoń na udzie i nacisnęła, sugerując, by został na miejscu. Peter jednak nie miał zamiaru wychodzić.

- Ale... - powiedział Alai. Peter czekał.

- Ale Bóg chce, by jego dzieci okazywały Mu posłuszeństwo z własnej woli, nie z przerażenia.

To było zdanie, na które Peter liczył.

- W Indiach zdarzały się morderstwa i masakry...

- Nie było żadnych masakr.

- Pogłoski o masakrach - poprawił się Peter. - I wydaje się, że mają oparcie w przemycanych nagraniach wideo, zeznaniach świadków i powietrznych zdjęciach rzekomych pól śmierci. Z ulgą przyjmuję zapewnienie, że takie zjawiska nie są efektem polityki kalifatu.

- Jeśli ktoś zabił niewinnych bez innej przyczyny niż ta, że wierzyli w idole hinduizmu i buddyzmu, to taki morderca nie byłby muzułmaninem.

- Ludzie w Indiach zastanawiają się...

- Nie przemawiasz w imieniu żadnej grupy ludzi z wyjątkiem mieszkańców niewielkiego osiedla w Ribeirao Preto - zaznaczył Alai.

- Moi informatorzy w Indiach mówią mi, że ludzie tam się zastanawiają, czy kalif zamierza potępić i ukarać tych morderców, czy też po prostu udawać, że te fakty nie miały miejsca. Jeśli bowiem nie mogą wierzyć kalifowi, że kontroluje to, co dzieje się w imię Allacha, to będą musieli się bronić.

- Układając kamienie na drodze? - spytał Alai. - Nie jesteśmy Chińczykami, żeby wystraszyły nas opowieści o Wielkim Murze Indii.

- Kalif włada teraz populacją, w której więcej jest niemuzułmanów niż muzułmanów.

- Na razie.

- Pytanie brzmi: czy procent muzułmanów wzrośnie z powodu nauczania, czy z

powodu rzezi i prześladowań niewiernych.

Po raz pierwszy Alai odwrócił się twarzą, a potem całym ciałem do nich. Ale nie na Petera popatrzył. Wzrokiem szukał Petry.

- Czy mnie nie znasz? - zapytał jej.

Peter rozsądnie się nie wtrącał. Jego słowa spełniły swoje zadanie, teraz nadszedł czas, by Petra zrobiła to, po co ją tu sprowadził.

- Znam - powiedziała.

- Więc mu powiedz.

- Nie.

Alai siedział w urażonym milczeniu.

- Ponieważ nie wiem, czy głos, jaki słyszę w tym ogrodzie, należy do Alai, czy jest głosem ludzi, którzy umieścili go na tym stanowisku i teraz decydują, kto może, a kto nie może z nim rozmawiać.

- To głos kalifa - oświadczył Alai.

- Znam historię - odparła Petra. - I ty również. Kalifowie i sułtani rzadko kiedy byli kimś więcej niż świątobliwymi figurantami, jeśli tylko pozwalali swym sługom więzić się w zamkniętych murach. Wyjdź na świat, Alai, i sam zobacz, jak krwawe czyny dokonywane są w twoim imieniu.

Usłyszeli głośnie kroki, kiedy żołnierze wybiegli z kryjówek. W jednej chwili szorstkie dłonie pochwyciły Petrę i odciągnęły ją do tyłu. Peter nie uniósł nawet ręki, by interweniować. Patrzył na Alai, bezgłośnie żądając, by pokazał, kto w tym domu rządzi.

- Stać - powiedział Alai. Niezbyt głośno, ale wyraźnie.

- Żadnej kobiecie nie wolno się w taki sposób odzywać do kalifa! - zawołał człowiek stojący za Peterem.

Peter nie obejrzał się. Wystarczyło mu, że człowiek mówi we wspólnym, nie po arabsku, i że jego akcent zdradza oznaki doskonałej edukacji.

- Puśćcie ją - zwrócił się Alai wprost do żołnierzy, ignorując tego, który krzyczał.

Nie było śladu wahania. Żołnierze odstępili od Petry.

Natychmiast wróciła na miejsce obok Petera i usiadła. Peter usiadł także. Teraz byli tylko widzami.

Człowiek, który krzyczał, ubrany w powiewne szaty, zapewne szejek, podszedł do Alai.

- Wypowiedziała rozkaz dla kalifa. Wyzwanie! Trzeba wyciąć jej język z ust!

Alai siedział nieruchomo. Nie odpowiedział. Szejek zwrócił się do żołnierzy.

- Zabierzcie ją! - polecił. Żołnierze ruszyli z miejsc.

- Stać - powiedział Alai. Spokojnie, ale stanowczo. Żołnierze się zatrzymali. Wyglądali na zagubionych i zmieszanych.

- On nie wie, co mówi - odezwał się szejek do żołnierzy. - Bierzcie dziewczynę, a potem wszystko wyjaśnimy.

- Nie ruszajcie się, chyba że na mój rozkaz - powiedział Alai. Żołnierze się nie ruszyli. Szejek stanął przed Alai.

- Popelniasz błąd - stwierdził.

- Żołnierze kalifa są świadkami - rzekł Alai. - Grożono kalifowi. Próbowano odwołać rozkaz kalifa. Jest w tym ogrodzie człowiek, który uważa, że więcej ma władzy w islamie niż kalif. A zatem słowa tej niewiernej dziewczyny były prawdą. Kalif jest tylko świątobliwym figurantem, pozwalającym sługom więzić się w zamkniętych murach. Kalif jest więźniem, a inni rządzą islamem w jego imieniu.

Widać było, że szejek właśnie sobie uświadomił, iż kalif nie jest po prostu chłopcem, którym można manipulować.

- Nie idź dalej tą drogą - powiedział.

- Żołnierze kalifa są świadkami - oznajmił Alai - że ten człowiek wydał rozkaz kalifowi. Rzucił wyzwanie. Jednak w przeciwieństwie do tej dziewczyny, człowiek ten polecił uzbrojonym żołnierzom, w obecności kalifa, by okazali kalifowi nieposłuszeństwo. Kalif bez szkody może wysłuchać dowolnych słów, ale kiedy żołnierze dostają rozkaz, by nie być mu posłuszni, nie trzeba imama, by stwierdził, że mamy tu do czynienia ze zdradą i bluźnierstwem.

- Jeśli wystąpisz przeciwko mnie - ostrzegł szejek - wtedy inni...

- Żołnierze kalifa są świadkami - powiedział Alai - że ten człowiek jest członkiem spisku przeciwko kalifowi. Są też „inni”.

Jeden z żołnierzy podszedł i położył szejkowi dłoń na ramieniu.

On ją strząsnął.

Alai uśmiechnął się do żołnierza.

Żołnierz ponownie chwycił szejka za ramię, ale już nie tak delikatnie. Zbliżyli się inni. Jeden z nich chwycił szejka za drugą rękę.

- Widzieliśmy dzisiaj, jak pewien człowiek z mojej rady uważa, że jest panem kalifa. Zatem każdy żołnierz islamu, który szczerze pragnie służyć kalifowi, zatrzyma pod strażą wszystkich innych członków rady i dopilnuje, żeby milczeli, dopóki kalif nie postanowi, któremu z nich może zaufać, a którego zwolnić ze służby Bogu. Ruszajcie szybko,

przyjaciele, by ci, którzy podsłuchują tę rozmowę, nie mieli czasu na ucieczkę.

Szejk szarpnięciem uwolnił jedną rękę i po chwili trzymał w niej groźnie wyglądający nóż.

Alai ścisnął go mocno za przegub.

- Mój dawny przyjacielu - szepnął - wiem, że nie wzniosłeś broni przeciwko swemu kalifowi. Ale samobójstwo jest poważnym, strasznym grzechem. Nie mogę pozwolić, byś spotkał się z Bogiem, mając ręce zbrukane własną krwią.

Przekręcił dłoń i szejka jęknął z bólu. Nóż stuknął o kamienie.

- Żołnierze, zadbajcie o moje bezpieczeństwo - ciągnął Alai.

- Będę kontynuował rozmowę z ludźmi, którzy znaleźli się pod ochroną mojej gościnności.

Dwaj żołnierze odciągnęli więźnia, a pozostali wybiegli.

- Masz teraz pracę - zauważył Peter.

- Właśnie ją wykonałem - odparł Alai. Zwrócił się do Petry.

- Dziękuję ci, że zobaczyłaś, czego potrzebuję.

- Prowokacja przychodzi mi całkiem naturalnie - zapewniła.

- Mam nadzieję, że się przydaliśmy.

- Wszystko, co powiedzieliście, zostało wysłuchane. I zapewniam was, że o ile jest w mojej mocy, by kontrolować armie islamu, żołnierze będą postępować jak prawdziwi muzułmanie, nie jak barbarzyńscy zdobywcy. Jednak obawiam się, że rozlew krwi jest raczej prawdopodobny. Sądzę, że przez najbliższe mniej więcej pół godziny najbezpieczniejsi będziecie tutaj ze mną, w tym ogrodzie.

- Kant Zupa właśnie przejął Chiny - oświadczyła Petra.

- Tak słyszałem.

- I przyjął tytuł cesarza.

- Wracamy do dobrych starych czasów.

- Nowa dynastia w Pekinie staje teraz przeciwko odrodzonemu kalifatowi w Damaszku. To straszne, że członkowie jeeshu będą musieli wybierać, po czyjej stronie, i będą prowadzić wojny przeciwko sobie. Z pewnością nie do tego miała doprowadzić Szkoła Bojowa.

- Szkoła Bojowa? - powtórzył Alai. - Może i nas wyszukali, ale przecież byliśmy, kim byliśmy, zanim jeszcze wpadliśmy im w ręce. Czy sądzisz, że bez Szkoły Bojowej ja nie byłbym tu, gdzie jestem, ani Han Tzu tam, gdzie jest? Spójrz na Petera Wiggina... On nie był w Szkole Bojowej, a jednak został Hegemonem.

- To pusty tytuł - stwierdził Peter.

- Był taki, kiedy go otrzymałeś - odparł Alai. - Tak jak i mój tytuł jeszcze przed dwoma minutami. Ale kiedy siedzisz na tronie i nosisz koronę, niektórzy nie rozumieją, że to tylko zabawa, i zaczynają cię słuchać, jakbyś miał prawdziwą władzę. A wtedy rzeczywiście masz prawdziwą władzę. Neh?

- Eh - przyznała Petra. Peter uśmiechnął się.

- Nie jestem twoim wrogiem, Alai.

- Nie jesteś też moim przyjacielem. - Po chwili jednak Alai odpowiedział uśmiechem.

- Ważne jest raczej, czy okażesz się przyjacielem ludzkości. Albo czy ja się okażę. - Spojrzał na Petrę. - I tak wiele zależy od tego, co postanowi uczynić twój mąż, zanim umrze.

Petra z powagą kiwnęła głową.

- Wolałby nie robić nic, jedynie cieszyć się miesiącami, być może latami, jakie pozostały mu jeszcze ze mną i naszym dzieckiem.

- Z wolą Bożą może nic więcej nie będzie od niego wymagane. Wszedł żołnierz i zbliżył się, tupiąc po kamieniach.

- Sir, osiedle jest zabezpieczone. Nikt z rady nie uciekł.

- Szczęśliwy jestem, słysząc te słowa.

- Trzech doradców nie żyje, sir - dodał żołnierz. - Nie dało się nic na to poradzić.

- Jestem pewien, że taka jest prawda - uznał Alai. - Są teraz w rękach Boga. Pozostali jednak są w moich i muszę spróbować uczynić to, co Bóg kazałby mi uczynić. Synu, czy odwieziesz tych dwoje przyjaciół kalifa bezpiecznie do hotelu? Nasza rozmowa dobiegła końca i pragnę, by swobodnie opuścili Damazek, bez przeszkód i nierozpoznani. Nikt nie będzie wspominał o ich obecności dzisiaj w tym ogrodzie.

- Tak, kalifie - odparł żołnierz. Skłonił się, po czym zwrócił do Petry i Petera. - Czy pójdziecie ze mną, przyjaciele kalifa?

- Dziękuję ci - odpowiedziała Petra. - Kalif w tym domu pobłogosławiony jest wiernymi sługami.

Żołnierz nie zareagował na pochwałę.

- Tędy - rzucił Peterowi.

Kiedy szli za nim z powrotem do zaciemnionej furgonetki, Peter zastanawiał się, czy mógł podświadomie planować takie wydarzenia, jakie dziś miały miejsce, czy też po prostu sprzyjało mu szczęście.

A może zaplanowali to Petra z Alai, a Peter był tylko pionkiem w ich grze, naiwnie wierzącym, że sam podejmuje decyzje i realizuje własną strategię?

Czy też, jak wierzą muzułmanie, odgrywamy tylko scenariusz stworzony przez Boga?

Mało prawdopodobne. Dowolny Bóg wart wiary w niego wymyśliłby lepszy plan niż to bagno, w jakim znalazł się świat obecnie.

W dzieciństwie postanowiłem przyłożyć się do naprawy świata i przez jakiś czas mi się to udawało. Powstrzymałem wojnę dzięki słowom, jakie pisałem w sieci, kiedy ludzie nie wiedzieli, kim jestem. Teraz jednak dostałem pusty tytuł Hegemona. Wojny suną tam i z powrotem wśród zagonów Ziemi niczym kosa żniwiarza, ogromne populacje wrzą pod batami najeźdźców, a ja nie mam władzy, żeby cokolwiek zmienić.

4

Targ

From: PeterWiggin%private@hegemon.gov

To: SacredCause%OneMan@FreeThai.org

Subject: Działania Suriyawonga dotyczące Achillesa Flandresa

Drogi Ambulu,

przez cały okres infiltracji Achillesa Flandresa w Hegemonii Suriyawong działał jako mój agent wewnątrz rosnącej organizacji Flandresa. Realizując moje instrukcje, udawał wiernego sprzymierzeńca Flandresa i właśnie dlatego w kluczowym momencie, kiedy Julian Delphiki zmierzył się z potworem, Suriyawong i jego elitarny oddział wojskowy mogli działać dla dobra całej ludzkości – w tym Tajlandii – i umożliwili zniszczenie człowieka, który – bardziej niż ktokolwiek inny – był odpowiedzialny za klęskę i okupację Tajlandii.

To „oficjalna wersja”, jak zauważyłeś. Teraz chcę zauważyć, że

to jeden z tych przypadków, kiedy oficjalna wersja jest też absolutnie prawdziwa.

Podobnie jak ty, Suriyawong jest absolwentem Szkoły Bojowej. Nowy cesarz Chin i kalif islamu także nimi są. Ale oni należą też do tych wybranych, którzy należeli do słynnego jeeshu mojego brata Endera. Nawet jeśli pominąć rzeczywiste zdolności jako dowódców wojskowych, powszechna opinia traktuje ich umiejętności na poziomie magii. To wpływa na morale żołnierzy – i twoich, i ich.

Jak uda ci się bronić wolności Tajlandii, jeśli odepchniesz Suriyawonga? Nie stanowi zagrożenia dla twojego przywództwa, ale będzie bezcennym narzędziem w walce z przeciwnikami.

Pozdrawiam Peter, Hegemon

Groszek schylił się, by przejść przez drzwi. Nie był aż tak wysoki, by uderzyć się w głowę, ale zdarzało się to dostatecznie często w różnych innych drzwiach, że teraz był przesadnie ostrożny. Nie wiedział też, co robić z rękami. Wydawały się za wielkie dla dowolnej czynności, do jakiej mógłby ich użyć. Długopisy były niczym wykałaczki, palec wypełniał osłonę spustu w wielu pistoletach. Niedługo będzie pewnie musiał smarować palec masłem, żeby go wyjąć, jakby pistolet był za ciasnym pierścieniem.

Bolały go też stawy. Czasami miał uczucie, że głowa zaraz mu się rozpadnie, pęknie. Miękki punkt na czaszce nie rozszerzał się chyba dostatecznie szybko, by zrobić miejsce dla rosnącego mózgu.

Lekarze uwielbiali ten element. Mogli się przekonać, jaki wpływ ma rosnący mózg na funkcje psychiczne dorosłego osobnika. Czy zakłóca pamięć? Czy tylko zwiększa pojemność? Groszek poddawał się ich badaniom i pomiarom, skanom i pobieraniu krwi, ponieważ mógł przecież nie odnaleźć przed śmiercią wszystkich swoich dzieci, a wszystko, czego się nauczą, badając go, może w przyszłości im pomóc.

Ale w takich chwilach odczuwał tylko rozpacz. Nie było dla niego ratunku - i dla jego dzieci także. Nie odnajdzie ich. A jeśli nawet, nie zdoła im pomóc.

Co właściwie zmieniłem swoim życiem? Zabiłem jednego człowieka. Był potworem,

ale przynajmniej raz wcześniej mogłem go zabić i nie zrobiłem tego. Czy więc nie jestem współodpowiedzialny za wszystko, co zrobił przez te lata? Za śmierć tych ludzi, za cierpienia...

W tym cierpienia Petry, gdy była jego więźniem. W tym nasze cierpienia z powodu dzieci, które nam wykradł.

Peter wciąż prowadził poszukiwania, wykorzystując każdy kontakt, jaki mu przyszedł do głowy, każdą wyszukiwarkę w sieci, każdy program, jaki potrafił obmyślić w celu zmanipulowania publicznych rejestrów, by zidentyfikować narodziny jego dzieci, wszczepionych zastępczym matkom.

Ponieważ tego przynajmniej był pewien. Achilles i Volescu nigdy nie zamierzali oddać embrionów jemu i Petrze. Obietnica była tylko przynętą. Ktoś mniej okrutny od Achillesa mógł te embriony zabić - tak jak udawał, że to robi, kiedy rozbijał próbówki podczas ich ostatniej konfrontacji w Ribeirao Preto. Lecz Achillesowi samo zabijanie nie sprawiało przyjemności. Zabijał, kiedy uznał, że to konieczne. Kiedy naprawdę mu zależało na czymś cierpieniu, dbał, by trwało jak najdłużej.

Dzieci Groszka i Petry urodzą się z matek, których oboje nie znali, prawdopodobnie rozproszonych po całym świecie przez Volescu.

Achilles dobrze wykonał swoją pracę. Wszelkie ślady podróży Volescu zostały kompletnie wykasowane z publicznych rejestrów. A nie było w tym człowieku nic, co kazałoby go pamiętać. Mogliby pokazać jego fotografię milionowi pracowników linii lotniczych i następnemu milionowi taksówkarzy na całym świecie, a połowa z nich mogłaby sobie przypominać człowieka, który „wyglądał podobnie do tego”, żaden jednak nie byłby pewien. Szlaku Volescu nie dało się odtworzyć.

A kiedy Groszek spróbował odwołać się do ocalałych strzępów poczucia przyzwoitości Volescu - miał nadzieję, że istnieją - tamten zszedł do podziemia. I teraz Groszek mógł tylko liczyć na to, że jakaś służba w jakimś kraju odnajdzie go, aresztuje i zatrzyma tak długo, by Groszek...

Co? Torturował go? Groził? Czym może zmusić Volescu, żeby zdradził mu to, co chce wiedzieć?

A teraz Międzynarodowa Flota przysłała mu jakiegoś oficera, żeby przekazał „ważną informację”. Co oni mogą wiedzieć? MF nie miała prawa działać na powierzchni Ziemi. Nawet jeśli mieli tu agentów, którzy odkryli kryjówkę Volescu, dlaczego mieliby ryzykować ujawnienie własnych nielegalnych operacji tylko po to, żeby pomóc Groszkowi odszukać jego dzieci? Bardzo przekonywali, jacy są lojalni wobec absolwentów Szkoły Bojowej, a

zwłaszcza jeeshu Endera, ale wątpił, by posunęli się tak daleko. Zwykle proponowali pieniądze, lecz wszystkie dzieciaki ze Szkoły miały porządne emerytury. Mogli wrócić do domów jak Cincinnatus i przez resztę życia uprawiać ziemię, nie przejmując się nawet pogodą, porami siewów czy plonami. Mogliby hodować zielsko, a i tak dobrze by się im powodziło.

A ja zamiast tego pozwoliłem, by dzieci z moimi zdeformowanymi i samobójczymi genami zostały stworzone *in vitro*, a teraz Volescu implantował je w macicach nieznanych kobiet... Trzeba je odnaleźć, zanim tacy ludzie jak Volescu zaczną te dzieci zatrudniać, wykorzystywać i patrzeć, jak umierają od gigantyzmu przed ukończeniem dwudziestu lat.

Volescu wie. Nigdy nie pozostawiłby tego przypadkowi. Ponieważ wciąż uważa się za naukowca. Będzie chciał zbierać wszystkie dane o tych dzieciach. Dla niego to wielki eksperyment, tyle że dodatkowo utrudniony, bo nielegalny i dotyczy skradzionych embrionów. Dla Volescu te embriony prawnie należą do niego. Dla Volescu Groszek był tylko eksperymentem, który wyrwał się spod kontroli. Wszystko, co stworzył, stawało się elementem długoterminowych badań Volescu.

Starszy mężczyzna siedział przy stole w sali konferencyjnej. Groszek potrzebował chwili, by zdecydować, czy jego skóra jest naturalnie ciemna, czy też tak ogorzała, że nabrała koloru i faktury starego drewna. Pewnie jedno i drugie.

Znam go, pomyślał Groszek. To Mazer Rackham. Człowiek, który ocalił ludzkość podczas Drugiej Inwazji Robali. Który powinien umrzeć wiele dziesiątków lat temu, ale pojawił się na czas dostatecznie długi, by osobiście wyszkolić Endera przed ostatnią kampanią.

- Ciebie posłali na Ziemię?

- Jestem w stanie spoczynku - wyjaśnił Rackham.

- Ja też - odparł Groszek. - I Ender również. Kiedy on przyleci na Ziemię?

Rackham pokręcił głową.

- Za późno, żeby cierpieć z tego powodu. Gdyby Ender tu trafił, myślisz, że miałby jakąkolwiek szansę, by pozostać równocześnie żywy i wolny?

Rackham miał rację. Kiedy Achilles zorganizował porwania wszystkich członków jeeshu Endera, najcenniejszym trofeum byłby sam Ender. I gdyby nawet udało mu się uniknąć schwytania - tak jak udało się Groszkowi - ile czasu by minęło, nim ktoś inny spróbowałby go wykorzystać, by zrealizować jakieś imperialne ambicje? Z Enderem, który był przecież Amerykaninem, być może Stany Zjednoczone otrząsnęłyby się z apatii i teraz, zamiast gry toczonej przez Chiny i świat islamu, Ameryka znowu prężyłaby mięśnie i na Ziemi

zapanowałby prawdziwy chaos.

Ender by tego nienawidził. I nienawidził siebie za to, że w tym uczestniczy. Naprawdę lepiej dla wszystkich, że Graffowi udało się wysłać go z pierwszym statkiem kolonizacyjnym na była planetę robali. W tej chwili każda sekunda życia Endera na pokładzie statku dla Groszka była tygodniem. Gdy Ender czytał jeden akapit w książce, na Ziemi rodziło się milion dzieci, milion starców, żołnierzy, chorych, pieszych i kierowców traciło życie, a ludzkość posuwała się naprzód o kolejny niewielki krok w swej ewolucji w rasę podróżującą wśród gwiazd.

Rasa kosmiczna. Taki był program Graffa. - Zatem nie reprezentujesz tu floty - stwierdził Groszek. -Reprezentujesz pułkownika Graffa.

- Ministra kolonizacji? - Rackham z powagą kiwnął głową. - Nieformalnie i nieoficjalnie, ale tak. Mam cię poinformować o ofercie.

- Graff nie ma niczego, na czym by mi zależało. Zanim dowolny statek zdoła dotrzeć do kolonizowanego świata, będę martwy.

- Niewątpliwie byłbyś... interesującym kandydatem na przywódcę kolonii. Ale jak sam zauważyłeś, twoja kadencja byłaby zbyt krótka, by przynieść pożądane efekty. Nie, to całkiem inna oferta.

- Jedyne, czego chcę, nie macie.

- Dawno temu, o ile pamiętam, nie chciałeś nic, tylko przeżyć.

- I nie jest w waszej mocy, by oferować mi coś takiego.

- Owszem, jest - zapewnił Rackham.

- Ach, zatem z potężnych laboratoriów badawczych Międzynarodowej Floty wyszło lekarstwo na schorzenie, na które cierpi tylko jedna osoba na Ziemi?

- Niestety, nie. Lekarstwo musi stworzyć ktoś inny. To, co chcemy ci zaproponować, to możliwość doczekania, aż będzie gotowe. Oferujemy statek, prędkość światła i ansibl, żeby można cię zawiadomić, kiedy masz wracać.

Właśnie taki „dar” ofiarowali samemu Rackhamowi, gdy sądzili, że będzie potrzebny, żeby dowodzić wszystkimi flotyllami, kiedy dotrą do rozmaitych światów robali. Szansa przetrwania rozbrzmiewała w umyśle Groszka jak bicie wielkiego dzwonu. Nic nie mógł na to poradzić. Jeśli cokolwiek pobudzało go do aktywności, to właśnie głód przetrwania. Ale jak może im zaufać?

- A czego ode mnie chcecie w zamian?

- Czy nie może to być część twojego pakietu emerytalnego? Rackham potrafił zachowywać nieruchomą twarz, ale Groszek wiedział, że nie może mówić poważnie.

- Kiedy wrócę, będzie tu czekał jakiś biedny młody żołnierz, którego będę miał szkolić?

- Nie jesteś nauczycielem - zauważył Rackham.

- Ty też nie byłeś. Rackham wzruszył ramionami.

- Robimy to, co niezbędne. Oferujemy ci życie. Nadal będziemy finansować badania nad twoim schorzeniem.

- Niby jak? Wykorzystując moje dzieci jako świnki morskie?

- Spróbujemy je odszukać, oczywiście. Spróbujemy je wyleczyć.

- Ale nie dostaną własnych statków kosmicznych?

- Groszku... - Rackham westchnął. - Ile bilionów dolarów, twoim zdaniem, warte są twoje geny?

- Dla mnie - rzekł Groszek - warte są więcej niż wszystkie pieniądze świata.

- Nie sądzę, żebyś zdołał spłacić choćby oprocentowanie od tej pożyczki.

- Czyli nie mam tak wysokiej zdolności kredytowej, jak sądziłem.

- Groszku, potraktuj naszą ofertę poważnie. Dopóki masz jeszcze czas. Akceleracja mocno obciąża serce. Musisz odlecieć, póki jesteś dostatecznie zdrowy, by przeżyć tę podróż. I tak pozostaje ci dość wąski margines, nie sądzisz? Parę lat przyspieszania, a na końcu dodatkowe parę hamowania. Kto ci daje cztery lata?

- Nikt - przyznał Groszek. - I zapominasz, że muszę wrócić do domu. To dodatkowe cztery lata. Czyli już jest o wiele za późno.

Rackham się uśmiechnął.

- Sądzisz, że nie wzięliśmy tego pod uwagę?

- A co, wymyśliliście, jak zakręcać z prędkością światła?

- Nawet światło się zakrzywia.

- Światło jest falą.

- Jak i ty, jeśli lecisz tak szybko.

- Żaden z nas nie jest fizykiem.

- Ale są nimi ludzie, którzy zaprojektowali nową generację statków kurierskich.

- Jak MF może sobie pozwolić na budowę nowych statków? - zdziwił się Groszek. - Wasze fundusze pochodzą z Ziemi, a zagrożenie minęło. Narody Ziemi płacą wam pensje i dostarczają zaopatrzenie tylko po to, żeby kupić sobie waszą neutralność.

Rackham uśmiechnął się bez słowa.

- Ktoś wam płaci za projektowanie nowych statków - odgadł Groszek.

- Spekulacje są bezcelowe.

- Jest tylko jeden kraj, który byłoby na to stać, ale to jedyny kraj, który nigdy nie zdołałby utrzymać tego w tajemnicy.

- Czyli to niemożliwe - zgodził się Rackham.

- A jednak obiecujesz mi statek, który nie może istnieć.

- Przetrawasz akcelerację w kompensacyjnym polu grawitacyjnym, żeby nie obciążać dodatkowo serca. To pozwoli nam osiągnąć prędkość docelową w tydzień zamiast dwóch lat.

- A jeśli grawitacja zawiedzie?

- To w jednej chwili rozpadniesz się w pył. Ale nie zawiedzie. Testowaliśmy ją.

- Czyli kurierzy mogą przelatywać między planetami, nie tracąc więcej niż kilka tygodni życia?

- Swojego życia - poprawił go Rackham. - Ale kiedy wyślemy kogoś w taką podróż, na trzydzieści czy pięćdziesiąt lat świetlnych, wszyscy, których znał, umrą, zanim powróci. Nie mamy wielu ochotników.

Wszyscy, których znał... Jeśli wsiądzie na statek, zostawi Petrę i już nigdy jej nie zobaczy.

Czy jest w dostatecznym stopniu bez serca?

Nie, wcale nie. Wciąż odczuwał ból po stracie siostry Carlotty, która uratowała go na ulicach Rotterdamu i opiekowała się nim przez pięć lat, zanim Achilles ją zamordował.

- Czy mogę zabrać ze sobą Petrę?

- Zechce lecieć?

- Nie bez naszych dzieci.

- Więc sugeruję, żebyś nadal prowadził poszukiwania - rzekł Rackham. - Bo chociaż nowe techniki dają ci trochę więcej czasu, to przecież nie wieczność. Twoje ciało narzuca ostateczny termin, którego nie zdołamy już przesunąć.

- I pozwolicie mi wziąć Petrę, jeśli znajdziemy nasze dzieci?

- O ile zechce.

- Zechce - zapewnił Groszek. - Nic nas nie trzyma na tym świecie. Oprócz dzieci.

- W twojej wyobraźni już są dziećmi?

Groszek uśmiechnął się tylko. Wiedział, że mówi jak katolik, ale tak właśnie to odczuwał. I Petra również.

- Prosimy tylko o jedno - powiedział Rackham. Groszek roześmiał się głośno.

- Wiedziałem.

- Dopóki i tak tutaj siedzisz, szukając dzieci... Chcielibyśmy, żebyś pomógł Peterowi zjednoczyć świat pod władzą Hegemona.

Groszek był tak zdumiony, że przestał się śmiać.

- A zatem flota zamierza wtrącać się w sprawy na powierzchni?

- My się nie wtrącamy - odparł Rackham. - Tylko ty.

- Peter mnie nie słucha. Gdyby słuchał, pozwoliliby mi zabić Achillesa jeszcze w Chinach, kiedy mieliśmy okazję. A on postanowił wtedy go „ratować”.

- Może nauczył się czegoś z tego błędu.

- Myśli, że się nauczył. Ale Peter to Peter. Tu nie chodzi o błąd, lecz o to, jaki naprawdę jest. Nie potrafi słuchać nikogo, jeśli uważa, że ma lepszy plan. A zawsze uważa, że ma lepszy plan.

- Mimo to.

- Nie mogę pomóc Peterowi, bo Peter nie pozwala sobie pomagać.

- Zabrał Petrę na spotkanie z Alai.

- Jego ściśle tajne spotkanie, o którym MF w żaden sposób nie może wiedzieć...

- Mamy oko na naszych wychowanków.

- Czy tak płacicie za nowe modele statków? Z darowizn wychowanków?

- Nasi najlepsi absolwenci są jeszcze zbyt młodzi, żeby naprawdę dużo zarabiać.

- No, nie wiem. Macie dwóch przywódców państw.

- Czy nie zainteresowało cię nigdy, Groszku, jak potoczyłaby się historia świata, gdyby w jednym czasie żyło dwóch Aleksandrów Wielkich?

- Alai i Kant Zupa? W końcu zdecydowałoby to, który ma większe zasoby. W tej chwili większe ma Alai, ale Chiny wciąż pozostają mocarstwem.

- A potem do tych dwóch Aleksandrów dodajesz tu i tam Joannę d'Arc, może paru Juliuszów Cezarów, może jakiegoś Attyle i...

- Widzicie Petrę jako Joannę d'Arc? - zdziwił się Groszek.

- Mogłaby nią być.

- A kim ja jestem?

- Jak to? Dżyngis-chanem, oczywiście, jeśli tak postanowisz.

- Miał fatalną reputację.

- Nie zasługiwał na nią. Współcześni mu wiedzieli, że jest człowiekiem o wielkiej władzy, który korzysta z niej delikatnie wobec tych, którzy są mu posłuszni.

- Nie chcę władzy. Nie jestem Dżyngisem.

- Nie - zgodził się Rackham. - I na tym polega kłopot. Wszystko zależy od tego, kogo dręczy choroba ambicji. Graff przyjął cię do Szkoły Bojowej dlatego, że twoja wola przetrwania wydawała się spełniać te same funkcje co ambicja. Ale teraz to się zmieniło.

- Peter jest waszym Dzyngisem - stwierdził Groszek. - Dlatego chcecie, żebym mu pomagał.

- Możliwe - przyznał Rackham. - A ty jesteś jedynym, który może mu pomóc. Wobec każdego innego czułby się zagrożony. Ale ty...

- Ponieważ i tak niedługo umrę?

- Albo odleczisz. Tak czy inaczej może cię wykorzystać, jak chce, a potem nie będziesz mu sprawiał kłopotów.

- To nie jest to, czego on chce. To jest to, czego wy chcecie. Jestem jak książka w bibliotece. Wypożyczacie mnie na jakiś czas Peterowi, on mnie zwraca, a wtedy wy posyłacie mnie w następną pogoń za tym czy innym marzeniem. Ty i Graff wciąż wierzycie, że odpowiadacie za rodzaj ludzki, prawda?

Rackham spojrzał w przestrzeń.

- To obowiązek, z którego trudno zrezygnować, kiedy człowiek już raz się go podejmie. Któregoś dnia, tam w przestrzeni, dostrzegłem coś, czego nie zauważył nikt inny, wystrzeliłem pocisk, zabiłem królową kopca i wygraliśmy tę wojnę. Od tego czasu spoczywa na mnie odpowiedzialność za ludzkość.

- Nawet jeśli nie jesteś już najlepiej wykwalifikowany, by jej przewodzić?

- Nie powiedziałem, że jestem przywódcą, tylko że jestem za nią odpowiedzialny. Odpowiadam za to, by uczynić wszystko, co konieczne. Wszystko, co mogę. A mogę tyle, że mogę próbować przekonać najznakomitszy umysł militarny na Ziemi, by pomógł zjednoczyć wszystkie narody pod władzą jedyne go człowieka, który ma wolę i rozum, by utrzymać je razem.

- Za jaką cenę? Peter nie jest fanem demokracji.

- Nie prosimy o demokrację. Nie od początku. Nie, dopóki nie zostanie złamana siła państw. Trzeba ujarzmić konia, zanim popuści mu się cugli.

- A twierdzisz, że jesteś sługą ludzkości. Tymczasem chcesz ludzkości założyć siodło i uzdę, i pozwolić Peterowi jej dosiadać.

- Tak - przyznał Rackham. - Ponieważ ludzkość nie jest koniem. Ludzkość to prawdziwa wylęgarnia ambicji, konfliktów terytorialnych, państw stających do walki. A jeśli państwa się rozpadną, to mamy plemiona, klany, domostwa. Byliśmy hodowani do wojny, tkwi w naszych genach, a jedyną metodą powstrzymania rozlewu krwi jest dać jednemu człowiekowi siłę niezbędną dla zdominowania innych. Możemy tylko mieć nadzieję, że to będzie raczej przyzwoity człowiek, że pokój będzie lepszy niż wojna i że potrwa dłużej.

- I uważacie, że Peter jest tym człowiekiem?

- Ma ambicję, której brakuje tobie.

- A cechy ludzkie? Rackham pokręcił głową.

- Do tej pory powinieneś już wiedzieć, jak bardzo jesteś ludzki. Ale Groszek nie chciał podążać tą drogą.

- Dlaczego ty i Graff nie zostawicie rodzaju ludzkiego w spokoju? Niech sobie buduje imperia, żeby je potem burzyć.

- Ponieważ królowe kopca nie są jedynymi obcymi w kosmosie. Groszek wyprostował się nagle.

- Nie, nie widzieliśmy żadnych i nie mamy dowodów - ciągnął Rackham. - Ale zastanów się. Dopóki ludzie wydają się wyjątkowi, możemy przeżywać swoją zbiorową historię tak, jak zawsze to robiliśmy. Lecz teraz już wiemy, że jest możliwe, by inteligencja wyewoluowała dwukrotnie, na całkiem różnych światach. Jeśli dwa razy, to czemu nie trzy? Cztery? W naszym zakątku Galaktyki nie ma niczego szczególnego. Królowe kopców żyły zadziwiająco blisko nas. W samej Galaktyce mogą istnieć tysiące inteligentnych gatunków. I nie wszystkie takie przyjazne jak my.

- Więc nas rozpraszacie.

- Tak daleko i szeroko, jak tylko zdołamy. Siejemy nasze ziarno w każdą możliwą glebę.

- I po to wam potrzebna zjednoczona Ziemia.

- Chcemy, żeby Ziemia przestała marnować swoje rezerwy na wojny, a zużyła je na kolonizację jednego świata po drugim, potem na handel między nimi, tak żeby cały gatunek mógł korzystać z tego, czego każda kolonia się nauczy, co osiągnie i czym się stanie. To podstawa ekonomii. I historii. I ewolucji. I nauki. Rozproszyc się. Zmieniać. Odkrywać. Publikować. Badać.

- Tak, tak, już rozumiem - wpadł mu w słowo Groszek. - Jakie to szlachetne z waszej strony. A kto teraz za to wszystko płaci?

- Groszku, nie spodziewasz się chyba, że ci powiem, a ja się nie spodziewam, żebyś musiał pytać.

Groszek wiedział: Ameryka. Wielka, senna, leniwa Ameryka. Już w XXI wieku zrezygnowała z prób bycia policjantem całego świata, zniechęcona, gdyż takimi działaniami budziła nienawiść lub niechęć. Ogłosiła więc zwycięstwo i wróciła do siebie. Amerykanie zachowali najpotężniejszą armię na świecie i zatrzasnęli drzwi imigracji.

A kiedy nadeszły robale, właśnie amerykańska potęga wojskowa pokonała wreszcie te pierwsze zwiadowcze statki, które wypaliły powierzchnię najlepszych rolniczych terenów w

Chinach i zabiły miliony. To Ameryka w pierwszym rządzie finansowała i nadzorowała budowę międzyplanetarnych okrętów, które opierały się Drugiej Inwazji dostatecznie długo, by Nowozelandczyk Mazer Rackham dostrzegł słaby punkt królowej kopca i zniszczył przeciwnika.

I to Ameryka w tajemnicy finansowała teraz MF, konstruując nowe statki. Brała się do interesów w handlu międzyplanetarnym w chwili, kiedy żaden inny kraj na Ziemi nie mógł nawet próbować z nią konkurować.

- A jak z ich interesami się komponuje to, że świat się zjednoczy? Chyba że pod ich przywództwem...

Rackham się uśmiechnął.

- Teraz widzisz, jak złożoną grę musimy prowadzić. Groszek odpowiedział uśmiechem. A więc Graff sprzedał swój program kolonizacyjny Amerykanom - zapewne za możliwą przyszłą wymianę handlową i prawdopodobny monopol Ameryki. A tymczasem wspierał Petera w nadziei, że zdoła zjednoczyć świat pod jednym rządem. Co w końcu musi oznaczać próbę sił między Ameryką i Hegemonem.

- A kiedy przyjdzie ten dzień - powiedział - kiedy Ameryka zechce, by MF, za którą płaciła i dla której prowadziła badania, wspomogła ją przeciwko potężnemu Hegemonowi, co robi wtedy MF?

- A co zrobił Suriyawong, kiedy Achilles rozkazał mu cię zabić?

- Dał mu nóż i kazał się bronić. - Groszek pokiwał głową. - Ale czy MF cię posłucha? Jeśli liczysz na reputację Mazera Rackhama, pamiętaj: mało kto zdaje sobie sprawę, że jeszcze żyjesz.

- Liczę na to, że MF postąpi według kodeksu honorowego, który każdemu z żołnierzy wbija się w głowę od samego początku. Żadnych ingerencji w sprawy na Ziemi.

- Nawet kiedy ty sam łamiesz ten kodeks?

- My nie ingerujemy - zapewnił Mazer Rackham. - Nie ma żadnych żołnierzy ani okrętów. Tylko drobne informacje tu i tam. Trochę pieniędzy. Małeńka, niewinna rekrutacja. Pomóż nam, Groszku. Dopóki jesteś jeszcze na Ziemi. Kiedy tylko będziesz gotów do odlotu, wyślemy cię bez żadnej zwłoki. Ale póki tu jesteś...

- A jeżeli nie wierzę, że Peter jest takim porządnym człowiekiem, za jakiego go uważacie?

- Jest lepszy od Achillesa.

- August też był - zauważył Groszek. - A jednak zbudował podstawy panowania Nerona i Kaliguli.

- Zbudował podstawy, które przetrwały Nerona i Kaligulę, które w tej czy innej formie funkcjonowały przez półtora tysiąca lat.

- I myślisz, że taki będzie Peter?

- Tak myślimy - potwierdził Rackham. - Ja tak myślę.

- Dopóki nie zapomnicie, że Peter nie robi nic z tego, co powiem, nie zechce słuchać mnie ani nikogo, i dalej będzie popełniał głupie błędy, którym nie potrafię zapobiec... Dobrze, pomogę mu tak, jak pozwoli sobie pomóc.

- Tylko o to prosimy.

- Ale nadal moim głównym priorytetem pozostaje odnalezienie naszych dzieci.

- Co powiesz na to, że zdradzimy ci, gdzie jest Volescu?

- Wiecie?

- Przebywa w jednej z naszych kryjówek.

- Przyjął ochronę MF?

- Sądzi, że to część dawnej siatki Achillesa.

- A jest tak?

- Ktoś musiał przejąć jego aktywa.

- Ktoś mógł to zrobić, tylko jeśli wiedział, gdzie te aktywa znajdzie.

- Jak myślisz, kto utrzymuje wszystkie satelity komunikacyjne?

- Czyli MF szpieguje Ziemię? - spytał Groszek.

- Tak jak matka szpieguje swoje dzieci, kiedy bawią się na podwórku.

- Dobrze wiedzieć, że nas pilnujesz, mamusiu. Rackham pochylił się ku Groszkowi.

- Tworzymy plany, ale wiemy, że mogą się nie powieść. W ostatecznym rachunku wszystko sprowadza się do jednego: widzieliśmy w ludziach to, co najlepsze, i uważamy, że warto zachować nasz gatunek.

- Nawet jeśli potrzebna wam do tego pomoc takich niełudzi jak ja?

- Groszku, kiedy mówiłem o ludziach, u których widzieliśmy to, co najlepsze, to jak ci się zdaje, o kogo mi chodziło?

- O Endera Wiggina.

- I Juliana Delphiki. Innego małego chłopca, któremu powierzyliśmy ratowanie świata.

Groszek pokręcił głową i wstał.

- Już nie jestem taki mały. I umieram. Ale przyjmę twoją ofertę, ponieważ daje nadzieję dla mojej małej rodziny. I poza nią nie mam już żadnej nadziei. Powiedz, gdzie jest Volescu, a wybiorę się na spotkanie z nim.

- Sam musisz go schwytąć - uprzedził Rackham. - Nie możemy w to mieszać agentów MF.

- Podaj mi adres, ja załatwię resztę.

Wychodząc, Groszek znowu pochylił głowę. Drżał cały, kiedy szedł przez park w stronę swojego gabinetu w osiedlu Hegemonii. Wielkie armie szykowały się do starcia w walce o supremację. A gdzieś z boku, nawet nie na powierzchni Ziemi, garstka ludzi zamierzała wykorzystać te armie dla własnych celów.

Byli jak Archimedes, skłonny poruszyć Ziemię, jeśli tylko znajdzie dostatecznie długą dźwignię.

Ja jestem tą dźwignią.

I nie jestem taki wielki, jak myślą. Nie tak wielki, jak wyglądam. Nie da się tego zrobić.

Ale może warto się tym zająć.

Dlatego pozwolę im użyć siebie, żeby zepchnąć ten świat z odwiecznej ścieżki współzawodnictwa i wojny.

A ja wykorzystam ich, żeby spróbować ocalić własne życie i życie moich dzieci, które cierpią na tę samą chorobę co ja.

Szansa, że oba te projekty się udadzą, jest tak znikoma, że większe byłoby prawdopodobieństwo wcześniejszego trafienia Ziemi przez katastrofalnie wielki meteor.

Z drugiej strony pewnie mają już plan działań w przypadku uderzenia meteoru. Prawdopodobnie mają plany na wszystkie okazje. Nawet plan, do którego mogą się odwołać, jeśli... kiedy zawiodę.

5

Sziwa

From: Figurehead%Parent@hegemon.gov

To: PeterWiggin%Private@hegemon.gov

Password: *****

Subject: Jako matka

Po tylu latach grania Madonny w twojej małej Piecie przyszło mi do głowy, że mogę szepnąć coś do twojego och jak zajętego uszka.

Od czasu tego drobnego kidnaperskiego przedsięwzięcia Achillesa w arsenale każdego kraju nie całkiem tajną bronią był taki zespół absolwentów Szkoły Bojowej, jaki potrafili zebrać, utrzymać i wykorzystać. Teraz jest jeszcze gorzej. Alai stał się kalifem w rzeczywistości, nie tylko z nazwy. Han Tzu jest cesarzem Chin. A Virilomi... boginią? Takie wieści dochodzą z Indii.

I teraz będą prowadzić wojnę ze sobą nawzajem.

A co TY robisz? Obstawiasz, kto wygra, i wybierasz, po której stronie stanąć?

Całkiem niezależnie od faktu, że wiele z tych dzieciaków było przyjaciółmi Endera i jego kolegami-żołnierzami, cała ludzkość zawdzięcza im przetrwanie. Odebraliśmy im dzieciństwo. Kiedy zyskają życie, które będą mogli nazwać własnym?

Peter, znam historię. Tacy ludzie jak Dżyngis i Aleksander byli pozbawieni normalnego dzieciństwa i całkowicie skupieni na wojnie. I wiesz co? To ich okaleczyło. Byli nieszczęśliwi każdego dnia swego życia. Aleksander nie wiedział, kim jest, gdy nie podbijał innych ludów. Kiedy przestał maszerować naprzód, wyrzynając wszystkich po drodze – umarł.

Więc może dać tym dzieciom wolność? Myślałeś o tym? Porozmawiaj z Graffem. Ciebie wysłucha. Zaoferuj tym dzieciom wyjście. Szansę. Życie.

Jeśli już nie z innej przyczyny, to dlatego że byli przyjaciółmi Andrew. Nie wybrali sobie Szkoły Bojowej.

Ty z kolei nie trafiłeś do Szkoły Bojowej. Zgłosiłeś się jako ochotnik do ratowania świata. Dlatego musisz tu zostać i załatwić tę sprawę.

Twoja kochająca i zawsze cię wspierająca matka

Na ekranie pojawiła się kobieta. Miała na sobie prosty, ubrudzony od pracy strój hinduskiej wieśniaczki, ale zachowywała się jak dama z najwyższej kasty - koncepcja, która wciąż miała znaczenie, mimo że wszelkie zewnętrzne oznaki kast zostały dawno zakazane.

Peter nie znał jej. Ale Petra znała.

- To Virłomi.

- Przez cały czas ani razu nie pokazała twarzy - zauważył Groszek. - Aż do teraz.

- Zastanawiam się, ile tysięcy ludzi w Indiach zna już jej twarz.

- Posłuchajmy - zaproponował Peter.

Wcisnął myszką przycisk PLAY.

- Nikt nie jest wierny Bogu, kto nie ma wyboru. Dlatego hinduiści są prawdziwie wierni, ponieważ mogą postanowić, że nie będą już hinduistami, i nie spotka ich za to żadna krzywda. I dlatego na świecie nie ma prawdziwych muzułmanów. Jeśli muzułmanin spróbuje zostać hinduistą, chrześcijaninem, a nawet zwykłym niewierzącym, jakiś fanatyczny muzułmanin go zabije.

Na ekranie błysnęły fotografie ciał bez głów. Znane obrazy, ale wciąż potężnie działające propagandowo.

- Islam jest religią, która nie ma wiernych - mówiła. - Tylko ludzi, którzy zmuszeni są nazywać siebie muzułmanami i z lęku przed śmiercią żyć jak muzułmanie.

Typowe obrazy tłumów muzułmanów bijących pokłony w modlitwie. Z tych samych zdjęć korzystano często, by zademonstrować pobożność islamskiej populacji. Teraz jednak, opatrzone komentarzem Virłomi, wydawały się ujęciami marionetek działających zgodnie ze strachu.

Ekran znowu ukazał jej twarz.

- Kalifie Alai! Powitaliśmy twoje wojska jak wyzwolicieli. Dokonywaliśmy sabotażu, szpiegowaliśmy, blokowaliśmy chińskie linie zaopatrzenia, by pomóc ci w zwycięstwie nad wrogiem. Ale twoi podwładni wierzą chyba, że podbili Indie, a nie wyzwolili nas z niewoli. Nie zdołasz podbić Indii. Nigdy nie pokonasz Indii.

Pojawiło się nowe nagranie - obszarpani hinduscy wieśniacy niosący nowoczesną chińską broń, maszerujący jak staroświeccy żołnierze.

- Nie potrzebujemy tu fałszywych żołnierzy islamu. Nie potrzebujemy fałszywych nauczycieli islamu. Nie pogodzimy się z obecnością muzułmanów na indyjskiej ziemi, dopóki islam nie stanie się prawdziwą religią i nie pozwoli ludziom na wolny wybór, by móc przestać być muzułmaninem bez żadnej kary.

I znowu twarz Virłomi.

- Czy myślicie, że wielkie armie mogą podbić Indie? A zatem nie znacie prawdziwej potęgi Boga, gdyż Bóg zawsze pomaga tym, którzy bronią swej ojczyzny. Każdy muzułmanin, którego zabijemy na indyjskiej ziemi, trafi prosto do piekła, ponieważ nie służył

Bogu, ale szejtanowi. Każdy imam, który głosi co innego, jest kłamcą i także szejtanem. Jeśli go słuchacie, będziecie potępieni. Bądźcie więc prawdziwymi wyznawcami islamu, wracajcie do domów, do waszych rodzin, żyjcie w pokoju z waszymi bliskimi, na waszej własnej ziemi.

Wypowiadając te wyroki i groźby, twarz miała spokojną i pełną słodyczy. Teraz się uśmiechnęła. Peter uznał, że musiała całymi godzinami, całymi dniami ćwiczyć ten uśmiech przed lustrem, ponieważ wyglądała zupełnie jak bogini, chociaż przecież nigdy nie widział bogini i nie wiedział, jak powinna wyglądać. Promieniała. Czy to tylko złudzenie optyczne?

- Błogosławię Indie. Błogosławię Wielki Mur Indii. Błogosławię żołnierzy, którzy walczą o Indie. Błogosławię rolników, którzy żywią Indie. Błogosławię kobiety, które wydają Indie na świat, które wychowują Indie do dojrzałości. Błogosławię wielkie mocarstwa Ziemi, które jednoczą się, by pomóc nam odzyskać utraconą wolność. Błogosławię Hindusów z Pakistanu, którzy przyjęli islam, fałszywą religię. Uczynicie islam religią prawdziwą, wracając do domów i pozwalając nam nie być muzułmanami. Wtedy będziemy żyć z wami w pokoju i Bóg was pobłogosławi. Lecz moje największe błogosławieństwo, przewyższające wszelkie inne, przeznaczam dla kalifa Alai. Niech twe szlachetne serce wykaże, że jestem w błędzie. Spraw, aby islam stał się prawdziwą religią, dając wolność wszystkim jego wyznawcom. Tylko kiedy muzułmanie będą mogli przestać być muzułmanami, pojawią się na Ziemi prawdziwi muzułmanie. Daj swoim ludziom wolność czczenia Boga, by nie byli już więźniami strachu i nienawiści. Jeśli nie będziesz zdobywcą Indii, będziesz ich przyjacielem. Ale jeśli zamierzasz być zdobywcą Indii, uczynisz siebie niczym w oczach Boga.

Wielkie łzy potoczyły się jej z oczu po policzkach. Wszystko to było filmowane w jednym ujęciu, a więc łzy były prawdziwe. Co za aktorka, pomyślał Peter.

- Och, kalifie Alai, pragnę objąć cię jak brata i przyjaciela. Dlaczego twoi ludzie prowadzą ze mną wojnę?

Wykonała oburącz serię dziwnych gestów, a potem przeciągnęła po czole grzbiety trzech palców.

- Jestem Matką Indiami - powiedziała. - Walczcie za mnie, moje dzieci.

Jej wizerunek pozostał nieruchomy na ekranie.

Peter spojrzał na Groszka, na Petrę i znowu na Groszka.

- Moje pytanie jest całkiem proste. Czy ona zwariowała? Naprawdę wierzy, że jest boginią? I czy to podziiała?

- O co chodziło na samym końcu, z tymi palcami na czole? - zainteresował się Groszek.

- Wykreśliła sobie na czole znak Sziwy Niszczyciela - wyjaśnił Peter. - To wezwanie

do wojny. - Westchnął. - Zostaną zniszczeni.

- Kto? - spytała Petra.

- Jej stronnicy.

- Alai na to nie pozwoli - uznał Groszek.

- Jeśli spróbuje to powstrzymać, przegra - stwierdził Peter. - Może ona tego właśnie chce.

- Nie - sprzeciwiła się Petra. - Nie rozumiecie? Islamska okupacja Indii jest całkowicie uzależniona od zaopatrzenia ich wojsk w indyjskie płody rolne i z indyjskich podatków. Ale Sziwa dotrze do nich pierwszy. Raczej zniszczą własne plony, niż pozwolą je zabrać muzułmanom.

- Wtedy umrą z głodu - zauważył Peter.

- I przyjmą w siebie wiele kul - dodała Petra. - A bezgłowe ciała Hindusów pokryją ziemię. Ale potem zabraknie kul i muzułmanie odkryją, że nie mogą dostać następnych, ponieważ drogi są zablokowane. I w miejsce każdego zamordowanego Hindusa stanie dziesięciu nowych, gotowych zabijać ich gołymi rękami. Virlomi dobrze zna swój kraj. Swój lud.

- I wszystko to rozumiałaś, ponieważ przez kilka miesięcy byłaś więźniem w Indiach? - zadrwił Peter.

- Indie nigdy nie były prowadzone na wojnę przez boga - odparła Petra. - Indie nigdy nie ruszały na wojnę w absolutnej jedności.

- Wojnę partyzancką...

- Sam zobaczysz. Virlomi wie, co robi.

- Nie należała nawet do jeeshu Endera - przypomniał Peter. - Alai należał. Czyli powinien być mądrzejszy, tak?

Petra i Groszek spojrzeli po sobie.

- Peter, tu nie chodzi o umysł - wyjaśnił Groszek. - Chodzi o rozgrywanie karty, jaką dostałeś.

- Virlomi ma lepszą kartę - dodała Petra.

- Jakoś tego nie widzę - mruknął Peter. - Co przeoczyłem?

- Han Tzu nie będzie siedział spokojnie i patrzył, jak armie islamu starają się pokonać Indie. Ich linie zaopatrzenia biegną albo przez rozległe azjatyckie pustynie, albo przez Indie, albo morzem z Indonezji. Jeśli indyjskie zostaną odcięte, jak długo Alai zdoła utrzymać swoje wojska w dostatecznej liczbie, by powstrzymać Han Tzu?

Peter pokiwał głową.

- Czyli uważacie, że Alai skończy się żywność i kule, zanim Virlomi skończą się Hindusi?

- Myślę - oświadczył Groszek - że to, co właśnie obejrzelśmy, było ofertą małżeńską. Peter wybuchnął śmiechem. Ale Petra i Groszek się nie śmiali...

- O czym ty mówisz?

- Virlomi to Indie - wyjaśnił Groszek. - Przed chwilą to powiedziała. A Han Tzu to Chiny. Alai to islam. Czy więc staną Chiny i Indie przeciwko światu, czy islam i Indie przeciwko światu? Kto potrafi sprzedać to małżeństwo swojemu ludowi? Czyj tron stanie obok tronu Indii? Którerekolwiek z tych rozwiązań daje zjednoczenie ponad połowy ludności świata.

Peter zamknął oczy.

- A zatem nie chcemy, by któreś z tych małżeństw zostało zawarte.

- Nie przejmuj się. Żadne nie potrwa długo.

- Nie zawsze masz rację - przypomniał Peter. - Nie potrafisz tak daleko zajrzeć w przyszłość.

Groszek wzruszył ramionami.

- Dla mnie to bez znaczenia. I tak umrę, zanim wszystko się rozleci.

Petra warknęła gniewnie, wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

- Nie wiem, co robić - wyznał Peter. - Próbowałem rozmawiać z Alai i udało mi się tylko sprowokować przewrót. Czy raczej Petrze się udało. - Nie potrafił ukryć irytacji. - Chciałem, żeby opanował swoich ludzi, ale oni są nie do opanowania. Pieką krowy na ulicach Madrasu i Bombaju, a potem zabijają Hindusów, którzy protestują. Ścinają głowy wszystkim Hindusom, których ktoś oskarży o wyrzeczenie się islamu... Nawet wnukom tych, którzy odstąpili od Allacha. Czy mam tylko siedzieć tu i patrzeć, jak świat zmierza do wojny?

- Myślałam, że to część twojego planu - warknęła na niego Petra. - Żeby stać się niezastąpiony.

- Nie mam żadnego wielkiego planu. - Peter westchnął. - Po prostu... reaguję. I pytam was przy tym, zamiast samemu wszystko wymyślać, bo ostatnim razem, kiedy zignorowałem wasze rady, nastąpiła katastrofa. Ale teraz przekonuję się, że nie macie żadnych rad. Tylko przewidywania i przypuszczenia.

- Przepraszam - powiedział Groszek. - Nie przyszło mi do głowy, że prosisz o radę.

- No więc proszę.

- W takim razie oto moja rada. Twoim celem nie jest unikanie wojny.

- Owszem, jest.

Groszek przewrócił oczami.

- To tyle ze słuchania.

- Już słucham - zapewnił Peter.

- Twoim celem jest ustanowienie nowego porządku, w którym wojna między narodami stanie się niemożliwa. Ale żeby osiągnąć tę utopię, muszą się zdarzyć takie wojny, by ludzie poznali to, czego rozpaczliwie chcą uniknąć.

- Nie będę zachęcał do wojny - oświadczył Peter. - To by mnie całkowicie zdyskredytowało jako rozjemcę. Dostałem to stanowisko, ponieważ jestem Lockiem!

- Jeśli przestaniesz się kłócić i posłuchasz - wtrąciła Petra - w końcu usłyszysz tę radę Groszka.

- Jestem przecież wybitnym strategiem. - Groszek uśmiechnął się krzywo - I najwyższym człowiekiem w osiedlu Hegemonii.

- Już słucham - zapewnił ponownie Peter.

- Masz rację, nie możesz zachęcać do wojny. Ale nie możesz sobie też pozwolić na próby powstrzymania wojny, której nie da się powstrzymać. Kiedy zobaczą, że próbujesz i ci się nie udaje, uznają, że jesteś słaby. Locke zdołał doprowadzić do pokoju między Układem Warszawskim i Zachodem dlatego, że tak naprawdę żadna ze stron wojny nie chciała. Ameryka wolała zostać w domu i zarabiać pieniądze, Rosja nie miała ochoty prowokować interwencji MF. Możesz wynegocjować pokój tylko wtedy, kiedy obu stronom na nim zależy... tak bardzo, że skłonne są coś oddać, by go uzyskać. W tej chwili nikt nie chce negocjacji. Indie nie mogą; są okupowane, a okupanci nie wierzą, by stanowiły zagrożenie. Chiny nie mogą; dla władcy Chin jest rzeczą politycznie niemożliwą, by zgodzić się na dowolne granice inne niż granice Wielkich Chin. Natomiast Alai nie może, bo jego ludzie są tak uradowani zwycięstwem, że nie widzą żadnego powodu, by z czegokolwiek rezygnować.

- Czyli mam nic nie robić?

- Masz organizować pomoc dla dotkniętych klęską głodu Indii - rzekła Petra.

- Głodu, który spowoduje sama Virłomi.

Petra tylko zruszyła ramionami, a Peter po chwili podjął:

- Mam czekać, aż wszyscy będą mieli dosyć wojny.

- Nie - sprzeciwił się Groszek. - Masz czekać na ten właściwy moment, kiedy pokój okaże się już możliwy. Jeśli za długo będziesz zwlekał, zgorzknienie zatruje wszystkich zbyt głęboko, by żyli w pokoju.

- A skąd mam wiedzieć, że nadszedł ten właściwy moment?

- Nie mam pojęcia - przyznał Groszek.

- Przecież to wy jesteście ci inteligentni - przypomniał Peter. - Wszyscy mi to powtarzają.

- Daj spokój z tym odgrywaniem pokornego - zirytowała się Petra. - Doskonale rozumiesz, o co nam chodzi. Dlaczego tak się wściekasz? Dowolny plan, jaki teraz wymyślimy, rozsypie się w momencie, kiedy ktoś wykona ruch, jakiego nie uwzględniliśmy w scenariuszu.

Peter uświadomił sobie, że wcale nie na nich się złości. To przez jego matkę i jej śmieszny list. Tak jakby było to w jego mocy „uratowanie” kalifa, cesarza Chin i tej nowiutkiej indyjskiej bogini, „danie im wolności”, kiedy najwyraźniej bardzo sprytnie sami ustawili się na pozycjach, jakie obecnie zajmują.

- Po prostu nie rozumiem - powiedział - jak mogę cokolwiek z tego wykorzystać.

- Musisz po prostu obserwować i się wtrącać - wyjaśnił Groszek - dopóki nie zauważysz miejsca, w które mógłbyś się wsunąć.

- Przecież to właśnie robię od lat.

- I świetnie ci wychodzi - przyznała Petra. - Możemy już iść?

- Idźcie! - mruknął Peter. - Łapcie tego swojego złego naukowca. A tymczasem ja ocalę świat.

- Na to właśnie liczymy - odparł Groszek. - Pamiętaj tylko, że sam chciałeś wziąć tę posadę. My nie.

Wstali oboje. Ruszyli do drzwi.

- Chwileczkę - rzucił Peter. Zaczekali.

- Właśnie coś sobie uświadomiłem. Zaczekali jeszcze trochę.

- Was to nie obchodzi.

Groszek spojrzał na Petrę. Petra spojrzała na Groszka.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nas to nie obchodzi? - spytał Groszek.

- Jak możesz tak mówić? - oburzyła się Petra. - Przecież chodzi o wojnę, śmierć, losy świata...

- Traktujecie to jak... jakby chodziło o wycieczkę. Jakbym prosił was o radę, z którego biura podróży skorzystać. Albo o... o wiersz, czy rymy są dobre.

Znowu spojrzeli po sobie.

- I kiedy patrzycie tak na siebie - ciągnął Peter - to jakbyście się śmiali, tylko jesteście zbyt grzeczni, żeby to pokazać.

- Nie jesteśmy grzeczni - przypomniała Petra. - Zwłaszcza Julian.

- Zgoda. To prawda, nie mówię o grzeczności. Ale jesteście tak zapatrzeni w siebie, że

nie musicie się nawet śmiać. Jakbyście już się naśmiali, ale tylko wy dwoje o tym wiecie.

- To bardzo ciekawe, Peter - zapewnił Groszek. - Możemy już iść?

- On ma rację - stwierdziła Petra. - Nie angażujemy się. Nie tak jak on. Ale to nie znaczy, Peter, że nam nie zależy. Zależy, jeszcze bardziej niż tobie. Po prostu nie chcemy się angażować w żadne działanie w tej sprawie, ponieważ...

I znowu popatrzyli na siebie nawzajem, a potem już bez słowa podeszli do drzwi.

- Ponieważ jesteście małżeństwem - dokończył Peter. - Ponieważ jesteś w ciąży. Ponieważ będziecie mieli dziecko.

- Dzieci - poprawił go Groszek. - I chcielibyśmy wrócić do prób odkrycia, co się z nimi stało.

- Wycofaliście się z rodzaju ludzkiego i tyle - uznał Peter. - Dlatego że odkryliście dla siebie małżeństwo i dzieci, nagle nie chcecie już w niczym uczestniczyć.

- Wręcz przeciwnie - rzekła Petra. - Włączyliśmy się w rodzaj ludzki. Jesteśmy jak większość ludzi. Nasze wspólne życie jest dla nas wszystkim. Nasze dzieci są wszystkim. Reszta to... robimy co trzeba. Wszystko, żeby ochronić dzieci. A poza tym to, co musimy. Ale nie ma to dla nas aż takiego znaczenia. I przykro mi, że to ci przeszkadza.

- Nie przeszkadza. Przeszkadzało, dopóki nie zrozumiałem, co widzę. Teraz uważam... Pewnie, to normalne. Chyba moi rodzice tacy są. I chyba dlatego myślałem, że są głupi. Bo wydawało się, że nie obchodzi ich świat na zewnątrz. Przejmowali się tylko sobą nawzajem i nami, swoimi dziećmi.

- Terapia robi wyraźne postępy - zauważył Groszek. - A teraz zmów trzy Zdrowaś Mario, kiedy my zajmiemy się naszymi skromnymi domowymi kłopotami, co obejmuje użycie helikopterów bojowych i dotarcie do Volescu, zanim dokona kolejnej zmiany adresu i tożsamości.

I odeszli.

Peter aż wrzał. Wydawało im się, że wiedzą coś, czego nie wie nikt inny. Wydawało im się, że wiedzą, o co chodzi w życiu. Ale takie życie mogli mieć tylko dlatego, że ludzie tacy jak Peter i Han Tzu, i Alai, i ta szurnięta samoubóstwiająca się Virlomi - naprawdę koncentrowali się na ważniejszych sprawach i próbowali uczynić świat lepszym.

A potem przypomniał sobie, że Groszek powiedział prawie dokładnie to co matka. Że Peter sam chciał zostać Hegemonem, więc teraz musi sam wszystko rozwiązać.

Jak dzieciak, który występuje w szkolnym przedstawieniu, ale nie podoba mu się rola, jaką dostał. Tylko że nie może się już wycofać, bo nie ma zastępstwa. Więc musi wytrzymać do końca.

Musi wymyślić, jak ocalić świat - teraz, kiedy dał się zrobić Hegemonem.

Wiem, czego naprawdę bym chciał, pomyślał. Chciałbym, żeby te wszystkie przekłete dzieciaki ze Szkoły Bojowej wyniosły się z Ziemi. To one wszystko komplikują. Mama chce, żeby miały własne życie? Ja też - przyjemne, długie życie na innej planecie.

Ale żeby wysłać ich w kosmos, trzeba zagwarantować sobie współpracę Graffa. A Peter w głębi duszy podejrzewał, że Graff wcale nie chce, by stał się skutecznym, potężnym Hegemonem. Dlaczego Graff miałby przyjmować dzieciaki ze Szkoły Bojowej na statki kolonizacyjne? Byliby siłą niszczącą w każdej kolonii, do jakiej by trafili.

A może by tak inaczej? Kolonia złożona wyłącznie z absolwentów Szkoły Bojowej? Gdyby się rozmnażali i zachowywali najlepsze cechy, mieliby tam najlepsze wojskowe umysły w całej Galaktyce.

A potem by przylecieli, żeby zająć Ziemię.

No dobrze, to nie to.

Ale jest to ziarno dobrego pomysłu. W oczach ludzi wojnę z robalami wygrała Szkoła Bojowa. Wszyscy chcieli, żeby ci ze Szkoły dowodzili ich wojskami. I dlatego właśnie dzieciaki ze Szkoły Bojowej stały się praktycznie niewolnikami sił zbrojnych swoich krajów.

W takim razie zrobię to, co sugerowała mama. Zwrócę im wolność.

Wtedy mogą się wszyscy pobrać, jak Groszek i Petra, i żyć długo i szczęśliwie, kiedy inni ludzie - ludzie odpowiedzialni - zajmą się trudną pracą kierowania światem.

W Indiach reakcja na przekaz Virlomi była natychmiastowa i gwałtowna. Jeszcze tej samej nocy, w kilkunastu incydentach w całym kraju, islamscy żołnierze dokonali aktów prowokacji. Czy też - jak sami uważali - odwetu i demonstracji przeciwko bluźnierczym, obraźliwym oskarżeniom Virlomi. A więc w oczach wielu ludzi dowiedli prawdy tych oskarżeń.

Ale tym razem odpowiedzią nie były zamieszki. Tym razem stanęli naprzeciw niewzruszonego tłumu, który chciał ich zniszczyć niezależnie od ceny. To był Sziwa. Więc owszem, martwe ciała hinduskich cywilów zasłaly ulice, ale ciał muzułmańskich żołnierzy nie udało się znaleźć. A w każdym razie nie udało się poskładać.

Meldunki o rozlewie krwi spływały do ruchomego sztabu Virlomi. W tym sporo nagrań wideo. Po kilku godzinach wystawiła w sieci zmontowaną wersję: mnóstwo obrazów muzułmanów dokonujących prowokacji, a potem strzelających. Żadnych nagrań ludzkiej fali zalewającej muzułmańskich żołnierzy przy karabinach maszynowych i rozrywającej ich na strzępy. Świat zobaczy muzułmanów obrażających hinduską religię i masakrujących cywilów.

Świat tylko usłyszy, że spośród żołnierzy nie ocalał nikt.

Groszek i Petra wsiedli do helikopterów szturmowych i ruszyli przez ocean do Afryki.
Groszek dostał wiadomość od Rackhama i wiedział, gdzie się ukrywa Volescu.

6

Ewolucja

From: CrazyTom%WackoMack@sandhurst.england.gov

To: Magic%Legume@IcomeAnon.com

Forwarded and Posted by IComeAnon

Klucz szyfrujący *****

Klucz deszyfrujący *****

Subject: Anglia i Europa

Mam nadzieję, że ciągle korzystasz z tego adresu, chociaż działasz już oficjalnie i nie ukrywasz się przed Panem Piętą. Sądzę jednak, że ten list nie powinien przechodzić normalnymi kanałami.

Stale dostaję sondujące listy od Wiggina. Myślę, że ON myśli, że jest jakoś szczególnie związany z jeeshem, tylko dlatego że jest bratem Endera. Wiem, że we wszystkim macza palce – to, co zdaje się wiedzieć Hegemonia, zanim my się dowiemy, czasami

naprawdę zdumiewa – ale czy macza palce w naszych sprawach?

Spytał mnie o ocenę gotowości Europy, by zrezygnować z suwerenności na rzecz rządu światowego. Biorąc pod uwagę, że cała historia ostatnich dwustu lat to bezustanne flirty Europy z prawdziwym rządem europejskim i ciągle rezygnacje, zastanawiam się, czy pytanie pochodzi od głupiego dzieciaka, czy od wielkiego myśliciela, który wie więcej ode mnie.

Jeśli jednak uważasz, że to poważne pytanie, pozwól sobie powiedzieć, że oddanie suwerenności dowolnemu istniejącemu ciału światowemu czy regionalnemu jest doprawdy śmieszne. Tylko małe państewka, jak Beneluks, Dania albo Słowenia, chętnie się przyłączają. To jak komuny – ludzie, którzy nie mają niczego, zawsze skłonni są się dzielić. Mimo że Europa jako języka ojczystego używa teraz pewnej wersji angielskiego (oprócz kilku enklaw twardogłowych).

Co nie znaczy, że pod odpowiednim naciskiem, w odpowiedniej chwili, każdy dumny naród europejski nie zamieni suwerenności na bezpieczeństwo.

Tom

To musiała być Twierdza Rwanda, oczywiście. Szwajcaria Afryki, jak ją czasem nazywali - ale zachowywała niezależność i neutralność, ponieważ była chyba najbardziej ufortyfikowanym państwem na Ziemi.

Nigdy nie zdołaliby się wdrzeć w przestrzeń powietrzną Rwandy. Ale dzięki telefonicznej pogawędce Petera z premierem Felixem Starmanem zyskali bezpieczny przelot dwóch odrzutowych helikopterów Hegemonii i dwudziestu żołnierzy - razem z przekazem szczegółowych map centrum medycznego, w którym działał Volescu.

Pod innym nazwiskiem, naturalnie. Gdyż Rwanda była jednym z krajów, gdzie Achilles utrzymywał kryjówki i komórki wywiadowcze. Volescu nie wiedział, że eksperci komputerowi Petera zdołali poprzez komputer Suriyawonga włamać się do tajnej sieci

Achillesa i - komórka po komórce - organizacja została wchłonięta, opanowana albo zniszczona.

Volescu wykorzystywał komórkę rwandyjską, o której jednak wiedziały władze. Felix Starman zdecydował się prowadzić ją przez pośredników dalej, więc członkowie siatki nie zdawali sobie sprawy, że w rzeczywistości pracują dla rządu Rwandy.

Rezygnacja z tych korzyści nie była zatem rzeczą łatwą dla Felixa Starmana - który upierał się, by jego przybrane nazwisko, Człowiek z Gwiazd, było tłumaczone i by każdy był świadom jego dość dziwnego wizerunku, jaki próbował stworzyć. Groszek i Petra mieli zabrać Volescu, w tym czasie rwandyjska policja zaaresztuje pozostałych członków organizacji Achillesa, a eksperci Hegemonii będą mogli nadzorować badanie Achillesowych komputerów.

Szum łopat śmigłowców byłby równie skuteczny w anonsowaniu przybycia gości co policyjne syreny, wylądowali więc o kilometr od ośrodka medycznego. Czterech żołnierzy w każdej maszynie dysponowało lekkimi motocyklami i odjechali natychmiast, by zabezpieczyć wszystkie bramy wyjazdowe. Pozostali ruszyli przez podwórza i parkingi domów, bloków mieszkalnych i niewielkich firm.

Ponieważ cała populacja Rwandy odebrała szkolenie wojskowe, ludzie wiedzieli, widząc żołnierzy Hegemonii w ciemnozielonych mundurach, biegnących od jednej osłony do drugiej, że lepiej pozostać w budynkach. Mogli próbować skontaktować się z władzami i pytać, co się dzieje, ale telefony komórkowe powtarzały wiadomość „staramy się poprawić jakość naszych usług”, a w stacjonarnych słychać było sygnał „wszystkie linie zajęte”.

Petra była już w zawansowanej ciąży i nie pobięła z resztą grupy. Groszek był tak widocznie wielki, że także pozostał przy helikopterach, wraz z pilotami. Sam szkolił tych ludzi i nie wątpił w ich umiejętności. Poza tym Suriyawong, wciąż starający się zrehabilitować - mimo zapewnień Groszka, że ufa mu całkowicie - chciał pokazać, że potrafi wykonać misję bez nadzoru.

Dlatego minęło ledwie piętnaście minut, nim przesłał im tekstową wiadomość „fa”, co oznaczało *fait accompli* albo czwartą nutę skali muzycznej, zależnie od chwilowego nastroju Groszka. Tym razem, kiedy zobaczył przekaz, wyśpiewał go głośno i helikoptery uniosły się w powietrze.

Wylądowały na parkingu kompleksu medycznego. Jak wypada w tak bogatym kraju jak Rwanda, był on technicznie bardzo zaawansowany, ale budynki zaprojektowano tak, by pacjenci czuli się tu możliwie swojsko. Dlatego wyglądał jak wioska, a każdy pokój, który nie wymagał kontrolowanego środowiska, stał otwarty na podmuchy wiatru.

Volescu siedział w klimatyzowanym laboratorium, gdzie go znaleziono. Ponuro skinął głową wchodzącym Groszkowi i Petrze.

- Miło was znowu widzieć - powiedział.

- Czy cokolwiek z tego, co nam mówiłeś, było prawdą? - spytała Petra. Głos miała spokojny, ale nie próbowała nawet udawać, że ma ochotę na uprzejmości.

Volescu uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

- W danej chwili robienie tego, co chciał chłopak, wydawało się dobrym pomysłem. Obiecał mi... to.

- Miejsce do prowadzenia nielegalnych badań? - rzucił Groszek.

- To może dziwne, ale w naszych nowych czasach wolności, kiedy Hegemonia jest bezsilna, moja praca nie jest tu nielegalna. Dlatego nie musiałem szykować błyskawicznego usunięcia przedmiotów badań.

Groszek spojrzał na Petrę.

- Nadal mówi „usunięcie” zamiast „zamordowanie” - zauważył.

Volescu posmutniał.

- Jakże chciałbym mieć wszystkich twoich braci - rzekł. - Ale przecież nie dlatego tu jesteście. Odsiedziałem już swoje i zostałem prawnie zwolniony.

- Chcemy dostać nasze dzieci - wyjaśniła Petra. - Całą ósemkę. Chyba że było ich więcej.

- Nie było więcej niż osiem. Przez cały czas mnie obserwowano, tak jak to zorganizowaliście, i w żaden sposób nie mogłem oszukać co do ich liczby. Tak jak nie mogłem sfałszować zniszczenia tej trójki odrzutów.

- Pomyślałem już o kilku metodach - stwierdził Groszek. - Najbardziej oczywisty to ten, że troje, u których odkryłeś włączony klucz Antona, zostało wcześniej zabranych. A zniszczyłeś jakieś inne ebriony. Albo nic.

- Jeśli tyle wiecie, to po co jestem wam potrzebny? - zapytał Volescu.

- Osiem nazwisk i adresów - odparł Groszek. - Kobiet, które noszą nasze dzieci.

- Nawet gdybym wiedział, w jakim celu miałbym wam je zdradzić? Żadne z nich nie ma włączonego klucza Antona. Nie warto się nimi zajmować.

- Nie istnieje test niedestrukcyjny - powiedziała Petra. - A więc nie wiesz, które z nich ma włączony klucz Antona. Zachowajmy je wszystkie. Zaimplantowałbyś wszystkie.

- Jeszcze raz: ponieważ najwyraźniej wiecie więcej ode mnie, koniecznie mnie zawiadomcie, kiedy je znajdziecie. Naprawdę chciałbym wiedzieć, co Achilles zrobił z piątką ocalałych.

Groszek zbliżył się do swego biologicznego wuja. Pochylił się nad nim.

- Och, och - powiedział Volescu. - Ależ masz wielkie zęby. Groszek chwycił go za ramiona, które wydawały się drobne i kruche w uścisku jego potężnych dłoni. Zaciśnął palce. Volescu się skrzywił.

Powoli Groszek przesunął ręce w stronę szyi, prawą dłoń położył na karku więźnia, a kciukiem dotknął czubka jego grdyki.

- Spróbuj okłamać mnie jeszcze raz - szepnął.

- Można by sądzić - rzekł Volescu - że ktoś, kto był taki mały, zrozumie, że nie należy dręczyć innych.

- Wszyscy kiedyś byliśmy mali - wtrąciła Petra. - Groszek, puść jego szyję.

- Pozwól zgnieść mu krtań, tylko trochę.

- Jest zbyt pewny siebie - oświadczyła Petra. - I przekonany, że nigdy ich nie znajdziemy.

- Tyle dzieci - stwierdził przyjaźnie Volescu. - I tak mało czasu...

- Liczy na to, że nie będziemy go torturować - uznał Groszek.

- A może właśnie by chciał - zastanowiła się Petra. - Kto wie, jak pracuje jego mózg? Jedyna różnica między Volescu i Achillesem to wielkość ich ambicji. Marzenia Volescu są takie małe...

W oczach Volescu wzbierały łzy.

- Wciąż myślę o tobie jak o swoim jedynym synu - zwrócił się do Groszka. - I żałuję, nie potrafimy zrozumieć się lepiej niż w tej chwili.

Groszek kciukiem zataczał kręgi wokół jego grdyki.

- Dziwi mnie, że zawsze znajdziesz jakieś miejsce, gdzie możesz rozwijać tę swoją chorą dziedzinę nauki - rzekła Petra. - Ale to laboratorium jest już zamknięte. Rwandyjski rząd przyśle tu swoich naukowców, a oni odkryją, co robiłeś.

- Zawsze ja się zajmuję pracą, a inni zgarniają laury...

- Zauważyłeś - odezwał się Groszek - że jedną ręką obejmuję ci prawie całą szyję?

- Zabierzmy go do Ribeirao Preto, Julianie.

- Byłoby miło - zapewnił Volescu. - Co słysząc u mojej siostry i jej męża? Czy w ogóle jeszcze ich widzisz teraz, kiedy stałeś się taki ważny?

- Mówi o mojej rodzinie - wyjaśnił Groszek. - Jakby nie był potworem, który nielegalnie sklonował mojego brata, a potem wymordował wszystkie klony oprócz jednego.

- Wrócili do Grecji - odpowiedziała Petra. - Proszę, Groszku, nie zabijaj go. Proszę.

- Przypomnij mi dlaczego.

- Bo jesteśmy dobrzy.

Volescu się roześmiał.

- Żyjecie z morderstw. Ilu ludzi oboje zabiliście? A jeśli dodamy wszystkie robale, które wybiliście w kosmosie...

- No dobrze - rzekła Petra. - Nie przejmuj się i zabij go. Groszek zacisnął palce, właściwie niezbyt mocno, ale Volescu wydał zduszony odgłos, a po chwili oczy wyszły mu z orbit.

W tym momencie do laboratorium wkroczył Suriyawong.

- Generale Delphiki, sir - powiedział.

- Jedną sekundę, Suri - rzuciła Petra. - Właśnie kogoś zabija. - Sir - rzekł Suri - to było laboratorium materiałów wojskowych.

Groszek rozluźnił uścisk.

- Nadal badania genetyczne?

- Kilku innych naukowców, którzy tu pracowali, miało wątpliwości co do prac Volescu i źródeł ich finansowania. Zbierali dowody. Nie było tego wiele, ale wszystko wskazuje na to, że Volescu hodował wirusa przeziębienia, który mógłby przenosić zmiany genetyczne.

- To nie działałoby na dorosłych - zauważył Groszek.

- Nie powinienem mówić o materiałach wojskowych - przyznał Suriyawong - ale pomyślałem, że w ten sposób szybciej zakończę tę pańską zabawę w podduszanie.

- Więc o co chodzi?

- To projekt zmiany ludzkiego genomu.

- Wiemy przecież, że tym się zajmował - przypomniała Petra.

- Ale nie z wirusami jako nosicielami - odparł Groszek. - Volescu, co tu robiłeś?

- Wypełniałem założenia moich grantów - wykrztusił Volescu.

- Grantów od kogo?

- Od przyznających granty.

- Zabezpieczyć cały kompleks - polecił Groszek. - Zawiadomię Hegemoną, by poprosił o rwandyjskie straże dookoła.

- Wydaje mi się - rzekła Petra - że nasz wybitny uczony miał obłąkany pomysł ulepszenia ludzkości.

- Potrzebny nam Anton, żeby przyjrzał się temu, co wyczyniał jego chory uczeń.

- Suri - dodała jeszcze Petra. - Groszek nie miał zamiaru naprawdę go zabić.

- Owszem, miałem - oznajmił Groszek.

- Powstrzymałabym go - zapewniła Petra.

Suri zaśmiał się krótko.

- Czasami trzeba kogoś zabić. Jak dotąd wynik Groszka to jeden na jeden.

* * *

Petra przestała chodzić na rozmowy z Volescu. Właściwie trudno nazywać je przesłuchaniami - pytania wprost prowadziły donikąd, groźby zdawały się pozbawione znaczenia. To mogło doprowadzić do szoku i męczyło psychicznie. Nienawidziła tego, jak na nią patrzył. Patrzył na jej brzuch.

Wciąż pilnowała tego, co z braku lepszego określenia nazwali projektem Volescu. Ferreira, szef zabezpieczenia elektronicznego, pracował pilnie, by odkryć wszystko, co Volescu robił ze swoim komputerem, i poprzez sieć śledził rozmaite jego tożsamości. Petra dopilnowała jednak, aby nie przerywać analizy baz danych i uzupełniania istniejących już indeksów. Dzieci były gdzieś, zaimplantowane zastępczym matkom, które w pewnym momencie je urodzą. Volescu nie ryzykowałby życia dzieci, blokując matkom dostęp do odpowiedniej opieki medycznej - z pewnością było to podstawowe wymaganie. Dlatego dzieci przyjdą na świat w szpitalach, a ich narodziny będą zarejestrowane.

Jak je znajdą pośród milionów, które urodzą się w odpowiednim przedziale czasowym, Petra nie miała pojęcia. Ale zbierali dane i indeksowali je według każdej potencjalnie użytecznej zmiennej, by potem mieć z czym pracować, kiedy w końcu odkryją jakiś identyfikujący znacznik.

Tymczasem Groszek ciągle rozmawiał z Volescu. Uzyskiwał czasem informacje, które okazywały się prawdziwe, jednak trudno było stwierdzić, czy Volescu zdradził je przypadkiem, czy też bawił się z nim, podsuwając wiadomości, o których wiedział, że będą mało przydatne.

Kiedy Groszek nie rozmawiał z Volescu, przebywał z Antonem, który wrócił z emerytury i zgodził się przyjmować silne środki chemiczne, hamujące jego głęboką awersję do pracy w swej dziedzinie nauki.

- Codziennie sobie powtarzam - powiedział Groszkowi - że wcale nie zajmuję się nauką, tylko oceniam prace domowe studentów. To pomaga. Ale nadal wymiotuję. Nie radzę sobie z tym wszystkim.

- Proszę nie zmuszać się bardziej, niż pan wytrzyma.

- Żona mi pomaga - wyznał Anton. - Ma wiele cierpliwości dla starego człowieka. I wiesz co? Zaszła w ciążę! W naturalny sposób!

- Gratuluję.

Groszek wiedział, jak trudne to było dla Antona, którego seksualne popędy nie zmierzały w tym samym kierunku co jego plany reprodukcyjne.

- Ciało wie jak, nawet w tym podeszłym wieku. - Anton się zaśmiał. - Jak robić to, co wydaje się nienaturalne.

Ale pomijając jego osobiste szczęście, obraz, jaki szkicował Anton, wyglądał coraz gorzej.

- Jego plan był całkiem prosty - stwierdził. - Zniszczyć rodzaj ludzki.

- Dlaczego? Przecież to bez sensu. Z zemsty?

- Nie, nie. Zniszczyć i zastąpić. Wirusy, które wybrał, miały trafić wprost do komórek rozrodczych w ludzkim ciele. Do każdego plemnika i każdego jajeczka. Zarazić, ale nie zabijać. One tylko wycinają i zastępują. Wprowadzają wszelkiego rodzaju zmiany. Siła i prędkość Wschodnich Afrykanów. Kilka zmian, których nie rozumiem, bo nikt tak naprawdę nie mapował tej części genomu, w każdym razie nie dla funkcji. A co do niektórych fragmentów, to nie wiem nawet, gdzie mogą pasować w ludzkim genomie. Musiałbym sprawdzić, a tego zrobić nie mogę. To już by była prawdziwa nauka. Ktoś inny. Później.

- Omija pan wielką zmianę - przypomniał Groszek.

- Mój mały klucz - odparł Anton. - Wirus uruchamia klucz.

- Czyli nie miał lekarstwa. Nie znał sposobu, by włączyć klucz dla zdolności intelektualnych, nie uruchamiając przy tym zespołu bezustannego wzrostu.

- Gdyby miał, toby go użył. Rezygnacja nic mu nie daje.

- A więc to jednak jest broń biologiczna.

- Broń? Coś, co wpływa tylko na dzieci? Powoduje, że umierają na gigantyzm, zanim osiągną dwudziestkę? Och, całe armie uciekałyby w panice...

- No więc co?

- Volescu uważa się za boga, a przynajmniej bawi się w przebieranki z boskim kostiumem. Usiłuje przerzucić całą ludzkość do następnego etapu ewolucji. Chciał rozprzestrzenić tę chorobę, żeby już nigdy nie mogły się rodzić normalne dzieci.

- Ale to szaleństwo! Wszyscy umierający tak młodo...

- Nie, nie, Julianie. Nie szaleństwo. Dlaczego ludzie tak długo żyją? Matematycy i poeci i tak wypalają się przed trzydziestką. Żyjemy długo z powodu wnuków. W trudnym świecie dziadkowie pomagają zapewnić przetrwanie swoim wnukom. Społeczeństwa, które utrzymywały starców, słuchały ich, szanowały... i karmiły, zawsze radziły sobie lepiej. Ale to społeczeństwa na granicy głodu. Zawsze narażone na zagładę. Czy my dzisiaj też tak się narażamy?

- Jeśli te wojny jeszcze się zaognią...

- Tak, wojna... Wybić całe pokolenie mężczyzn... a jednak dziadkowie zachowują potencję seksualną. Mogą propagować kolejną generację, nawet jeśli młodzi nie żyją. Ale Volescu uważa, że jesteśmy gotowi wyjść poza planowanie śmierci młodych ludzi.

- Czyli nie przeszkadzają mu pokolenia mające poniżej dwudziestu lat?

- Trzeba zmienić wzorce zachowań społecznych. Kiedy byłeś gotów przyjąć rolę dorosłego, Groszku? Kiedy twój mózg był gotów, by zacząć pracować i zmieniać świat?

- W wieku dziesięciu lat. Może i wcześniej, gdybym miał dobre wykształcenie.

- No więc dostajesz dobre wykształcenie. Wszystkie szkoły się zmieniają, ponieważ dzieci będą gotowe do nauki w wieku trzech lat. Dwóch lat. W wieku dziesięciu lat, jeśli nastąpi zmiana genetyczna, którą zaplanował Volescu, nowe pokolenie będzie mogło przejąć świat od starego. Jak najszybciej łączyć się w pary. Mnożyć jak króliki. Wyrastać na niepokonanych w walce olbrzymów... dopóki nie powalą ich ataki serca. Nie rozumiesz? Zamiast tracić młodych ludzi, ginących tragicznie w bitwach, posyłamy starców: osiemnastolatków. A cały rozwój nauki i techniki, budownictwo, produkcja, wszystko, załatwią młodzi. Dziesięciolatkowie. Wszyscy tacy jak ty.

- Już nie ludzie.

- Inny gatunek, owszem. Dzieci *Homo sapiens*. Może *Homo lumens*. Wciąż będą mogli się krzyżować, ale ludzie starego typu, wiesz... choć się starzeją, nigdy nie są tacy wielcy. I nigdy zbyt inteligentni. Jak mogliby konkurować? Już po nich, Groszek. Twój lud opanuje świat.

- Nie będzie mój.

- To dobrze, że jesteś lojalny wobec dawnych ludzi, takich jak ja. Ale jesteś czymś nowym, Groszek. I jeśli będziesz miał dzieci z włączonym moim małym kluczykiem, nie, nie będą takie szybkie jak te, które zaprojektował Volescu, ale będą inteligentne. Nowa jakość w świecie. Jeśli będą mogły ze sobą rozmawiać, zamiast żyć samotnie, tak jak ty, czy potrafisz dotrzymać im kroku? No, może tak, ale to ty. Czy ja potrafię dotrzymać im kroku?

Groszek zaśmiał się z goryczą. - Czy Petra potrafi? To chce pan powiedzieć?

- Nie miałeś rodziców, którzy czuliby się poniżeni odkryciem, że dzieci uczą się szybciej, niż oni potrafią je uczyć.

- Petra i tak będzie je kochała.

- Pewnie, ale cała jej miłość nie uczyni ich ludźmi.

- A mówił pan, że zdecydowanie jestem człowiekiem. To jednak nieprawda...

- Człowiekiem w swoich uczuciach, swoich pragnieniach. W tym wszystkim, co czyni

cię dobrym albo złym. Ale w tempie swego życia, w swoich intelektualnych dokonaniach czy nie jesteś na świecie samotny?

- Chyba że wirus zostałby uwolniony.

- Skąd wiesz, że i tak nie będzie uwolniony? - zapytał Anton. - Skąd wiesz, że nie wyprodukował już dawki i jej nie rozpylił? Skąd wiesz, że sam siebie nie zaraził i teraz rozprzestrzenia wirusa wszędzie, gdzie trafi? W te kilka tygodni, odkąd się tu zjawiał, ile osób w Hegemonii złapało przeziębienie? Ciekący nos, swędzący penis, tkliwe sutki... Tak, właśnie tego wirusa użył jako podstawy; ma poczucie humoru, z tych paskudnych.

- Nie sprawdzałem co subtelniej szych objawów, ale mieliśmy zwykłą liczbę przeziębień.

- Prawdopodobnie siebie nie użył jako nosiciela - stwierdził Anton. - Jaki byłby sens? Chce, żeby inni rozprzestrzeniaли wirusa.

- Chce pan powiedzieć, że wirus już się wyrwał?

- A może Volescu ma w sieci miejsce, gdzie się loguje raz na tydzień albo raz na miesiąc. Aż pewnego miesiąca się nie zgłasza, więc sygnał trafia do kogoś z dawnej siatki Achillesa. Wirus zostaje uwolniony. Jedyne, co musi zrobić Volescu to... być jeńcem bez dostępu do komputera.

- Czy zaszedł tak daleko w swoich badaniach? Czy mógł już mieć gotowego wirusa?

- Nie wiem. Wszystkie dane zmieniły się, kiedy się przeniósł. Kiedy wysłałeś mu wiadomość, mówiłeś mi o tym, prawda? Posłałeś wiadomość, a on się przeniósł do Rwandy. Przedtem mógł mieć wcześniejszą wersję wirusa. Może nie. Może dopiero pierwszy raz umieścił w wirusie zmienione ludzkie geny. Jeśli tak, to wirus nie został uwolniony. Ale mógłby być. Jest gotowy. Dostatecznie gotowy. Może złapaliście Volescu w ostatniej chwili.

- A jeśli wirus już się rozprzestrzenia, to co?

- To mam nadzieję, że dziecko, które nosi moja żona, będzie takie jak ty, nie jak ja.

- Dlaczego?

- Twoja tragedia, Groszku, polega na tym, że jesteś jedyny. Jeśli cała ludzkość ma być wkrótce podobna do ciebie, wiesz, kim wtedy się staniesz?

- Cholernym durniem.

- Staniesz się Adamem.

Anton był niezdolnie uprzejmy. Swojego losu Groszek nie życzyłby nikomu. Ani własnemu dziecku, ani dziecku Antona. Ale Antonowi można było wybaczyć to idiotyczne życzenie. Nigdy nie był taki mały, nigdy nie był taki wielki. Nie mógł wiedzieć, jak... jak larwalny wydawał się początkowy etap.

Jak u jedwabników. Larwa mojego gatunku wykonuje całą pracę życia, kiedy jest młoda. Potem wielki motyl... Jego widzą ludzie, ale wszystko, co pozostało mu do zrobienia, to spółkować, złożyć jaja i umrzeć.

Groszek porozmawiał z Petrą, po czym udali się do Ferreiry i Petera. Zmieniono - dość pilnie - cel poszukiwań, by wykryć dowolny przełącznik martwej ręki, do którego Volescu logował się codziennie czy raz na tydzień. Z całą pewnością taki przełącznik był ustawiony, by wykasować się zaraz po przesłaniu wiadomości. Co oznaczało, że jeśli ją przesłał, to już nie istniał. Gdzieś jednak pozostały tropy. Backupy. Takie czy inne rejestry. Nikt nie wędrował po sieci bez śladów.

Nawet Groszek. Stał się niewykrywalny, ponieważ bezustannie wszystko zmieniał. Ale Volescu wciąż tkwił w laboratorium tu czy tam, tak długo, jak tylko było to możliwe. Może nie był aż tak ostrożny w swoich sieciowych manewrach. Mógł wierzyć, że jest genialny, ale nie był Groszkiem.

7

Oferta

From: PeterWiggin%private@hegemon.gov
To: Vlad%Impaled@gcu.ru.gov
Subject: Przyjaciele mojego brata

Chciałbym z tobą porozmawiać. Twarzą w twarz. Dla pamięci mojego brata. Na terytorium neutralnym.

Peter zjawiał się w Sankt Petersburgu oficjalnie jako obserwator i konsultant rokowań handlowych Układu Warszawskiego. Rokowania te były elementem bieżących prób Rosji stworzenia unii gospodarczej, mogącej rywalizować z zachodnioeuropejską. Rzeczywiście, uczestniczył w kilku spotkaniach, a jego apartament szumiał od rozmów. Co jasne, prawdziwe plany były całkiem inne od oficjalnych i poczynił - jak przypuszczał - spore postępy z reprezentantami kilku mniejszych czy biedniejszych krajów. Łotwa. Estonia. Słowacja. Bułgaria. Bośnia. Albania. Chorwacja. Gruzja. Liczył się każdy klocek w układance.

Nie każdy klocek był państwem. Czasem chodziło o konkretną osobę.

Dlatego właśnie szedł teraz spacerem przez park - nie któryś z tych wspaniałych parków w sercu Sankt Petersburga, ale przez niewielki park w Kohtla-Järve, miasteczku w północno-wschodniej Estonii, które uważało się za metropolię. Nie był pewien, czemu Wład wybrał miejsce wymagające przekraczania granicy - nic nie mogło sprawić, by ich spotkanie bardziej zwracało uwagę. A to, że spotykali się w Estonii, oznaczało, że będą ich obserwować dwie służby wywiadowcze: estońska i rosyjska. Rosja nie zapomniała historii. Nadal pilnowała Estonii, wykorzystując raczej miejscową niż obcą siatkę szpiegowską.

Możliwe, że powodem był ten park. Miał jezioro, staw właściwie, z pewnością służący zimą jako lodowisko, był bowiem prawie dokładnie okrągły i otoczony nadmierną liczbą ławek. Teraz, latem, wśród komarów, które krążyły tu całymi rojami, trwała zapewne kampania reklamowa „ssij krew i składaj jaja w jednym miejscu”.

- Zamknij oczy - polecił Wład.

Peter spodziewał się jakiegoś szpiegowskiego rytuału, więc posłuchał z westchnieniem. Westchnienie jednak sprawiło, że miał otwarte usta - akurat tak długo, by poczuć smak płynu na komary, którym Wład spryskał mu twarz.

- Teraz dłonie - powiedział. - Smakuje paskudnie, ale nie zabija. Dłonie.

Peter wyciągnął ręce i Wład spryskał je także.

- Nie chcę, żebyś przy rozmowie stracił więcej niż pół litra krwi. Potworne miejsce. Nikt tu nie przychodzi latem. Dlatego nie jest okablowane. Dookoła puste polany. Zobaczmy, gdyby ktoś nas obserwował.

- Jesteś tak pilnie obserwowany?

- Rząd rosyjski nie jest tak wyrozumiały jak Hegemon. Su-riyawong ma twoje zaufanie, bo wierzysz, że przez cały czas działał przeciw Achillesowi. Ale ja? Niegodny zaufania. Jeśli myślisz, że mam wpływy, to bardzo złe myślenie, przyjacielu.

- Nie dlatego tu jestem.

- Tak, wiem. Jesteś tu z powodu negocjacji handlowych - rzekł Wład z uśmiechem.

- Negocjacje handlowe nie mają wielkiego sensu, kiedy przemysł i korupcja zmieniają w dowcip każdy system celny.

- Cieszę się, że zrozumiałeś nasz styl załatwiania spraw. Nie ufaj nikomu, kogo nie przekupiłeś w ciągu ostatniej półgodziny.

- Nawiasem mówiąc, nie wmówisz mi, że masz ten ciężki rosyjski akcent - zauważył Peter. - Wychowywałeś się w Szkole Bojowej. Powinieneś mówić wspólnym jak swoim ojczystym językiem.

- I mówię - przyznał Wład, wciąż z ciężkim rosyjskim akcentem. - Ale nie wtedy,

kiedy moja przyszłość zależy od tego, bym nikomu nie przypominał, jak bardzo jestem inny. Akcentu trudno się nauczyć i trudno go utrzymać. Dlatego teraz go zachowam. Nie jestem z natury dobrym aktorem.

- Mogę ci mówić Vlad?

- Mogę ci mówić Peter?

- Tak.

- Więc tak i z mojej strony. Skromny planista strategiczny nie powinien być bardziej oficjalny niż Hegemon całego świata.

- Sam wiesz, jakiego kawałka świata jestem Hegemonem - rzucił Peter. - I jak już wspomniałem, nie dlatego przybyłem tutaj. W każdym razie nie bezpośrednio.

- Więc czemu? Chcesz mnie zatrudnić? Niemożliwe. Mogą mi nie ufać, ale na pewno nie pozwolą, żebym się gdziekolwiek przeniósł. Jestem bohaterem rosyjskiego ludu.

- Vlad, gdyby ci ufali, jak myślisz, co byś teraz robił? Vlad parsknął śmiechem.

- Prowadziłbym armię Matki Rosji, jak obecnie Alai, Kant Zupa, Virlomi i wielu innych. Tak wielu Aleksandrów...

- Owszem, słyszałem to porównanie - stwierdził Peter. - Ale ja widzę to inaczej. Moim zdaniem to jak wyścig zbrojeń, który doprowadził do pierwszej wojny światowej.

Vlad zastanowił się przez chwilę.

- A my, bachory ze Szkoły Bojowej, jesteśmy bronią? Jeśli jedno państwo ją ma, to drugie musi mieć więcej? Tak, o to właśnie chodziło w tym małym kidnaperskim przedsięwzięciu Achillesa.

- Mnie chodzi o to, że posiadanie kogoś ze Szkoły Bojowej, zwłaszcza kogoś z jeeshu Endera, czyni wojnę bardziej, a nie mniej prawdopodobną.

- Nie sądzę - sprzeciwił się Vlad. - Owszem, Kant Zupa i Alai tkwią w samym sercu akcji, ale Virlomi nie była w jeeshu. Co do reszty... Groszek i Petra są z tobą i walczą o pokój na świecie, tak? Jak uczestniczki konkursu piękności. Dink utknął w jakimś wspólnym anglo-amerykańskim projekcie, co oznacza, że obcieli mu jaja, w sensie militarnym. Shen marnuje czas na jakimś ceremonialnym stanowisku w Tokio. Kulfon jest mnichem, o ile wiem, czy jak ich tam nazywają. Szamanem. Gdzieś w Andach. Zwariowany Tom siedzi w Sandhurst, zamknięty w sali wykładowej.

Carn Carby wrócił do Australii, gdzie mogą mieć jakąś armię, ale nie muszą i nikogo to nie obchodzi. A Fly Molo... Owszem, jest dość zapracowany na Filipinach. Ale nie został prezydentem ani nawet ważnym generałem.

- To się zgadza z moją listą. Chociaż sądzę, że Carn protestowałby przeciwko twojej

opinii o wartości armii australijskiej.

Vlad machnął ręką na te obiekcje.

- Chodzi mi o to, że większość państw posiadających ten „bezcenny skarb narodowy” bardziej dba o to, żeby trzymać nas pod obserwacją i z dala od władzy, niż rzeczywiście wykorzystać na wojnie.

Peter uśmiechnął się lekko.

- Owszem. Albo babrają was we krwi po łokcie, albo trzymają w klatkach. Ktoś się szczęśliwie ożenił?

- Żaden z nas nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat. No, może Dink, zawsze kłamał co do swojego wieku. Większość jest jeszcze nastolatkami albo była całkiem niedawno.

- Boją się was. Teraz jeszcze bardziej, bo kraje, które rzeczywiście wykorzystwały w wojnie członków jeeshu, teraz są przez nich rządzone.

- Jeśli można nazwać „ogólnoświatowy islam” państwem. Ja to nazywam rozruchami z Pismem świętym.

- Tylko nie mów tego głośno w Bagdadzie czy Teheranie - ostrzegł Peter.

- Tak jakbym mógł kiedyś tam pojechać...

- Vlad, czy nie chciałbyś uwolnić się od tego całego piękna?

Vlad wybuchnął śmiechem.

- A więc reprezentujesz Graffa?

Peter był zaskoczony.

- Graff zgłosił się do ciebie?

- Zostań szefem kolonii. Wyrwij się z tego wszystkiego. Wakacje z opłaconymi kosztami... Wakacje, które potrąją przez resztę twojego życia.

- Nie wakacje - poprawił go Peter. - Bardzo ciężka praca. Ale przynajmniej będziesz miał jakieś życie.

- Czyli Peter Hegemon chce się pozbyć z planety jeeshu Endera. Na zawsze.

- Wolałbyś moje stanowisko? - spytał Peter. - Zrezygnuję jeszcze dzisiaj, jeśli będę miał pewność, że ty je zajmiesz. Ty albo ktoś inny z jeeshu Endera. Chcesz je? Myślisz, że potrafisz je utrzymać? Więc jest twoje. Dostałem je tylko dlatego, że pisałem eseje Locke'a i zażegnałem wojnę. Ale co osiągnąłem ostatnio? Vlad, nie uważam cię za rywala. Jak mógłbym? Masz tyle swobody, by wystąpić przeciwko mnie? Vlad wzruszył ramionami.

- No dobrze, zatem twoje motywy są czyste.

- Moje motywy są realistyczne. Rosja nie wykorzystuje cię w tej chwili, ale przecież cię nie zabili ani nie zamknęli. Jeśli uznają kiedyś, że wojna jest pożądana, konieczna albo

nieunikniona, ile potrwa, zanim dostaniesz awans i trafisz w sam środek wydarzeń? Zwłaszcza jeśli wojna przez jakiś czas będzie szła marnie? Jesteś ich arsenałem jądrowym.

- Nie bardzo - sprzeciwił się Vlad. - Ponieważ to mój mózg ma być ładunkiem bojowym tego konkretnego pocisku, a mózg okazał się zdefektowany na tyle, by sprawiać wrażenie, że ufa Achillesowi. Musi więc być gorszy niż u innych członków jeeshu.

- W wojnie przeciwko Han Tzu ile czasu minie, nim zostaniesz dowódcą armii? A przynajmniej zaczniesz kierować strategią?

- Jakies piętnaście minut, mniej więcej.

- Właśnie. A Rosja bardziej czy mniej chętnie ruszy na wojnę, wiedząc, że ma ciebie? Vlad uśmiechnął się lekko i pochylił głowę.

- No, no... A więc Hegemon chce mnie wyrwać z Rosji, żeby Rosja nie była tak awanturnicza?

- To nie takie proste. Nadejdzie dzień, kiedy duża część świata połączy swoją suwerenność...

- Co oznacza, że z niej zrezygnuje.

- Na rzecz jednego wspólnego rządu. To nie będą wielkie kraje. Raczej gromada małych. Ale w przeciwieństwie do Narodów Zjednoczonych i Ligi Narodów, a nawet Hegemonii w jej poprzedniej formie, ten związek nie będzie projektowany tak, by centralny rząd miał jak najmniej władzy. Narody w tej lidze nie będą posiadały własnej armii, marynarki wojennej czy lotnictwa. Nie będą sprawowały oddzielnej kontroli na własnymi granicami... i nie będą pobierać ceł. Ani posiadać osobnych flot handlowych. Hegemonia zyska pełną władzę nad polityką zagraniczną, kropka, bez żadnej konkurencji. Dlaczego Rosja miałaby się przyłączyć do takiej federacji?

- Nigdy się nie przyłączy. Peter kiwnął głową. I czekał.

- Nigdy się nie przyłączy, chyba że uzna to za jedyne bezpieczne wyjście - dokończył Vlad.

- Dodaj do tego zdania słowo „dochodowe”, a będzie bliższe prawdy.

- Rosjanie to nie Amerykanie, tacy jak ty, Peterze Wiggin. Nie podejmujemy decyzji dla zysku.

- Czyli wszystkie łapówki przeznaczone są na cele dobroczynne?

- Ratuja bukmacherów i prostytutki w Rosji od śmierci głodowej. Altruizm w czystej postaci.

- Vlad, chcę powiedzieć tylko tyle: zastanów się nad tym. Ender Wiggin dokonał dla ludzkości dwóch wielkich rzeczy. Zlikwidował robale. I nigdy nie wrócił na Ziemię.

Vlad spojrział na niego z prawdziwym ogniem w oczach.

- I myślisz, że nie wiem, kto to zorganizował?

- Owszem, popierałem takie rozwiązanie - przyznał Peter. - Nie byłem wtedy Hegemonem. Ale czy ośmielisz się twierdzić, że nie miałem racji? Co by się stało, gdyby Ender we własnej osobie był tutaj, na Ziemi? Zakładnik wszystkich. A gdyby jego ojczyzna zdołała zapewnić mu bezpieczeństwo, co wtedy? Ender Wiggin pogromca robali, teraz na czele sił zbrojnych przerażających Stanów Zjednoczonych. Pomyśl o zagrywkach, o aliansach, uprzedzających atakach, a wszystko dlatego że ta potężna i straszna broń znalazłaby się w rękach kraju, który wciąż uważa, że ma prawo osądzać i rządzić całym światem.

Vlad pokiwał głową.

- Czyli to tylko szczęśliwy przypadek, że dzięki temu pozostałeś bez żadnych rywali do Hegemonii.

- Mam rywali, Vlad. Kalif posiada miliony wyznawców, którzy wierzą, że właśnie jego Bóg wybrał na władcę całej Ziemi.

- Czy nie złożyłeś Alai tej samej oferty?

- Nie spodziewam się, że zdołam cię przekonać. Chciałem tylko przekazać ci informację. Jeśli nadejdzie dzień, kiedy uznasz, że twoja nadzieja na bezpieczeństwo leży w opuszczeniu Ziemi, wyślij mi wiadomość ze strony w sieci, do której link dołączę w e--mailu. Albo kiedy zdasz sobie sprawę, że jedyną szansą, jaką ma twój kraj na pokój na świecie, jest zniknięcie z Ziemi wszystkich absolwentów Szkoły Bojowej. Zawiadam mnie wtedy, a ja zrobię wszystko, by wydostać i wysłać ich bezpiecznie.

- Chyba że pójde do moich przełożonych i powtórzę, co mi mówiłeś.

- Powtórz. Powtórz, a stracisz te ostatnie strzępy wolności, jakie ci pozostały.

- No więc im nie powtórzę.

- I będziesz o tym myślał. To będzie tkwiło gdzieś w głębi twojego umysłu.

- A kiedy wszystkie dzieciaki ze Szkoły Bojowej odlecą - stwierdził Vlad - pozostanie tylko Peter, brat Endera Wiggina. Naturalny przywódca ludzkości.

- Tak jest, Vlad. Jedyna szansa na zjednoczenie, jaką mamy, to silny, powszechnie uznawany przywódca. Nasz Jerzy Waszyngton.

- I to właśnie ty.

- To może być kalif i wtedy czeka nas przyszłość świata islamu. Albo wszyscy możemy stać się wasalami Państwa Środka. Albo... powiedz szczerze, Vlad... może byłoby lepiej, gdyby władał nami ten rząd, który w tej chwili tak dobrze cię traktuje?

- Pomyślę o tym - obiecał Vlad. - A ty pomyśl o czymś innym. Ambicja była jednym z podstawowych elementów, na podstawie których wybierali nas do Szkoły Bojowej. Jak myślisz, czy bardzo będziemy skłonni do poświęceń? Spójrz na Virlomi. Była tak skromna, jak tylko dopuszczała Szkoła Bojowa. Ale żeby osiągnąć swój cel, stała się boginią. I wydaje się, że odgrywa tę rolę z wielkim entuzjazmem, prawda?

- Ambicję równoważy instynkt przetrwania - odparł Peter. - Ambicja prowadzi do wielkiego ryzyka. Jednak nigdy nie prowadzi do pewnego zniszczenia.

- Chyba że ktoś jest głupcem.

- W tym parku nie ma dzisiaj głupców. No, może prócz szpiegów, którzy leżą pod wodą i oddychają przez słomki, żeby podsłuchać naszą rozmowę.

- To wszystko, na co stać Estończyków - zauważył Vlad.

- Przyjemnie jest się przekonać, że Rosjanie nie zapomnieli o swoim poczuciu humoru.

- Każdy zna parę dziesiątek estońskich dowcipów.

- A o kim opowiadają dowcipy Estończycy? - zapytał Peter.

- O Estończykach, oczywiście. Tylko nie zdają sobie sprawy z tego, że to dowcipy.

Śmiejąc się, wyszli z parku i ruszyli z powrotem, Peter do swojego samochodu z kierowcą, Vlad do pociągu odjeżdżającego do Sankt Petersburga.

* * *

Niektórzy absolwenci Szkoły Bojowej przybywali do Ribeirao Preto, aby bezpośrednio wysłuchać zaproszenia Petera. Z innymi Peter kontaktował się poprzez wspólnych przyjaciół. Członków jeeshu Endera odwiedzał osobiście: Carna Carnby'ego w Australii, Dinka Meekera i Zwariowanego Toma w Anglii, Shena w Tokio, Fly Molo w Manili. A Kulfona wśród rady Keczua w ruinach Machu Piechu, jego nieoficjalnej głównej kwaterze, gdzie konsekwentnie starał się zorganizować rodowitych mieszkańców Ameryki Południowej.

Nikt nie przyjął jego oferty. Wszyscy ją zapamiętali.

Tymczasem wojna partyzancka w Indiach stawała się coraz bardziej krwawa. Coraz więcej perskich i pakistańskich żołnierzy wycofywano z Chin. Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy nikt już nie blokował głodującej chińskiej armii w prowincji Syczuan. Han Tzu wprowadził ją w ruch.

Turcy opuścili Sinkiang. Indonezyjczycy wsiedli na łodzie i odpłynęli na Tajwan. Arabowie dołączyli do sił okupacyjnych w Indiach. Starożytne Chiny były wolne od obcych najeźdźców, bez jednego wystrzału ze strony wojsk cesarza.

I natychmiast powrócili Amerykanie, Europejczycy i mieszkańcy krajów latynoamerykańskich, kupując i sprzedając, pomagając Chinom podnieść się po bezsensownych wojnach zdobywczych. Tymczasem narody islamu traciły broń, pieniądze i ludzi w coraz brutalniejszej wojnie o władzę w Indiach.

W tym czasie w sieciach pojawiło się dwóch nowych eseistów.

Pierwszy podpisywał się jako Lincoln i pisał o konieczności zakończenia krwawych wojen i podbojów, i zabezpieczeniu praw i wolności wszystkich społeczeństw poprzez przekazanie uczciwemu, praworządному rządowi światowemu wyłącznej kontroli nad wszelkimi zbrojeniami.

Drugi przybrał pseudonim Martel, sięgając aż do Karola Młota, który pod Poitiers powstrzymał islamski najazd na Europę.

Martel bezustannie podkreślał zagrożenie, jakim jest dla świata istnienie kalifa. Muzułmanie, którzy obecnie stanowią ponad jedną trzecią populacji niektórych krajów europejskich, poczuć się ośmieleni, przejmą władzę i zmuszą całą Europę do życia pod brutalnym prawem islamu.

Niektórzy komentatorzy dostrzegali analogię do czasów, kiedy Locke pojedynkował się z Demostenesem, z podobnym zróżnicowaniem między godnym męża stanu poszukiwaniem pokojowych rozwiązań i ostrzeżeniami przed wojną. Wtedy okazało się, że eseje pisali Peter i Valentine Wiggin. Tylko raz Peter odpowiedział na pytanie o Lincolna: „Jest wiele metod zjednoczenia świata. Cieszę się, że nie jestem jedynym, który ma nadzieję, że nastąpi to drogą liberalnej demokracji, a nie zdobywczego despotyzmu”.

I raz tylko odpowiedział, gdy spytano go o Martela: „Nie wierzę, by sprawie pokoju na świecie pomogło wzniecanie strachu i nienawiści, które prowadzą do wypędzeń i pogromów”.

Obie te odpowiedzi tylko zwiększyły wiarygodność obu eseistów.

8

Ender

From: Rockette%Armenian@hegemon.gov

To: Noggin%Lima@hegemon.gov

Subject: Nieźle się bawię, więc nie marudź

Umiłowany mężu,

a co JESZCZE oprócz pisanie mogłabym robić, kiedy siedzę tu z brzuchem wielkości stodoły? To naprawdę ciężka praca, biorąc pod uwagę, że klawiatura jest na wyciągnięcie ręki. Zresztą antymuzułmańska propaganda nie jest trudniejsza niż oddychanie. Jestem Ormianką, Ojciec Balonu, który Noszę Wszędzie w Swym Brzuchu. Uczymy się od dziecka, jak to muzułmanie – w szczególności Turcy, oczywiście – od niepamiętnych czasów mordowali ormiańskich chrześcijan. Jak to nigdy nie można im ufać. I wiesz co? Kiedy szukam dowodów, historycznych i współczesnych, nie muszę wstawać z fotela.

Dlatego nadal będę pisała eseje Martela i nadal będę się śmiać, kiedy oskarżają Petera o ich autorstwo. Oczywiście, robię to na jego prośbę, co – jak rozumiem – robiła też Valentine, gdy pisała eseje Demostenesa, kiedy wszyscy byliśmy jeszcze w szkole. Ale sam wiesz, że ludzie nie słuchaliby tych jego tekstów Lincolna, gdyby nie byli też przerażeni. Albo przerażeni, że islamiści zdobędą świat (id est, bardziej konkretnie, ich najbliższe sąsiedztwo), albo przerażeni straszliwym rozlewem krwi, jaki nastąpi, kiedy kraje z islamskimi mniejszościami zaczną ograniczać ich prawa albo je usuwać.

Poza tym, Groszku, wydaje mi się, że to, co piszę, to prawda. Alai chce dobrze, ale najwyraźniej nie panuje nad swoimi fanatycznymi zwolennikami. Oni naprawdę mordują ludzi i nazywają to „egzekucjami”. Naprawdę starają się zawładnąć Indiami. Naprawdę agitują, wywołują zamieszki, czasem dokonują jakichś okrutnych zbrodni w Europie, bo próbują skłonić państwa europejskie, by zadeklarowały się po stronie kalifa i zaprzestały handlu z Chinami, które zaopatrują Virłomi.

A teraz niniejszy esej dobiega końca, ponieważ bóle żołądka, jakie ostatnio odczuwałam, najwyraźniej nie są bólami żołądka. Twoje dziecko myśli, że to już pora – dwa miesiące przed terminem. Proszę, wracaj jak najszybciej.

Peter czekał przed izbą porodową, razem z Antonem i Ferreirą.

- Czy ten przedwczesny poród coś oznacza? - zapytał Antona.

- Nie chcieli pozwolić lekarzom na badania prenatalne, więc nie mam żadnego sensownego materiału genetycznego, na którym mógłbym pracować. Ale wiem, że na początkowych etapach dojrzewanie jest mocno przyspieszone. Wydaje mi się, że przedwczesny poród sugeruje włączenie klucza.

- Myślę - rzekł Peter - że to może być przełom, potrzebny do odszukania pozostałych dzieci i wykrycia siatki Volescu.

- Bo te inne też mogą być wcześniakami? - spytał Ferreira.

- Sądzę, że Volescu zostawił jakiś wyłącznik martwej ręki i jakiś czas po jego aresztowaniu poszło ostrzeżenie, żeby wszystkie zastępcze matki zniknęły. Wcześniej by nam to nie pomogło, bo nie wiedzieliśmy, kiedy został wysłany sygnał, a choć ciężarne kobiety są może jedną z bardziej stabilnych grup demograficznych, to jednak przemieszczają się ich setki tysięcy. Ferreira skinął głową.

- Ale teraz spróbujemy skorelować przedwczesne porody z nieoczekiwanymi przeprowadzkami w tym samym czasie co u innych kobiet, podobnie przedwcześnie rodzących.

- A potem trzeba sprawdzić finansowanie. Będą miały najlepszą opiekę szpitalną i ktoś za nią płaci.

- Chyba że - wtrącił Anton - poród był przedwczesny, ponieważ sama Petra ma jakieś problemy.

- W jej rodzinie nie ma historii wcześniaków - oświadczył Peter. - A dziecko rozwija się szybko. Nie pod względem wielkości, naturalnie, ale wszystkie organy wykształciły się przed terminem. Wydaje mi się, że jest takie jak Groszek. Uważam, że klucz został przekręcony. Wykorzystajmy to zatem, żeby odkryć, gdzie podróżował Volescu i gdzie mogą czekać na uwolnienie te wirusy.

- Nie wspominając przy tym o odnalezieniu dzieci Petry i Groszka - dodał Anton.

- Oczywiście - zgodził się Peter. - To nasz główny cel. - Zwrócił się do pielęgniarki. - Niech ktoś mnie zawiadomi, kiedy będzie już coś wiadomo o stanie matki i dziecka.

* * *

Groszek usiadł przy łóżku Petry.

- Jak się czujesz?

- Nie tak źle, jak myślałam.

- To zaleta wcześniejszego porodu. Mniejsze dziecko, łatwiejszy przebieg. Mały jest w świetnym stanie. Trzymają go na OIOM--ie dla noworodków tylko dlatego, że jest taki mały. Wszystkie organy działają.

- Więc ma... Jest taki jak ty...

- W tej chwili Anton nadzoruje analizy. Ale owszem, tak przypuszczam. - Wziął ją za rękę. - Tego właśnie chcieliśmy uniknąć.

- Jeśli jest taki jak ty, to nie żałuję.

- Jeśli jest taki jak ja, to znaczy, że Volescu nie miał żadnego testu. Albo miał i odrzucił dzieci, które były normalne. A może wszystkie są takie jak ja.

- Tego chciałeś uniknąć - szepnęła.

- Nasze maleńkie cuda...

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowany. Mam nadzieję... Pomyśl o tym jak o szansie, by się przekonać, jakie mogłoby być twoje życie, gdybyś dorastał z rodzicami, w normalnym domu. A nie ledwie się ratował, a potem walczył o przetrwanie na ulicach Rotterdamu.

- W wieku jednego roku.

- Pomyśl, jak to będzie: wychowywać to dziecko z miłością, uczyć je tak szybko, jak zechce się uczyć. Wszystkie te utracone lata odzyskane teraz dla naszego syna.

Groszek pokręcił głową.

- Miałem nadzieję, że dziecko będzie normalne. Miałem nadzieję, że wszystkie będą normalne. Żeby nie musiał się nad tym zastanawiać.

- Nad czym?

- Czy zabrać je ze sobą.

- Zabrać? Dokąd?

- MF ma nowy statek. Całkiem tajny. Pojazd kurierski. Wykorzystuje pole grawitacyjne, żeby zwiększyć akcelerację: do prędkości światła w ciągu tygodnia. Plan jest taki, że kiedy znajdziemy już wszystkie dzieci, zabiorę te podobne do mnie, wystartujemy i będziemy lecieć, dopóki nie znajdą lekarstwa.

- Kiedy już odleczisz, dlaczego sądzisz, że flota zechce nadal szukać lekarstwa?

- Bo chcą wiedzieć, jak przełączyć klucz Antona bez skutków ubocznych - wyjaśnił Groszek. - Będą nad tym pracować.

Petra kiwnęła głową. Przyjęła to lepiej, niż się spodziewał.

- No dobrze - zgodziła się. - Jak tylko odnajdziemy wszystkie dzieci. Potem lecimy.

- My?

- Zapewne w twojej legumocentrycznej wizji wszechświata nie przyszło ci nawet do głowy, że nie ma żadnego powodu, bym z tobą nie poleciała.

- Petro, to oznacza usunięcie się poza ludzkość. Dla mnie to co innego, bo ja nie jestem człowiekiem.

- Co ty powiesz...

- Jakie to byłoby życie dla normalnych dzieci? Dorastanie na statku kosmicznym...

- Groszku, przecież dla nas to będą zaledwie tygodnie. Jak bardzo zdążą dorosnąć?

- Będziesz odcięta od świata. Od swojej rodziny... od wszystkich.

- Ty głupi mężczyzno - odpowiedziała. - Teraz ty jesteś wszystkim. Ty i nasze dzieci.

- Mogłabyś wychować normalne dzieci... normalnie. Z dziadkami. Normalne życie...

- Życie bez ojca. A ich rodzeństwo na statku, więc nigdy ich nawet nie poznają. Raczej nie, Groszku. Myślisz, że urodziłam tego chłopca, a teraz pozwolę, żeby ktoś mi go odebrał?

Groszek pogładził ją po policzku, po włosach.

- Petro, jest cała masa racjonalnych argumentów przeciwko temu, co mówisz, ale właśnie urodziłaś mi syna, więc nie mam ochoty się z tobą kłócić.

- Masz rację - przytaknęła. - Koniecznie unikajmy kłótni do czasu, kiedy pozwolą mi pierwszy raz się nim zająć, a wtedy będzie tym bardziej niemożliwe, żebym zgodziła się z nim rozstać. Ale coś ci powiem już teraz. Nigdy nie zmienię zdania. A jeżeli tak to zorganizujesz, że wymkniesz się ukradkiem i ukradniesz mi syna, zostawisz mnie jako wdowę nawet bez dziecka, które mogłabym wychowywać, to będziesz gorszy niż Volescu. Kiedy on porwał nam dzieci, wiedzieliśmy, że jest amoralnym potworem. Ale ty... ty jesteś moim mężem. Jeśli zrobisz mi coś takiego, będę się modlić do Boga, żeby wrzucił cię do najgłębszych otchłani piekieł.

- Petra, wiesz przecież, że nie wierzę w piekło.

- Ale piekłem będzie dla ciebie świadomość, że się o coś takiego modłę.

- Petro, nie zrobię niczego, na co się nie zgodzisz.

- W takim razie lecę z tobą - oświadczyła. - Bo nigdy się nie zgodzę na nic innego. Czyli postanowione. Nie ma żadnej dyskusji, którą powinniśmy przeprowadzić, kiedy już będę myśleć racjonalnie. Już teraz jestem tak racjonalna, jak to tylko możliwe. Właściwie to nie ma żadnego racjonalnego powodu, żebym z tobą nie leciała, jeśli zechcę. To doskonały pomysł. A dorastanie na statku kosmicznym musi być lepsze od bycia sierotą na ulicach Rotterdamu.

- Nic dziwnego, że dali ci imię od skały - zauważył Groszek.

- Nie ustępuję i nie daję się drażnić. Nie jestem zwykłą skałą, jestem diamentem.

Powieki zaczęły jej ciążyć.

- Śpij teraz, Petro.

- Tylko jeśli będę mogła cię trzymać za rękę. Mocno ścisnęła jego dłoń.

- Zmusiłam cię, żebyś dał mi dziecko - powiedziała. - Niech ci się nie wydaje, że w tej sprawie też nie postawię na swoim.

- Już ci obiecałem, Petro - przypomniał jej Groszek. - Cokolwiek zrobimy, zrobimy dlatego, że zgodzisz się, iż to słuszna decyzja.

- Pomyśleć, że chciałeś mnie zostawić... Podróż do... donikąd. Jakby nigdzie było

lepsze niż życie przy mnie.

- Masz rację, skarbie - zapewnił, wolną ręką gładząc ją po ramieniu. - Nigdzie nie jest lepiej niż przy tobie.

* * *

Ksiądz ochrzcił dziecko. Oczywiście nie pierwszy raz przychodził na oddział noworodków. Często wcześniej chrzczył słabowite wcześniaki, zanim umarły. Chyba z ulgą przyjął wiadomość, że to dziecko jest zdrowe i silne, i że zapewne przeżyje, mimo że takie malutkie.

- Andrew Arkanianie Delphiki, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Wokół inkubatora zebrał się spory tłumek. Rodzina Groszka, rodzina Petry, naturalnie Anton, Ferreira i Peter, rodzice Wigginów, Suriyawong i ci z małej armii Groszka, którzy akurat nie byli na służbie. Musieli przewieźć inkubator do poczekalni, żeby wszyscy się zmieścili.

- Będziecie go nazywać Ender, prawda? - zapytał Peter.

- Dopóki nie każe nam przestać - potwierdziła Petra.

- Co za ulga - odezwała się Theresa Wiggin. - Teraz nie będziesz musiał własnego dziecka nazywać imieniem brata, Peter.

Peter zignorował ją, co oznaczało, że te słowa naprawdę go zabolą.

- Dziecko dostało imię świętego Andrzeja - oświadczyła matka Petry. - Dzieci nazywa się imionami świętych, nie żołnierzy.

- Oczywiście, mam - zgodziła się Petra. - Ender i nasz synek obaj dostali imię po świętym Andrzeju.

* * *

Anton i jego zespół sprawdzili, że owszem, dziecko stanowczo miało syndrom Groszka. Klucz był przekreślony. A porównanie dwóch zestawów genowych dowiodło, że modyfikacje genetyczne Groszka zostały przekazane w całości.

- Nie ma powodów, by przypuszczać, że wszystkie dzieci będą miały tę modyfikację - wyjaśnił Anton Groszkowi, Petrze i Peterowi. - Istnieje jednak prawdopodobieństwo, że jest to cecha dominująca. Jeśli tak, każde dziecko, które ją posiada, czeka przyspieszony rozwój.

- Przedwczesny poród - rzekł Groszek.

- Możemy też zgadywać, że statystycznie połowa z ośmiorga dzieci powinna mieć tę cechę. Prawo Mendla. Nie zawsze pewne, ponieważ mówi o zdarzeniach losowych. Może więc tylko troje, a może pięcioro. Czy nawet więcej. Albo może to jest jedyne. Ale

największa szansa...

- Wiemy, jak działa prawdopodobieństwo, profesorze - przerwał mu Ferreira.

- Chciałem tylko podkreślić niepewność wyniku.

- Proszę mi wierzyć, nieoznaczoności to moje życie. W tej chwili znaleźliśmy już albo dwadzieścia kilka, albo prawie setkę grup kobiet, które rodziły nie dalej niż dwa tygodnie przed Petrą lub po niej i które przeprowadziły się w tym samym czasie co inne z ich grupy, od dnia aresztowania Volescu.

- Jak możecie nie wiedzieć choćby tego, ile macie grup? - zdziwił się Groszek.

- Kryteria selekcji - odpowiedziała mu Petra.

- Jeśli podzielimy je na grupy kobiet, które wyjechały w przedziale do sześciu godzin, dostajemy wyższą liczbę. Jeśli na grupy kobiet, które wyjeżdżały w przedziale do dwóch dni, to niższą. Możemy przesuwając ramy czasowe, a wtedy grupy także się przesuwają.

- A co z przedwczesnymi porodami tych dzieci?

- To wymagałoby założenia, że lekarze wiedzieli, że dzieci są wcześniakami. Dlatego szukaliśmy raczej niskiej wagi urodzeniowej. Wyeliminowaliśmy dzieci, które mieściły się powyżej dolnej granicy normy. Większość z nich to pewnie wcześniaki. Ale nie wszystkie.

- I jeszcze nie wiemy - dodała Petra - czy dzieci rozwijały się w tym samym tempie.

- To wszystko, o co możemy się zaczepić - stwierdził Peter. - Jeżeli się okaże, że klucz Antona nie u wszystkich prowadzi do porodu po mniej więcej tym samym okresie ciąży.... Cóż, to problem nie większy niż ten, że nie wiemy, czy implantacja była równoczesna dla wszystkich embrionów.

- Niektóre mogli zaimplantować później niż inne - uzupełnił Ferreira. - Dlatego zamierzamy dodawać do bazy danych kobiety, które urodziły dzieci o niskiej wadze porodowej i przeprowadzały się mniej więcej w czasie aresztowania Volescu. Zdajecie sobie sprawę, ile tam jest zmiennych, o których nie mamy pojęcia? Ile embrionów miało klucz Antona? Kiedy je zaimplantowano, o ile zaimplantowano wszystkie? Czy Volescu w ogóle ustawił wyłącznik martwej ręki?

- Sam chyba mówiłeś, że tak.

- Bo tak - przyznał Ferreira. - Tyle że nie wiemy, co ten wyłącznik powodował. Może uwolnienie wirusa. Może przekazanie matkom polecenia, by zmieniły miejsce pobytu. Może jedno i drugie. Może żadne.

- Wielu rzeczy nie wiemy - zauważył Groszek. - Zdziwiające, jak mało uyskaliśmy z komputera Volescu.

- Jest człowiekiem ostrożnym - wyjaśnił Ferreira. - Doskonale rozumiał, że w końcu

zostanie schwytany, a jego komputer przejęty. Dowiedzieliśmy się więcej, niż mógłby sobie wyobrazić, ale mniej, niż mieliśmy nadzieję.

- Szukajcie dalej - rzekła Petra. - A teraz pewna dzieciokształtna ssawka czeka, żeby umocować ją do jednej z najdelikatniejszych części ciała. Obiecacie mi, że zęby nie wyrosną mu za wcześnie.

- Nie wiem - mruknął Groszek. - Nie pamiętam, żebym ich nie miał.

- Dzięki za słowa pociechy.

* * *

Groszek wstał w nocy, jak zwykle, by Endera zanieść Petrze do karmienia. Mały miał mocne płuca, a głos także nie najsłabszy.

I jak zwykle, kiedy dziecko zaczęło ssać, Groszek patrzył, dopóki Petra nie odwróciła się na drugi bok, by karmić z drugiej piersi. Potem zasnął.

I znów się obudził. Zwykle się to nie zdarzało, więc całkiem możliwe, że sytuacja codziennie wyglądała tak samo. Ponieważ Petra nadal karmiła dziecko, ale też płakała.

- Co się stało, dziecinko? - zapytał, dotykając jej ramienia.

- Nic. - Przestała płakać.

- Nie próbuj mnie okłamywać - poprosił Groszek. - Płakałaś.

- Jestem taka szczęśliwa.

- Myślałaś, ile lat będzie miał mały Ender, kiedy umrze.

- To głupie - stwierdziła. - Polecimy statkiem kosmicznym i wrócimy, kiedy już znajdą lekarstwo. Dożyje stu lat.

- Petra... - szepnął Groszek.

- No co? Przecież nie kłamię.

- Płakałaś, ponieważ w sercu widzisz już śmierć swojego dziecka.

Usiadła, przytulając śpiącego już Endera.

- Groszku, naprawdę marnie ci idzie zgadywanie w takich sprawach. Płakałam, bo myślałam o tobie, kiedy byłeś taki mały i nie miałeś ojca, do którego mogłeś pójść, żeby cię przytulił, kiedy płakałeś w nocy, ani matki, żeby tuliła cię i karmiła piersią. Nie poznałeś miłości.

- Ale kiedy w końcu odkryłem, czym jest, dostałem jej więcej, niż mógłby pragnąć człowiek.

- Święta prawda - zgodziła się Petra. - I lepiej o tym nie zapominać.

Wstała i odniosła syna do łóżeczka.

Łzy stanęły Groszkowi w oczach. Nie z żalu nad sobą jako dzieckiem. Ale pomyślał o

siostrze Carlottcie, która była dla niego matką i została z nim długo, by zrozumiał, co to jest miłość i zdołał oddać jej choć trochę. A część z tych łez była dla Buch, która przygarnęła go, gdy umierał z niedożywienia w Rotterdamie.

Petro, czy nie rozumiesz, jak krótkie jest życie, nawet jeśli nie cierpi się na jakąś chorobę typu klucza Antona? Tak wielu ludzi przedwcześnie spoczywa w grobach, a niektórych sam tam posłałem. Nie płacz nade mną. Płacz nad moimi braćmi, których Volescu się pozbył, gdy usuwał dowody swoich zbrodni. Płacz nad wszystkimi dziećmi, których nikt nigdy nie kochał.

Uważał, że jest delikatny, odwracając głowę, żeby Petra nic nie zobaczyła. Ale zobaczyła czy nie, kiedy wróciła do łóżka, przysunęła się blisko i go objęła.

Jak mógł wyznać tej kobiecie - która kochała go tak bardzo, że nie wiedział, jak się jej odwdzięczyć - jak mógł powiedzieć, że ją okłamał? Nie wierzył, że kiedykolwiek odkryją lekarstwo na klucz Antona.

Trafi na statek z dziećmi cierpiącymi na tę samą chorobę, wystartuje i ruszy ku gwiazdom. Pożyje dostatecznie długo, by nauczyć je, jak obsługiwać kosmolot. Będą prowadzić badania. Będą ansiblem przysyłać do domu raporty. Zaznaczą na mapach planety nadające się do zamieszkania dalej, niż jakikolwiek człowiek chciałby polecieć. W ciągu piętnastu czy dwudziestu lat subiektywnego czasu przeżyją tysiące lat czasu rzeczywistego. Zbiorą masę bezcennych danych. Staną się pionierami stu kolonii, może więcej.

A potem umrą, nie pamiętając, by kiedykolwiek postawili stopę na powierzchni planety, nie mając swoich dzieci, które przeniosłyby chorobę do następnego pokolenia.

A wszystko to będzie możliwe do zniesienia, dla nich i dla Groszka, ponieważ będą wiedzieli, że w domu, na Ziemi, ich matka i zdrowe rodzeństwo prowadzi normalne życie, zawierają małżeństwa, mają własne dzieci, tak że zanim ich tysiącletnia podróż dobiegnie końca, każda żyjąca istota ludzka w taki czy inny sposób będzie z nimi spokrewniona.

I w ten sposób staniemy się częścią wszystkiego.

Nieważne, co ci obiecałem, Petro. Nie polecisz ze mną ani ty, ani żadne z naszych zdrowych dzieci. A pewnego dnia zrozumiesz i wybaczysz mi, że złamałem dane ci słowo.

9

Emerytura

From: PeterWiggin%personal@hegemon.gov
To: Champi T'it'u@QuechuaNation.Freenet.ne.com
Subject: Nadzieja dla ludów Keczua i Aymara

Drogi Champi T'it'u,

dzięki, że zgodziłeś się mnie odwiedzić. Biorąc pod uwagę, że próbowałem nazywać cię Kulfonem, jakbyś wciąż był dzieciakiem w Szkole Bojowej i przyjacielem mojego brata, dziwię się, że od razu nie spuściłeś mnie ze schodów.

Tak jak obiecałem, przesyłam ci aktualny projekt konstytucji Wolnych Ludów Ziemi. Poza najbardziej wewnętrznym kręgiem urzędników Hegemonii jesteś pierwszą osobą, która go ogląda. Pamiętaj proszę, że to dopiero projekt. Będę wdzięczny za wszelkie sugestie.

Moim celem jest stworzenie konstytucji, która będzie równie atrakcyjna dla narodów mających własne, uznawane państwa, jak dla ludów, które wciąż pozostają bezpaństwowe. Nie powiedzie się to, jeśli język konstytucji nie będzie identyczny dla obu tych grup. Zatemz pewnych aspiracji będziecie musieli się wycofać i z pewnych żądań zrezygnować. Ale zauważysz, jak sładzę, że to samo dotyczy państw zajmujących obecnie terytoria, których pragniesz dla ludów Keczua i Aymara.

Zasady większości, samodzielności, bezpośredniego sąsiedztwa i spójności zagwarantują wam samorządne terytorium, choć istotnie mniejsze od tego, którego się dziś domagacie.

Jednak wasze obecne żądania, choć historycznie uzasadnione, są przecież nie do zaspokojenia bez krwawej wojny. Twoje zdolności militarne są wystarczające, by zagwarantować, że walka będzie o wiele bardziej wyrównana, niż spodziewają się rządy Ekwadoru, Peru, Boliwii i Kolumbii. Ale jeśli nawet odniesiesz całkowite zwycięstwo, kto będzie twoim następcą?

Mówię całkiem szczerze, ponieważ wierzę, że nie podążasz za iluzją, ale starasz się zrealizować konkretny, realny cel. Droga wojny może na jakiś czas przynieść sukces – a kluczowym słowem jest tu „może”, ponieważ na wojnie nic nie jest pewne. Jednakże cena krwi, strat gospodarczych i wrogości przyszłych pokoleń okaże się z pewnością wysoka.

Za to ratyfikacja konstytucji Hegemonii zagwarantuje wam ojczyznę, kraj, dokąd ci, którzy chcą być rządzeni jedynie przez przywódców Keczua i Aymara, i wychowywać dzieci w mowie Keczua i Aymara, będą mogli migrować swobodnie, nie prosząc nikogo o zgodę.

Zwróć jednak uwagę na klauzulę nieodwracalności. Obiecuję ci, że będzie traktowana bardzo poważnie. Nie ratyfikujcie konstytucji, jeśli ty i twoi ludzie nie zamierzacie jej przestrzegać.

Co do osobistego pytania, jakie mi zadałeś:

Nie wierzę, by miało znaczenie, czy to ja będę tym, który zjednoczy świat pod jednym rządem. Żaden człowiek nie jest niezastąpiony. Jednakże jestem całkiem pewien, że potrzebny jest do tego ktoś właśnie taki jak ja. W chwili obecnej jedyną osobą spełniającą te wymagania jestem ja.

To musi być ktoś oddany idei rządu liberalnego z możliwie najwyższym poziomem wolności osobistej. Ale także zdecydowany nie tolerować żadnego naruszenia pokoju czy ucisku jednego narodu przez drugi. Oraz dostatecznie silny, by do tego doprowadzić i by tę sytuację utrzymać.

Przyłącz się do mnie, Champi T'it'u, a nie będziesz już buntownikiem ukrywającym się w Andach. Będziesz głową państwa w ramach konstytucji Hegemonii. A jeśli okażesz cierpliwość i poczekasz, aż uzyskam ratyfikację przynajmniej dwóch z zainteresowanych narodów, wtedy ty i cały świat zobaczycie, jak pokojowo i sprawiedliwie mogą być rozstrzygane prawa miejscowych ludów.

To działa tylko wtedy, gdy każda ze stron zdecydowana jest ponieść ofiary niezbędne dla zapewnienia pokoju i wolności pozostałych stron. Jeśli choćby jedna ze stron zdecyduje się na drogę wojny i napaści, to pewnego dnia poczuje na sobie pełną siłę nacisku, jaki mogą zastosować Wolne Ludy. W tej chwili nie jest to wiele. Ale jak sądzisz, ile czasu potrwa, nim sprawię, by była to siła, z którą należy się liczyć?

Jeśli staniesz przy mnie, Champi T'it'u, nie będziesz potrzebował innych sprzymierzeńców.

Pozdrawiam Peter

Coś gnębiło Groszka. Krążyło gdzieś w głębi umysłu. Z początku sądził, że to uczucie wywołane zmęczeniem, zbyt krótkimi okresami nieprzerwanego snu nocą. Potem przypisał je niepokoju, ponieważ jego przyjaciele - no, w każdym razie przyjaciele Endera i Petry - zaangażowali się w Indiach w walkę na śmierć i życie, i prawdopodobnie nie mogą wszyscy w niej wygrać.

I nagle, zmieniając Enderowi pieluchę, zrozumiał. Może z powodu imienia dziecka. A może, pomyślał z goryczą, z powodu tego, czym ubabrał sobie ręce.

Po czym ruszył na poszukiwanie Petera.

Naturalnie, nie było łatwo przedostać się do niego. Co nie znaczy, że w Ribeirao Preto panowała straszliwa biurokracja. Ale dostatecznie silna, by Peter mógł sobie pozwolić na kilka warstw ochronnych. Nikogo, kto stał po prostu na straży, ale tu sekretarka, tam urzędnik... Groszek musiał się tłumaczyć trzy razy - o wpół do szóstej rano - zanim w ogóle dotarł do Theresy Wiggin.

Ale kiedy się teraz zastanowił, uznał, że właśnie ją chciał zobaczyć.

- Rozmawia przez telefon z jakąś europejską grubą rybą - wyjaśniła.

- I albo się podlizuje, albo jemu się podlizują, zależnie od tego, jakie duże jest państwo.

- Więc dlatego wszyscy są na nogach tak wcześnie...

- Stara się wstawać wcześnie, żeby złapać jeszcze część dnia pracy w Europie. Co jest trudne, bo to zwykle tylko kilka godzin z rana. Ich rana.

- W takim razie porozmawiam z tobą.

- Ciekawe - stwierdziła Theresa. - Sprawa tak ważna, że zrywasz się o wpół do szóstej, żeby złapać Petera, a kiedy odkrywasz, że rozmawia przez telefon, możesz omówić ją ze mną.

Powiedziała to z taką werwą, że Groszek mógłby nie zauważyć gorzkiej skargi ukrytej w tych słowach.

- Ciągłe traktuje cię jak ceremonialną matkę? - zapytał.

- Jak myślisz, czy motyl konsultuje się z kokonem?

- A... jak cię traktują inne twoje dzieci? Jej twarz pociemniała.

- Czy to twoja sprawa?

Nie był pewien, czy pytanie miało być ironiczne - jakby „to nie twoja sprawa” - czy szczerze - „czy w tej sprawie przyszedłeś?”. Uznał, że raczej to pierwsze.

- Ender jest moim przyjacielem - oświadczył. - Bardziej niż ktokolwiek inny, oprócz Petry. Brakuje mi go. Wiem, że na jego statku jest ansibl. Zastanawiałem się.

- Mam czterdzieści sześć lat - odparła Theresa. - Kiedy Val i Andrew dotrą do celu, będę... stara. Po co mieliby do mnie pisać?

- Czyli nie pisali.

- Jeśli nawet, to MF nie uznała za właściwe, by mnie poinformować.

- Marnie im idzie dostarczanie poczty, jak pamiętam. Uważają chyba, że najlepszą terapią rodzinną jest „co z oczu, to i z serca”.

- Albo Andrew i Valentine nie można przeszkadzać. - Wpisała coś na komputerze. - Gotowe. Kolejny list, którego nigdy nie wysłę.

- Do kogo?

- Komu. Komu nie wysłę. Wy, cudzoziemcy, prymitywizujecie nasz język.

- Nie mówię po angielsku. Mówię we wspólnym. We wspólnym listy wysyła się do kogoś.

- Piszę do Virlomi i tłumaczę jej, że powinna zmańdrzeć, uświadomić sobie, że Suriyawong nadal ją kocha i że nie warto odgrywać bogini w Indiach, kiedy może być nią naprawdę, wychodząc za mąż i rodząc dzieci.

- Ona nie kocha Suriego - stwierdził Groszek.

- Jest ktoś inny?

- Indie. U niej poszło to dalej niż patriotyzm.

- Matriotyzm. Nikt nie myśli o Indiach jak o ojczyźnie, kraju ojcowskim.

- A ty jesteś matriarchą. Udzielasz macierzyńskich rad dzieciakom ze Szkoły Bojowej.

- Tylko z jeeshu Endera, choć nie tylko tym, którzy akurat w tej chwili są głowami państw, przywódcami powstań czy też, w tym wypadku, początkującymi bóstwami.

- Mam do ciebie tylko jedno pytanie - rzekł Groszek.

- Aha. Wracamy do sedna.

- Czy Ender dostaje emeryturę?

- Emeryturę? Tak, chyba tak. No tak. Oczywiście.

- I co robi ta emerytura, kiedy on tłucze się naprzód z prędkością światła?

- Obrasta w odsetki, jak przypuszczam.

- Czyli nie ty nią zarządzasz?

- Ja? Nie wydaje mi się.

- Twój mąż?

- To ja zajmuję się pieniędzmi - oświadczyła Theresa. - Tymi, które mamy. My nie dostajemy emerytury. Hm, teraz się zorientowałam, że nie dostajemy też pensji. Oboje mamy bezpłatny urlop z uniwersytetu, ponieważ było zbyt niebezpieczne, żeby potencjalni zakładnicy chodzili sobie tam, gdzie wrogowie mogliby nas porwać. Oczywiście główny porywacz już nie żyje, ale... zostaliśmy tutaj.

- Czyli MF trzyma pieniądze Endera?

- Do czego zmierzasz? - zdziwiła się Theresa.

- Sam nie wiem - przyznał Groszek. - Wycierałem pupę małemu Enderowi i pomyślałem, że strasznie dużo tam kupy.

- Dzieci ssą i ssą. Pierś jakoś się nie zmniejsza. A robią więcej, niż mogłyby wyssać z tej piersi, nie zmieniając jej w rodzynek.

- A potem przyszło mi do głowy, że wiem, ile sam dostaję emerytury, a jest tego sporo. Właściwie nie musiałbym już nigdy pracować, aż do śmierci. Petra też nie. Większość po prostu inwestujemy. Pakujemy w różne przedsięwzięcia. I to szybko rośnie. Już niedługo nasz dochód z zainwestowanych emerytur będzie większy niż emerytury, jakie zainwestowaliśmy. Oczywiście to dlatego, że mamy dostęp do wewnętrznych informacji. Wiesz, jakie wojny wybuchną, a jakie tylko będą syczeć... Takie rzeczy.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś powinien pilnować pieniędzy Andrew?

- Wiesz co? Dowiem się od Graffa, kto się tym zajmuje.

- Chcesz je inwestować? - spytała Theresa. - Zająć się brokerstwem albo doradztwem finansowym, kiedy Peter osiągnie już pokój na świecie?

- Nie będzie mnie tutaj, kiedy Peter...

- Groszku, na miłość boską, nie bierz mnie tak poważnie i nie wzbudzaj poczucia winy za to, że się zachowuję, jakbyś nie miał wkrótce umrzeć. Wolę nie myśleć o tym, że umierasz.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie jestem najlepszą osobą, żeby zajmować się... portfolio Endera.

- Czyli... kto?

- A nie „komu” ?

Skrzywiła się.

- Nie, wcale nie. Nawet gdybyś mówił po angielsku.

- Nie wiem. Nie mam żadnego kandydata.

- I dlatego chciałeś się naradzić z Peterem. Groszek wzruszył ramionami.

- Ale to by nie miało sensu. Peter w ogóle się nie zna na inwestycjach i... Nie, nie, nie. Rozumiem, do czego zmierzasz.

- Jak, skoro sam nie jestem pewien?

- Och, jesteś pewien. Uważasz, że Peter finansuje część tego wszystkiego z emerytury Andrew. Sądziś, że defrauduje pieniądze brata.

- Wątpię, czy Peter nazwałby to defraudacją.

- No to jak by to nazwał?

- W opinii Petera Ender prawdopodobnie kupuje obligacje państwowe emitowane przez Hegemonię. I kiedy Hegemon będzie już rządził światem, Ender dostanie cztery procent rocznie, nieopodatkowane.

- Nawet ja rozumiem, że to marna inwestycja.

- Z finansowego punktu widzenia, pani Wiggin, Peter ma do dyspozycji więcej pieniędzy niż skromne składki, jakie wpłaca mu jeszcze te kilka płacących składki państw.

- Te płatności bywają wyższe i niższe - zauważyła Theresa.

- Mówi o tym?

- John Paul jest bliżej tych spraw. Kiedy świat boi się wojny, do Hegemonii płyną pieniądze. Niedużo, ale zawsze trochę więcej.

- Gdy pierwszy raz tu trafiłem, był Peter, was dwoje i żołnierze, których przyprowadziliśmy. Paru sekretarzy. I mnóstwo długów. A jednak Peter zawsze miał dość pieniędzy, żeby wysłać nas helikopterami, które ściągnęliśmy. Pieniądze na paliwo, pieniądze na amunicję...

- Groszku, co zyskasz, jeśli oskarżysz Petera o defraudację emerytury Endera? Sam wiesz, że Peter się na tym nie bogaci.

- Ale staje się Hegemonem. Któregoś dnia Ender może potrzebować tych pieniędzy.

- Ender nigdy nie wróci na Ziemię. Jaką wartość będą miały pieniądze na tym nowym świecie, który skolonizuje? Co w tym złego?

- Czyli nie przeszkadza pani, że Peter okrada własnego brata?

- Jeżeli to robi. W co wątpię.

Uśmiech Theresy wyglądał na wymuszony i oczy jej trochę błyszczały. Niedźwiedzica broniąca swojego małego...

- Broni pani syna, który pozostał, nawet jeśli oszukuje syna, który odleciał.

- Może wrócisz do siebie i zajmiesz się własnym dzieckiem, zamiast wtrącać się do moich?

- A pionierzy ustawiają wozy w krąg, żeby chronić się przed strzałami rodowitych Amerykanów.

- Lubię cię, Groszku. I martwię się o ciebie. Będzie mi ciebie brakowało, kiedy umrzesz. Zrobię co w mojej mocy, żeby ułatwić Petrze przetrwanie tego ciężkiego okresu. Ale trzymaj swoje hipopotamowate łapska z dala od mojego syna. Dźwiga na ramionach ciężar świata, gdybyś nie zauważył.

- Myślę, że chyba jednak nie będę dziś rano rozmawiał z Peterem.

- Cieszę się, że mogłam pomóc - zapewniła Theresa.

- Proszę unikać wspomniania mu, że wpadłem, dobrze?

- Z przyjemnością. Prawdę mówiąc, już zapomniałam, że tu jesteś.

Wróciła do komputera i zaczęła stukać w klawisze. Groszek miał nadzieję, że wpisuje przypadkowe słowa i ciągi liter, ponieważ była zbyt rozzłoszczona, by pisać coś sensownego. Zastanawiał się nawet, czy nie spojrzeć na ekran i nie sprawdzić. Ale Theresa była dobrym przyjacielem, który okazał się opiekuńczy względem swego syna. Nie warto robić sobie z niej wroga.

Odszedł; długie nogi niosły go szybciej, o wiele szybciej, niż powinien się poruszać człowiek idący tak wolno. Ale chociaż się nie spieszył, i tak czuł, że serce szybciej mu bije. Samo przejście korytarzem było jak krótka przebieżka.

Ile jeszcze mam czasu? Mniej niż wczoraj.

* * *

Theresa przyglądała się, jak odchodzi, i myślała: Kocham tego chłopca za to, że jest taki lojalny wobec Endera. I ma absolutną rację, podejrzewając Petera. Doskonale by to do niego pasowało. Nie zdziwiłabym się, gdyby Peter załatwił przywrócenie nam pensji na uniwersytecie, tyle że nic o tym nie wspomniał i zabiera nasze czeki.

Ale z drugiej strony... może w tajemnicy płacą mu Chiny albo Ameryka, albo jeszcze jakiś inny kraj, który ceni sobie jego działania jako Hegemonia.

Chyba że cenią sobie jego działalność jako Lincolna. Albo jako Martela. O ile rzeczywiście pisze te eseje Martela. Coś takiego śmierdziało Peterowymi metodami propagandy, tyle że styl całkiem nie pasował. A tym razem to raczej nie Valentine. Czyżby znalazł innego autora do pomocy?

Może ktoś mocno finansował sprawę Martela, a Peter odbierał pieniądze, żeby posuwać naprzód własną...

Ale nie. Wieści o takich wpłatach szybko by się rozniosły. Peter nie byłby taki głupi, żeby przyjmować pieniądze, które by go skompromitowały, gdyby prawda wyszła na jaw.

Sprawdzę u Graffa, czy MF przekazuje emeryturę Peterowi. Jeśli tak, będę musiała go zabić, a w każdym razie zrobić minę typu „zawiodłeś mnie” i powściekać się na niego przed Johnem Paulem, kiedy będziemy sami.

* * *

Groszek powiedział Petrze, że idzie ćwiczyć z Surim i chłopakami. I tak zrobił - to znaczy poszedł w miejsce, gdzie ćwiczyli. Jednak cały czas przesiedział w jednym ze śmigłowców, skąd nawiązał kodowane i szyfrowane połączenie z dawną stacją kosmiczną Szkoły Bojowej, gdzie Graff kompletował swoją flotyllę statków kolonizacyjnych.

- Zamierzasz mnie odwiedzić? - spytał Graff. - Chcesz się wybrać na wycieczkę w kosmos?

- Jeszcze nie - odparł Groszek. - Dopóki nie odnajdę swoich dzieci.

- Czyli masz inne sprawy do omówienia?

- Tak. Ale natychmiast pan zrozumie, że sprawa, o której chcę porozmawiać, to właściwie nie moja sprawa.

- Nie mogę się doczekać. Nie, muszę poczekać. Mam telefon, który muszę przyjąć. Nie rozłączaj się chwilę, proszę.

I syk atmosfery, pól magnetycznych i promieniowania pomiędzy stacją a powierzchnią Ziemi. Groszek chciał już przerwać łączność i poczekać na następną okazję. Albo może w ogóle porzucić to głupie śledztwo.

Już miał zakończyć połączenie, kiedy Graff wrócił.

- Przepraszam cię. Jestem w samym środku trudnych negocjacji z Chinami; chcę, żeby pozwolili na emigrację parom w wieku rozrodczym. A oni chcą nam wysłać część swoich nadmiarowych mężczyzn. Tłumaczę, że zakładamy kolonię, a nie prowadzimy wojnę. Ale... wiesz, negocjacje z Chińczykami. Wydaje ci się, że słyszysz „tak”, a następnego dnia odkrywasz, że bardzo delikatnie powiedzieli „nie” i teraz chichoczą, zakrywając usta dłońmi.

- Tyle lat kontrolowali liczbę ludności, a teraz nie chcą wypuścić nędznych paru tysięcy - mruknął Groszek.

- No więc dzwoniłeś do mnie. Co takiego nie jest twoją sprawą?

- Dostaję swoją emeryturę. Petra dostaje swoją. Kto dostaje Enderową?

- Szybko przechodzisz do rzeczy.

- Trafia do Petera?

- To znakomite pytanie.

- Mogę coś zasugerować?

- Proszę. O ile sobie przypominam, znany jesteś ze zgłaszania interesujących sugestii.

- Przestańcie wysyłać te pieniądze komukolwiek.
- Jestem teraz ministrem kolonizacji - przypomniał mu Graff. - Przyjmuję polecenia od Hegemona.
- Tkwi pan tak głęboko w łóżku z MF, że Chamrajnagar bierze pana za hemoroid i budzi się, drapiąc pana.
- Tkwi w tobie ogromny, nietknięty potencjał poetycki.
- Sugeruję - rzekł Groszek - by skłonić MF, żeby pieniądze Endera przekazywała jakiejś stronie neutralnej.
- Kiedy chodzi o pieniądze, nie ma stron neutralnych. I MF, i program kolonizacyjny wydają je tak szybko, jak tylko przychodzą. Nie mamy pojęcia, gdzie zacząć z programem inwestycyjnym. A jeśli przypuszczasz, że zaufam jakiemuś ziemskiemu funduszowi powierniczemu i oddam im wszystkie oszczędności bohatera wojennego, który nawet nie będzie w stanie o nie zapytać przez najbliższe trzydzieści lat, to chyba zwariowałeś.
- Myślałem, że moglibyście je oddać programowi komputerowemu.
- I uważasz, że myśmy na to nie wpadli? Najlepsze programy inwestycyjne są tylko o dwa procent lepsze w przewidywaniu tendencji rynkowych i przynoszeniu dodatnich wyników, niż gdybyś po prostu zamknął oczy i stukał szpilką w listę spółek giełdowych.
- Chce pan powiedzieć, że z całym swoim doświadczeniem, ze wszystkimi zespołami komputerowymi, flota nie jest w stanie wymyślić neutralnego programu, który zajmie się pieniędzmi Endera?
- Ale dlaczego tak ci zależy, żeby robił to program?
- Ponieważ program nie robi się chciwy i nie próbuje kraść. Nawet w szlachetnym celu.
- Co z tego, że Peter korzysta z pieniędzy Endera? Bo przecież o to się martwisz. Jeśli nagle mu je odetniemy, na pewno to zauważy. Utrudni mu to działania.
- Ender ocalił świat. Ma prawo do swojej pełnej emerytury, kiedy tylko i o ile zechce z niej skorzystać. Są prawa chroniące interesy dziecięcych aktorów. Dlaczego nie bohaterów wojennych podróżujących z prędkością światła?
- Aha - powiedział Graf f. - Myślisz o tym, co się stanie, kiedy sam wyruszysz sondą, którą ci proponowaliśmy.
- Nie potrzebuję was, żebyście dbali o moje pieniądze. Petra doskonale da sobie radę. Chcę dać jej całkowite pełnomocnictwo.
- Czyli sądzisz, że już nigdy nie wrócisz.
- Zmienia pan temat. Program. Zarządzanie inwestycjami Endera.

- Semi-autonomiczny program, który...

- Nie „semi”. Autonomiczny.

- Nie ma autonomicznych programów. Poza tym rynek giełdowy nie da się modelować. Coś, co zależy od reakcji tłumu, nie da się dokładnie przewidywać przez dłuższe okresy. Jaki komputer zdoła sobie z czymś takim poradzić?

- Nie wiem - przyznał Groszek. - Czy ta gra, w którą kazaliście nam się bawić, nie przewidywała ludzkich zachowań?

- To bardzo specjalizowane oprogramowanie edukacyjne.

- Niech pan nie żartuje. To był wasz psycholog. Analizowaliście zachowania dzieci i...

- Zgadza się. Posłuchaj sam siebie. To my analizowaliśmy.

- Ale gra także. Przewidywała nasze ruchy. Kiedy grał Ender, zabierała go w miejsca, których reszta nigdy nie widziała. Ale gra wyprzedzała go zawsze. Całkiem niezły kawałek programu. Nie możecie go nauczyć, żeby grał w Menedżera Inwestycyjnego?

Graff wyraźnie się niecierpliwił.

- Nie wiem. A co takie starożytne oprogramowanie ma wspólnego z... Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakiego wysiłku ode mnie wymagasz tylko po to, żeby chronić emeryturę Endera, co do której nawet nie jestem pewien, czy wymaga ochrony?

- A powinien pan być pewien, że nie wymaga.

- Wina. Ty pozbawiony sumienia cudzie natury, naprawdę próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy...

- Dużo czasu spędziłem z siostrą Carlottą. Petra też jest całkiem niezła.

- Sprawdzę ten program. Sprawdzę, co się dzieje z pieniędzmi Endera.

- A tak z ciekawości, do czego ten program jest wykorzystywany teraz, kiedy nie macie już tam dzieci?

- Nie mamy tu nic oprócz dzieci - parsknął Graff. - Ale teraz grają w nią dorośli. Gra myślowa. Obiecałem tylko, że nie będzie analizowała ich rozgrywki.

- Czyli program wykonuje analizy...

- Tylko wstępne. Szuka anomalii. Niespodzianek.

- Chwileczkę... - rzucił Groszek.

- Chyba nie chcesz, żebym to ja zarządzał finansami Endera?

- Nie zmieniłem opinii w tej kwestii. Tylko zastanawiam się... Może program mógłby sprawdzić naprawdę potężną bazę danych, jaką tu mamy, i przeanalizować... no, poszukać jakichś wzorców, których my nie widzimy?

- Ta gra powstała dla bardzo specyficznych celów. Wyszukiwanie wzorców w bazach

danych nie było...

- Niech pan nie przesadza. Nic więcej nie robiła. Wzorce naszych zachowań. To, że bazy danych naszych reakcji tworzyła w locie, nie zmienia natury jej działania. Porównywała nasze zachowania z zachowaniami innych dzieci. Sprawdzała, do jakiego obłędu doprowadza nas wasz program edukacyjny.

Graff westchnął.

- Niech wasi komputerowcy skontaktują się z naszymi komputerowcami.

- Z pańskim błogosławieństwem. Żadne spowalnianie, mydlenie oczu, żadnego dymu i luster, które z założenia mają nie doprowadzić do niczego.

- Naprawdę tak się martwisz o pieniądze Endera?

- Martwię się o Endera. Pewnego dnia może potrzebować tych pieniędzy. Kiedyś obiecałem, że nie dopuszczę, by Peter skrzywdził Endera. Tymczasem nie zrobiłem nic, kiedy wysłał go w przestrzeń.

- Dla jego własnego dobra.

- Ender powinien mieć prawo głosu w tej sprawie.

- I miał - zapewnił Graff. - Gdyby upierał się przy powrocie na Ziemię, pozwoliłbym. Ale kiedy dołączyła do niego Valentine, był zadowolony.

- Świetnie - zgodził się Groszek. - A czy udzielił zgody na zagarnianie jego emerytury?

- Przypilnuję, żeby udało się zmienić tę grę fantasy w zarządcę finansowego. To bardzo złożony program. Dokonuje wielu autopoprawek i autouzupełnień. Być może, jeśli go poprosimy, potrafi przerobić własny kod i stać się tym, czym chcemy. Te komputery to w końcu magia.

- Zawsze tak sądziłem. To jak ze Świętym Mikołajem. Wy, dorośli, udajecie, że nie istnieje. Ale my wiemy, że on jest.

Po zakończeniu rozmowy z Graffem Groszek natychmiast połączył się z Ferreira. Był już dzień, więc Ferreira nie spał. Groszek opowiedział mu o planie wykorzystania programu gry myślowej do analizy niemożliwie wielkiej bazy niejasnych i w większości bezużytecznych informacji o przeprowadzkach ciężarnych kobiet, których dzieci miały niską wagę urodzeniową. Ferreira zapewnił, że zaraz weźmie się do pracy. Powiedział to bez entuzjazmu, ale Groszek wiedział, że nie jest człowiekiem, który nie spełni obietnicy tylko dlatego, że w to nie wierzy. Ferreira dotrzyma słowa.

Skąd o tym wiem? - zastanowił się Groszek. Skąd wiem, że mogę zaufać Ferreira, że popędzi za jakimś błędnym ognikiem, ponieważ obiecał? Skąd wiedziałem, nie wiedząc

nawet, że wiem, że Peter w części finansuje swoje operacje pieniędzmi, które kradnie Enderowi? Męczyło mnie to od dawna, zanim w końcu zrozumiałem.

Do licha, ależ jestem sprytny. Sprytniejszy niż dowolny program komputerowy, nawet gra myślowa.

Gdybym tylko umiał tym kierować.

Może nie mam zdolności świadomej analizy wielkich zbiorów danych i wyszukiwania w nich wzorców. Ale potrafię sobie radzić z bazą danych rzeczy, które obserwuję w Hegemonii i u Petera. I nawet bez zadawania pytania, nagle hop - wyskakuje odpowiedź.

Czy zawsze tak potrafiłem? Czy też mój rosnący mózg daje mi coraz silniejsze moce psychiczne?

Naprawdę powinienem się przyjrzeć paru matematycznym zagadkom i sprawdzić, czy zdołam znaleźć dowody tych... no, tego, czego nie umiem udowodnić, ale by chcieli.

Może Volescu jednak się tak bardzo nie mylił. Może cały świat pełen takich umysłów jak mój...

...nieszczęśliwych, samotnych, nieufnych umysłów jak mój. Umysłów, które cały czas widzą nad sobą bliską śmierć. Umysłów wiedzących, że nigdy nie zobaczą, jak dorastają ich dzieci. Umysłów pozwalających sprowadzić się w takie dygresje jak zajęcie się emeryturą przyjaciela, który prawdopodobnie nigdy nie będzie jej potrzebował.

Peter będzie wściekły, kiedy odkryje, że te czeki już do niego nie trafiają. Powinienem mu powiedzieć, że to wynik moich działań? Czy pozwolić wierzyć, że MF zrobiła to samodzielnie?

I co to mówi na temat mojego charakteru, że absolutnie zamierzam mu powiedzieć?

* * *

Theresa nie spotkała się z Peterem aż do południa, kiedy ona, Jan Paweł i ich sławny syn usiedli do lunchu złożonego z papai, sera i plasterków wędliny.

- Dlaczego stale to pijesz? - zapytał Jan Paweł. Peter zrobił zdziwioną minę.

- Guarana? Moim obowiązkiem jako Amerykanina jest nigdy nie pić coli ani pepsi w kraju posiadającym miejscowe drinki. Poza tym mi smakuje.

- To stymulant - zauważyła Theresa. - Zamula ci mózg.

- A także sprawia, że puszczasz gazy - dodał Jan Paweł. - Stale.

- „Często” byłoby dokładniejszym określeniem - zaprotestował Peter.

- I strasznie miło z waszej strony, że się tym przejmujecie.

- Dbamy o twój wizerunek - wyjaśniła Theresa.

- Puszczam bąki, tylko kiedy jestem sam.

- Ponieważ robi to przy nas - rzekł Jan Paweł do żony - za co właściwie nas uważa?

- Chodziło mi o to, że w sytuacjach prywatnych. A baki z napojów gazowanych są bezwonne.

- Wydaje mu się, że to nie śmierdzi - wyjaśnił Jan Paweł Theresie.

Peter sięgnął po szklankę i wypił do dna.

- I wy się dziwicie, dlaczego nie oczekuję niecierpliwie tych rodzinnych spotkań.

- Tak - zgodziła się Theresa. - Rodzina nie jest dla ciebie wygodna. Oprócz tych chwil, kiedy wydajesz ich emerytury.

Peter spoglądał to na nią, to na ojca.

- Przecież nawet nie dostajecie emerytury. Żadne z was. Nie macie jeszcze pięćdziesiątki.

Theresa patrzyła na niego, jakby był głupkiem. Wiedziała, że to spojrzenie doprowadza go do szału.

Ale Peter nie chwycił przynęty. Po prostu zajął się jedzeniem.

Sam brak zaciekawienia był dla Theresy dostatecznym dowodem, że doskonale wie, o czym mowa.

- Zechcesz mi wytłumaczyć, o co ci chodziło? - odezwał się Jan Paweł.

- No, o emeryturę Andrew. Groszek uważa, że Peter ją kradnie.

- Więc oczywiście mama mu wierzy - wtrącił Peter z pełnymi ustami.

- Ach, czyli to nieprawda? - upewniła się Theresa.

- Jest pewna różnica między kradzieżą a inwestycją.

- Nie, jeśli inwestujesz w obligacje Hegemonii. Zwłaszcza że krąg chat w Amazonii ma wyższy indeks niż ty.

- Inwestycja w przyszłość pokoju na świecie to bardzo solidna inwestycja.

- Inwestycja w twoją przyszłość - poprawiła go Theresa. - A to więcej niż zrobiłeś dla Andrew. Ale teraz, skoro Groszek już wie, możesz być pewien, że źródło funduszy szybko wyschnie.

- To smutne dla Groszka - stwierdził Peter. - Bo z tego właśnie był opłacany jego i Petry program poszukiwań.

- Nie był, dopóki nie postanowiłeś, że jest - uznał Jan Paweł. - Naprawdę taki jesteś małostkowy?

- Jeśli Groszek postanowi jednostronnie obciąć mi źródło finansowania, to gdzieś muszę ograniczyć wydatki. Ponieważ jego osobiste poszukiwania nie mają nic wspólnego z celami Hegemonii, wydaje się sprawiedliwe, że prywatny projekt pana wścibskiego padnie

pierwszy. Zresztą nic jeszcze nie jest pewne. Groszek nie ma żadnych praw do emerytury Endera. Nie może jej ruszyć.

- Nie ma zamiaru sam jej ruszać - odparła Theresa. - Nie potrzebuje tych pieniędzy.

- Więc odda je wam? A wy co zrobicie? Włóżcie je na oprocentowane konto, tak jak swoje? - Peter wybuchnął śmiechem.

- Nie wydaje się skruszony - zauważył Jan Paweł.

- To właśnie problem z Peterem - stwierdziła Theresa.

- Tylko ten jeden? - zdziwił się Peter.

- Albo coś nie ma znaczenia, albo to koniec świata. Nie uznaje stanów pośrednich. Absolutna pewność siebie albo zupełna rozpacz.

- Nie rozpacziałem już od lat... No, od tygodni.

- Powiedz mi jedno, Peter - poprosiła Theresa. - Czy istnieje ktoś, kogo byś nie wykorzystał, by osiągnąć swój cel?

- Ponieważ moim celem jest ocalenie rodzaju ludzkiego przed nim samym, odpowiedź brzmi: „nie”. - Wytarł usta serwetką i rzucił ją na talerz. - Dzięki za wspaniały lunch. Tak lubię te nasze wspólne chwile.

I wyszedł.

- Wiesz - odezwał się Jan Paweł - chyba powiem Groszkowi, że gdyby do tego, co chce zrobić z emeryturą Andrew, potrzebował podpisu najbliższego krewnego, z radością pomogę.

- Jeśli znam Juliana Delphiki, pomoc nie będzie mu potrzebna.

- Groszek uratował całe przedsięwzięcie Petera, zabijając Achillesa. Dużo przy tym ryzykował. A nasz syn ma tak krótką pamięć, że przestaje płacić za próby odnalezienia dzieci Groszka i Petry. Jakiego genu mu brakuje?

- W sercach większości ludzi wdzięczność ma bardzo krótki okres połowicznego rozpadu. W tej chwili Peter nawet nie pamięta, że odczuwał ją kiedyś wobec Groszka.

- Możemy jakoś na to poradzić?

- Raz jeszcze, mój drogi, możemy liczyć na samego Groszka. Na pewno spodziewa się zemsty Petera i pewnie już ma jakiś plan.

- Mam nadzieję, że ten plan nie obejmuje odwołania się do sumienia Petera.

Theresa się roześmiała. Jan Paweł także. Był to najsmutniejszy rodzaj śmiechu rozbrzmiewający w pustym pokoju.

10

Boleść

From: FelixStarman%backdoor@Rwanda.gov.rw
To: PeterWiggin%personal@hegemon.gov
Subject: Pozostaje tylko jedna kwestia

Drogi Peterze,

twoja argumentacja mnie przekonała. W zasadzie jestem gotów ratyfikować konstytucję Wolnych Ludów Ziemi. Jednak w praktyce pozostaje pewna istotna kwestia. Stworzyłem w Rwandzie najlepszą armię i lotnictwo na północ od Pretorii i na południe od Kairu. Zresztą właśnie dlatego uważasz Rwandę za klucz do zjednoczenia Afryki. Jednak główną motywacją moich żołnierzy jest patriotyzm, który niestety nie da się oddzielić od plemiennych sentymentów Tutsi. Zasada cywilnej kontroli nad armią jest – tak to określimy – nie aż tak dominująca w ich etosie.

Dla mnie oddanie moich żołnierzy Hegemonowi, który przypadkiem jest nie tylko białym, ale też Amerykaninem z pochodzenia, oznacza poważne ryzyko przewrotu, co doprowadzi do rozlewu krwi na ulicach i zdestabilizuje cały region.

Dlatego właśnie tak ważne jest, byś z góry postanowił, kto będzie dowódcą moich wojsk. Istnieje tylko jeden możliwy kandydat. Wielu moich ludzi mogło się dobrze przyjrzeć Julianowi Delphiki. Wieści się rozeszły. Jest uznawany niemal za boga. Historia jego militarnego geniuszu budzi szacunek mojego korpusu oficerskiego, dzięki ogromnemu wzrostowi ma postawę herosa, a w części afrykańskie pochodzenie – na szczęście widoczne w jego rysach i barwie skóry – czyni go człowiekiem, za którym mogą pójść patriotycznie myślący Rwandyjczycy.

Jeśli przyślesz tu Groszka, by stał obok mnie jako ten, który przejmie dowodzenie rwandyjską armią, kiedy stanie się częścią armii Wolnych Ludów, wtedy ratyfikuję konstytucję i natychmiast przekażę tę kwestię narodowi, by wypowiedział się w plebiscycie. Ludzie, którzy nie głosowaliby na konstytucję z tobą u władzy, będą głosować na konstytucję, której twarzą jest twarz Juliana Olbrzyna.

Pozdrawiam, Felix

Virlomi rozmawiała przez telefon komórkowy ze swoim kontaktem.

- Czysto? - spytała.

- To nie jest pułapka. Odeszli.

- Jak źle to wygląda?

- Bardzo mi przykro... Aż tak źle...

Odłożyła telefon, wyszła z kryjówki wśród drzew i wkroczyła do wioski.

Ciała leżały przed drzwiami każdego mijanego domu. Ale Virlomi nie zbaczała ani na prawo, ani na lewo. Musieli przede wszystkim zadbać, by nagrać kluczowe ujęcia.

Pośrodku wioski żołnierze islamu nadziali krowę na rożen i upiekli ją nad ogniem. Ciała około dwudziestu dorosłych Hindusów leżały wokół jamy ogniska.

- Dziesięć sekund - rzuciła Virlomi.

Operator posłusznie wycelował obiektyw i nagrywał przez dziesięć sekund. W trakcie ujęcia wylądował kruk, ale nie jadł niczego, tylko zrobił kilka kroków i odfrunął. Virlomi w głowie pisała scenariusz: bogowie wysłali swych posłańców, by zobaczyli, a potem w boleści odlecieli.

Podeszła do zabitych i odkryła, że każdy z nich miał wciśnięty w usta kawał na wpół upieczonego, krwawego mięsa. Nie marnowano na nich kul - mieli poderżnięte gardła.

- Zbliżenie. Tych trzech, po kolei. Pięć sekund na każdego. Operator pracował. Virlomi nie dotykała żadnego z ciał.

- Ile minut zostało?

- Mnóstwo - zapewnił operator.

- W takim razie nagraj wszystkich. Każdego.

Operator przechodził od ciała do ciała, tworząc cyfrowe nagranie, które wkrótce znajdzie się w sieciach. Tymczasem Virlomi sprawdzała dom po domu. Miała nadzieję, że został przynajmniej jeden żywy. Ktoś, kogo będą mogli ocalić.

Ale nie było nikogo.

Przy wejściu do największego domu w wiosce czekał na Virlomi któryś z jej ludzi.

- Proszę, nie wchodź tam, pani.

- Muszę.

- Nie chcesz, by pozostało to w twojej pamięci.

- W takim razie to właśnie coś, czego nie wolno mi zapomnieć.

Skłonił głowę i odstąpił.

Cztery wbite w belkę gwoździe służyły rodzinie jako haki do wieszania ubrań. Ubrania leżały teraz w splątanej masie na podłodze. Wszystkie z wyjątkiem czterech koszul, które zawiązano wokół szyi czwórki dzieci - najmłodsze jeszcze raczkujące, najstarsze może dziewięcioletnie. Powieszono je, by udusiły się powoli.

Po drugiej stronie pomieszczenia leżały ciała młodej pary, pary w średnim wieku i staruszki. Napastnicy zmusili dorosłych, by patrzyli, jak dzieci umierają.

- Kiedy skończy przy ognisku - rzekła Virlomi - sprowadźcie go tutaj.

- Czy wewnątrz jest dosyć światła, pani?

- Usuńcie ścianę.

Zburzyli ją w kilka minut i światło zalało mroczną izbę.

- Zaczynij tutaj - poleciła Virlomi operatorowi, wskazując ciała dorosłych. - Przesuwaj bardzo powoli. Potem trochę szybciej na to, co kazali im oglądać. Zatrzymaj na całej czwórce dzieci. Kiedy wejdę w kadr, trzymaj się mnie. Ale nie za blisko, żeby było widać wszystko, co robię z dzieckiem.

- Nie możesz dotykać martwego - odezwał się któryś z jej ludzi.

- Zabici Indii są moimi dziećmi. Nie mogą uczynić mnie nieczystą. Tylko mordercy stali się brudni. Wyjaśnię to ludziom, którzy będą oglądali ten wid.

Operator zaczął nagrywać, ale Virlomi zauważyła cienie przyglądających się żołnierzy i kazała mu zacząć od początku.

- To musi być ciągłe ujęcie - oświadczyła. - Nikt nie uwierzy, jeśli nie będzie płynne i bez cięć.

Operator powtórzył ujęcie. Wolno przesunął obiektyw. Kiedy przez pełne dwadzieścia sekund zogniskował obraz na dzieciach, Virlomi weszła w kadr i uklękła przed ciałem najstarszego. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcami jego warg.

Żołnierze nie mogli się opanować. Syknęli.

Niech syczą, pomyślała. Tak jak sykną ludzie w Indiach. Jak ludzie na całym świecie.

Wstała, wzięła dziecko w ramiona i uniosła je powoli. Bez obciążenia koszula łatwo zsunęła się z gwoźdźcia. Virlomi przeniosła chłopca przez pokój iложиła go w ramionach młodego ojca.

- Ojciec Indii - powiedziała dostatecznie głośno dla kamery. - Składałam ci w ramionach twoje dziecko, nadzieję twego serca.

Wstała i powoli wróciła do dzieci. Wiedziała, że nie należy sprawdzać, czy jest nagrywana. Musiała się zachowywać tak, jakby nie wiedziała, że towarzyszy jej kamera. To nie znaczy, że ktokolwiek da się oszukać. Ale spojrzenie w stronę obiektywu przypominało widzom, że są też inni obserwatorzy. Jak długo zdawała się nieświadoma obecności kamery, patrzący zapominali, że musi tu być operator; mieli wrażenie, że na miejscu jest tylko ona, oni i pomordowani.

Klękła przed każdym z dzieci po kolei i uwolniła je z okrutnych gwoździ, na których wisiały kiedyś chusty albo szkolne worki. Kiedy ułożyła drugie dziecko, dziewczynkę, obok młodej matki, powiedziała:

- O, matko indyjskiego domostwa, oto jest córka, która gotowała i sprzątała przy twoim boku. Teraz twój dom jest już na zawsze zmyty czystą krwią niewinnych.

Gdy układała trzecie dziecko, małą dziewczynkę, na ciałach pary w średnim wieku, powiedziała:

- O, historio Indii, czy macie w pamięci miejsce na jeszcze jedno małe ciało? Czy też wypełniła się ona boleścią bez reszty? Czy to jedno małe ciało wreszcie będzie tym, którego nie można znieść?

Zdjęła z haka ciało dwuletniego chłopca, ale nie zdołała z nim przejść. Potknęła się, upadła na kolana, szlochała i całowała wykrzywioną, posiniałą twarzyczkę.

- Och, moje dziecko, moje dziecko - powiedziała, kiedy znów mogła mówić. - Czy po to moje łono wydało cię na świat, bym teraz słyszała twe milczenie zamiast twego śmiechu?

Nie wstawiała - byłoby to zbyt niezgrabne, zbyt mechaniczne. Przesuwała się po nierównej podłodze na kolanach, wolno i z godnością, tak że każde wychylenie, każdy ruch stawał się elementem tańca. Oparła zabitego malca o ciało starej kobiety.

- O prababciu! - zawołała. - Prababciu, czy nie możesz mnie ocalić? Nie możesz mi pomóc? Patrzysz na mnie, ale nie robisz nic! Nie mogę oddychać, prababciu! Ty jesteś stara! To ty powinnaś umrzeć przede mną! A ja powinienem chodzić wokół twego martwego ciała, namaścić je *ghi* i wodą świętego Gangesu. W moich małych rączkach powinienem ścisnąć garść siana, by uczynić *pranam* dla ciebie, dla moich dziadków, dla mojej matki i mojego ojca!

I tak oddała swój głos dziecku.

Następnie objęła starą kobietę za ramiona i częściowo uniosła jej ciało, żeby kamera mogła sfilmować twarz.

- Mój maleńki, teraz jesteś już w boskich ramionach, tak jak ja. Teraz słońce będzie świecić, by cię rozgrzać. Teraz Ganges będzie obmywał twoje ciało. Teraz ogień cię oczyści, a popioły spłyną do morza. Tak jak twoja dusza powraca do domu, by czekać na kolejny obrót koła.

Virlomi zwróciła się do kamery i gestem wskazała zabitych.

- Oto jak się oczyszczam. We krwi męczenników się obmywam. W odorze śmierci szukam moich perfum. Kocham ich nawet za grobem. I oni mnie kochają, i czynią mnie dopełnioną.

Wyciągnęła rękę do kamery.

- Kalifie Alai, znaliśmy się tam, wśród gwiazd i planet. Wtedy byłeś jednym ze szlachetnych. Byłeś wielkim bohaterem, który działa dla dobra całej ludzkości. I musieli cię zabić, Alai! Bo raczej byś zginął, niż pozwolił, by takie rzeczy działy się w twoim imieniu!

Skinęła i operator zrobił zbliżenie. Już wcześniej współpracowali; wiedziała, że tylko jej twarz będzie widoczna. Starła się zachowywać obojętność, gdyż z tej odległości każdy grymas byłby zbyt teatralny.

- Kiedyś odezwałeś się do mnie w korytarzach tamtego sterylnego miejsca. Powiedziałeś tylko jedno słowo. Powiedziałeś: Salaam. Powiedziałeś: Pokój. I to wypełniło moje serce radością...

Potrząsnęła głową, jeden raz, wolno.

- Wyjdź ze swojej kryjówki, kalifie Alai, i przyznaj się do swego dzieła. Albo, jeśli nie jest to twoje dzieło, wyrzecz się go. Razem ze mną pograj się w żałobie po niewinnych.

Ponieważ jej ręka nie była widoczna, skinęła palcami, polecając operatorowi, by znowu objął całą scenę.

Teraz pozwoliła emocjom zapanować nad sobą. Szlochała, klęcząc, potem płakała, rzuciła się na ciała zabitych, jęczała i łkała. Trwało to pełną minutę. W wersji dla zachodnich widzów na tej części pojawiają się napisy, ale w wersji dla Hindusów cała szokująca scena będzie się przewijać bez żadnych zakłóceń. Virłomi kalająca się na ciałach nieobmytych martwych... nie, nie, Virłomi oczyszczona ich męczeństwem! Ludzie nie będą w stanie odwrócić wzroku.

Nawet muzułmanie, którzy zobaczą ten wid. Niektórzy będą się nim napawać, ale inni przerażeni. Matki zobaczą siebie w jej bólu. Ojcowie zobaczą siebie w ciałach mężczyzn, którzy nie potrafili ocalić swych dzieci.

Ale nikt nie usłyszy tego, czego nie powiedziała: ani jednej groźby, ani jednego przekleństwa. Tylko ból i błaganie do kalifa Alai.

W całym świecie wid rozbudzi współczucie i zgrozę.

Świat islamu będzie podzielony, ale część, której to nagranie sprawi radość, za każdym jego odtworzeniem będzie mniejsza.

A dla Alai będzie ono osobistym wyzwaniem. Na jego barki złożyła odpowiedzialność za to wszystko. Będzie musiał wyjść z Damaszku i osobiście objąć dowództwo. Koniec z ukrywaniem się w pałacu. Zmusiła go do ruchu. Teraz zobaczymy, co robi.

* * *

Wideo obiegło świat, najpierw w sieciach, potem przez stacje nadawcze - pliki wysokiej rozdzielczości zostały wygodnie udostępnione dla downloadu. Oczywiście pojawiły się oskarżenia, że całość jest fałszerstwem albo że Hindusi popełnili te zbrodnie, ale nikt w to nie wierzył. Wszystko zbyt dobrze pasowało do opinii, jaką wyrobili sobie muzułmanie w czasie wojen islamskich szalejących półtora wieku przed nadejściem robali. I niewyobrażalne było, by Hindusi tak bezczęścili zwłoki, jak te zostały zbezczeszczone.

Takie okrucieństwa miały wzbudzić strach w sercach przeciwników. Ale Virłomi wykorzystała tę zbrodnię, by przemienić ją w coś innego. Boleść. Miłość. Stanowczość. I w

końcu wołanie o pokój.

Nieważne, że mogła osiągnąć pokój, kiedy tylko zechciała, po prostu poddając się władzy muzułmanów. Świat zrozumiał, że całkowita uległość wobec islamu nie byłaby pokojem, ale śmiercią Indii i zastąpieniem ich krajem marionetek. Virlomi tak jasno pokazała to w poprzednich widach, że już nie musiała powtarzać.

Próbowali ukryć wid przed Alai, ale nie pozwalał im na blokowanie tego, co widział na własnym komputerze. Oglądał nagranie raz za razem.

- Zaczekaj, aż przeprowadzimy śledztwo i sprawdzimy, czy to prawda - przekonywał Ivan Lankowski, pół-Kazach, adiutant, któremu ufał i pozwalał być przy sobie, gdy nie grał roli kalifa.

- Wiem, że to prawda - odparł Alai.

- Bo znasz tę Virlomi?

- Bo znam żołnierzy, którzy twierdzą, że bronią islamu. - Spojrzał na Ivana; łzy spływały mu po policzkach. - Mój czas w Damaszku dobiegł końca. Jestem kalifem. Muszę poprowadzić armie w polu. A ludzi, którzy tak postępują, ukarzę własnoręcznie.

- To godny cel - przyznał Ivan. - Ale tacy ludzie jak ci, którzy zmasakrowali tę wioskę w Indiach i zrzucili głowice jądrowe na Mekkę w poprzedniej wojnie, nadal tam są. Dlatego twoje rozkazy nie są wykonywane. Czemu sądzisz, że zdołasz dotrzeć do swoich armii żywy?

- Ponieważ jestem prawdziwym kalifem - odparł Alai. - I jeśli Bóg chce, bym prowadził jego lud w prawość, to mnie osłoni.

11

Afrykański bóg

From: Iqh5Tqw0qdy9@FreeNet.net

Posted at site: ShivaDaughter.org

Subject: Cierpiąca córko Sziwy, Smok boleje nad ranami, jakie ci zadał

Czy Smok i Tygrys nie mogą zostać kochankami i zaprowadzić pokój? A jeśli nie będzie pokoju, czy nie mogą Tygrys i Smok walczyć razem?

Groszek i Petra mocno się zdziwili, kiedy Peter przyszedł odwiedzić ich w małym domku na terenie osiedla Hegemonii.

- Czynisz zaszczyt naszemu skromnemu domostwu - powitał go Groszek.
- Rzeczywiście czynię, prawda? - Peter się uśmiechnął. - Dziecko śpi?
- Przykro mi, nie będziesz mógł się gapić, jak je karmię - oznajmiła Petra.
- Mam dobre wieści i złe wieści - poinformował Peter. Czekali, co im powie.
- Julianie, będziesz musiał znów polecieć do Rwandy.

- Myślałam, że rwandyjski rząd nas popiera - zdziwiła się Petra.

- Nie chodzi o najazd. Chcę, żebyś objął dowództwo nad rwandyjskim wojskiem i włączył je do sił Hegemonii.

Petra się zaśmiała.

- Chyba żartujesz. Felix Starman zamierza ratyfikować twoją konstytucję?

- Trudno uwierzyć, ale tak. Felix jest ambitny, tak jak ja jestem ambitny: chce stworzyć coś, co go przetrwa. Wie, że dla Rwandy najlepszym sposobem zachowania bezpieczeństwa i wolności jest taki układ, w którym na świecie nie ma armii. A można to osiągnąć tylko dzięki powstaniu rządu światowego, który zachowa liberalne wartości, jakie wprowadził w Rwandzie: wybory, prawa jednostki, rządy prawa, powszechną edukację i brak korupcji.

- Czytaliśmy twoją konstytucję, Peter - przypomniał mu Groszek.

- Poprosił konkretnie o ciebie. Jego ludzie widzieli cię, kiedy zwijałeś Volescu. Nazywają cię teraz Afrykańskim Olbrzymem.

- Kochanie! - zawołała Petra. - Jesteś teraz bogiem, jak Virlomi!

- Pytanie brzmi, czy jesteś taką kobietą, która może być żoną boga - odparł Groszek.

- Oślaniam oczy, abym nie oślepla.

Groszek uśmiechnął się i spojrzał na Petera.

- Czy Felix Starman wie, że prawdopodobnie długo nie pożyję?

- Nie. Uznałem to za tajemnicę państwową.

- Och, nie - jęknęła Petra. - Teraz nie możemy o tym powiedzieć sobie nawzajem!

- Jak długo chcesz, żebym tam został?

- Tyle ile trzeba, żeby żołnierze Rwandy zaczęli być lojalni wobec Wolnych Ludów.

- Czyli ciebie?

- Wolnych Ludów - powtórzył Peter. - Nie próbuję stwarzać kultu jednostki. Muszą być oddani konstytucji. I bronić Wolnych Ludów, które ją przyjęły.

- W terminach praktycznych wolałbym datę.

- Co najmniej do zakończenia plebiscytu.

- A ja mogę z nim lecieć? - spytała Petra.

- Twój wybór. Tam jest prawdopodobnie bezpieczniej niż tutaj, ale to długi lot. Eseje Martela możesz pisać z dowolnego miejsca.

- Julianie, on pozwala nam samym decydować! My też jesteśmy teraz Wolnymi Ludźmi!

- Dobrze, zajmę się tym - obiecał Groszek. - A jakie są te dobre wieści?

- To były dobre wieści - stwierdził Peter. - Złe są takie, że nastąpił gwałtowny i nieoczekiwany spadek naszych wpływów finansowych. Potrwa miesiące, a raczej dużo dłużej, nim odrobimy to, co przestaliśmy dostawać. Musimy zatem zamknąć projekty, które nie wiążą się bezpośrednio z celami Hegemonii.

Petra roześmiała się głośno.

- Masz czelność prosić nas o pomoc, kiedy obcinasz fundusze na nasze poszukiwania?

- Widzisz? Natychmiast zrozumiałaś, że wasze poszukiwania się nie wiążą.

- Przecież ty też szukasz - wtrącił Groszek. - Wirusa.

- O ile istnieje - odparł Peter. - Według wszelkiego prawdopodobieństwa Volescu tylko drażni się z nami, a w rzeczywistości wirus nie działa i nie został uwolniony.

- I chcesz na to postawić przyszłość rodzaju ludzkiego?

- Nie, nie chcę. Ale bez odpowiedniego budżetu ta sprawa jest poza naszym zasięgiem. Jednakże nie jest poza zasięgiem Międzynarodowej Floty.

- Przekazujesz im ją?

- Przekazuję im Volescu. Mają zamiar kontynuować badania tego wirusa, nad którym pracował, i szukać, gdzie mógł go uwolnić, jeśli to zrobił.

- MF nie może działać na Ziemi.

- Może, jeśli w grę wchodzi obce zagrożenie. Jeśli wirus Volescu działa i zostanie uwolniony na Ziemi, stworzy nowy gatunek, który ma w ciągu jednego pokolenia całkowicie zastąpić ludzi. Hegemon wydał tajne oświadczenie uznające wirusa za obcą inwazję, a MF uprzejmie zgodziła się wysledzić go dla nas i... i odeprzeć.

- Wydaje się, że myślimy podobnie - roześmiał się Groszek.

- Doprawdy? Och, pochlebiasz mi.

- Ja już przekazałem nasze poszukiwania Ministerstwu Kolonizacji. A obaj wiemy, że Graff funkcjonuje naprawdę jako gałąź MF.

Peter przyjrzał mu się ze spokojem.

- Czyli wiedziałeś, że będę musiał ściąć budżet na wasze poszukiwania?

- Wiedziałem, że nie masz dostatecznych środków, niezależnie od dostępnego budżetu. Ferreira robi, co może, ale KolMin ma lepsze oprogramowanie.

- No więc wszystko skończyło się szczęśliwie dla wszystkich - podsumował Peter, wstając.

- Nawet dla Endera.

- Wasz malec ma prawdziwe szczęście, że trafił na tak opiekuńczych rodziców.

I Peter wyszedł.

* * *

Volescu wydał się Groszkowi zmęczony. Postarzały. Więzienie nie wpływało na niego dobrze. Nie cierpiał fizycznie, ale bladł jak roślina trzymana w szafie, bez słońca.

- Obiecaj mi coś - powiedział.

- Co takiego? - zdziwił się Groszek.

- Coś. Cokolwiek. Potarguj się ze mną.

- Jedyne, na czym ci zależy, nigdy już więcej nie dostaniesz.

- Tylko dlatego że jesteś mściwy - stwierdził Volescu. - I niewdzięczny. Istniejesz, ponieważ cię stworzyłem, a ty teraz trzymasz mnie w tej klatce.

- To całkiem spory pokój. Ma klimatyzację. W porównaniu z tym, jak traktowałeś moich braci...

- Nie byli prawnie...

- A teraz ukryłeś gdzieś moje dzieci. I wirusa mogącego potencjalnie zniszczyć ludzkość...

- Udoskonalić ją...

- Zniszczyć. Jak moglibyśmy zwrócić ci wolność? Łączysz w sobie wielkość z amoralnością.

- Całkiem jak Peter Wiggin, któremu tak wiernie służysz, lizaku.

- To słowo brzmi nie „lizak”, ale „lizus” - poprawił Groszek.

- A jednak przyszedłeś do mnie w odwiedziny. Czyżby Julian Delphiki, mój półsiostrzeniec, miał problem, w którym mógłbym mu pomóc?

- Te same pytania co zawsze.

- I ta sama odpowiedź - rzekł Volescu. - Nie mam pojęcia, co się stało z waszymi zaginionymi embrionami.

Groszek westchnął.

- Myślałem, że zechcesz wykorzystać okazję, by jakoś wyrównać rachunki ze mną i Petrą, zanim opuścisz Ziemię.

- Daj spokój... Grozisz mi karą śmierci?

- Nie. Po prostu opuścisz Ziemię. Peter przekazuje cię MF. Zgodnie z teorią, że twój wirus jest obcą inwazją.

- Tylko jeśli ty sam jesteś obcą inwazją.

- Ależ jestem. Jestem pierwszym z rasy krótko żyjących, genialnych wielkoludów. Pomyśl, o ile większą populację może wykarmić Ziemia, jeśli przeciętna długość życia spadnie do osiemnastu lat.

- Wiesz, Groszku, nie ma powodów, żebyś tak młodo umierał.

- Naprawdę? A więc masz antidotum?

- Nikt nie potrzebuje antidotum na przeznaczenie - oświadczył Volescu. - Śmierć od gigantyzmu następuje wskutek przeciążenia serca, które próbuje pompować bardzo dużo krwi przez całe kilometry tętnic i żył. Gdybyś wyrwał się z grawitacji, serce by się nie przepracowywało i nie musiałbyś umierać.

- Myślisz, że na to nie wpadłem? Przecież dalej bym rósł.

Więc bylibyś coraz większy. MF potrafi ci zbudować naprawdę wielki statek. Kolonizacyjny. Mógłbyś stopniowo wypełniać go swoją protoplazmą i kośćmi. Żyłbyś przez całe lata, wypełniając pancerz statku jak balon. Ogromny Guliwer. Żona mogłaby cię odwiedzać. A gdybyś urósł za bardzo, to cóż, zawsze możliwa jest amputacja. Mógłbyś się stać istotą zbudowaną z czystego umysłu. Karmiony dożylnie, nie potrzebowałbyś żołądka i jelit. W końcu tak naprawdę niezbędny ci jest tylko mózg i kręgosłup, a te nigdy nie muszą umierać. Umysł rosnący nieskończenie...

Groszek wstał.

- I po to właśnie mnie stworzyłeś, Volescu? Żebym stał się kalekim kadłubkiem, potworem w kosmosie?

- Ty głuptasie. - Volescu wzruszył ramionami. - Dla zwykłych ludzi już jesteś potworem. Ich najgorszym koszmarem. Gatunkiem, który ich zastąpi. Ale dla mnie jesteś piękny. Nawet uwięziony w sztucznym habitacie, nawet bez kończyn, bez korpusu, bez głosu będziesz najpiękniejszą istotą na świecie.

- A jednak tylko pokrywa rezerwuaru w toalecie powstrzymała cię przed zamordowaniem mnie i spaleniem mojego ciała.

- Nie chciałem iść do więzienia.

- Mimo to znalazłeś się tutaj - zauważył Groszek. - A twoje następne więzienie będzie w przestrzeni.

- Mogę żyć jak Prospero i doskonalić swą sztukę w samotności.

- Prospero miał Ariela i Kalibana.

- Nie rozumiesz? - powiedział Volescu. - Ty jesteś moim Kalibanem. A wszystkie twoje dzieci są moimi Arielami. Rozrzuciłem je po całej Ziemi. Nigdy ich nie znajdziesz. Ich matki zostały dobrze przeszkolone. Znajdą sobie partnerów i zaczną się rozmnażać, zanim gigantyzm stanie się widoczny. Nieważne, czy mój wirus podziela, czy nie. Twoje dzieci są wirusem.

- I to właśnie planował Achilles?

- Achilles? - zaśmiał się Volescu. - Ten mały kretyn o krwawych rękach? Powiedziałem mu, że twoje dzieci nie żyją. Tylko na tym mu zależało. Dureń!

- Czyli żyją?

- Wszystkie. Zaimplantowane. Do tej pory pewnie niektóre już się narodziły, ponieważ te mające twoje cechy przyjdą na świat dwa miesiące przed terminem.

- Wiedziałeś o tym i nie uprzedziłeś nas?

- A po co? Poród odbył się bezproblemowo, prawda? Dziecko było dostatecznie rozwinięte, żeby oddychać i funkcjonować samodzielnie?

- Co jeszcze wiesz?

- Wiem, że wszystko się ułoży, Julianie. Spójrz na siebie, chłopcze. Uciekłeś w wieku jednego roku! Co oznacza, że siedemnaście miesięcy po zapłodnieniu byłeś w stanie przetrwać bez rodziców. Nie żywię nawet najmniejszych zmartwień o zdrowie twoich dzieci, i ty też nie powinienes się martwić. Nie potrzebują cię, bo ty też nie potrzebowałeś nikogo. Niech idą w świat. Niech zastępują stary gatunek po trochu, przez kolejne generacje.

- Nie - odparł Groszek. - Kocham stary gatunek. I nienawidzę tego, co ze mną zrobiłeś.

- Bez „tego, co z tobą zrobiłem”, byłbyś teraz jak Nikolai.

- Mój brat jest wspaniałym człowiekiem. Życzliwym. I bardzo inteligentnym.

- Bardzo inteligentnym, ale nie tak inteligentnym jak ty. Czy naprawdę chciałbyś się z nim zamienić? Naprawdę chciałbyś być tak tępy jak on w porównaniu z tobą?

Wtedy Groszek wyszedł. Nie miał odpowiedzi na ostatnie pytanie Volescu.

12

Allahu akbar

From: Graff%pilgrimage@colmin.gov
To: Borommakot%pinto@IComeAnon.com
Forwarded and Posted by IComeAnon
Encrypted using code *****
Decrypted using code *****
Subject: Doradca inwestycyjny

Twój pomysł przerobienia oprogramowania gry fantasy na doradcę inwestycyjnego okazał się zaskakująco trafny. Nie mieliśmy jeszcze czasu, żeby przeprowadzić testy poważniejsze niż krótkoterminowe, ale jak dotąd program był lepszy od wszystkich ekspertów. Wpłacamy mu wszystkie fundusze z emerytury Endera. Tak jak sugerowałeś, pilnujemy, aby inwestycje dokonywane były pod fałszywymi nazwiskami; dopilnowaliśmy też, aby program był szeroko podłączony do sieci w nieskończenie samoewoluujących formach. Będzie praktycznie nie do wyśledzenia i nie do zlikwidowania, chyba że drogą systematycznych międzynarodowych

wysiłków zmierzających do jego wykasowania, co jest raczej mało prawdopodobne, dopóki nikt nawet nie podejrzewa, że istnieje.

Ender nie będzie potrzebował tych pieniędzy w swojej kolonii i lepiej sobie poradzi, jeśli nie będzie wiedział, że je ma. Przy pierwszym wejściu do sieci po subiektywnych dwudziestych pierwszych urodzinach program mu się ujawni oraz poda zakres jego inwestycji. Biorąc pod uwagę czas trwania samej podróży, Ender osiągnie pełnoletność z całkiem niezłą fortuną. Znacząco większą, muszę dodać, niż nawet najbardziej optymistyczne projekcje wartości obligacji Hegemonii.

Ale finanse Endera nie są sprawą nagłą, a twoje dzieci owszem.

Inny zespół pracuje z bazą danych, jaką przysłał nam Ferreira, aby wyciągnąć z niej bardziej użyteczne informacje. Wymaga to wielu dodatkowych badań, i to nie przeszukiwania surowych danych, ale działań indywidualnych operatorów szperających po różnych bazach: medycznych, wyborczych, podatkowych, nieruchomości, firm przeprowadzkowych, transportowych i innych, z których wiele nie jest legalnie dostępne. Zamiast dostawać tysiące trafień, z których żadne pewnie nie jest przydatne, dostajemy setki, z których niektóre mogą do czegoś prowadzić.

Przykro mi, że zajmuje to czas. A kiedy już dostajemy sensowne trafienie, musimy je sprawdzić, często przez personel naziemny. Z oczywistych powodów nie jest on liczny.

Tymczasem sugeruję, byś pamiętał, na czym opiera się nasz układ: że zanim odleciś, zrobisz Petera Hegemonem także faktycznie, a nie tylko z nazwy. Pytałeś, jakie będą dla mnie kryteria sukcesu. Możesz odlecieć, kiedy Peter będzie sprawował realną władzę nad ponad 50% ludności świata albo będzie dysponował tak silną armią, by mieć pewność zwycięstwa

niezależnie od tego, czy dowolny potencjalny przeciwnik dowodzony jest przez kogoś ze Szkoły Bojowej.

A zatem: tak, Groszku, liczymy, że polecisz do Rwandy. Jesteśmy najlepszą nadzieją na przetrwanie twoje i twoich dzieci, ty jesteś naszą najlepszą nadzieją na to, że Peter zwycięży, że osiągnie zjednoczenie i powszechny pokój. Twoje zadanie rozpoczyna się od uzyskania dla Petera tej niepokonanej siły militarnej, a nasze zadanie rozpoczyna się od znalezienia twoich dzieci.

Podobnie jak ty, i ja mam nadzieję, że oba zadania okażą się wykonalne.

Alai sądził, że kiedy już przejmie władzę nad kompleksem w Damaszku, będzie mógł spokojnie rządzić jako kalif.

Szybko odkrył, że się mylił.

Wszyscy w kompleksie pałacowym, łącznie z ochroniarzami, bez zastrzeżeń wykonywali jego polecenia. Ale gdy tylko chciał wyjść na zewnątrz, nawet przejechać się po Damaszku, ci, którym najbardziej ufał, zaczynali go błagać o zmianę decyzji.

- To nie jest bezpieczne - przekonywał go Ivan Lankowski. - Kiedy pozbyłeś się ludzi, którzy cię tutaj kontrolowali, ich przyjaciele wpadli w panikę. A wśród ich przyjaciół są ci, którzy dowodzą naszymi wojskami na całym świecie.

- Realizowali mój plan podczas wojny - odpowiedział Alai. - Myślałem, że są lojalni wobec kalifa.

- Są lojalni wobec zwycięstwa. Twój plan był doskonały. A ty... byłeś w jeeshu Endera. Byłeś najbliższym przyjacielem Endera. Oczywiście, że realizowali ten plan.

- A zatem wierzyli mi jako komuś po Szkole Bojowej, a nie jako kalifowi.

- Wierzą tobie jako kalifowi - tłumaczył Ivan. - Ale bardziej jako marionetkowemu kalifowi, który wygłasza mgliste rozważania religijne i wzmacniające ducha przemówienia, natomiast ma wezyrów i wodzów, którzy wykonują całą tę brudną i nieciekawą pracę jak podejmowanie decyzji i wydawanie rozkazów.

- Jak głęboko sięga ich władza? - spytał Alai.

- Nie da się tego określić - odparł Ivan. - Tutaj, w mieście, twoi lojalni służą

schwyтали i wyeliminowali kilkudziesięciu agentów. Ale nie pozwoliłbym ci wsiąść do samolotu w Damaszku, wojskowego ani komercyjnego.

- Jeśli zatem nie mogę ufać muzułmanom, przewieź mnie na Wzgórza Golan, do Izraela. Polecę izraelskim odrzutowcem.

- Ta sama grupa, która nie chce być ci posłuszna w Indiach, twierdzi, że zgoda z syjonistami była obrazą Boga.

- Więc chcą znowu zacząć tamten koszmar?

- Tęsknią za dawnymi dobrymi czasami.

- Tak, kiedy armie islamu były poniżane z lewej i z prawej, a świat lękał się muzułmanów, ponieważ tak wielu niewinnych zostało zamordowanych w imię Boga.

- Nie ze mną musisz się spierać - zauważył uprzejmie Ivan.

- Jeśli tu zostanę, pewnego dnia moi wrogowie skończą swoje dzieło w Indiach. Albo zwyciężą, albo przegrają. Tak czy tak przybędą tutaj szaleni z powodu zwycięstwa lub klęski, to bez znaczenia. Tak czy tak ja wtedy zginę, nie sądzisz?

- Ależ oczywiście. Dlatego musimy znaleźć sposób wydostania cię stąd.

- Żadnych planów?

- Całe mnóstwo planów. Ale wszystkie dotyczą ocalenia twojego życia. Nie ocalenia kalifatu.

- Jeśli ucieknę, kalifat upadnie.

- A jeśli zostaniesz, to kalifat należy do ciebie, dopóki żyjesz.

Alai się roześmiał.

- Cóż, dobrze to przeanalizowałeś. Nie mam zatem wyboru: muszę dotrzeć do moich wrogów i ich zniszczyć.

- Sugeruję, byś użył latającego dywanu - powiedział Ivan. - Jako najpewniejszego środka transportu.

- Myślisz, że tylko dżin zdoła mnie przenieść do Indii na spotkanie z generałem Rajamem?

- Żywego, tak.

- W takim razie muszę się skontaktować z moim dżinem.

- Czy to odpowiedni moment? Po ostatnim widzie tej wariatki we wszystkich sieciach i w mediach Rajam zapewne szaleje.

- To najlepszy moment - zapewnił Alai. - A przy okazji... możesz mi wytłumaczyć, dlaczego ten człowiek nosi przezwisko „Andarij”?

- Czy coś pomoże, jeśli powiem, że sam wybrał sobie przezwisko „Gruby Sznur”?

- Aha... Czyli nie odnosi się ono do jego wytrzymałości czy siły?
- On by twierdził, że tak. A przynajmniej do wytrzymałości pewnej konkretnej części jego ciała.

- Ale przecież... sznur jest miękki.
- Gruby sznur nie jest.
- Gruby sznur jest tak samo miękki jak każdy inny - stwierdził Alai. - Chyba że jest też bardzo krótki.

Ivan parsknął śmiechem.

- Zapamiętam, żeby powtórzyć ten żart na pogrzebie Rajama.
- Tylko nie powtarzaj go na moim.
- Nie będzie mnie na twoim pogrzebie - stwierdził Ivan. - Chyba że w masowym grobie.

Alai podszedł do komputera i napisał kilka e-maili. Pół godziny po ich wysłaniu odebrał telefon od Felixa Starmana z Rwandy.

- Z przykrością muszę cię zawiadomić - oznajmił Starman - że nie mogę wpuścić do Rwandy nauczycieli islamu.

- Na szczęście nie o tym chcę porozmawiać - odparł Alai.
- Doskonale.
- Dzwonię w interesie pokoju na świecie. I, jak rozumiem, podjąłeś już decyzję, kto jest największą nadzieją ludzkości dla osiągnięcia tego celu... Nie, żadnych nazwisk.

- Ponieważ nie mam pojęcia, o czym mówisz...
- To świetnie - rzekł Alai. - Dobry muzułmanin zawsze zakłada, że niewierny nie ma pojęcia. - Roześmiali się obaj. - Proszę tylko o to, byś dał znać, że pewien człowiek pokonuje Rub' al Kha-li pieszo, gdyż jego wielbłąd nie pozwala się dosiąść.

- I chciałbyś, żeby ktoś pomógł temu biednemu wędrowcowi?
- Bóg troszczy się o wszystkie swoje stworzenia, ale kalif nie zawsze może wyciągnąć rękę, by wypełnić bożą wolę.

- Mam nadzieję, że pomoc dla tego nieszczęśnika nadejdzie możliwie szybko - zapewnił Felix.

- Oby jak najszybciej. Zawsze będę gotów, by usłyszeć o nim dobre wieści.

Pożegnali się, po czym Alai ruszył na poszukiwanie Ivana.

- Pakuj rzeczy - powiedział.

Ivan uniósł brwi.

- Co ci będzie potrzebne?

- Czysta bielizna. Mój najbardziej krzykliwy kostium kalifa. Trzech ludzi, którzy zabiją na mój rozkaz i którzy nie zwrócą swej broni przeciwko mnie. Ktoś lojalny z kamerą wideo, naładowanymi bateriami i zapasem taśmy.

- Czy operator ma być jednym z lojalnych żołnierzy? Czy kimś innym?

- Niech wszyscy lojalni żołnierze należą do zespołu filmowego.

- A ja będę należał do tej trójki?

- O tym sam musisz zdecydować - rzekł Alai. - Jeśli mi się nie uda, ludzie, którzy będą przy mnie, z pewnością zginą.

- Lepiej umrzeć szybko przed obliczem sługi bożego niż powoli z rąk przeciwników Boga.

- Mój ulubiony Rosjanin - uśmiechnął się Alai.

- Jestem kazachskim Turkiem - poprawił go Ivan.

- Bóg okazał dobroć, przysyłając cię do mnie.

- Okazał ją także, kiedy dał cię wszystkim wiernym.

- Czy powiesz to samo, gdy zrobię już wszystko, co zamierzam?

- Zawsze - zapewnił Ivan. - Zawsze jestem twoim wiernym sługą.

- Jesteś sługą jedynie Boga - odparł Alai. - Dla mnie jesteś przyjacielem.

Godzinę później Alai odebrał wiadomość, o której wiedział, że pochodzi od Petry, mimo niewinnego podpisu. Była to prośba, by modlił się za dziecko, które o siódmej następnego ranka przejdzie operację w największym szpitalu Bejrutu. „Nasze modły rozpoczniemy o piątej, by świt zastał nas rozmodlonych”.

Alai odpowiedział krótko: „Będę się modlił za twego siostrzeńca i wszystkich, którzy go kochają. Będzie tak, jak chce Bóg, a my z radością przyjmiemy Jego mądre wyroki”.

A więc będzie musiał jechać do Bejrutu. No cóż, droga jest dość prosta. Kłopot polega na tym, by - skoro już wrogowie postanowili go szpiegować - pokonać ją, nie zwracając niczyjej uwagi.

Kompleks pałacowy opuścił w śmieciarce. Ivan protestował.

- Kalif, który lęka się zabrudzenia, gdy wyrusza z misją bożą, nie jest godny, by rządzić - odpowiedział mu Alai.

Był pewien, że słowa te będą zapamiętane i jeśli przeżyje, znajdą się w księdze mądrości kalifa Alai. Księdze, która - miał nadzieję - będzie długa i warta lektury, a nie krótka i krępująca.

Przebrany za pobożną staruszkę pojechał dalej na tylnym siedzeniu małego, starego sedana kierowanego przez żołnierza w cywilnym ubraniu, ze sztuczną brodą o wiele dłuższą

niż jego prawdziwa. Jeśli przegrają, jeśli zginie, fakt, że tak się przebrał, będzie uznany za dowód, że nigdy nie był godny miana kalifa. Ale jeśli zwycięży, fakt ten stanie się częścią legendy o jego sprycie.

Staruszka zgodziła się usiąść na wózku inwalidzkim popychanym przez brodatego mężczyznę, który przywiózł ją do Bejrutu.

Na dachu czekali już trzej inni, trzymający zwyczajne, odrapane walizki.

Jeśli ktoś w szpitalu zauważył zniknięcie staruszki albo próbował znaleźć wózek, albo zainteresował się trzema mężczyznami, którzy przybyli osobno, a każdy niósł ubranie dla kogoś z rodziny, żeby miał w czym wrócić do domu, to wiadomość mogła już dotrzeć do wrogów Alai. Gdyby ktoś przybył, aby zbadać sprawę, i musieliby go zabić, równie dobrze mogliby uruchomić alarm przy łóżku Rajama.

Za trzy minuty piąta na dach wyszła para młodych lekarzy, mężczyzna i kobieta, pozornie na papierosa. Wkrótce jednak wycofali się z pola widzenia mężczyzn z walizkami. Ivan spojrzał na Alai pytająco. Alai pokręcił głową.

- Przyszli tu się całować - stwierdził. - Boją się, że na nich doniesiemy, to wszystko. Ivan, jak zawsze ostrożny, przeszedł na miejsce, skąd mógł widzieć tę parę. Po chwili wrócił i usiadł.

- Więcej niż tylko całowanie - szepnął.

- Nie powinni tego robić, jeśli nie są małżeństwem - uznał Alai. - Dlaczego ludziom zawsze się wydaje, że istnieją tylko dwie możliwości: albo być posłusznym najsurowszemu szariatowi, albo odrzucić wszelkie prawa boże?

- Nigdy nie kochałeś - mruknął Ivan.

- Tak myślisz? To, że nie mogę poznać żadnej kobiety, nie znaczy jeszcze, że nigdy nie kochałem.

- W myślach. Ale przypadkiem wiem, że cielesnie pozostałeś czysty.

- Pewnie, że jestem czysty - zgodził się Alai. - Nie jestem żonaty.

Pojawił się helikopter medyczny. Gdy się zbliżył, Alai spostrzegł, że pochodzi z izraelskiego szpitala.

- Czy izraelscy lekarze wysyłają pacjentów do Bejrutu? - zapytał Alai.

- Libańscy lekarze wysyłają pacjentów do Izraela - odparł Ivan.

- Czyli nasi przyjaciele muszą czekać, aż maszyna odleci? A może to właśnie są nasi przyjaciele?

- Ukrywałeś się w śmieciach i przebrałeś się za kobietę. W porównaniu z tym lot syjońskim śmigłowcem to nic takiego.

Helikopter wylądował. Drzwi się otworzyły. Nikt nie wysiadł.

Alai chwycił walizkę, o której wiedział, że należy do niego, ponieważ była lekka - mieściła tylko ubranie, a nie broń. Śmiało podszedł do maszyny.

- Czy to ja jestem pasażerem, po którego przylecieliście? Pilot kiwnął głową.

Alai obejrzał się na miejsce, gdzie młoda para poszła się całować. Zauważył poruszenie. Widzieli. Będą o tym opowiadać. Zwrócił się do pilota.

- Czy helikopter zdoła unieść całą naszą piątkę? - zapytał.

- Bez trudu.

- A siedmioro?

Pilot wzruszył ramionami.

- Polecimy wolniej, niżej. Ale często to robimy. Alai obejrzał się na Ivana.

- Poproś naszych młodych kochanków, żeby polecili z nami.

Potem wspiął się do maszyny i natychmiast zrzucił z siebie damskie ubranie. Pod spodem miał zwykły zachodni garnitur.

Po chwili do śmigłowca weszła pod lufami para młodych lekarzy w różnym stanie dezabilu. Wyraźnie uprzedzono ich, by zachowywali absolutne milczenie, ponieważ kiedy zobaczyli i rozpoznali Alai, mężczyzna zbladł, a kobieta zaczęła szlochać, próbując nerwowo zapinać ubranie.

Alai uklęknął przed nią.

- Córo Boga - rzekł. - Nie dbam o twój nieskromny wygląd. Martwi mnie, że mężczyzna, któremu ofiarowałaś swoją nagość, nie jest twoim mężem.

- Pobierzemy się - zapewniła.

- Zatem kiedy nadejdzie ten szczęśliwy dzień, twoja nagość pobłogosławi twego męża, a jego nagość należeć będzie do ciebie. Do tego czasu mam dla ciebie to okrycie. - Wręczył jej kostium, który niedawno nosił. - Nie proszę, byś ubierała się tak przez cały czas. Ale dzisiaj, kiedy Bóg zobaczył w twym sercu intencję grzechu, zechcesz pewnie okryć się w pokorze.

- Czy może poczekać z ubieraniem, póki nie wystartujemy? - wtrącił pilot śmigłowca.

- Oczywiście - zgodził się Alai.

- Wszyscy zapiąć pasy - polecił pilot.

Nie dla każdego wystarczyło miejsc - środek maszyny był pusty, by stawiać tam nosze. Ale kierowca Alai uśmiechnął się tylko i stwierdził, że będzie stał.

- Latałem helikopterami do bitwy. Jeśli nie potrafię ustać w maszynie medycznej, zasługuję na parę sińców.

Śmigłowiec przechylił się, kiedy wystartował, lecz po chwili uzyskał równowagę. Kobieta rozpięła pasy i z pomocą swojego towarzysza zaczęła się przebierać. Wszyscy odwrócili wzrok.

Tymczasem Alai rozmawiał z pilotem, nie próbując nawet zniżyć głosu.

- Nie chcę, żeby tych dwoje leciało z nami do celu. Ale nie chcę też ich zabijać. Potrzebują czasu, by odnaleźć drogę do Boga.

- Można ich zatrzymać w Hajfie. Albo przerzucić ich na Malte, jeśli to wam bardziej odpowiada.

- Hajfa wystarczy.

Podróż nie trwała długo, choć lecieli nisko i powoli. Młodzi lekarze siedzieli w milczeniu, ze skruszonymi minami. Trzymali się za ręce i usiłowali nie spoglądać na Alai. Wylądowali na dachu szpitala w Hajfie; pilot wyłączył silnik i wysiadł, by porozmawiać z człowiekiem w lekarskim fartuchu. Potem otworzył drzwi.

- Muszę zaraz startować, żeby zrobić miejsce dla waszego transportu - oznajmił. - Musicie teraz wysiąść. Wszyscy, oprócz tych dwojga.

Lekarze spojrzeli na siebie wystraszeni.

- Będą bezpieczni? - upewnił się Alai.

- Lepiej żeby nie widzieli, jak wasz transport ląduje i odlatuje - odparł pilot. - Wkrótce będzie świtać i jest już trochę światła. Ale będą bezpieczni.

Alai dotknął czoła obojga, kiedy wysiadał.

Helikopter wystartował i natychmiast pojawił się drugi, ale tym razem była to maszyna bojowa dalekiego zasięgu, z silnikami odrzutowymi, dostatecznie duża, by przenosić wielu żołnierzy na pole bitwy, i uzbrojona dostatecznie, by pokonać wiele przeszkód.

Otworzyły się drzwi i wysiadł Peter Wiggin. Alai podszedł i powiedział:

- Salaam.

- W tobie także niech zagości pokój - odparł Peter.

- Jesteś bardziej podobny do Endera, niż to widać na publikowanych zdjęciach.

- Każę je retuszować, żeby wydawać się starszy i mądrzejszy.

Alai się uśmiechnął.

- Miło z twojej strony, że zgodziłeś się nas podwieźć.

- Kiedy Felix powtórzył mi tę smutną historię o samotnym pieszym wędrowcu na pustyni, nie mogłem zmarnować okazji udzielenia pomocy.

- Myślałem, że przyleci Groszek.

- To cała grupa ludzi szkolonych przez Groszka - wyjaśnił Peter. - Ale on sam ma

teraz inną misję. Tak się składa, że w Rwandzie.

- Czyli to dzieje się teraz?

- Och, nie. Nie wykonamy żadnego ruchu, dopóki nie zobaczymy, czym się skończy twoja mała przygoda.

- No to ruszajmy.

Peter przepuścił Alai przed sobą, ale sam wsiadł przed jego żołnierzami. Ivan chciał chyba zaprotestować, jednak Alai gestem go uciszył. I tak wszystko opierało się na założeniu, że Peter jest skłonny do współpracy i godny zaufania. Za późno już, by teraz martwić się o możliwy zamach albo porwanie. Zresztą wewnątrz i tak czekało już dwudziestu żołnierzy Hegemonii i pokaźna ilość sprzętu. Alai rozpoznał w ich dowódcy o tajskich rysach kogoś, z kim był w Szkole Bojowej. To pewnie Suriyawong, uznał. Skinął mu głową.

Suriyawong odpowiedział skinieniem.

Już w drodze, po uruchomieniu silników odrzutowych - tym razem bez żadnej zawstydzonej kobiety, która musiała zostać oficjalnie skarcona, zyskać wybaczenie i ubrać się - Peter wskazał towarzyszących mu ludzi.

- Założyłem - rzekł - że samotny autostopowicz, o którym mówił nasz wspólny przyjaciel, nie potrzebuje licznej eskorty.

- Tylko takiej, bym dotarł w miejsce, gdzie pewien gruby sznur leży zwinięty niczym wąż.

Peter kiwnął głową.

- Moi przyjaciele próbują w tej chwili ustalić miejsce jego pobytu.

- Mam wrażenie, że będzie daleko od linii frontu - uśmiechnął się Alai.

- Jeśli przebywa w Hajdarabadzie, będzie pod bardzo silną strażą. Ale jeśli jest za granicą, w Pakistanie, ochrona nie będzie szczególnie mocna.

- Wszystko jedno - rzekł Alai. - Nie narażę twoich ludzi na niebezpieczeństwo.

- Ani na rozpoznanie - dodał Peter. - Nie byłoby dobrze, gdyby zbyt wiele osób wiedziało, że odzyskałeś rzeczywistą władzę z pomocą Hegemona.

- Wydaje się, że jesteś blisko za każdym razem, kiedy gram o władzę.

- To już po raz ostatni, jeśli zwyciężysz.

- To już ostatni raz niezależnie od wyniku. Żołnierze albo pójdą za mną, albo nie.

- Pójdą - uznał Peter. - Jeśli tylko dasz im szansę. Alai wskazał swoją nieliczną eskortę.

- Temu właśnie ma służyć mój zespół filmowy.

Ivan uśmiechnął się i uniósł koszulę, pokazując, że ma pod spodem kamizelkę

kuloodporną i niesie granaty, magazynki i pistolet maszynowy.

- A mnie się wydawało, że przybrał pan na wadze — rzucił Peter.

- My, chłopcy ze Szkoły Bojowej, zawsze mamy plan - stwierdził Alai.

- Czyli nie zamierzacie przebijać się do niego?

- Mamy zamiar wejść, jakbyśmy oczekiwali, że wszyscy będą nam posłuszni. Z pracującą kamerą. To prosty plan. Ale nie musi działać przez zbyt długi czas. Ten gruby sznur zawsze kochał kamery.

- To człowiek próżny i brutalny. Tak twierdzą moje źródła - oświadczył Peter. - I nie jest głupi.

- Zobaczymy.

- Myślę, że ci się uda.

- Ja też.

- A kiedy to nastąpi - dodał Peter - myślę, że zrobisz coś z tym wszystkim, na co skarży się Virlomi.

- Właśnie z tego powodu nie mogłem czekać na bardziej sprzyjający moment. Muszę oczyścić islam z tej krwawej plamy.

- Wierzę, że przy tobie jako kalifie Wolne Ludy Ziemi mogłyby współistnieć ze zjednoczonym islamem.

- Ja też w to wierzę - zapewnił Alai. - Chociaż nie mogę powiedzieć tego głośno.

- Ale to, na czym mi zależy - ciągnął Peter - to zabezpieczenie, którego mógłbym użyć, gdybyś jednak nie przeżył. Dzisiaj albo kiedyś w przyszłości. Muszę się upewnić, że nie będę miał do czynienia z kalifem, z którym współistnienie jest niemożliwe.

Wręczył mu kilka kartek papieru. Był to scenariusz. Alai zaczął czytać.

- Jeśli umrzesz śmiercią naturalną i przekazesz tron komuś, kogo wybierzesz, nie będzie mi to potrzebne - wyjaśnił Peter. - Ale jeśli zostaniesz zamordowany, porwany, wygnany czy w inny sposób zdetronizowany przemocą, wtedy chcę to mieć.

- A co się stanie, jeśli to ty będziesz zabity lub w inny sposób siłą odsunięty od władzy? - zapytał Alai. - Co się wtedy stanie z tym widem, zakładając, że powiem to wszystko do kamery?

- Staraj się przekonywać swoich poddanych, by nie sądzili, że zamordowanie mnie będzie dobre dla islamu. A moi lekarze i żołnierze ochronią mnie przed innymi możliwymi przyczynami przedwczesnej śmierci.

- Inaczej mówiąc, mam po prostu zaryzykować?

- Daj spokój. Jedyna sytuacja, kiedy ten wid okaże się użyteczny, to kiedy cię nie

będzie, by się go wyprzeć. A kiedy ja już będę martwy, stanie się bezwartościowy dla mojego niegodnego następcy.

Alai przytaknął.

- To prawda.

Wstał, otworzył walizkę i przebrał się w olśniewający strój, w jakim wierni islamu spodziewali się oglądać swojego kalifa. Tymczasem kamerzysta Petera rozstawił swój sprzęt - i zawiesił tło, by nie było oczywiste, że nagranie zrobiono w maszynie bojowej, w otoczeniu żołnierzy.

* * *

U bramy silnie strzeżonego kompleksu wojskowego w Hajdarabadzie - niegdyś sztabu wojsk indyjskich, potem chińskich okupantów, wreszcie pakistańskich „wyzwoliciele” - zatrzymały się trzy motocykle. Dwa wiozły po dwóch ludzi, trzeci tylko kierowcę z torbą na tylnym siodełku.

Zatrzymali się w sporej odległości od bramy, by nikt nie podejrzewał, że chodzi o samobójczy atak bombowy. Wszyscy unieśli ręce, by jakiś nerwowy strażnik nie zaczął do nich strzelać, a jeden z ludzi wyjął z torby kamerę i umocował na niej nadajnik satelitarny.

To zwróciło uwagę wartowników, którzy natychmiast zadzwonili po radę do kogoś starszego stopniem.

Dopiero kiedy kamera była gotowa, człowiek, który przyjechał na motocyklu sam, zrzucił płaszcz. Strażników niemal oślepiła biel jego szat, zanim jeszcze włożył na głowę kufiję i sznur 'agal.

Nawet ci, którzy stali zbyt daleko, by poznać go z twarzy, widząc młodego człowieka o czarnej skórze w śnieżnobiałym kostiumie, natychmiast odgadli, że ich kalif przybył z wizytą. Zwykli żołnierze i prawie wszyscy oficerowie nie wątpili, że generał Rajam będzie zachwycony tymi odwiedzinami. Dlatego krzyknęli głośno z radości, a niektórzy zawodzili, co miało naśladować wołania arabskich wojowników ruszających do boju, choć tutaj wszyscy żołnierze byli Pakistańczykami.

Kamera nagrywała, jak Alai wznosi ramiona, przyjmując uwielbienie swego ludu.

Przeszedł przez wartownię nie zatrzymywany.

Ktoś przyprowadził mu jeepa, lecz odmówił i szedł dalej pieszo. Operator z ekipą wsiedli i jechali najpierw obok, a potem przed kalifem. Tymczasem adiutant kalifa, Ivan Lankowski, podobnie jak filmowcy ubrany po cywilnemu, tłumaczył biegnącym za nimi oficerom, że kalif przybył, by uhonorować generała Rajama tak, jak na to zasłużył. Spodziewa się, że generał Rajam i ci, którzy jego zdaniem powinni dzielić z nim te honory,

powitają kalifa na otwartym placu, przed całym wojskiem.

Wiadomość rozeszła się szybko i już wkrótce Alai towarzyszyły tysiące żołnierzy, wiwatujących i wykrzykujących jego imię. Odsuwali się z drogi ekipy filmowej, a ci, którzy sądzili, że są w obiektywie kamery, szczególnie wylewnie demonstrowali swój entuzjazm - na wypadek gdyby ktoś ich zobaczył i rozpoznał.

Alai był praktycznie pewny, że cokolwiek planuje Rajam, nie zrobi tego przy otwartym łączu satelitarnym i przed tysiącami patrzących żołnierzy. Generał zorganizowałby pewnie śmierć kalifa w katastrofie lotniczej po drodze albo zamach możliwie daleko od miejsca swego pobytu. Teraz, kiedy Alai przybył, Rajam będzie grał na czas, by się przekonać, co kalif zamierza, równocześnie szukając jakichś dyskretnych sposobów pozbycia się go - zamordowania albo przewiezienia z powrotem do Damaszku i trzymania tam pod silniejszą strażą.

Jak się spodziewał, generał czekał na niego u szczytu imponujących schodów, prowadzących do najpiękniejszego budynku w kompleksie. Jednak Alai wszedł tylko na kilka stopni i tam się zatrzymał, odwrócony plecami do Rajama, a twarzą do żołnierzy... i kamery. W tym miejscu było lepsze światło.

Ekipa filmowa zajęła miejsca u stóp schodów.

Alai uniósł ręce, nakazując ciszę, i czekał. Okrzyki umilkły.

- Żołnierze Boga! - zawołał.

Potężny wrzask, który jednak ucichł natychmiast.

- Gdzie jest generał, który was prowadził?

Znowu wiwaty - ale tym razem zauważalnie mniej entuzjastyczne. Alai miał nadzieję, że Rajam nie będzie zbyt dotknięty tą różnicą popularności.

Nie oglądał się - polegał na Ivanie, że da mu znak, kiedy Rajam się zbliży. Zauważył, jak Ivan macha do generała, by stanął po lewej ręce kalifa, bezpośrednio przed kamerą.

Ivan dał znak. Alai odwrócił się i ucałował Rajama.

Zasztyletuj mnie teraz, chciał powiedzieć. Bo to twoja ostatnia szansa, ty zdradziecki, krwiożerczy psie.

Zamiast tego szepnął mu cicho wprost do ucha:

- Wiesz, Rajam, mój stary przyjaciel Ender mawiał: brama nieprzyjaciela jest w dole.

Rozluźnił uścisk, ignorując zdumienie na twarzy Rajama, po czym wziął go za rękę, prezentując wiwatującym żołnierzom. Uniósł dłoń, nakazując milczenie.

- Bóg widział czyny, jakich dokonywano w jego imieniu w Indiach!

Okrzyki. Ale też, na niektórych twarzach, wahanie. Wszyscy oglądali widy Virlomi, w

tym ten najnowszy. Niektórzy, ci najinteligentniejsi, wiedzieli, że nie mogą być pewni, co właściwie Alai ma na myśli.

- I Bóg wie, tak jak wy wszyscy wiecie, że nic nie uczyniono w Indiach, co nie było wolą generała Rajama!

Tym razem okrzyki były wyraźnie niepewne.

- Dziś nadszedł dzień, który Bóg wyznaczył, by spłacić dług honorowy!

Krzyki ledwie się zaczęły, gdy ekipa filmowa wydobyła pistolety maszynowe i poszatkowała ciało Rajama kulami.

Z początku wielu żołnierzy sądziło, że to próba zamachu na kalifa, i rozległ się wściekły ryk. Alai z satysfakcją stwierdził, że nie są to muzułmańscy żołnierze znani z historii - nieliczni tylko cofnęli się przed kulami, a wielu rzuciło się naprzód. Wzniósł ramiona i przeszedł wyżej, ponad ciało Rajama. Równocześnie, tak jak im polecił, Ivan i dwaj żołnierze, którzy nie obsługiwali kamery, wbiegli na stopnie, stanęli w szeregu z Alai i podnieśli broń nad głowami.

- Allahu akbar! - zakrzyknęli chórem. - Mahomet jest jego prorokiem. A Alai jest kalifem!

I znowu Alai wzniósł ramiona i czekał, aż zapanowała względna cisza, a ruch w stronę schodów zamarł. Teraz żołnierze otaczali go ze wszystkich stron.

- Smród występków Andarijja Rajama roznosi się po całym świecie! Żołnierze islamu przybyli do Indii jako wyzwoliciele! W imię Boże przybyli, jako przyjaciele naszych braci i siostr w Indiach! Ale Andarij Rajam zdradził Boga i kalifa, zachęcając swoich ludzi do popełniania straszliwych zbrodni! Bóg obwieścił już, jaka jest kara za takie zbrodnie! A ja przybyłem, by oczyścić islam z tego zła. Już nigdy więcej żaden mężczyzna, kobieta czy dziecko nie będzie miało powodu, by obawiać się armii Boga! Nakazuję wszystkim żołnierzom Boga, by aresztowali każdego, kto popełniał te okropności przeciwko ludziom, których przyszliśmy wyzwolić! Nakazuję narodom tego świata, by nie udzielały zbrodniarzom schronienia! Nakazuję moim żołnierzom, by aresztowali każdego, kto wydawał rozkazy, by popełniać te okrucieństwa, i każdego, kto wiedział o tych okrucieństwach, ale nie zrobił nic, by ukarać przestępców! Aresztujcie ich i dajcie świadectwo przeciwko nim, a ja w imię Boga ich osądzę! Jeżeli nie zechcą poddać się mojej władzy, to buntują się przeciwko Bogu! Przyprowadźcie ich do mnie na sąd, jeżeli nie będą się wam opierać, a jeśli są niewinni, nie muszą się lękać. W każdym mieście i twierdzy, w każdym obozie i na lotnisku niech moi żołnierze aresztują złoczyńców i stawiają ich przed oficerami, którzy są lojalni wobec Boga i kalifa!

Stał w tej samej pozycji jeszcze przez dziesięć sekund, a żołnierze wiwatowali. Potem zauważył, że operator opuszcza kamerę, gdyż niektórzy żołnierze już ciągnęli do niego różnych ludzi. Inni pobiegli między budynki, szukając następnych.

Teraz miała się dokonywać surowa sprawiedliwość, gdyż islamska armia rozrywała samą siebie na części. Ciekawie będzie się przekonać, po której stronie staną tacy ludzie jak Ghaffar Wahabi, premier Pakistanu. Szkoda byłoby używać tego wojska do obalenia muzułmańskiego rządu.

Lecz Alai musiał działać szybko, nawet jeśli chaotycznie. Nie mógł pozwolić, by jacyś przestępcy uciekli i zaczęli spiskować przeciw niemu.

A kiedy patrzył na oskarżonych, ustawianych przed sobą pod kierunkiem Ivana i jego ludzi - którzy chyba jednak nie mieli dzisiaj zginąć - powtarzał w myślach: Patrz, Kant Zupa! Patrz, jak Alai wykorzystał twoją sztuczkę do własnych celów.

Ciągle uczymy się czegoś od siebie - my, żołnierze z jeeshu Endera.

A co do ciebie, Peter, zachowaj ten swój wid. Nigdy nie będzie potrzebny. Albowiem wszyscy ludzie są jedynie narzędziami w rękach Boga, i to ja, nie ty, jestem narzędziem, które Bóg wybrał do zjednoczenia świata.

13

Odnaleziona

From: Graff%pilgrimage@colmin.gov

To: PADelphiki@TutsiNet.rw.net

Subject: Możesz podróżować?

Twój mąż jest teraz zajęty w Rwandzie. Czy jesteś w stanie podróżować sama? Nie spodziewamy się żadnych zagrożeń oprócz zwykłych uciążliwości lotu. Ale że mały Ender wciąż jest taki mały, zechcesz pewnie go zostawić. A może nie – jeśli wolisz go zabrać, postaramy się jak najlepiej wszystko zorganizować.

Udało nam się potwierdzić tożsamość jednego z twoich dzieci. Córkę. Naturalnie, najpierw znajdujemy dzieci, które noszą skazę genetyczną Groszka. Uzyskaliśmy dostęp do próbki krwi pobranej od dziecka, ponieważ poród był przedwczesny. Pełna zgodność DNA. Mała jest twoja. Prawdopodobnie będzie to trudne dla tymczasowych rodziców, zwłaszcza dla matki, która – jak ofiara przysłowiowej kukułki – urodziła właśnie dziecko innej

kobiety. Zrozumiem doskonale, jeśli nie zechcesz być przy tym. Twoja obecność jednak może także pomóc im uwierzyć w realność prawdziwej matki „ich” dziecka. Twój wybór.

Petra była wściekła na Petera - i na Graffa. Co za intryganci, tak pewni, że świetnie wiedzą, co jest dla kogo najlepsze. Jeśli wstrzymywali ogłoszenie o ratyfikacji, dopóki trwa zamieszanie - nie, raczej rzezie - w świecie islamu, to czemu właściwie Groszek nie może z nią polecieć, by odebrać ich pierwsze odnalezione dziecko?

Nie, to niemożliwe, musiał wzmacniać lojalność rwandyjskiej armii i tak dalej, i tak dalej, jakby to się naprawdę liczyło. A co najbardziej irytujące, dlaczego Groszek się na to godzi? Odkąd stał się taki posłuszny? Powtarzał tylko: „Muszę zostać” bez żadnych wyjaśnień, chociaż żądała przynajmniej jakiegoś usprawiedliwienia.

Czy Groszek też knuje jakieś intrygi? Ale z pewnością nie przeciwko niej. Dlaczego miałby przed nią ukrywać swoje myśli? Jakie tajemnice chciałby zachować?

Kiedy jednak stało się jasne, że Groszek z nią nie poleci, Petra do jednej torby spakowała dziecięce ubranka, pieluchy i zmianę odzieży dla siebie, potem chwyciła małego Endera i ruszyła na lotnisko Kayibanda.

Tam spotkał ją Mazer Rackham.

- Przyleciałeś do Kigali, zamiast umówić się ze mną na miejscu?

- Też się cieszę, że cię widzę - odpowiedział. - W tej kwestii nie ufamy lotom komercyjnym. Uważamy, że siatka Achillesa została rozbita, ale nie możemy ryzykować porwania w drodze twojego syna albo zamachu na ciebie.

A więc Achilles wciąż na nas wpływa, wciąż kosztuje nas pieniądze, nawet po śmierci. Albo może jest tylko pretekstem, żebyście mogli bezpośrednio wszystko nadzorować... Dlaczego dzieci Groszka i moje są dla was takie ważne? Skąd mam wiedzieć, czy wy też nie macie planu, żeby zaprząć nasze dzieci do jakiegoś szlachetnego, ratującego świat zadania?

Ale powiedziała tylko:

- Dziękuję.

Wystartowali prywatnym odrzutowcem, który udawał, że należy do jednej z wielkich firm solarnego odsalania wody, jakie rozwijały się ostatnio na Saharze.

Dobrze wiedzieć, jakie firmy wykorzystuje MF jako przykrywkę dla swoich operacji na Ziemi.

Przelecieli nad Saharą. Petra nie umiała ukryć podziwu na widok odtworzonego

jeziora Czad i potężnych projektów nawadniania wokół niego. Czytała, że odsalanie wody na libijskim wybrzeżu przebiega szybciej niż parowanie, i że jezioro Czad wpływa już na klimat w tym regionie. Nie była jednak przygotowana na widok tylu kilometrów trawiastych równin ani stad pasących się zwierząt. Trawa i zarośla zmieniały piasek i nieużytki znowu w żyzną glebę. A na oślepiającej powierzchni jeziora Czad widać było białe plamki żagli łodzi rybackich.

Wylądowali w Lizbonie; Rackham zabrał ją najpierw do hotelu, gdzie mogła nakarmić Endera, umyć się, a potem wsadzić dziecko do nosidełka na piersi. Tak zeszła do holu, gdzie czekał już Rackham. Poprowadził ją do czekającej przed hotelem limuzyny.

Ku swemu zaskoczeniu, poczuła nagłe ukłucie strachu. Nie miało nic wspólnego z samochodem ani z celem dzisiejszej wyprawy. Przypomniała sobie dzień, kiedy w jej łonie zaimplantowano małego Endera. Groszek wyszedł z nią ze szpitala i kierowcy pierwszych dwóch taksówek palili. Dlatego kazał jej wsiąść do trzeciej. Sam odjechał pierwszą.

Pierwsze dwie taksówki były elementami spisku mającego na celu porwanie i zabójstwo. Groszek o włos uniknął śmierci. Taksówka, którą pojechała ona, należała do całkiem innego spisku - mającego ocalić jej życie.

- Znasz kierowcę? - spytała. Mazer przytaknął z powagą.

- Niczego nie pozostawiamy przypadkowi - odparł. - Kierowca jest żołnierzem. Naszym.

Czyli MF ma na Ziemi wyszkolony personel wojskowy noszący cywilne ubrania i prowadzący limuzyny. Co za skandal...

Dotarli na wzgórze, do sporego, pięknego domu z oszałamiającym widokiem na miasto, zatokę, a w pogodne dni także Atlantyk poza nią. Niegdyś rządzą tutaj Rzymianie. Potem Wandalowie, a potem Wizygoci. Później zdobyli to miasto Maurowie, a jeszcze później odebrali chrześcijanie. Stąd wypływały żaglowce, okrążały Afrykę, zakładały kolonie w Indiach, Chinach i Afryce, a w końcu w Brazylii.

A jednak było to tylko ludzkie miasto w pięknej okolicy. Trzęsienia ziemi i pożary zdarzały się i przemijały, ale ludzie ciągle budowali na wzgórzach i na równinie. Przez sztormy, ciszę morską i pirackie napady tracili statek po statku, a jednak wciąż wyruszali na morze z sieciami rybackimi, towarami na handel albo z działami. Kochali się i wychowywali dzieci, tak samo w rezydencjach, jak w małych domkach biedoty.

Przybyła tu z Rwandy, tak jak ludzie przybywali z Afryki od pięćdziesięciu tysięcy lat. Nie należała do plemienia, które chowało się w jaskiniach, by malować na ścianach swoje opowieści i oddawać cześć swoim bogom. Nie przybyła tu z falą najeźdźców. Ale... przybyła

wyrwać dziecko z ramion kobiety. Oświadczyć, że to, co narodziło się z łona tej obcej, od teraz będzie należało do niej. Podobnie jak wielu ludzi, którzy stawali na tych wzgórzach i mówili: To jest teraz moje i zawsze było moje, nieważne, co twierdzą ci, którzy akurat myślą inaczej i którzy posiadali te ziemie przez całe swoje życie.

Moje, moje, moje. To jest przekleństwo i potęga ludzkich istot - że to, co zobaczyli i pokochali, musieli posiąść na własność. Mogli dzielić się z innymi, ale tylko wtedy, jeśli tych innych też w jakiś sposób postrzegali jako swoich. Co mamy, jest nasze. Co wy macie, też powinno być nasze. Właściwie to nic nie macie, jeśli my tego nie chcemy. Ponieważ jesteście niczym. My jesteśmy prawdziwymi ludźmi, a wy tylko ludzi udajecie, aby pozbawić nas tego, co Bóg dla nas przeznaczył.

I teraz właśnie po raz pierwszy zrozumiała wielkość tego, co próbują osiągnąć Graff, Mazer Rackham i - tak - nawet Peter.

Starają się skłonić ludzi, by uważali się za należących do jednego plemienia.

Już się zdarzyło, że zagroziły im istoty naprawdę obce. Wtedy cały rodzaj ludzki poczuł się naprawdę jednym ludem i zjednoczył się, by wspólnie odeprzeć nieprzyjaciół.

Ale po zwycięstwie wszystko się rozpadło, a dawne urazy przerodziły się w wojnę. Najpierw zadawniona niechęć Rosji do Zachodu... A kiedy MF zdusiła ten konflikt, kiedy upadł dawny Polemarcha i zastąpił go Chamrajnagar, wojny przeniosły się na inne pola śmierci.

Ludzie patrzyli nawet na dzieciaki ze Szkoły Bojowej i mówili: Nasze. Nie wolni ludzie, ale własność tego czy innego narodu.

A teraz te same dzieci, niegdyś czyjaś własność, sprawowały władzę w niektórych z najpotężniejszych państw. Alai, krwią przeciwników spajający cegły swego zagrożonego imperium. Han Tzu, możliwie szybko odbudowujący gospodarkę Chin, aby po klęsce mogły wrócić do statusu światowego mocarstwa. I Virłomi, działająca teraz jawnie, odmawiająca poparcia którejkolwiek z grup, stojąca ponad polityką; jednak Petra wiedziała, że nie wypuści władzy z rąk.

Czy Petra nie siedziała obok Han Tzu i Alai, kierując flotyllami i eskadrami w dalekich bitwach? Myśleli wtedy, że to tylko gra - wszyscy w to wierzyli oprócz Groszka, strażnika tajemnicy - ale wspólnie ratowali świat. Kochali być razem. Kochali być jednością, pod dowództwem Endera Wiggina.

Virłomi nie było wtedy z nimi, ale Petra ją także pamiętała - jako tę, do której się zwróciła, kiedy była więźniem w Hajdarabadzie. Przekazała jej wiadomość, a Virłomi podjęła to brzemie, jakby Petra była ważną osobą; przekazała wiadomość Groszkowi, pomogła mu

przybyć i ją ocalić. A teraz Virlomi stworzyła nowe Indie na ruinach starych, dała ludziom coś potężniejszego, niż mogłby dać zwykły obieralny rząd. Dała im boską władczynię, marzenie i wizję. Indie były gotowe, by stać się - po raz pierwszy w historii - wielkim mocarstwem, godnym swej wielkiej populacji i starożytnej kultury.

Ich troje prowadziło swe narody ku wielkości, kiedy wielkość narodu stała się koszmarem rodzaju ludzkiego.

Jak Peter w ogóle zdoła nad nimi zapanować? Jak im powie: Nie, to miasto, ta góra, te pola, to jezioro nie należą do was ani do żadnej innej grupy czy osoby, ale są częścią Ziemi, a Ziemia należy do nas wszystkich, do jednego plemienia. Jednego rozrośniętego stada pawianów, które ukrywają się w cieniu nocy tej planety, a siły życiowe ciągną z gorąca planetarnego dnia.

Graff i jemu podobni aż za dobrze wykonali swoją pracę. Odnaleźli wszystkie dzieci, które nadawały się do swej roli, ale elementem zestawu, według którego dokonywali selekcji, była ambicja. Nie tylko pragnienie, by dorównać, a nawet prześcignąć innych - tu działała agresja, chęć, by rządzić i kontrolować.

Muszą stawiać na swoim.

Ambicja. Agresja. Ja te cechy mam z całą pewnością... Gdybym nie zakochała się w Groszku, nie skupiła na naszych dzieciach, czy byłabym jedną z nich? Zawadzałyby mi tylko słabość mojego kraju - Armenia nie ma ani bogactw, ani woli narodu, by władać wielkimi imperiami. Lecz Alai i Han Tzu dziedziczą setki lat imperiów i poczucie, że władza im się należy. Virlomi za to kreuje własny mit i naucza swój lud, że nadszedł dzień chwały.

Tylko dwoje z tych dzieci wyłamało się z wzorca, porzuciło wielką grę rzezi i dominacji.

Groszek nie został wybrany z powodu skłonności do agresji. Wybrano go ze względu na inteligencję. Umysłem dalece przewyższał wszystkich. Ale nie był jednym z nas. Potrafił rozwiązywać problemy strategiczne z większą łatwością niż ktokolwiek inny - większą nawet niż Ender. Ale nie obchodziło go, czy dowodzi, nie dbał o to, czy zwycięża. Kiedy dostał własną armię, nie wygrał żadnej bitwy - cały wysiłek poświęcił na szkolenie żołnierzy i testowanie swoich pomysłów.

Dlatego mógł być idealnym cieniem Endera Wiggina. Nie musiał Endera przewyższać. Chciał tylko przeżyć. A także - nie zdając sobie z tego sprawy - kochać i być kochanym. Ender mu to dał. I siostra Carlotta. I ja. Ale nigdy nie chciał rządzić.

Peter jest tym drugim. A on naprawdę chce rządzić, chce prześcignąć wszystkich pozostałych. Tym bardziej że nie wybrano go do Szkoły Bojowej. Więc co go powstrzymuje?

Ender Wiggin? O niego chodzi? Peter chce być większy od swego brata. Nie może tego dokonać drogą podbojów, bo nie jest w stanie dorównać nam, dzieciom ze Szkoły Bojowej. Nie może zacząć wojny przeciwko Han Tzu czy Alai - ani mnie czy Groszkowi, skoro już o tym mowa. A jednak chce być kimś więcej niż Ender Wiggin, a Ender Wiggin uratował ludzkość.

Petra stała na zboczu wzgórza, po drugiej stronie ulicy niż dom, w którym czekało na nią jej drugie dziecko. Zamierzała odebrać córkę kobiecie, która ją urodziła. Spojrzała ponad miastem i zobaczyła siebie.

Jestem ambitna jak Kant Zupa, Alai czy którekolwiek z nich. A jednak pokochałam i zdecydowałam się poślubić - wbrew jego woli - jedyne go chłopca ze Szkoły Bojowej, który nie miał własnych ambicji. Dlaczego? Bo chciałam następnego pokolenia. Chciałam najmądrzejszych dzieci. Choć mówiłam mu, że nie chcę, by miały jego schorzenie, tak naprawdę chciałam, żeby były jak on. Chciałam być Ewą nowej rasy. Chciałam, żeby moje geny stały się częścią ludzkiej przyszłości. I tak będzie.

Groszek umrze. Wiedziałam o tym od początku. Wiedziałam, że będę młodą wdową. Gdzieś w głębi umysłu pamiętałam o tym przez cały czas. To straszne, uświadomić sobie coś takiego o sobie.

I dlatego nie chcę, żeby ktoś zabrał nasze dzieci. Muszę mieć je wszystkie, tak samo jak zdobywca musiał mieć to miasto. To ja muszę je mieć. Są moim imperium.

Jakie życie je czeka ze mną jako matką?

- Nie możesz odkładać tego w nieskończoność - odezwał się Mazer Rackham.

- Myślałam tylko.

- Jesteś jeszcze dość młoda, by wierzyć, że cię to gdzieś doprowadzi.

- Nie - odparła. - Jestem starsza, niż ci się wydaje. I wiem, że nie wymyślę sposobu, żeby nie być tym, kim jestem.

- A dlaczego miałabyś tego chcieć? - zdziwił się. - Nie wiesz, że zawsze byłaś z nich najlepsza?

Spojrzała na niego, powstrzymując przyływ dumy, nie chcąc uwierzyć.

- Nonsens. Jestem najslabsza. Najgorsza. To ja się załamalam.

- Na ciebie Ender naciskał najmocniej, na tobie polegał najbardziej. On wiedział. Poza tym nie chodziło mi o najlepszą w walce. Chodziło mi o to, że jesteś najlepsza, kropka. Najlepsza w byciu człowiekiem.

Co za ironia losu, że powiedział to akurat wtedy, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest ambitna, egoistyczna... niebezpieczna... Niemal się roześmiała. Ale tylko dotknęła jego

ramienia.

- Biedaku - szepnęła. - Myślisz o nas jak o własnych dzieciach.

- Nie - sprzeciwił się Rackham. - To raczej Hyrum Graff.

- Miałeś dzieci? Przed swoją wyprawą?

Rackham pokręcił głową. Ale nie wiedziała, czy chce powiedzieć „Nie miałem dzieci”, czy „Nie chcę o tym rozmawiać”.

- Wejdzmy do środka.

Petra odwróciła się, przeszła wąską uliczkę i podążyła za nim przez bramę do ogrodu i dalej, aż do drzwi domu. Stały otworem we wczesnojesiennym słońcu. Pszczoły brzęczały wśród kwiatów w ogrodzie, ale żadna nie zapuszczała się do pokoi. Czego miały tam szukać, gdy wszystko, co potrzebne, było na zewnątrz?

Kobieta i mężczyzna czekali w jadalni. Inna kobieta w cywilnym ubraniu - ale dla Petry wyglądała jak żołnierz - stała za nimi. Może pilnowała, żeby nie próbowali uciekać.

Żona siedziała w fotelu i trzymała swoją nowo narodzoną córkę. Mąż opierał się o stół. Jego twarz była maską rozpacz. Kobieta niedawno płakała.

A zatem już wiedzą.

Rackham odezwał się natychmiast:

- Nie chciałem, żebyście oddawali dziecko obcym. Chciałem, żebyście zobaczyli, że wraca do domu, do własnej matki.

- Ale ona ma już dziecko - powiedziała kobieta. - Mówił pan, że ona...

- Owszem, mówił - rzekł mężczyzna.

Petra usiadła na krześle, naprzeciw mężczyzny i na ukos od kobiety. Ender kręcił się trochę, ale spał.

- Chcieliśmy zachować inne, żeby nie rodziły się wszystkie naraz. Planowałam urodzić je sama. Mój mąż umiera. Chciałam mieć jego dzieci, kiedy już odejdzie.

- Ale przecież masz ich więcej! Nie możesz zrezygnować z tego jednego?

Głos kobiety brzmiał tak żałośnie... Petra znienawidziła samą siebie za to, że musi powiedzieć nie.

Mazer Rackham odezwał się, zanim zdążyła.

- Ta dziewczynka już w tej chwili umiera na tę samą chorobę, która zabija jej ojca. Dlatego urodziła się za wcześnie.

Kobieta tylko mocniej przytuliła małą.

- Będziecie mieli własne dzieci - dodał Rackham. - Macie przecież cztery zapłodnione jajeczka.

Niedoszły ojciec spojrzał na niego ironicznie. - Następnym razem adoptujemy - mruknął.

- Jest nam bardzo przykro - ciągnął Rackham - że przestępcy ukradli dostęp do pani macicy, aby doprowadzić do porodu dziecka innej kobiety. Ale to dziecko naprawdę jest jej, a jeśli dokonacie adopcji, powinniście mieć dzieci, z których rodzice zrezygnowali z własnej woli.

Mężczyzna przytaknął. Zrozumiał.

Ale dziewczynkę trzymała w ramionach kobieta.

- Chciałaby pani potrzymać jej brata? - zaproponowała Petra. Wyjęła Endera z nosidełka. - Ma miesiąc. To Andrew.

Kobieta kiwnęła głową.

Rackham schylił się i zabrał jej z rąk dziecko. Petra podała jej Endera.

- Moja... mała jest... Nazywam ją Bella. Moja Lourinha... - załkała.

Lourinha? Włosy małej - tyle, ile ich miała - były brązowe. Ale widać nie trzeba mieć jasnych, żeby zyskać przydomek „blondynka”.

Petra odebrała dziewczynkę z rąk Rackhama. Była mniejsza niż Ender, ale miała tak samo inteligentne, badawcze spojrzenie. Ender miał czarne włosy, jak Groszek. A Bella miała jej kolor włosów. Petra zdumiała się, jak bardzo poczuła się szczęśliwa, że dziecko odziedziczyło coś po niej.

- Dziękuję, że urodziłaś moją córkę - powiedziała. - Boleję nad twym żalem, ale mam nadzieję, że ty zdołasz się cieszyć moją radością.

Szlochająca kobieta pokiwała głową i przytuliła Endera. Popatrzyła na niego i przemówiła cienkim, dziecięcym głosem:

- *Es tu feliz em ter irminha? Es tu felizinho?*

A potem zalała się łzami i oddała Endera Rackhamowi.

Petra wstała i umieściła Bellę w nosidełku, na miejscu Endera. Potem wzięła Endera od Rackhama i oparła sobie na piersi.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. - Proszę, wybaczyć mi, że nie pozwoliłam wam zatrzymać mojego dziecka.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- *Não ha de que desculpar.*

- Nie ma czego wybaczać - mruknęła surowa kobieta, która najwyraźniej była nie tylko strażniczką, ale i tłumaczem.

Kobieta zapłakała żałośnie i poderwała się, odsuwając fotel. Szlochała, bełkotała,

chwyciła Bellę i obsypywała ją pocałunkami. Nie próbowała jednak odebrać dziecka.

Rackham odprowadził Petrę, a strażniczka i mąż odciągnęli matkę i przytrzymali. Wciąż płakała i jęczała, kiedy Petra i Rackham wychodzili z domu.

W samochodzie Rackham usiadł z tyłu i odebrał Petrze Endera na czas drogi powrotnej do hotelu.

- Rzeczywiście są małe - zauważył.

- Groszek nazywa Endera osobą-zabawką.

- Trudno się dziwić.

- Czuję się jak uprzejma kidnaperka - wyznała Petra.

- Nie ma powodów. Chociaż były jeszcze embrionami, kiedy ci je odebrano, to był naprawdę kidnapping, a teraz odzyskałaś swoją córkę.

- Ale ci ludzie nie zrobili nic złego.

- Pomyśl trochę - zachęcił ją Rackham. - Zastanów się, jak ich znaleźliśmy.

Przeprowadzili się, przypomniała sobie. Kiedy przełącznik martwej ręki, zostawiony przez Volescu, nadał wiadomość, przeprowadzili się.

- Dlaczego mieliby świadomie...

- Żona nic nie wie. Nasza umowa z mężem była taka, że nic jej nie powiemy. Rozumiesz, on jest całkowicie bezpłodny. Ich próba zapłodnienia *in vitro* się nie powiodła. Dlatego przyjął ofertę Volescu i udawał przed żoną, że to naprawdę ich dziecko. To on odebrał wiadomość i wymyślił jakiś pretekst, żeby przeprowadzić się do tego domu.

- Nie pytał, skąd pochodzi dziecko?

- Jest bogaty - odparł Rackham. - Ludzie bogaci uznają za naturalne, że to, czego chcą, samo do nich przychodzi.

- Ale kobieta nie zrobiła nic złego.

- Tak samo jak Groszek, a jednak on umiera - stwierdził Rackham. - Tak samo jak ja, a jednak wysłano mnie w podróż, która pchnęła mnie o dziesięciolecia w przyszłość, kosztowała mnie wszystko i wszystkich. A ty stracisz Groszka, chociaż też nie zrobiłaś nic złego. Życie jest pełne cierpienia dokładnie w tym samym stopniu, w jakim pozwalamy sobie kochać innych ludzi.

- Rozumiem - mruknęła Petra. - Jesteś rezydentnym filozofem Ministerstwa Kolonizacji.

Rackham uśmiechnął się.

- Filozofia niesie liczne pociechy, ale nigdy dosyć.

- Myślę, że razem z Graffem zaplanowaliście sobie całą historię świata. Myślę, że

wybraliście Groszka i Petera do ról, jakie grają w tej chwili.

- Mylisz się. Mylisz się całkowicie. Graff i ja tylko wybraliśmy dzieci, które, jak nam się wydawało, mogą wygrać wojnę. I szkoliliśmy je do zwycięstwa. Ponosiliśmy jedną porażkę za drugą, aż znaleźliśmy Endera. I Groszka jako jego wsparcie. I resztę jeeshu, żeby mu pomagali. A kiedy skończyła się ostatnia bitwa i zwyciężyliśmy, Graff i ja stanęliśmy wobec faktu, że rozwiązanie jednego problemu stało się źródłem następnego.

- Zidentyfikowani przez was militarni geniusze rozerwą świat na strzępy, żeby zaspokoić swoje ambicje.

- Albo będą użyci jako pionki, by zaspokoić ambicje innych. Tak.

- Więc postanowiliście znowu użyć ich jako pionków w swojej własnej grze.

- Nie - zapewnił cicho Rackham. - Postanowiliśmy znaleźć sposób, żeby dać większości z nich wolność, umożliwić normalne ludzkie życie.

- Większości z nas?

- Nic nie mogliśmy zrobić dla Groszka.

- Chyba nie - zgodziła się Petra.

- Ale wtedy zdarzyło się coś, czego nie zaplanowaliśmy - mówił Rackham. - Na co nie mieliśmy nadziei. Znalazł miłość. Został ojcem. Tego, dla którego nic nie mogliśmy zrobić, ty uczyniłaś szczęśliwym. Dlatego nie ukrywam, że jesteśmy ci bardzo wdzięczni, Petro. Mogłaś iść w świat i toczyć teraz rozgrywkę z pozostałymi. - Zachichotał. - Nigdy byśmy o tym nie pomyśleli. Wypadałaś z wykresu, jeśli chodzi o ambicję. Nie aż tak jak Peter, ale prawie. A mimo to odsunęłaś to wszystko.

Uśmiechnęła się tak błogo, jak tylko potrafiła.

Gdybyś tylko znał prawdę, pomyślała.

A może zna, a te zapewnienia o podziwie to sposób manipulacji?

Nikt nigdy nie ma na myśli dokładnie tego, co mówi. Nawet jeśli wierzy, że mówi prawdę, zawsze coś kryje się poza słowami.

Było już ciemno, kiedy wróciła do domu, do kompleksu sztabowego tuż za Kigali. Mazer Rackham nie wszedł z nią do środka. Sama wniosła oboje dzieci, Endera znowu w nosidełku, a Bellę na ręku.

Groszek był na miejscu i czekał. Podbiegł, wziął od niej córkę i przytulił do policzka.

- Uważaj, bo zadusisz małą, niezdaro - powiedziała Petra. Roześmiał się i pocałował żonę. Usiedli razem na łóżku, trzymając dzieci na rękach. Potem zamieniali się nimi. I znowu.

- Jeszcze siedem - stwierdziła Petra.

- Trudno było? - spytał Groszek.

- Cieszę się, że ze mną nie poleciałeś - odpowiedziała. - Nie jestem pewna, czy byłbyś dostatecznie twardy, żeby przez to przejść.

14

Goście Virlomi

From: ImperialSelf%KantZupa@ForbiddenCity.en•gov

To: Suriyawong@hegemon.gov

Subject: Znaleźliśmy Paribatrę

Suriyawong, z satysfakcją chcę cię powiadomić, że Paribatra, były premier Tajlandii, został zlokalizowany. Nie jest zupełnie zdrowy, ale wydaje się, że przy właściwej opiece odzyska siły w takim stopniu, w jakim jest to możliwe dla człowieka w jego wieku.

Były rząd doprowadził niemal do perfekcji sztukę „znikania” ludzi bez zabijania ich. Wciąż jednak staramy się wysledzić innych jeńców z Tajlandii. Mam nadzieję, że uda nam się odnaleźć i uwolnić członków twojej rodziny.

Wiesz, że sprzeciwiałem się tym bezprawnym działaniom wobec Tajlandii, jej obywateli i jej rządu. Staram się teraz wykorzystać pierwszą sposobność, by naprawić tyle krzywd, ile

zdołam.

Z przyczyn polityki wewnętrznej w tej chwili nie mogę przekazać Paribatry bezpośrednio organizacji Ambula, Wolnej Tajlandii, chociaż spodziewam się, że jego grupa stanie się rdzeniem nowego rządu i oczekuję szybkiego nawiązania stosunków.

Kiedy uwolnimy Paribatrę i przekazemy pod opiekę Hegemona, wydaje się właściwe, byś właśnie ty, który tak się starałeś ocalić Tajlandię, był tym, który go przyjmie.

Virlomi przybyła do Hajdarabadu. Przed bramą kompleksu wojskowego - gdzie kiedyś pracowała praktycznie w niewoli, kreśląc plany wojen i inwazji, w które nie wierzyła - wzniosła lepiankę. Zbudowała ją własnymi rękami.

Codziennie wychodziła nabrać wody, chociaż niewiele już pozostało w Indiach wiosek nie mających dostępu do czystej wody bieżącej. Codziennie zakopywała nocne nieczystości, chociaż większość wiosek posiadała działający system kanalizacji.

Hindusi przybywali do niej setkami, by zadawać pytania. Kiedy była już zmęczona, wychodziła do nich, płakała nad nimi i błagała, żeby wrócili do domu. Odchodzili, ale następnego ranka przybywali nowi.

Żołnierze się u niej nie zjawiali, nie prowokowała więc otwarcie muzułmańskich wojskowych. Oczywiście, kierowała indyjską armią, która bezustannie rosła w siłę. Wykorzystywała w tym celu szyfrowane rozmowy przez telefony komórkowe, które jej adiutanci - udający zwykłych pielgrzymów - codziennie wymieniali na nowe i naładowane.

Od czasu do czasu przybywał ktoś z innego kraju, by się z nią spotkać. Adiutanci wyjaśniali mu wtedy szeptem, że Virlomi nie rozmawia z nikim, kto nie staje przed nią boso, a jeśli noszą zachodnie garnitury, to zaproponuje odpowiednie okrycia, które im się nie spodobać... Lepiej więc, by od razu przebrali się w indyjskie szaty, jakie sami sobie wybiorą.

Trzech niezwykle gości stanęło przed nią w ciągu jednego tygodnia czuwania.

* * *

Pierwszym był Tikal Chapekar. Cesarz Han uwolnił go wraz z wieloma innymi indyjskimi jeńcami. Jeśli spodziewał się jakiejś ceremonii z okazji swego powrotu do Indii, to się rozczarował.

Z początku uznał, że media milczą, ponieważ muzułmańscy zdobywcy nie pozwalają

na żadną wzmiankę o powrocie byłego premiera z niewoli. Udał się więc do Hajdarabadu, by złożyć skargę u samego kalifa, który obecnie rządził swym ogromnym islamskim imperium zza murów kompleksu wojskowego w tym mieście. Pozwolono mu wejść na teren kompleksu. Kiedy jednak stał przed punktem kontrolnym, zainteresowała go oddalona o kilkadziesiąt metrów chatka, przed którą czekało znacznie więcej Hindusów niż w kolejce przed siedzibą władców.

- Co to za chata? - spytał. - Czy zwykli obywatele muszą stawić się tam najpierw, zanim przejdą przez bramę?

Wartownicy parsknęli śmiechem.

- Jesteś Hindusem i nie wiesz, gdzie mieszka Virłomi?

- Kto to jest Virłomi?

To wzbudziło ich podejrzenia.

- Żaden Hindus by o to nie spytał. Kim jesteś?

Wyjaśnił więc, że jeszcze kilka dni temu przebywał w niewoli i nie zna najnowszych wiadomości.

- Wiadomości? - rzucił wartownik. - O Virłomi nie mówią w wiadomościach. Ona sama je tworzy.

- Szkoda, że nie pozwalają nam jej zastrzelić - mruknął drugi.

- A kto by cię wtedy obronił, gdyby zaczęli cię rozrywać na kawałki? - zapytał pierwszy z krzywym uśmiechem.

- No więc... kim ona jest? - przypomniał Chapekar swoje pytanie.

- Dusza Indii jest... kobietą - odparł ten, który chciał ją zastrzelić. Wymówił „kobieta” z całą pogardą, jaką potrafił zmieścić w jednym słowie. I splunął.

- Jakie zajmuje stanowisko? - spytał Chapekar.

- Hindusi nie zajmują już żadnych stanowisk - odparł drugi wartownik. - Nawet pan, panie były premierze.

Chapekar poczuł ulgę. Ktoś jednak rozpoznał jego nazwisko.

- Bo nie pozwalacie im wybrać własnego rządu?

- Pozwalamy. Kalif ogłosił wybory, ale nikt się nie zgłosił.

- Nikt nie głosował?

- Nikt nie kandydował.

Chapekar roześmiał się z niedowierzaniem.

- Indie są krajem demokratycznym od setek lat. Ludzie kandydują na urzędy. Ludzie głosują.

- Nie wtedy, kiedy Virłomi prosi, by tego nie robili, dopóki muzułmańscy władcy nie opuszczą kraju.

Chapekar wreszcie zrozumiał. Była charyzmatycznym przywódcą, jak Gandhi przed wiekami. Dość smętnym przywódcą zresztą, bo starała się imitować prymitywny indyjski styl życia, jaki w większej części kraju zaniknął kilka pokoleń temu. Mimo to dawne ikony mają swoją magię, a po licznych tragediach, jakie spotkały Indie, ludzie szukają kogoś, kto przemawia do ich wyobraźni.

Gandhi jednak nigdy nie rządził Indiami. To było zadanie dla osób bardziej praktycznych. Gdyby tylko Chapekar zdołał przekazać informację, że już wrócił... Z pewnością kalif chciałby odbudowania legalnego indyjskiego rządu, który pomógłby zachowywać porządek.

Po odpowiednio długim oczekiwaniu wprowadzono byłego premiera do budynku. Znowu czekał, nim wszedł do przedpokoju gabinetu. I wreszcie stanął przed Ważną Osobą.

Tyle że człowiek, który go powitał, wcale nie był kalifem, ale jego starym przeciwnikiem, Ghaffarem Wahabim, premierem Pakistanu.

- Chciałem się spotkać z kalifem - rzekł Chapekar. - Ale cieszę się, że to pana widzę pierwszego, stary przyjacielu.

Wahabi uśmiechnął się i skinął głową, lecz nie wstał. I kiedy Chapekar chciał do niego podejść, jakieś ręce go powstrzymały. Nie przeszkodziły mu jednak usiąść na krześle bez poręczy - to dobrze, bo ostatnio szybko się męczył.

- Cieszę się, widząc, że u Chińczyków zatryumfował rozsądek i uwalniają więźniów - oznajmił Wahabi. - Nowy cesarz jest słaby, to zaledwie chłopiec, ale słabe Chiny są lepsze dla nas wszystkich, nie sądzi pan?

Chapekar pokręcił głową.

- Lud chiński go uwielbia.

- Islam wdeptał Chiny w ziemię - przypomniał Wahabi.

- Czy islam wdeptał w ziemię także Indie?

- Były pewne ekscesy, pod poprzednim dowództwem. Ale kalif Alai, niech Bóg ma go w swej opiece, położył temu kres już jakiś czas temu. Obecnie przywódczyni indyjskich buntowników obozuje przed naszą bramą, nam nie sprawia to kłopotu, a ona i jej zwolennicy nie są prześladowani.

- Czyli teraz islamskie rządy są łagodne - rzekł Chapekar. - A jednak, kiedy powraca indyjski premier, w telewizji nie ma o tym ani słowa. Nikt nie przeprowadza wywiadu. Nie czeka na niego gabinet.

Wahabi potrząsnął głową.

- Czyżby pan zapomniał, stary przyjacielu? Kiedy Chńczycy okrążyli i rozbili wasze armie, kiedy przetoczyli się przez Indie, wygłosił pan ważne publiczne oświadczenie. Mówił pan, że nie będzie rządu indyjskiego na uchodźstwie. Że rządzić Indiami od owej chwili... i mówię to z całą skromnością... będę ja.

- Chodziło mi oczywiście o to, że do mojego powrotu...

- Nie. Wyrażał się pan całkiem jasno. Z pewnością ktoś chętnie odtworzy panu wid. Mogę nawet posłać po kogoś, gdyby...

- Chce pan utrzymać Indie bez legalnego rządu, bo...

- Indie mają rząd. Od ujścia Indusu po ujście Gangesu, od Himalajów po fale, które obmywają brzegi Sri Lanki, nad zjednoczonymi Indiami powiewa flaga Pakistanu. Pod natchnionym przez Boga przywództwem kalifa Alai, niech będą dzięki Allahowi za jego osobę.

- Teraz rozumiem, dlaczego zablokowaliście wiadomość o moim powrocie. - Chapekar wstał z krzesła. - Boicie się stracić to, co macie...

- Co mamy? - Wahabi roześmiał się gorzko. - My jesteśmy rządem, ale Indiami włada Virlomi. Myśli pan, że my blokujemy wiadomości o panu? To Virlomi poprosiła lud Indii, by nie oglądał telewizji, dopóki islamscy najeźdźcy pozostają w Matce Indiach.

- A oni posłuchali?

- Spadek krajowego zużycia prądu jest zauważalny. Nikt nie przeprowadził z panem wywiadu, drogi przyjacielu, ponieważ nie ma żadnych reporterów. A nawet gdyby byli, czemu miałby ich pan interesować? Nie rządzi pan w Indiach, ja nie rządę w Indiach, a jeśli chce pan w ogóle zaznaczyć swoją obecność w Indiach, niech pan zdejmie buty i ustawi się w kolejce przed tą lepianką za bramą.

- Tak zrobię - zdecydował Chapekar.

- Proszę potem wrócić i opowiedzieć, co mówiła - rzekł Wahabi. - Zastanawiam się, czy sam tak nie postąpię.

I tak Chapekar ustawił się w kolejce. Kiedy słońce zaszło i niebo zaczęło ciemnieć, Virlomi wyszła przed chatę i zapłakała z żalu, że nie może wysłuchać i przemówić do każdego osobiście.

- Wracajcie do domu - powiedziała. - Modlę się za was wszystkich. Jakiegokolwiek pragnienia żyć w sercach, niech bogowie je spełnią, jeśli tylko nie zaszkodzi to innym. Jeśli potrzebujecie żywności czy schronienia, wracajcie do swego miasta czy wioski i przekazcie ludziom, że Virlomi modli się o to miasto, o tę wioskę. Powiedzcie, że moja

modlitwa brzmi tak: Niech bogowie pomogą ludziom dokładnie w takim stopniu, w jakim oni sami pomagają głodnym, bezrobotnym i bezdomnym. A potem pomóżcie im sprawić, żeby modlitwa ta była dla nich błogosławieństwem, nie klątwą. Wy sami znajdźcie kogoś, komu szczęście jeszcze mniej sprzyja niż wam, i pomóżcie mu. Pomagając, sami się wzmocnicie.

Po czym wróciła do chaty.

Tłum się rozszedł. Chapekar usiadł, by czekać do rana.

- Nie warto - odradził mu to jeden z ludzi, którzy stali wraz z nim w kolejce. - Nigdy nie przyjmuje nikogo, kto spędził tu noc. Mówi, że gdyby pozwoliła wykorzystywać takie metody, wkrótce całą równinę pokryliby chrapiący Hindusi, a ona nie mogłaby się wyspać.

Kilka osób się roześmiało, ale Chapekar zachował powagę. Teraz, gdy zobaczył swoją przeciwniczkę, poczuł niepokój. Była piękna, łagodna, poruszała się z nieopisaną gracją. Opanowała wszystkie niezbędne umiejętności - idealny demagog dla Indii. Politycy zawsze krzyczeli, by pobudzić tłumy, lecz ta kobieta mówiła cicho. Pozwalała, by ludzie łaknęli jej słów, więc nie musiała właściwie nic mówić, a oni i tak czuli się pobłogosławieni tym, że ją usłyszeli.

Mimo wszystko była jednak samotną kobietą. Chapekar potrafił dowodzić armiami. Co ważniejsze, umiał przepychać ustawy przez kongres i trzymać w szeregu członków swojej partii. Jakoś przekona do siebie tę dziewczynę i wkrótce zostanie rzeczywistym liderem jej stronnictwa.

Teraz musiał tylko znaleźć jakiś nocleg, a potem wrócić rano i z nią porozmawiać.

Odchodził już, kiedy jeden z adiutantów Virłomi dotknął jego ramienia.

- Sir - powiedział.

- Pani prosi o spotkanie z tobą.

- Ze mną?

- Czy pan Tikal Chapekar?

- Tak.

- Więc chodzi o pana.

Młody człowiek zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, potem uklęknął, zebrał w ręce trochę ziemi, rzucił ją na garnitur Chapekara i zaczął rozcierać.

- Co ty wyprawiasz! Jak śmiesz?!

- Jeśli pański garnitur nie będzie wyglądał na stary, a pan na człowieka, który wiele wycierpiał...

- Ty idioto! Mój garnitur jest stary i cierpiałem na wygnaniu!

- To nie obchodzi naszej pani, sir. Ale jak pan sobie życzy... Do wyboru jest albo to,

albo opaska biodrowa. Trzyma ich kilka w chacie, żeby uczyć pokory ludzi dumnych.

Chapekar przyjrzał się gniewnie młodemu człowiekowi, ale po chwili przykucnął i sam zaczął wcierać ziemię w swój garnitur.

Po kilku minutach znalazł się w lepiance. Oświeślały ją małe, migoczące lampki oliwne. Cienie tańczyły po ścianach z wyschniętego błota.

Virlomi powitała go uśmiechem, który wydawał się ciepły i przyjazny. Może jednak ta rozmowa przebiegnie lepiej, niż się obawiał.

- Tikal Chapekar - powiedziała. - Cieszę się, że nasi rodacy powracają z niewoli.

- Nowy cesarz jest słaby - odpowiedział. - Sądzi, że uspokoi światową opinię, wypuszczając więźniów.

Milczała.

- Znakomicie ci się udało rozzłościć muzułmanów - stwierdził.

Milczała.

- Chcę ci pomóc.

- Doskonale - odparła. - Jaką bronią umiesz się posługiwać?

Roześmiał się.

- Nie znam się na broni.

- Czyli... nie jako żołnierz. Umiesz pisać na komputerze? Wiem, że umiesz czytać, więc chyba dasz sobie radę z prowadzeniem rejestrów na naszych wojskowych komputerach.

- Wojskowych? - zdziwił się.

- Jesteśmy narodem w stanie wojny - przypomniała mu.

- Ale ja nie jestem żołnierzem - oświadczył Chapekar.

- To niedobrze.

- Jestem premierem rządu.

- W tej chwili lud indyjski doskonale sam sobą rządzi. Potrzebuje tylko żołnierzy, żeby wypędzić stąd okupantów.

- Przecież masz tutaj rząd. Twoi adiutanci mówią ludziom, co robić... Jak ten, który ubrudził mnie ziemią.

- Oni pomagają ludziom. Udzielają rad. Nie rządzą nimi.

- I w ten sposób władasz całymi Indiami?

- Czasami coś sugeruję, a moi adiutanci umieszczają w sieciach nagranie - wyjaśniła Virlomi. - Potem ludzie sami decydują, czy chcą mnie posłuchać, czy nie.

- W tej chwili możesz odrzucać każdą formę rządu - rzekł Chapekar. - Ale pewnego dnia będzie ci potrzebny.

Virłomi pokręciła głową.

- Nigdy nie będę potrzebowała rządu. Może pewnego dnia Indie postanowią wybrać sobie jakiś, ale mnie nigdy nie będzie potrzebny.

- A więc nie będziesz mi przeszkadzać przed zachęcaniem innych do wybrania właśnie takiej drogi? W sieciach?

Uśmiechnęła się.

- Ktokolwiek zajrzy na twoje strony, niech zgadza się z tobą albo nie, według własnego uznania.

- Uważam, że popełniasz błąd - oznajmił Chapekar.

- Ach... I to cię denerwuje?

- Indie potrzebują czegoś więcej niż samotnej kobiety w lepiance.

- A jednak ta samotna kobieta w lepiance zatrzymała Chińczyków na wschodnich przełęczach dostatecznie długo, by muzułmanie odnieśli swoje zwycięstwo. Ta samotna kobieta kierowała wojną partyzancką i rozruchami przeciwko muzułmańskim okupantom. I ta samotna kobieta sprowadziła kalifa z Damaszku do Hajdarabadu, by przejął kontrolę nad własnymi żołnierzami, popełniającymi zbrodnie przeciw Indiom.

- I jesteś bardzo dumna ze swoich osiągnięć.

- Jestem zadowolona, że bogowie uznali za stosowne dać mi coś pożytecznego do zrobienia. Tobie także proponowałam coś pożytecznego, ale odmawiasz.

- Proponowałam mi poniżenie i daremność.

- Dokładnie takie dary, jakie otrzymałam kiedyś z twoich rąk.

- Spotkaliśmy się już kiedyś?

- Czyżbyś zapomniał? Odwiedziłeś absolwentów Szkoły Bojowej, którzy planowali twoją strategię. Ale odrzuciłeś nasze propozycje. Zlekceważyłeś je i wolałeś realizować plany zdrajcy Achillesa.

- Widziałem wszystkie wasze plany.

- Nie. Widziałeś tylko te, które Achilles chciał ci pokazać.

- I to moja wina? Myślałem, że pochodzą od was.

- Przewidziałam klęskę Indii, gdyż plan Achillesa rozciągał nasze armie i wystawiał linie zaopatrzenia na chińskie ataki. Przewidziałam, że nie zrobisz nic poza pustą retoryką, w rodzaju tego potwornego aktu przekazania Wahabiemu rządów w Indiach... Jak gdyby władza w Indiach należała do ciebie i jakbyś mógł przekazać ją komuś wedle swego kaprysu. Widziałam... wszyscy widzieliśmy, jak bezużyteczny i próżny jesteś w swych ambicjach, i jak łatwo Achilles pochlebstwami tobą manipuluje.

- Nie muszę tego słuchać!

- Więc odejdz - rzekła Virłomi. - Nie mówię niczego, co nie rozbrzmiewa raz po raz w najtajniejszych zakamarkach twego serca.

Nie odszedł.

- Uciekłam, żeby zawiadomić Hegemona, co się dzieje, i być może ocalić moich przyjaciół ze Szkoły Bojowej przed śmiercią, bo Achilles planował ich wszystkich zabić. Kiedy przekazałam wiadomość, zaczęłam w górach na wschodzie organizować ruch oporu przeciwko chińskiej władzy. Ale w Hajdarabadzie ci ze Szkoły Bojowej, prowadzeni przez inteligentnego, dzielnego i pięknego młodzieńca Sayagiego, kreślili plany, które ocaliłyby Indie, gdybyś tylko zechciał je zrealizować. Ryzykując własne życie, opublikowali je w sieciach. Wiedzieli, że nie trafią do ciebie, jeśli spróbują je przekazać przez Achillesa. Widziałeś te plany?

- Nie miałem w zwyczaju pobierać planów wojennych z sieci.

- Nie. Brałeś je od nieprzyjaciela.

- Nie wiedziałem tego.

- Powinieneś wiedzieć. Było całkiem oczywiste, jaki jest Achilles. Widziałeś to samo co my... Różnica polega na tym, że my nienawidziliśmy Achillesa, a ty go podziwiałeś, dokładnie za te same cechy.

- Nigdy nie widziałem tych planów.

- Nigdy nie poprosiłeś najlepszych umysłów Indii choćby o strzęp rady. Wolaleś zaufać belgijskiemu psychopacie. I zgodnie z jego sugestią dokonałeś nieuzasadnionego ataku na Birmę i Tajlandię, niosąc wojnę do krajów, które nie zrobiły nam nic złego. Jeśli człowiek słucha głosu zła, który szepcze mu do ucha, nie jest lepszy od szepczącego.

- Nie robi na mnie wrażenia twoja umiejętność układania aforyzmów.

- Sayagi rzucił Achillesowi wyzwanie prosto w twarz, a Achilles go zastrzelił.

- Zatem był głupcem, tak postępując.

- Ale choć martwy, Sayagi cenniejszy jest dla Indii, niż ty byłeś czy będziesz kiedykolwiek za swego życia.

- Bardzo mi przykro, że nie żyje. Ale ja żyję.

- Mylisz się. Sayagi żyje nadal w duszy Indii. Ty za to jesteś martwy, Tikalu Chapekarze. Tak martwy, jak tylko może być człowiek, który nadal oddycha.

- Więc teraz dochodzimy do grózb...

- Poprosiłam moich adiutantów, żeby przyprowadzili cię do mnie, abym mogła pomóc ci zrozumieć, co cię dalej czeka. W Indiach nic ci już nie pozostało. Wcześniej czy później

odejdiesz i ułożysz sobie życie gdzie indziej.

- Nigdy nie opuszczę kraju.
- Dopiero w dniu swego odejścia zaczniesz rozumieć *satyagraha*.
- Pokojowy sprzeciw?
- Zgoda na cierpienie, własne i osobiste, dla sprawy, w której słuszność wierzysz.

Dopiero kiedy zechcesz przyjąć *satyagraha*, zaczniesz pokutować za wszystko, co uczyniłeś Indiom. A teraz powinienes już iść.

Chapekar nie miał pojęcia, że ktoś ich słucha. Mógłby zostać jeszcze i dyskutować, ale gdy tylko Virlomi wymówiła te słowa, jakiś człowiek wszedł do chaty i go wyprowadził.

Myślał, że pozwolą mu odejść, ale nie - zaprowadzili go do miasta i usadzili w pokoiku na tyłach jakiegoś biura. Wywołali na monitor wiadomość z sieci.

To były jego zdjęcia. Krótkie nagranie, jak tamten młody człowiek sypał na niego ziemię.

- Tikal Chapekar powrócił - powiedział głos.

Obraz zmienił się, ukazując Chapekara w dniach jego chwały. Krótkie filmiki i zdjęcia.

- Tikal Chapekar doprowadził Indie do wojny, bez żadnej prowokacji atakując Birnę i Tajlandię. Wszystko po to, by uchodzić za wielkiego człowieka.

Pojawiły się zdjęcia indyjskich ofiar.

- Trafił do chińskiej niewoli. Nie było go tutaj, by pomóc nam w godzinie próby.

Film, jak młody człowiek obsypuje go ziemią.

- Teraz wrócił z niewoli, by ponownie rządzić Indiami. Film, na którym Chapekar rozmawia przyjaźnie z muzułmańskimi wartownikami przy bramie kompleksu.

- Chce pomóc naszym muzułmańskim władcom rządzić nami po wsze czasy.

Znów przebitka z obrzucaniem ziemią.

- Jak możemy się pozbyć tego człowieka? Udawajmy wszyscy, że on nie istnieje. Jeśli nikt się do niego nie odezwie, nie będzie na niego czekał, nie udzieli mu schronienia i go nie nakarmi, będzie musiał zwrócić się do obcych, których sprowadził na naszą ziemię.

Wtedy puścili nagranie jego przemówienia, w którym przekazywał Wahabiemu rządy Indii.

- Nawet pokonany zapraszał do nas zło. Ale Indie nie będą go karać. Indie go zignorują, dopóki sobie nie pójdzie.

Nagranie kończyło się oczywiście obrzucaniem ziemią.

- Sprytnie mnie wystawiliście - stwierdził Chapekar. Nie odpowiadali.

- Czego ode mnie chcecie w zamian za to, że nie opublikujecie tego śmiecia?

Nie odpowiadali.

Wpadł we wściekłość i spróbował zrzucić komputer na podłogę. Wtedy go powstrzymali i wystawili za drzwi.

Ruszył ulicą, szukając noclegu. Były tam domy z pokojami do wynajęcia. Otwierali mu drzwi, kiedy wołał, ale zamykali je natychmiast, gdy zobaczyli jego twarz.

W końcu stanął na środku ulicy i wrzasnął:

- Chcę tylko miejsca, żeby się przespać, i czegoś do jedzenia! Nawet psu byście to dali!

Ale nikt nie kazał mu nawet się zamknąć.

Poszedł na dworzec i próbował kupić bilet za pieniądze, które dali mu Chińczycy, żeby mógł wrócić do domu. Lecz nikt nie chciał mu nic sprzedać. Kiedy podchodził do okienka, zamykało mu się przed nosem, a kolejka przechodziła do następnego, nie zostawiając dla niego miejsca.

W południe następnego dnia, zmęczony, głodny i spragniony, dotarł z powrotem do muzeum mańskiego kompleksu wojskowego. Wrogowie nakarmili go tam, ubrali, pozwolili się wykapać i wyspać. Odleciał z Indii, a potem opuścił terytorium islamu. Trafił do Holandii, gdzie publiczne organizacje charytatywne miały mu pomagać, dopóki nie znajdzie pracy.

* * *

Drugi gość nie podążał żadną ze znanych dróg, by przybyć do chaty. Virłomi po prostu nocą otworzyła oczy i mimo całkowitej ciemności wyraźnie zobaczyła Sayagiego siedzącego na macie obok drzwi.

- Jesteś martwy - powiedziała mu.

- Wciąż czekam na odrodzenie - odparł.

- Powinieneś żyć - powiedziała mu. - Tak bardzo cię podziwiałam. Byłbyś wspaniałym mężem dla mnie i ojcem dla Indii...

- Indie już żyją. Nie potrzebują cię, byś je rodziła na nowo.

- Indie nie wiedzą, że żyją, Sayagi. Obudzić kogoś ze śpiączki to wprowadzić go w życie tak samo, jak matka wprowadza w życie dziecko, kiedy je rodzi.

- Zawsze masz gotową odpowiedź, co? Mówisz... jak bogini. Kiedy to się stało, Virłomi? Czy wtedy, kiedy Petra ciebie wybrała, by ci zaufała?

- Wtedy, kiedy postanowiłam działać.

- Twoje działanie się udało - przyznał Sayagi. - Moje nie.

- Nie powinieneś rozmawiać z Achillesem. Powinieneś zwyczajnie go zastrzelić.

- Mówił, że cały budynek jest zaminowany.
 - A ty mu uwierzyłeś?
 - Chodziło o życie innych, nie tylko moje. Ty uciekłaś, żeby ratować tych ze Szkoły Bojowej. Miałem poświęcić ich życie?
 - Nie zrozumiałeś mnie, Sayagi. Teraz chodzi mi tylko o to, że albo działasz, albo nie. Albo robisz coś, co się liczy, albo nic nie robisz. Ty wybrałaś rozwiązanie pośrednie, a w czasie wojny rozwiązanie pośrednie to śmierć.
 - Teraz mi to mówisz...
 - Sayagi, dlaczego do mnie przyszedłeś?
 - Nie przyszedłem. To tylko sen. Jesteś dostatecznie przytomna, by zdawać sobie z tego sprawę. Prowadzisz tę rozmowę sama z sobą.
 - Więc dlaczego cię wyśniłam? Czego powinnam się od ciebie nauczyć?
 - Mojego losu - odparł. - Jak dotąd wszystkie twoje gambity się udawały, ale to dlatego, że grałaś przeciwko głupcom. Teraz Alai dowodzi jednym przeciwnikiem, Han Tzu drugim, a Peter Wiggin jest najgroźniejszy i najsubtelniejszy z nich wszystkich. Przeciwko tym trzem nie uda ci się wygrać tak łatwo. Śmierć czeka na tej drodze, Virlomi.
 - Nie boję się śmierci. Wiele razy stawiałam z nią twarzą w twarz i jeśli bogowie uznają, że pora już, bym...
 - Widzisz, Virlomi? Już zapomniiałaś, że przecież nie wierzysz w bogów.
 - Ależ wierzę, Sayagi. Jak inaczej mogłabym wytłumaczyć ten ciąg niemożliwych zwycięstw?
 - Doskonały trening w Szkole Bojowej. Twoje wrodzone zdolności. Dzielni i mądrzy Hindusi czekający na zdecydowanego przywódcę, który pokaże im, w jaki sposób zachowywać się jak ludzie godni swej cywilizacji. I bardzo, bardzo głupi wrogowie.
 - A czy nie mogli bogowie zesłać mi tych wszystkich rzeczy?
 - Nie. To nieprzerwany ciąg przyczynowo-skutkowy, sięgający wstecz do pierwszego człowieka, który nie był szympansem. I jeszcze dalej, do powstania planet wokół Słońca. Jeśli chcesz nazwać go Bogiem, proszę bardzo.
 - Chodzi o przyczynę wszystkiego - odparła Virlomi. - O cel wszystkiego. I jeżeli bogów nie ma, moje własne cele muszą wystarczyć.
 - Co uczyni cię jedynym bogiem, jaki istnieje.
 - Skoro potrafię przywołać cię z martwych jedynie siłą swego umysłu, to przyznasz, że jestem całkiem potężna.
- Roześmiał się.

- Och, Virłomi, gdybyśmy tylko przeżyli... Jakimi bylibyśmy kochankami! Jakie dzieci moglibyśmy wydać na świat!

- Ty może zginąłeś, ale ja nie.

- Nie? Prawdziwa Virłomi umarła tego dnia, kiedy uciekłaś z Hajdarabadu, a od tego czasu ta oszustka gra jej rolę.

- Nie - zaprotestowała. - Prawdziwa Virłomi umarła tego dnia, kiedy dowiedziała się, że zginąłeś.

- Teraz tak mówisz. Ale kiedy jeszcze żyłem, ani jednego całusa, nic. Myślę, że nawet nie zakochałaś się we mnie, dopóki nie byłem bezpiecznie martwy.

- Odejdź - powiedziała. - Muszę się wyspać.

- Nie - odparł. - Obudź się, zapal lampę i zapisz tę wizję. Nawet jeśli to tylko manifestacja twojej podświadomości, jest naprawdę fascynująca i warto się nad nią zastanowić. Zwłaszcza ta część o miłości i małżeństwie. Masz jakiś podejrany plan dynastycznego małżeństwa. Ale zapewniam cię, że będziesz szczęśliwa jedynie wtedy, kiedy poślubisz mężczyznę, który kocha ciebie, a nie pożąda Indii.

- To wiem - zapewniła Virłomi. - Po prostu nie sądziłam, że to ważne, czy jestem szczęśliwa.

Wtedy Sayagi opuścił jej lepiankę. Virłomi pisała, pisała i pisała. A gdy obudziła się rano, odkryła, że nie zanotowała niczego. To pisanie także było częścią snu.

Nieważne. I tak pamiętała. Chociaż zaprzeczał, że jest naprawdę duchem jej zabitego przyjaciela i kpił z jej wiary w bogów, jednak wierzyła i wiedziała, że jest duchem w stanie przejścia i bogowie go przysłali, by ją czegoś nauczył.

* * *

Trzeci gość nie potrzebował pomocy jej adiutantów. Przybył od strony pustych pól i miał już na sobie okrycie wieśniaka. Jednak nie był ubrany jak wieśniak indyjski. Nosił odzież chińskiego robotnika rolnego z pól ryżowych.

Usiadł na samym końcu kolejki i pochylił aż do ziemi. Nie przesuwiał się naprzód, kiedy przesuwali się inni. Każdemu Hindusowi pozwalał się wyprzedzić. A kiedy nadszedł zmierzch i Virłomi zapłakała i pożegnała wszystkich, on został.

Adiutanci nie podeszli do niego. Sama Virłomi wyszła z chaty i zbliżyła się w ciemności, niosąc lampę.

- Wstań - powiedziała. - Jesteś głupcem, przybywając tu bez eskorty.

Wstał.

- A więc zostałem rozpoznany.

- Czy można bardziej wyglądać na Chińczyka?
- Plotki krążą?
- Ale nie dopuszczamy ich do sieci. Na razie. Rano nikt nie zdoła nad nimi zapanować.
- Przyszedłem prosić cię, żebyś za mnie wyszła - oznajmił Han.
- Jestem starsza od ciebie - przypomniała. - A ty jesteś cesarzem Chin.
- Wydawało mi się, że to jedna z moich bardziej atrakcyjnych cech.
- Twój kraj podbił mój.
- Ale czy nie wypuściłem jeńców? I jeśli tylko powiesz słowo, wrócę tu znowu z pełnym ceremoniałem, padnę przed tobą na kolana... znowu... i poproszę o wybaczenie w imieniu narodu chińskiego. Wyjdź za mnie.
- Jaki związek mają relacje między naszymi krajami z tym, czy będę dzielić łóżę z chłopcem, o którym w Szkole Bojowej nie miałam nawet najlepszej opinii?
- Virlomi, możemy zniszczyć się wzajemnie. Albo możemy się zjednoczyć i razem będziemy mieli ponad połowę populacji świata.
- Przecież to się nie może udać. Hindusi nigdy nie pójdą za tobą. Chińczycy nigdy nie pójdą za mną.
- Udało się Ferdynandowi i Izabeli.
- Tylko dlatego że walczyli z Maurami. A i tak Izabela wraz ze swym ludem musieli walczyć, by Ferdynand nie podeptał jej praw jako królowej Kastylji.
- Virlomi...
- Teraz zamierzasz mi powiedzieć, że mnie kochasz?
- Ależ to prawda - zapewnił Han. - I sama wiesz dlaczego. Ponieważ dla nas wszystkich, których wybrano do Szkoły Bojowej, istnieje tylko jedna rzecz, którą kochamy, i jedna, którą szanujemy. Kochamy geniusz, a szanujemy siłę. Ty stworzyłaś siłę z niczego.
- Stworzyłam siłę z miłości i zaufania swego ludu.
- Kocham cię, Virlomi.
- Kochasz... a jednak uważasz się za lepszego ode mnie.
- Lepszego? Nigdy nie prowadziłem armii do bitwy. Ty tak.
- Byłeś w jeeshu Endera. A ja nie. I zawsze będziesz z tego powodu sądził, że jestem gorsza od ciebie.
- Naprawdę mi odmawiasz? Czy tylko każesz bardziej się starać, podać lepsze powody albo dowieść swojej wartości w jakiś inny sposób?
- Nie mam zamiaru poddawać cię próbom - odparła Virlomi. - To nie jest bajka. Moja

odpowiedź brzmi: nie. Teraz i zawsze. Smok i tygrys nie muszą być wrogami, ale jak mogą się połączyć ssak z jajorodnym gadem?

- Więc odebrałaś mój list.

- Żałośnie prosty szyfr. Każdy by go złamał, jeśli ma choć połowę mózgu. Kod polegał na tym, że wpisałeś dość oczywistą wersję swojego przezwiska, przenosząc palce o rząd wyżej na klawiaturze.

- A jednak z tysięcy ludzi wchodzących do sieci tylko ty odgadłaś, że to ode mnie.

Virlomi westchnęła.

- Obiecay mi jedno - poprosił Han.

- Nie.

- Najpierw wysłuchaj, jaka to obietnica.

- Dlaczego mam ci w ogóle coś obiecywać?

- Żebym uprzedzająco nie zaatakował Indii po raz drugi?

- Z jaką armią?

- Nie mówię, że teraz.

- Więc jaka jest ta obietnica, którą mam złożyć?

- Że za Alai też nie wyjdiesz.

- Hinduska jako żona kalifa islamu? Nigdy bym nie zgadła, że masz takie poczucie humoru.

- Oświadczy się - stwierdził Han.

- Wracaj do domu, Han. A przy okazji, widzieliśmy nadlatujące helikoptery i je przepuściliśmy. Poprosiliśmy też muzułmańskich okupantów, żeby cię nie zestrzelili.

- Doceniam to. Myślałem, że to oznacza, że mnie lubisz. Przynajmniej trochę.

- Lubię cię - przyznała Virlomi. - Ale nie pozwolę ci się przelecieć.

- Nie wiedziałem, że w puli jest tylko przelecenie.

- Niczego nie ma w puli. Wracaj do śmigłowca, mały cesarzu.

- Virlomi, błagam cię teraz. Bądźmy chociaż przyjaciółmi.

- Byłoby miło. Może kiedyś.

- Napisz do mnie. Poznajmy się lepiej.

Ze śmiechem pokręciła głową i wróciła do chaty. Han Tzu ruszył z powrotem przez pola. Zrywał się nocny wiatr.

15

Ratyfikacja

From: RadaghasteBellini%privado@presidencia.br.gov
To: PeterWiggin%private@hegemon.gov
Subject: Rozważ to starannie

Jeśli twoim celem jest pokój na świecie, przyjacielu, dlaczego zaczynasz naszą konstytucję od świadomego aktu prowokacji wobec dwóch daleko od siebie położonych krajów, z których jeden może ściągnąć na ciebie całą potęgę islamu?

Czy pokój ma jednak opierać się na wojnie? A gdybyś nie miał Juliana Delphiki, dowodzącego 100 000 przyjaznych afrykańskich żołnierzy, czy też byś tego próbował?

From: Peter Wiggin%private@hegemon.gov
To: RadaghasteBellini%privado@presidencia.br.gov
Subject: Musimy sprawić, że stanie się realna

Historia jest zasłana trupami nieudanych światowych rządów. Musimy natychmiast zademonstrować, że jesteśmy poważni, potrafimy działać i jesteśmy elastyczni.

A bez Delphiki postąpiłbym według twojej ostrożnej rady, ponieważ nie mógłbym liczyć na afrykańskich żołnierzy.

Ceremonia była dość skromna. Peter Wiggin, Felix Starman, Klaus Boom i Radaghaste Bellini stali na platformie w Kiyagi, w Rwandzie. Nikt nie próbował sprowadzić tu tłumów mieszkańców, by wiwatowały; nie było też żadnych żołnierzy. Publiczność składała się wyłącznie z dziennikarzy.

Kopie konstytucji rozdano na miejscu. Felix Starman bardzo krótko wyjaśnił zasady nowych rządów; Radaghaste Bellini poinformował o wspólnym dowództwie wojskowym; Klaus Bloom streścił warunki, pod jakimi nowe narody mogą przystąpić do Wolnych Ludów Ziemi.

- Żaden naród nie będzie dopuszczony, jeśli nie przestrzega praw człowieka, w tym prawa do nieskrępowanych i powszechnych wyborów. - Po czym rzucił bombę. - Nie wymagamy również, by naród był uznawany przez jakiekolwiek istniejące państwo czy związek państw, pod warunkiem że spełnia pozostałe wymagania.

Dziennikarze zaczęli szeptać między sobą. Na mównicę wszedł Peter, a na ekranie za nim pojawiła się mapa. Kiedy wymieniał kolejne kraje, które w tajemnicy ratyfikowały już konstytucję, ich terytoria na mapie rozjarzały się błękitem.

Ameryka Południowa miała największe plamy błękitu, z Brazylią rozświetlającą połowę kontynentu, a także Boliwią, Chile, Ekwadorem, Surinamem i Gujaną. W Afryce błękit nie dominował aż tak bardzo, obejmował jednak większość państw, które przynajmniej od stu lat utrzymywały stabilną demokrację: Rwandę, Botswanę, Kamerun, Mozambik, Angolę, Ghanę i Liberię. Nikt nie przeoczył faktu, że Afryka Południowa i Nigeria nie przyłączyły się do organizacji; wszyscy też zauważyli, że nie ma w niej żadnego z państw islamskich.

W Europie państw było jeszcze mniej: Holandia, Słowenia, Czechy, Estonia i Finlandia.

Gdzie indziej błękit zdarzał się rzadko. Peter miał nadzieję, że Filipiny będą gotowe w dniu ogłoszenia konstytucji, ale rząd w ostatniej chwili postanowił poczekać i sprawdzić, co z

tego wyjdzie. Tonga ratyfikowało, podobnie jak Haiti - pierwszy kraj, w którym zostały przetestowane umiejętności Petera. Kilka innych małych państw na Karaibach także było błękitnych.

- Przy najbliższej sposobności wszystkie ratyfikujące konstytucję kraje przeprowadzą plebiscyty - oznajmił Peter. - W przyszłości jednak plebiscyt musi poprzedzać przyjęcie danego narodu do Wolnych Ludów Ziemi. Stolice znajdują się w trzech miejscach: Ribeirao Preto w Brazylii, Kiyagi w Rwandzie i Rotterdamie w Holandii. Jednakże, ponieważ oficjalnym językiem WLZ będzie wspólny, a nieliczni tylko potrafią bez kłopotów wymówić nazwę Ribeirao Preto...

Dziennikarze wybuchnęli śmiechem, gdyż to na nich spadał ciężar opanowania wymowy porugalskich głosek nosowych.

- ...zatem - ciągnął Peter - rząd brazylijski uprzejmie zgodził się na przetłumaczenie tej nazwy dla celów rządu światowego. Od dzisiaj możecie określać południowoamerykańską stolicę WLZ jako Blackstream. Jedno słowo.

- Czy zrobicie to samo z Kiyagi? - zawołał któryś z reporterów.

Ponieważ potrafi pan to wymówić, więc nie.

Znowu śmiech.

Jednak odpowiedź Petera otworzyła śluzy i natychmiast padły kolejne pytania. Uniósł dłonie.

- Za moment. Proszę o cierpliwość.

Przycichli.

- Jest ważny powód, dla którego wybraliśmy dla tej organizacji nazwę Wolne Ludy Ziemi, a nie na przykład Narody Zjednoczone.

Znów śmiechy. Wszyscy wiedzieli, dlaczego ta akurat nazwa nie będzie wykorzystana.

- Konstytucja stanowi kontrakt między wolnymi obywatelami, nie państwami. Dawne granice będą uznawane, o ile mają sens. Jeśli nie, nastąpią korekty. Ludzie, którzy od dawna pozbawieni byli oficjalnie uznanych granic państwowych i własnego rządu, otrzymają je w ramach WLZ.

Dwa nowe światła pojawiły się na mapie, migocząc ciemniejszym błękitem. Jedno zajmowało sporą część Andów. Drugie wycinało część terytorium południowo-zachodniego Sudanu.

- WLZ niniejszym uznaje istnienie narodów Nubii w Afryce i Runy w Ameryce Południowej. Plebiscyty odbędą się natychmiast i jeśli obywatele tych narodów postanowią

ratyfikować konstytucję, WLZ z całą energią będzie broniło ich granic. Jak zauważyliście, część terytorium Runy została dobrowolnie przekazana przez narody Boliwii i Ekwadoru, co było jednym z warunków ich przystąpienia do organizacji. Wolne Ludy Ziemi dziękują dalekowzrocznym i szlachetnym przywódcom tych narodów. Peter podniósł głos.

- Wolne Ludy Ziemi będą z całą stanowczością bronić bezstronności procesu wyborów. Każda próba ingerencji w przebieg plebiscytów uznana zostanie za akt wojny przeciwko Wolnym Ludom Ziemi.

Rzucił rękawicę.

Pytania - tak jak miał nadzieję - skupiły się na narodach Nubii i Runy, bo ich granice obejmowały terytoria należące do państw, które nie ratyfikowały konstytucji: Peru i Sudanu. Zamiast męczyć się ze sceptycznymi uwagami na temat samych WLZ, Peter z góry zademonstrował, że nie żartuje. Sprawa Peru była dostatecznie poważna - choć nikt nie wątpił, że armia WLZ jest w stanie pokonać peruwiańskie siły zbrojne. Chodziło o Sudan... kraj islamski, który zadeklarował wierność kalifowi Alai.

- Czy wypowiedacie wojnę kalifowi Alai? - zapytał reporter z arabskiej agencji informacyjnej.

- Nikomu nie wypowiadamy wojny. Ale mieszkańcy Nubii mają za sobą długą historię prześladowań, okrucieństw, cierpień i aktów nietolerancji religijnej dokonywanych przez rząd Sudanu. De razy w ciągu ostatnich dwustu lat międzynarodowe działania skłaniały Sudan do obietnic, że będzie traktował ich lepiej? A jednak w następstwie zadziwiającego zjednoczenia świata islamu, jakiego dokonał kalif Alai, przestępcy i kryminaliści w Sudanie natychmiast uznali to za zgodę na odnowienie ludobójczych akcji przeciwko Nubijczykom. Jeśli kalif Alai zechce bronić sudańskich zbrodniarzy, choć potępił tych w Indiach, to jego wybór. Jedno jest pewne: wszelkie prawa, jakie mógł mieć kiedyś Sudan do władzy nad Nubią, wygasły już dawno. Lud Nubii, zjednoczony przez wojnę i cierpienia, stał się narodem zasługującym na własne państwo... i ochronę.

Wkrótce potem Peter zakończył konferencję prasową, informując, że za dwa dni Starman, Bellini i Boom spotkają się z dziennikarzami na własnych konferencjach, w swoich krajach.

- Jednak siły zbrojne, straż graniczna i służby celne tych państw są teraz w pełni kontrolowane przez WLZ. Nie ma już armii rwandyjskiej czy brazylijskiej. Jest tylko armia WLZ.

- Chwileczkę! - krzyknął jeden z dziennikarzy. - W całej konstytucji nie ma wzmianki o Hegemonie!

Peter wrócił do mikrofonu.

- Szybko pan czyta...

Śmiechy, potem pełna wyczekiwania cisza.

- Urząd Hegemonu został stworzony w warunkach zagrożenia dla całej Ziemi. Będę go sprawował zarówno na podstawie oryginalnych zasad, jakie kierowały moim wyborem na to stanowisko, jak i na podstawie czasowej autoryzacji WLZ, do chwili kiedy nie będzie już istniało żadne poważne zagrożenie militarne dla Wolnych Ludów Ziemi. Wtedy złożę swój urząd i nie będzie już następcy. Jestem ostatnim Hegemonem i mam nadzieję, że przestanę nim być jak najszybciej.

Wyszedł, tym razem ignorując wykrzykiwane pytania.

* * *

Zgodnie z oczekiwaniami Peru i Sudan nawet nie wypowiedziały wojny. Ponieważ nie uznały legalności WLZ ani nowych krajów wyciętych z ich terytoriów, nie miały komu jej wypowiadać.

Peruwiańscy żołnierze ruszyli pierwsi, kierując się do znanych kryjówek rewolucyjnych sił Champi T'it'u. Niektóre okazały się puste. Innych bronili doskonale wyszkoleni rwandyjscy żołnierze. Peter użył Rwandyjczków Groszka, aby konflikt nie był postrzegany jako kolejne starcie między Peru i Brazylią; to Wolne Ludy Ziemi wystąpiły w obronie granic państwowych swojego członka.

Armia peruwiańska szybko się przekonała, że wpadła w serię chytrze zastawionych pułapek; duże oddziały odcięły ich linie łączności i zaopatrzenia.

W całym Peru szybko rozeszła się wieść, że Rwandyjczycy są lepiej wyszkoleni i wyposażeni niż wojska peruwiańskie - i że dowodzi nimi Julian Delphiki. Groszek. Olbrzym.

Morale się załamało. Rwandyjczycy przyjęli kapitulację armii peruwiańskiej. Kongres w Peru natychmiast i niemal jednogłośnie przegłosował wystąpienie z petycją o przyjęcie do WLZ. Radaghaste Bellini, jako tymczasowy prezydent południowoamerykańskiego rejonu organizacji, odmówił, przypominając zasadę, że żadne terytorium nie może być dołączone do WLZ drogą podboju czy zastraszenia. „Zachęcamy naród Peru do przeprowadzenia plebiscytu; jeśli obywatele Peru postanowią dołączyć do Wolnych Ludów Ziemi, powitamy ich z radością wraz z ich braćmi z Runy, Boliwii, Ekwadoru i Chile”.

Sprawa zakończyła się po dwóch tygodniach, razem z plebiscytem i całą resztą. Peru stało się częścią WLZ, a Groszek i Rwandyjczycy zostali przetransportowani przez Atlantyk z powrotem do Afryki.

Bezpośrednim rezultatem tych stanowczych działań było to, że Belize, Cayenne,

Kostaryka i Dominikana ogłosiły, że przeprowadzą plebiscyty w sprawie konstytucji.

Reszta świata czekała na wydarzenia w Sudanie.

* * *

Sudańskie oddziały były już obecne w Nubii, gdzie walczyły ze zbrojnymi nubijskimi „buntownikami” przeciwstawiającymi się nowym próbom zaprowadzenia szariatu w regionach chrześcijańskich i pogańskich. Choć więc nie brakowało wystąpień przeciwko uznaniu nowego statusu Nubii, nic praktycznie się nie zmieniło.

Do akcji wszedł Suriyawong na czele elitarnej grupy stanowiącej jądro wojsk WLZ - on i Groszek wyszkolili ją przed laty. Suri przeprowadził serię uderzeń mających podkopać morale sudańskiej armii i odciąć ją od zaopatrzenia. Arsenały i magazyny amunicji zostały zniszczone. Konwoje płonęły. Ponieważ jednak śmigłowce Suriego po każdym uderzeniu wracały do Rwandy, Sudańczycy nie mieli kogo atakować.

Wtedy przybył z Peru Groszek z głównymi siłami rwandyjskimi. Burundi i Uganda udzieliły im zezwolenia na przemarsz przez swoje terytoria.

Tak jak się spodziewano, wojska sudańskie spróbowały uderzyć na siły Groszka jeszcze w granicach Ugandy, zanim dotrą do Nubii. Wówczas się okazało, że cała armia jest tylko iluzją - Sudańczycy zaatakowali tylko kolumnę starych i pustych ciężarówek, których kierowcy uciekli na pierwszy znak, że zaczynają się kłopoty. Była to jednak zbrojna akcja w granicach Ugandy. Uganda nie tylko wypowiedziała wojnę Sudanowi, ale też ogłosiła plebiscyt w sprawie przyjęcia konstytucji WLZ.

Tymczasem armia Groszka zdążyła przekroczyć wschodnie regiony Konga i znalazła się w granicach Nubii. A grupa uderzeniowa Suriyawonga przechwyciła lotniska, na które musiały wracać samoloty uczestniczące w ataku na konwój-przynętę. Piloci wylądowali, nie spodziewając się żadnych kłopotów, i trafili do niewoli.

Wyszkoleni piloci spośród żołnierzy Suriyawonga natychmiast wystartowali ponownie w sudańskich samolotach i przeprowadzili ostrzegawcze bombardowanie stanowisk obrony przeciwlotniczej Chartumu. Siły Groszka dokonały równoczesnych ataków na wszystkie sudańskie bazy wojskowe w granicach Nubii. Nieprzygotowani do walki z prawdziwą armią Sudańczycy poddali się lub zostali pokonani w ciągu jednego dnia.

Sudan zwrócił się do kalifa z prośbą o interwencję i rzucenie gniewu islamu na głowy niewiernych najeźdźców.

Peter natychmiast zwołał konferencję prasową.

- Wolne Ludy Ziemi nie podbijają. Granice islamskich regionów Sudanu będą uszanowane, a jeńcy zwolnieni, gdy tylko uzyskamy od kalifa Alai i rządu sudańskiego

zapewnienie, że uznają Nubię za państwo i część organizacji Wolnych Ludów Ziemi. Sudańskie samoloty powrócą do Sudanu wraz z bazami lotniczymi. Respektujemy suwerenność Sudanu i wszystkich państw. Nigdy jednak nie uznamy prawa żadnego z nich do prześladowań bezpaństwowej mniejszości żyjącej w ich granicach. Kiedy tylko będzie to w naszej mocy, w ramach konstytucji Wolnych Ludów Ziemi przyznamy takim mniejszościom terytoria i będziemy bronić ich państwowej egzystencji. Julian Delphiki jest dowódcą sił zbrojnych pozostających w granicach Nubii i tymczasowo okupujących część terytorium Sudanu. Byłoby prawdziwą tragedią, gdyby dwaj przyjaciele z wojny przeciw robalom, Julian Delphiki i kalif Alai, mieli stanąć przeciwko sobie w wojnie o kwestię tak śmieszną jak to, czy Sudan ma prawo kontynuować prześladowania niemuzułmanów.

Negocjatorzy na nowo wykreślili granice tak, że znaczna część obszaru, który Peter wstępnie uznał za Nubię, miała pozostać w Sudanie. Oczywiście ani przez chwilę się nie spodziewał, że zdoła utrzymać całe terytorium, a nubijscy przywódcy o tym wiedzieli. Wystarczyło to jednak, by kalif zachował twarz. W końcu Suriyawong i Groszek zajęli się transportowaniem powracających jeńców i eskortowaniem konwojów niemuzułmanów, którzy woleli zostawić swe domy w Sudanie, by szukać nowych w swym nowym kraju.

W rezultacie tego wyraźnego zwycięstwa WLZ stała się tak popularna w Czarnej Afryce, że państwo za państwem zgłaszało chęć przeprowadzenia plebiscytu. Felix Starman informował większość z nich, że najpierw konieczne są reformy wewnętrzne, zagwarantowanie praw człowieka i wolnych wyborów. Jednak plebiscyty w demokratycznej Południowej Afryce, Nigerii, Namibii, Ugandzie i Burundi odbyły się błyskawicznie i stało się jasne, że Wolne Ludy Ziemi istnieją jako realne ponadkontynentalne państwo z przekonującymi siłami zbrojnymi i rozsądnym przywództwem. Kiedy Kolumbia uznała granice Runy i zgłosiła chęć przystąpienia do WLZ, wydawało się nieuniknione, że w organizacji znajdzie się cała Ameryka Południowa oraz subsaharyjska Afryka - i to raczej wcześniej niż później.

Na innych kontynentach także wiele się działo. Belgia, Bułgaria, Litwa, Łotwa i Słowacja zaczęły planować własne plebiscyty, podobnie jak Fidżi, Filipiny i większość małych wyspiarskich państw na Pacyfiku.

I oczywiście stolice WLZ zalała powódź zgłoszeń mniejszości pragnących, by organizacja przyznała im państwowość. Większość musiała być ignorowana. Na razie.

* * *

W dniu, kiedy Sudan - pod niezwykle silnym naciskiem kalifa Alai - uznał zarówno Nubię, jak i WLZ, Peter ze zdumieniem zobaczył, jak do jego gabinetu wchodzi rodzice.

- Stało się coś? - zapytał.

- Nic się nie stało - odparła mama.

- Przyszliśmy ci powiedzieć - oznajmił ojciec - że jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Peter pokręcił głową.

- To dopiero pierwszy krok na bardzo długiej drodze. Nie mamy jeszcze dwudziestu procent populacji świata. I trzeba czasu, żeby te nowe państwa zintegrować w ramach organizacji.

- Pierwszy krok na właściwej drodze - zauważył ojciec.

- Gdyby jeszcze rok temu ktoś zestawiał listę tych krajów - powiedziała matka - i oświadczył, że kiedyś zjednoczą się w jeden organizm pod wspólną konstytucją, że prześlą dowództwo własnych wojsk Hegemonowi... czy znalazłby się człowiek, który by nie wybuchnął śmiechem?

- To wszystko dzięki Alai i Virlomi. Okrucieństwa popełniane przez muzułmanów w Indiach i rozgłos, jaki nadała im Virlomi, w połączeniu z wcześniejszymi wojnami...

- ...przeraziły wszystkich - dokończył ojciec. - Ale kraje, które przyłączyły się do WLZ, to nie te, które najbardziej się bały. Nie, Peter, ważna była twoja konstytucja. To ty... twoje osiągnięcia w przeszłości, obietnice na przyszłość...

- To dzięki tym ze Szkoły Bojowej. Bez reputacji Groszka...

- Czyli wykorzystałeś narzędzia, jakimi dysponowałeś - przerwała mu matka. - Lincoln miał Granta. Churchill miał Montgomery'ego. To element wielkości: nie byli tak zazdrośni wobec swoich generałów, żeby pozbawiać ich stanowisk.

- Czyli nie pozwolicie mi się przekonać - stwierdził Peter.

- Miejsce w historii zapewniłeś już sobie dzięki swoim osiągnięciom jako Locke, zanim jeszcze zostałeś Hegemonem - oświadczył ojciec. - Ale dzisiaj, Peter, stałeś się wielkim człowiekiem.

Przez długą chwilę milczeli, stojąc na progu.

- No więc właśnie to chcieliśmy ci powiedzieć - zakończyła matka.

- Dzięki.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Peter wrócił do papierów na biurku.

A potem odkrył, że nie może ich odczytać, bo nic nie widzi przez łzy.

Z trudem oddychał. Nie, szlochał. Bezgłośnie - ale łkania wstrząsały jego ciałem, jak gdyby właśnie zrzucił z siebie straszliwy ciężar. Jakby właśnie się dowiedział, że jego śmiertelna choroba cofnęła się spontanicznie. Jakby odzyskał dawno utracone dziecko.

Ani razu w ciągu całej rozmowy nie padło imię „Ender”; ani razu nikt do niego nie nawiązał.

Minęło całe pięć minut, nim Peter się opanował. Musiał wyjść do malutkiej łazienki przy gabinecie i umyć twarz, zanim znowu mógł wrócić do pracy.

16

Jeesh

From: Weaver%Virlomi@MotherIndia.in.net
To: PeterWiggin%private@hegemon.gov
Subject: Rozmowa

Nigdy się nie spotkaliśmy, ale podziwiam twoje osiągnięcia.
Zapraszam z wizytą.

From: PeterWiggin%private@hegemon.gov
To: Weaver%Virlomi@MotherIndia.in.net
Subject: Spotkanie

Ja także podziwiam twoje osiągnięcia.

Z przyjemnością zapewnię ci bezpieczny transport do WLZ lub dowolnego innego miejsca poza granicami Indii. Póki pozostają pod muzułmańską okupacją, nie wybiorę się tam.

From: Weaver%Virilomi@MotherIndia.in.net
To: PeterWiggin%private@hegemon.gov
Subject: Miejsce

Nie postawię stopy w żadnym kraju poza Indiami. Ty nie chcesz przybyć do Indii.

A zatem: Kolombo, Sri Lanka. Przypłynę łodzią. Moja nie będzie wygodna. Jeśli sprowadzisz lepszą, tym przyjemniejsze będzie to spotkanie dla nas obojga.

Fly Molo spotkał się z Groszkiem na lotnisku w Manili i starał się nie pokazywać, jak bardzo go zaszokował wysoki wzrost przyjaciela.

- Mówiłeś, że chodzi o sprawy osobiste - powiedział. - Wybacz moją podejrzliwą naturę... Jesteś szefem sił zbrojnych WLZ, a ja dowódcą wojsk filipińskich, i mimo to nie mamy o czym rozmawiać?

- Zakładam, że twoi żołnierze są doskonale wyszkoleni i dobrze wyposażeni.

- Tak.

- Zatem dopóki nie nadejdzie pora, by ich gdzieś wykorzystać, nasze wydziały planowania i logistyki mają sobie o wiele więcej do powiedzenia niż ty czy ja. Mówiąc oficjalnie.

- Czyli jesteś tu jako przyjaciel?

- Jestem tu - odparł Groszek - ponieważ mam w Manili dziecko. Chłopca. Powiedzieli mi, że ma na imię Ramon.

Fly uśmiechnął się szeroko.

- Chociaż jesteś tu pierwszy raz w życiu? Kto jest matką, stewardesa?

- Dziecko zostało ukradzione, Fly. Jako embrion. Zapłodnienie *in vitro*. Jest moje i Petry. I jest dla nas bardzo ważne, bo to pierwsze, o którym na pewno wiemy, że nie cierpi na moją przypadłość.

- Chcesz powiedzieć, że nie jest brzydkie? Groszek się roześmiał.

- Dobrze sobie radziłeś na Filipinach, przyjacielu.

- To łatwe. Kiedy ktoś próbuje się kłócić, mówię, że byłem w jeeshu Endera, a wtedy on się zamyka i robi, co mu każę.

- U mnie to też działa.

- Z wyjątkiem Petera...

- Zwłaszcza z Peterem - oświadczył Groszek. - Jestem szarą eminencją, nie wiedziałeś? Gazet nie czytasz?

- Zauważyłem, że gazety kochają przypominać twoje zerowe konto zwycięstw jako dowódcy armii w Szkole Bojowej.

- Niektóre osiągnięcia są tak oszałamiające, że ludzie nigdy o nich nie zapomną.

- Co u Petry? - zapytał Fly.

I tak rozmawiali o ludziach, których obaj znali, wspominali Szkołę Bojową, Szkołę Dowodzenia i wojnę z robalami, aż dotarli do prywatnej rezydencji na wzgórzach na wschód od Manili.

Przed domem parkowało kilka samochodów. Po obu stronach drzwi wejściowych stali dwaj żołnierze w nowych mundurach WLZ.

- Strażnicy? - zdziwił się Groszek.

Fly wzruszył ramionami.

- To nie mój pomysł.

Nie musieli okazywać żadnych dokumentów. A kiedy już weszli do środka, zrozumieli, że nie jest to spotkanie, jakiego się spodziewali.

Wydawało się, że ktoś postanowił doprowadzić do spotkania po latach całego jeeshu Endera - przynajmniej tych jego członków, którzy byli osiągalni. Dink, Shen i Vlad siedzieli po jednej stronie stołu, Zwariowany Tom, Carn Carby i Kulfon - Champi T'it'u - po drugiej. A u szczytu Graff i Rackham.

- Są już wszyscy, których zaprosiliśmy - stwierdził Graff. - Proszę, Fly, Groszku, zajmijcie miejsca. Mam nadzieję, że przekażesz Petrze, o czym tu mówiliśmy. Co do Han Tzu i kalifa Alai, są teraz głowami państw. Niełatwo im podróżować dyskretnie. Jednakże wszystko, co wam powiemy, usłyszą także oni.

- Znam parę osób, które chętnie wysadziłyby ten pokój - mruknął Vlad.

- Jest jeszcze ktoś, kogo brakuje - zauważył Shen.

- Ender leci bezpiecznie. Jego statek funkcjonuje bez zarzutu. Jego ansibl działa poprawnie. Pamiętajcie jednak, że dla niego upłynął ledwie rok od dnia, gdy ta grupa zniszczyła królowe kopców. Nawet gdybyście mogli z nim porozmawiać, wydałby się wam... młody. Świat się zmienił i wy również. - Graff zerknął na Rackhama. - Mazer i ja bardzo się martwimy o was i o świat jako całość.

- Całkiem dobrze sobie radzimy - zapewnił Carn Carby.

- A dzięki Groszkowi i starszemu bratu Endera może ten świat również - dodał

Kulfon. Mówił trochę wyzywającym tonem, jakby spodziewał się sprzeciwów.

- Guzik mnie obchodzi ten świat - oznajmił Groszek. - Zostałem szantażem zmuszony do pomocy Peterowi. I nie Peter mnie szantażował.

- Groszek nawiązuje tu do umowy, którą zawarł ze mną z własnej i nieprzymuszonej woli - wyjaśnił Graff.

- Jaki jest cel tego spotkania? - zapytał Dink. - Nie jest pan już naszym nauczycielem.
- Spojrzał na Rackhama. - A pan nie jest dowódcą.

- W szkole nigdy nam się nie udało przekonać was o naszej szczerzej trosce o wasze powodzenie - odparł Graff. - Dlatego, tak jak sugeruje Dink, nie będę tracił czasu na wstępy. Spójrzcie wokół tego stołu. Ile macie lat?

- Dość, by nie dać się nabrać - mruknął Carn.

- Ile masz lat, Groszku? Szesnaście? - spytał Fly.

- Nigdy się naprawdę nie urodziłem - wyjaśnił Groszek. - A rejestry mojej inkubacji zostały zniszczone, kiedy miałem około roku. Ale tak, około szesnastu.

- A cała reszta ma około dwudziestu, mniej więcej - uzupełnił Fly. - O co panu chodzi, pułkowniku Graff?

- Mów mi Hyrum - poprosił Graff. - Chciałbym wierzyć, że jesteśmy teraz kolegami.

- Kolegami w czym? - rzucił Dink.

- Kiedy ostatnio spotkaliście się wszyscy - podjął Graff - kiedy Achilles zorganizował wasze porwanie w Rosji, cieszyliście się już wielkim szacunkiem na całym świecie. Uznawano was za mających... potencjał. Od tego czasu wszakże jeden z was został kalifem i zjednoczył niemożliwy do zjednoczenia świat islamu, zaplanował podbój Chin i... wyzwolenie Indii.

- Alai stracił rozum i tyle - uznał Carn.

- Natomiast Han Tzu jest cesarzem Chin. Groszek to dowódca niepokonanych armii WLZ, plus znany jest jako człowiek, który ostatecznie pokonał Achillesa. Ogólnie: to, co kiedyś było potencjałem, teraz uważane jest za pewność.

- Czyli kogo tu zebraliście? - spytał Zwariowany Tom. - Tych przegranych?

- Zebrałem tu ludzi, do których zwrócą się rządy państw, by powstrzymali Petera Wiggina przed zjednoczeniem świata.

Spojrzeli po sobie.

- Ze mną nikt jeszcze nie rozmawiał - oświadczył Fly Molo.

- Ale zwrócili się do ciebie, żebyś stłumił muzułmańską rebelię na Filipinach, prawda?
- wtrącił Rackham.

- Jesteśmy obywatelami swoich krajów - przypomniał Zwariowany Tom.

- Mój mnie wynajmuje - przypomniał Dink. - Jak taksówkę.

- Bo zawsze potrafisz się dogadać z władzą.

- Oto co się stanie - rzekł Graff. - Chiny, Indie i świat islamu w jakiejś kombinacji zniszczą siebie nawzajem. Tego, kto wyjdzie zwycięsko, Groszek rozbije na polu bitwy w imieniu WLZ. Ktoś ma wątpliwości, że potrafi tego dokonać?

Groszek podniósł rękę.

I nikt więcej.

Po chwili uniósł rękę Dink.

- Nie jest głodny - rzekł. Nikt mu się nie sprzeciwił.

- A właściwie co Dink chciał przez to powiedzieć? - zapytał Graff. - Ktoś ma jakieś sugestie?

Wydawało się, że nikt nie ma.

- Nie chcecie tego powiedzieć głośno, więc ja to zrobię - stwierdził Graff. - Dobrze wiadomo, że w testach Szkoły Bojowej Groszek zaliczył wynik lepszy niż ktokolwiek inny w historii. Nikt nawet się do niego nie zbliżył. No, może Ender, ale „zbliżył się” to bardzo nieprecyzyjne określenie. Powiedzmy tyle, że Ender był najbliżej. Ale nie wiemy, jak blisko, ponieważ Julian wyskoczył ze skali.

- Niby jak? - zdziwił się Dink. - Odpowiedział na pytania, których nie zadaliście?

- Otóż to. Siostra Carlotta mi pokazała. Miał w rezerwie dość czasu. Wpisywał komentarze do testów i sugestie, jak można je poprawić. Był niesamowity. Niezwyciężony. Tyle świat wie o Julianie Delphiki. A jednak, kiedy oddaliśmy mu komendę nad wami na Erosie, w Szkole Dowodzenia, kiedy czekaliśmy, aż Ender się zdecyduje, czy chce kontynuować edukację... Jak to się skończyło?

Znowu cisza.

- Och, dlaczego musimy udawać, że było inaczej niż było? - westchnął Graff.

- Nam się to nie podobało - wyznał Dink. - Był młodszy od nas wszystkich.

- Ender również.

- Ale Endera znaliśmy - odparł Zwariowany Tom.

- Endera kochaliśmy - dodał Shen.

- Wszyscy kochali Endera - wtrącił Fly.

- Mogę przedstawić wam listę ludzi, którzy go nienawidzili. Ale wy go kochaliście. A nie kochaliście Groszka. Dlaczego?

Groszek zaśmiał się krótko. Spojrzeli na niego. Oprócz tych, którzy poczuli

zakłopotanie i odwrócili wzrok.

- Nie nauczyłem się przymilać - powiedział. - W sierocińcu dzięki temu szybciej bym trafił do adopcji, ale na ulicy bym zginął.

- Bzdura - stwierdził Graff. - Zresztą z tą grupą przymilność nic by nie dała.

- Byłeś całkiem milusi - ocenił Carn. - Miałeś jaja, że tak to nazwę.

- To twoje określenie na „bezczelnego małego dupka”? - spytał łagodnie Dink.

- Spokojnie, spokojnie - wtrącił Graff. - Nie czuliście do Groszka niechęci na poziomie personalnym. W każdym razie większość. Ale nie chcieliście służyć pod jego rozkazami. Nie możecie powiedzieć, że przyczyną była wasza niezwykła niezależność, bo chętnie przyjmowaliście rozkazy od Endera. Daliście Enderowi wszystko, co mieliście.

- Więcej niż mieliśmy - rzucił Fly.

- Ale nie Groszkowi - dokończył Graff, jakby miało to czegoś dowodzić.

- Czy to jest terapia grupowa? - zirytował się Dink.

- Tak, oczywiście. - Vlad odezwał się po raz pierwszy. - On chce, żebyśmy doszli do takich samych wniosków, jakie on już wyciągnął.

- A wiesz, jakie to wnioski? - zainteresował się Graff.

Vlad nabrał tchu.

- Ee... Hyrum... uważa, że nie poszliśmy za Groszkiem tak jak za Enderem dlatego, że wiedzieliśmy o nim coś, czego nie wie reszta świata. I z tego powodu jest prawdopodobne, że zechcemy wystąpić przeciw niemu w bitwie, podczas gdy reszta świata zrezygnuje i podda się ze względu na jego reputację. O to chodzi?

Graff uśmiechnął się dobrotliwie.

- Przecież to głupie - uznał Kulfon. - Groszek naprawdę jest świetnym dowódcą. Widziałem go. Prowadził swoich Rwandyjczyków podczas naszej kampanii w Peru. To fakt, armia peruwiańska nie była dobrze dowodzona ani wyszkolona, ale Rwandyjczycy... oni go czcili. Skoczyliby z urwiska, gdyby im kazał. Kiedy się skrzywił, rzucali się do walki.

- I co z tego? - spytał Dink.

- Ano to - odrzekł Kulfon - że my za nim nie poszliśmy, ale inni idą. Groszek się sprawdza. Wciąż jest najlepszy z nas.

- Nie widziałem tych jego Rwandyjczyków - dodał Fly. - Za to widziałem go z grupą, którą szkolili razem z Suriyawongiem. Kiedy jeszcze wojska Hegemona składały się z setki ludzi i dwóch śmigłowców. Kulfon ma rację. Aleksander Wielki nie miał żołnierzy bardziej oddanych i skutecznych.

- Dzięki za te pochwały, chłopaki - wtrącił Groszek. - Ale Hy-rumowi chodzi o coś

innego.

- Hyrum - mruknął Dink. - Jaka ciepłutka atmosfera...

- Powiedz im - zaproponował Groszek. - Oni już wiedzą, ale nie zdają sobie sprawy, że wiedzą.

- Ty im powiedz - odparł Graff.

- Czy to chiński obóz reedukacyjny? Mam tu składać samokrytykę? - Groszek zaśmiał się z goryczą. - Chodzi o to, co Dink powiedział na samym początku. Nie jestem głodny. Co może się wydać śmieszne, biorąc pod uwagę, że całe wczesne dzieciństwo byłem bliski śmierci głodowej. Ale nie jestem głodny władzy. W przeciwieństwie do was.

- To jest wielka tajemnica jego testów - dodał Graff. - Siostra Carlotta poddała go standardowemu zestawowi testów, jakie wtedy wykorzystywaliśmy. Ale był również test dodatkowy. Taki, który przeprowadzałem ja albo jeden z moich zaufanych współpracowników. Test ambicji. Współzawodnictwa. Wszyscy zaliczyliście go bardzo wysoko, tylko Groszek nie.

- Groszek nie jest ambitny?

- Groszek lubi zwycięstwa. Lubi wygrywać. Musi wygrywać. Ale nie musi nikogo pokonywać.

- Wszyscy współpracowaliśmy z Enderem - przypomniał Carn. - Nie musieliśmy go pokonywać.

- Ale wiedzieliście, że poprowadzi was do zwycięstwa. A tymczasem współzawodniczyliście między sobą. Wszyscy oprócz Groszka.

- Tylko dlatego że był lepszy od nas wszystkich - stwierdził Fly. - Po co walczyć, kiedy zwycięstwo jest przesądzone?

- Gdyby któryś z was stanął przeciwko Groszkowi do bitwy, kto by zwyciężył?

Przewrócili oczami, zachichotali lub w inny sposób postarali się okazać lekceważenie dla tak postawionego pytania.

- To by zależało - odezwał się w końcu Carn Carby. - Od terenu, od pogody, od znaku zodiaku... Na wojnie nic nie jest pewne, prawda?

- W sali bojowej nie było pogody - przypomniał Fly żartobliwym tonem.

- Ale możecie sobie wyobrazić wygraną - podjął Graff. - I ona jest możliwa. Ponieważ Groszek jest lepszy od was tylko wtedy, kiedy wszystko inne jest stałe. Tyle że nigdy nie jest stałe. A jedną z najbardziej istotnych zmiennych podczas wojny jest ten głód, który skłania do wykorzystywania śmiesznych szans i okazji, bo intuicja podpowiada, że tamtędy wiedzie droga do zwycięstwa, a wy musicie tą drogą podążyć, gdyż cokolwiek innego niż zwycięstwo

jest niewyobrażalne. Nie do zniesienia.

- Bardzo poetyczne - przyznał Dink. - Romantyka wojny.

- Spójrzcie na Lee - rzekł Graff.

- Którego? - zapytał Shen. - Chińczyka Li czy Amerykanina Lee?

- Generała Lee z Wirginii. Kiedy nieprzyjaciół znajdował się na wirgińskiej ziemi, Lee zwyciężał. Podejmował ryzyko, które należało podjąć. Pod Chancellorsville posłał Stonewalla Jacksona leśną ścieżką, rozdzielając swoje siły i odkrywając się na groźne natarcie Hookera, akurat takiego brawurowego dowódcy, który wykorzystałby tę sytuację, gdyby tylko był jej świadomy.

- Hooker był idiotą.

- Tak mówimy, ponieważ przegrał. Ale czyby przegrał, gdyby Lee nie wykonał ryzykownego posunięcia? Nie chodzi mi o to, żeby jeszcze raz rozegrać bitwę pod Chancellorsville. Chodzi mi o...

- Antietam i Gettysburg - dokończył Groszek.

- Właśnie. Kiedy tylko Lee opuścił Wirginię i wkroczył na terytorium Północy, utracił swój głód. Wierzył w sprawę obrony Wirginii, ale nie wierzył w sprawę niewolnictwa, a wiedział, że o to właśnie chodzi w tej wojnie. Nie chciał, by jego stan został pokonany, lecz nie chciał też, by Południe zwyciężyło. Wszystko podświadomie. Nie wiedział tego o sobie. Ale to prawda.

- I nie miało to nic wspólnego z przeważającymi siłami Północy?

- Lee przegrał pod Antietam, walcząc z McClellanem, drugim najgłupszym i najbardziej bojaźliwym dowódcą, jakiego miała Północ. A Meade pod Gettysburgiem też nie był szokująco pomysłowy. Zauważył podwyższony teren i go zajął. A co zrobił Lee? Na podstawie tego, jak Lee zachowywał się podczas kampanii wirgińskich, czego byście się po nim spodziewali?

- Że nie podejmie walki na tym terenie - uznał Fly. - Będzie manewrował. Przesunie siły. Przerzuci je. Wejdzie między Meade i Waszyngton. Poszuka takiego pola bitwy, na którym unioniści będą musieli atakować jego pozycje.

- Kończyły mu się zapasy - przypomniał Dink. - I nie miał informacji od swojej kawalerii.

- Usprawiedliwienia - stwierdził Vlad. - Na wojnie nie ma usprawiedliwień. Graff ma rację. Kiedy Lee opuścił Wirginię, nie zachowywał się już jak Lee. No ale to Lee. Co on ma wspólnego z Groszkiem?

- On uważa - wyjaśnił Groszek - że mogą zostać pokonani, jeśli nie wierzę w sprawę,

o którą walczę. Że wtedy sam siebie pokonam. Ale problem polega na tym, że ja wierzę. Uważam, że Peter Wiggin to porządny człowiek. Bezlitosny, ale widziałem, jak wykorzystuje siłę. Stara się nikogo nie krzywdzić. Naprawdę próbuje stworzyć taki porządek świata, który doprowadzi do pokoju. Więc chcę, żeby mu się udało. I chcę, żeby mu się udało szybko. A jeśli któryś z was sądzi, że zdoła mnie powstrzymać...

- Nie musimy cię powstrzymywać - oświadczył Zwariowany Tom. - Wystarczy tylko zaczekać, aż umrzesz.

Zapadła grobowa cisza.

- Doszliśmy do sedna - odezwał się Graff. - Dlatego właśnie zorganizowaliśmy to spotkanie. Groszkowi zostało już niewiele czasu. Dopóki żyje, Hegemon uznawany jest za niezwycięzonego. Ale kiedy go zabraknie, co wtedy? Kulfon albo Fly obejmą po nim stanowisko, ponieważ obaj już są w WLZ. A każdy z was, siedzących przy tym stole, nie będzie miał żadnych problemów, by wystąpić przeciwko nim. Zgadza się?

- Do licha, e... Hyrum - wtrącił Dink. - Wystąpilibyśmy i przeciw Groszkowi.

- I świat byłby rozdarty, a WLZ, nawet jeśli wyjdzie z tego zwycięsko, będzie stała na trupach milionów żołnierzy, którzy zginą z powodu waszej ambicji współzawodnictwa. - Graff spojrzał gniewnie wokół stołu.

- Chwila! - zaprotestował Fly. - Przecież jeszcze nikogo nie zabiliśmy. Lepiej porozmawiajcie o tym z Kant Zupą i Alai.

- Popatrzcie na Alai - powiedział Graff. - Potrzebował dwóch czystek, żeby realnie odzyskać kontrolę nad siłami islamu. Ale teraz już ją ma... i co zrobił? Opuścił Indie? Wycofał się z Sinkiangu albo Tybetu? Czy indonezyjscy muzułmanie odpłynęli z Tajwanu? Dalej stoją z Han Tzu przeciwko sobie. Dlaczego? Przecież to bez sensu. Nie utrzyma Indii. Nie może zapanować w Chinach. Ale wciąż ma marzenia Dżyngisa.

- Zawsze wszystko wraca do Dżyngisa - mruknął Vlad.

- Wszyscy chcecie zjednoczenia świata. Ale chcecie zrobić to osobiście, bo nie możecie znieść myśli, że na szczycie stanie ktoś inny.

- No skąd... - oburzył się Dink. - W głębi serca wszyscy jesteśmy Cyncynatami. Nie możemy się już doczekać powrotu na farmę.

Roześmiali się.

- Przy tym stole - stwierdził Graff - siedzi pięćdziesiąt lat krwawych wojen.

- A co powiesz na to, że przecież nie my wynaleźliśmy wojnę - zauważył Dink. - Po prostu jesteśmy w niej dobruzy.

- Wojna jest wynajdywana za każdym razem, kiedy ktoś poczuje głód dominacji i ma

w pobliżu pokojowo nastawiony naród. Właśnie tacy ludzie jak wy wynajdują wojny. Nawet jeśli istnieje jakaś racja, jak w przypadku Lee... Czy Południe walczyłoby przez te wszystkie krwawe lata wojny domowej, gdyby ludzie nie wierzyli święcie, że cokolwiek się zdarzy, Marsowy Robert ich ocali? Nawet jeśli sami nie podejmujecie decyzji o wojnie, państwa przystępują do wojny, ponieważ mają was.

- Więc jakie rozwiązanie proponujesz, Hyrum? - zapytał Dink. - Masz przygotowane małe kapsułki z cyjankiem, które połknjemy, żeby ocalić świat przed nami?

- To by nic nie pomogło - zauważył Vlad. - Nawet jeśli masz rację, przecież są inni po Szkole Bojowej. Wystarczy spojrzeć na Virlomi. Wymanewrowała wszystkich.

- Nie wymanewrowała jeszcze Alai - sprzeciwił się Zwariowany Tom. - Ani Kant Zupy.

- Spójrzcie na Suriyawonga - upierał się Vlad. - Do niego zwróci się Peter, kiedy Groszek... ustąpi. Nie byliśmy jedynymi dziećmiakami w Szkole Bojowej.

- Jeesh Endera - stwierdził Graff. - Wy ocaliliście świat. Przy was jest magia. Na Ziemi żyją setki absolwentów Szkoły Bojowej. I nikomu nie przychodzi do głowy, że tylko z powodu posiadania jednego, dwóch czy pięciu, może podbić świat. Który z was stanie się wystarczającym powodem?

- Czyli chcecie się nas pozbyć - uznał Dink. - Stąd to spotkanie. Żaden z nas nie wyjdzie stąd żywy, tak?

- Spokojnie, Dink. Możecie wracać do domu, jak tylko skończymy tę rozmowę. KolMin nie morduje ludzi.

- A to interesująca kwestia - uznał Zwariowany Tom. - Co tak naprawdę robi KolMin? Pakuje ludzi jak sardynki do statków kosmicznych i wysyła ich na kolonizowane planety. Nigdy nie wracają do świata, który opuścili. Pięćdziesiąt lat tam, pięćdziesiąt z powrotem... Przez ten czas wszyscy o nas zapomną, nawet gdybyśmy tylko dolecieli i od razu wracali, na co oczywiście nam nie pozwolą.

- Czyli to nie zabójstwo - stwierdził Dink - tylko kolejne wredne porwanie.

- To propozycja - wtrącił Rackham - którą możecie przyjąć albo odrzucić.

- Ja odrzucam.

- Wysłuchaj najpierw propozycji.

- Tego wysłuchaj... - Dink wykonał nieprzyzwoity gest.

- Proponuję wam kierownictwo kolonii. Każdemu z was. Żadnych rywali. Nie wiemy nic o wrogich armiach do pokonania, ale będą to światy pełne zagrożeń i niepewnych sytuacji, a wasze zdolności okażą się wybitnie przydatne. Ludzie będą was słuchać... ludzie

starsi od was... po części dlatego że jesteście z jeeshu Endera, ale po części, a raczej głównie ze względu na wasze zdolności. Zobaczą, jak szybko przyswajacie informacje, ustawiacie je według ważności, przewidujecie konsekwencje i podejmujecie właściwe decyzje. Zostaniecie założycielami nowych ludzkich światów.

- A ci nazwą planety na naszą cieść? - odezwał się po dziecinnemu Zwariowany Tom.

- Nie wygłupiaj się - skarcił go Carn.

- Psiepjasiem.

- Posłuchajcie mnie, panowie - podjął Graff. - Widzieliśmy, co spotkało królowe kopców. Żyły na jednej planecie i jedno uderzenie zniszczyło je całkowicie. Dowolną broń, jaką możemy stworzyć, może też stworzyć nieprzyjaciela i użyć przeciwko nam.

- Chwileczkę! - zaprotestował Dink. - Królowe kopców rozpraszały się, kolonizowały tyle planet, co i wy... Prawdę mówiąc, wysyłacie statki do światów już przez nie zasiedlonych, bo to jedyne znane, na których jest atmosfera do oddychania oraz flora i fauna, którą możemy jeść.

- Zabieramy ze sobą własną florę i faunę - sprostował Graff.

- Dink ma rację - przyznał Shen. - Takie rozproszenie wcale królowym nie pomogło.

- Bo one się nie rozpraszały. Miały robale na wszystkich światach, ale kiedy wy, chłopcy, rozwaliliście ich ojczystą planetę, były na niej wszystkie królowe kopców. Włożyły wszystkie jaja do jednego koszyka. Nie mamy zamiaru powtarzać tego błędu. Również dlatego że ludzkość to nie garść królowych i cała masa robotnic i trutni. Każdy z nas jest królową kopca, ma w sobie możliwość odtworzenia całej ludzkiej historii. Dlatego w przypadku ludzkości rozproszenie będzie skuteczne.

- Tak jak kaszel w tłumie rozprzestrzenia grypę - uznał Zwariowany Tom.

- Zgadza się - przyznał Graff. - Możesz nas uważać za chorobę. Nie obchodzi mnie to. Jestem człowiekiem i chcę, żebyśmy rozprzestrzenili się jak epidemia, żeby już nigdy nie dało się nas usunąć.

Rackham pokiwał głową.

- A żeby to osiągnąć, chce dać koloniom możliwie duże szanse przetrwania.

- Czyli was - dokończył Graff. - Jeśli uda mi się was dostać.

- Więc my pilnujemy, żeby twoim koloniom się powiodło - podsumował Carn - a ty pozbywasz się nas z Ziemi, w związku z czym Peter może zakończyć wszystkie wojny i rozpocząć tysiącletnie panowanie Chrystusa.

- Czy Chrystus nadejdzie, czy nie, to już nie moja sprawa. Interesuje mnie tylko ocalenie ludzi. Zbiorowo oraz indywidualnie.

- Jaki szlachetny cel...

- Nie - zaprzeczył Graff. - To ja was stworzyłem. Nie fizycznie...

- Dobrze, że to dodałeś - zaśmiał się Carn. - Inaczej mój ojciec musiałby cię zabić za te oszczerstwa rzucane na moją matkę.

- Ja was wyszukałem. Przetestowałem. Sprawilem, że świat wie o waszym istnieniu. Niebezpieczeństwo, jakie sobą reprezentujecie, stworzyłem ja.

- Czyli tak naprawdę chcesz naprawić swoje błędy?

- To nie był błąd. Te działania były kluczowe dla zwycięstwa w ostatniej wojnie. Ale często się zdarza, że rozwiązanie jednego problemu staje się początkiem kolejnego.

- Czyli to spotkanie ma oczyścić sytuację? - spytał Fly.

- Celem tego spotkania jest danie wam szansy zrobienia czegoś, co zaspokoi wasze nieprzeparte pragnienie dominacji, a równocześnie zagwarantuje przetrwanie ludzkości zarówno tu, na Ziemi, jak i tam, w Galaktyce.

Zastanowili się nad jego słowami. Pierwszy odezwał się Kulfon:

- Ja już wybrałem cel swego życia, pułkowniku.

- Mów do niego Hyrum - szepnął głośno Dink. - Teraz jest naszym kumplem.

- Wybrałeś - przyznał Graff. - I osiągnąłeś go. Twój lud ma własne państwo i jest częścią WLZ. Dla ciebie walka się skończyła. Pozostaje tylko krzątać się pod władzą Petera Wiggina, dopóki albo się przeciw niemu nie zbuntujesz, albo nie zostaniesz dowódcą jego wojsk, a potem następcą jako Hegemon. Rządzącym całym światem. Mam rację?

- Nie mam takich planów - zapewnił Kulfon.

- Ale przemawia do ciebie taka wersja. Nie udawaj, że nie. Znam was, chłopcy. Nie jesteście obłąkani. Nie jesteście źli. Ale nie umiecie przestać.

- Już wiem, czemu nie zaprosiliście Petry - zauważył Groszek. - Przy niej nie mógłbyś ciągle zwracać się do nas „chłopcy”.

- Zapominasz - wtrącił znowu Dink - że jesteśmy teraz jego kolegami. Czyli nam też wolno mówić „chłopcy” do niego i Rackhama.

Graff wstał z krzesła u szczytu stołu.

- Przedstawiłem swoją ofertę. Będziecie się nad nią zastanawiać, czy tego chcecie, czy nie. Będę obserwował wydarzenia. Wiecie, jak się ze mną skontaktować. Propozycja pozostaje aktualna. Na dzisiaj już skończyliśmy.

- Nie, wcale nie - zaprotestował Shen. - Przecież nic nie zrobiliście w celu rozwiązania prawdziwego problemu.

- To znaczy?

- My jesteśmy tylko potencjalnymi podżegaczami wojennymi i mordercami dzieci. A zupełnie pomijacie kwestię Alai i Kant Zupy.

- I Virloimi - dodał Fly Molo. - Szukacie kogoś naprawdę niebezpiecznego? To ona.

- Otrzymają taką samą propozycję jak wy - odparł Rackham.

- Jedno z nich nawet już ją otrzymało.

- Które? - zainteresował się Dink.

- To, które mogło jej wysłuchać - odpowiedział Graff.

- Czyli Kant Zupa - uznał Shen. - Bo nie moglibyście załatwić spotkania z Panem Kalifem.

- Ależ wyrosliście na błyskotliwych typów - pochwalił go Graff.

- „Bitwa pod Waterloo została wygrana na boiskach w Eton”

- zacytował Rackham.

- A co to niby ma znaczyć? - zdziwił się Cam Carby. - Przecież nigdy nawet nie byłeś w Eton.

- To taka analogia - wyjaśnił Rackham. - Gdybyś całego dzieciństwa nie spędził na grach wojennych, może byś zdobył jakąś wiedzę. Wszyscy jesteście tacy niedokształceni...

17

Łódzie

From: Champi%T'it'u@Runa.gov.qu
To: WallabyWannabe%BoyGenius@stratplan/mil.gov.au
Subject: „Niezły pomysł”

Oczywiście, tobie „oferta” Graffa wydała się „dobrym pomysłem”.
Przecież mieszkasz w Australii.

Kulfon

From:WallabyWannabe%BoyGenius@stratplan/mil.gov.au
To: Champi%T'it'u@Runa.gov.qu
Subject: Ha, ha

Ludzie, którzy mieszkają na Księżycu – to znaczy, przepraszam,
w Andach – nie powinni żartować z Australii.

Carn

From: Champi%T'it'u@Runa.gov.qu
To: WallabyWannabe%BoyGenius@stratplan/mil.gov.au
Subject: Kto tu żartuje?

Widziałem Australię i mieszkałem na asteroidzie. I wybrałbym asteroidę.

Kulfon

From: WallabyWannabe%BoyGenius@stratplan/mil.gov.au
To: Champi%T'it'u@Runa.gov.qu
Subject: Asteroida

Australia nie potrzebuje systemów podtrzymywania życia, jak asteroida, ani koki, jak Andy, żeby dało się tu mieszkać. Poza tym lubiłeś tę asteroidę tylko dlatego, że nazywała się Eros, i miałaś nadzieję, że da ci to jakieś szanse u płci przeciwnej.
Carn

From: Champi%T'it'u@Runa.gov.qu
To: WallabyWannabe%BoyGenius@stratplan/mil.gov. au
Subject: Przynajmniej

Przynajmniej mam _jakąś_ płęć. Męską, nawiasem mówiąc. Zajrzyj sobie do rozporka i sprawdź, jaką ty masz (łapiesz suwak zamka błyskawicznego i ciągniesz w dół). (Oj, czekaj, jesteś w Australii... no to w górę).

Kulfon

From: WallabyWannabe%BoyGenius@stratplan/mil.gov.au
To: Champi%T'it'u@Runa.gov.gu
Subject: Zobaczmy... rozporek... zamek... ciągnąć...

Aj! Auu! Ałaaaa!

Carn

Marynarze tak się denerwowali obecnością Virlomi na swoim *dhow*, że cudem tylko go nie zatopili, zanim jeszcze wypłynęli na morze. Żeglowali powoli, wiele halsując; zwykły zwrot zdawał się wymagać takiej pracy, jak ponowne wynalezienie nawigacji. Virlomi jednak nie okazywała zniecierpliwienia.

Przyszła pora na zrobienie kolejnego kroku - Indie muszą zająć należne sobie miejsce na światowej scenie. Potrzebowała sprzymierzeńca, by uwolnić kraj od cudzoziemskich okupantów. Choć okrucieństwa się skończyły i nie było już co filmować, Alai uparcie trzymał swoje muzułmańskie wojska w całych Indiach. Czekał na hinduskie prowokacje. Wiedział, że Virlomi nie ma nad swoim ludem tak mocnej władzy, jak w tej chwili on nad swoimi żołnierzami.

Nie zamierzała jednak wprowadzać do gry Han Tzu. Zbyt ciężko walczyła, by Chińczycy wycofali się z Indii, żeby teraz zapraszać ich na nowo. Poza tym, chociaż nie mieli religii, do której zmuszaliby ludzi - jak muzułmanie - jednak byli równie aroganccy i równie pewni, że należy im się władza nad światem.

A ci chłopcy z jeeshu... Są tacy pewni, że mogą nią rządzić. Czy nie rozumieją, że całe jej życie było odrzuceniem tego ich poczucia wyższości? Wybrano ich, by prowadzili wojnę z obcymi. I w tamtej wojnie bogowie walczyli po ich stronie. Ale teraz bogowie walczą po stronie Virlomi.

Kiedy zaczynała, nie była wierząca. Wykorzystywała tylko znajomość ludowej religii swego narodu. Jednak przez tygodnie, miesiące i lata kampanii przeciwko Chińczykom, a potem muzułmanom widziała wyraźnie, jak wszystko nagina się i obraca, by jej pomóc. Udało się wszystko, co wymyśliła. A ponieważ istniały testy dowodzące, że Han Tzu i Alai są bardziej inteligentni niż ona, z pewnością jakieś mądrzejsze od nich istoty podpowiadały jej pomysły.

W tej chwili istniała tylko jedna osoba, która mogła jej udzielić niezbędnej pomocy, i tylko jeden mężczyzna na świecie, którego może poślubić bez ujmy. W końcu kiedy wyjdzie za mąż, to całe Indie wyjdą za mąż; a kiedy urodzi dzieci, będą to dzieci bogini, przynajmniej w oczach ludu. Ponieważ partenogeneza nie wchodziła w grę, potrzebowała męża. I dlatego wezwała Petera Wiggina.

Wiggin, brat wielkiego Endera. Starszy brat. Kto mógłby wątpić, że ich dzieci noszą najlepsze dostępne na Ziemi geny? Stworzą dynastię, która zjednoczy świat i będzie nim rządzić już na zawsze. Żeniąc się z nią, Peter będzie mógł dodać Indie do WLZ, przekształcając to swoje drobne przedsięwzięcie w organizację obejmującą połowę ziemskiej populacji. Ona zaś - i Indie - będą wyniesione ponad wszelkie inne narody. Zamiast być władcą jednego państwa, jak Han Tzu, albo przywódcą brutalnej i zacofanej religii, jak Alai, ona zostanie żoną oświeconego Locke'a, Hegemona Ziemi, człowieka, którego wizja przyniesie w końcu pokój całemu światu.

Łódź Petera nie była duża - wyraźnie nie jest człowiekiem rozrzutnym. Ale nie była też prymitywnym rybackim *dhow*. Miała nowoczesne linie i wyglądała, jakby ją zaprojektowano, by wlatywała nad falami. Szybkość... W świecie Petera nie ma czasu do stracenia.

Kiedyś sama należała do tego świata. Przez lata jednak zwolniła do tempa indyjskiego życia. Kiedy inni na nią patrzeli, chodziła wolno. Musiała mieć grację i prostotę oczekiwaną u kogoś z jej pozycją. I musiała zachowywać milczenie, kiedy dyskutowali mężczyźni, odzywać się tylko tyle, ile było dla niej właściwe. Nie mogła sobie pozwolić na nic, co by ją pomniejszyło w ich oczach.

Ale tęskniła za szybkością. Za promami, za Szkołą Bojową i Szkołą Taktyki. Tęskniła do lśniących, wypolerowanych powierzchni. Do błyskawicznego tempa gier w Sali Bojowej. Nawet do intensywności życia w Hajdarabadzie, wśród innych ze Szkoły Bojowej, zanim uciekła stamtąd, by dać znać Groszkowi, gdzie jest Petra. To było bliższe jej prawdziwym inklinacjom niż poza prymitywizmu.

Robi się to, co niezbędne dla zwycięstwa. Ci, którzy mają armie, szkolą je. Ale kiedy Virłomi zaczynała, miała tylko siebie. A więc szkoliła i musztrowała siebie, by wydawać się taka, jaka wydawać się powinna.

I podczas tego procesu stała się taka, jaka powinna być.

Co jednak nie oznacza, że zatraciła zdolność podziwiania tej smukłej, szybkiej łodzi, jaką przyprowadził Peter.

Rybacy pomogli jej przesiąść się z *dhow* do wiosłowej szalupy, która miała przenieść ją na jacht. W zatoce Mannar pogoda się pogorszyła, ale wysepki Mostu Adama osłaniały tutejsze wody, więc fale były tylko trochę wyższe.

I bardzo dobrze. Od chwili, kiedy weszła na pokład, odczuwała lekkie mdłości. A nie chciała przy rybakach wymiotować. Nie spodziewała się choroby morskiej. Skąd mogła wiedzieć, że jest na nią podatna? Helikoptery jej nie przeszkadzały, podobnie jak samochody

na krętych drogach ani nawet nieważkość. Dlaczego trochę kołysania miałoby ją pokonać?

Jacht okazał się lepszy niż *dhow*. Budził większy lęk, ale mniejsze mdłości. Ze strachem umiała sobie radzić. Strach tylko wzmacniał jej pragnienie zwycięstwa.

Sam Peter stał przy burcie i pomagał jej wejść na pokład. To dobry znak. Nie próbował żadnych sztuczek i nie zmuszał jej, żeby przyszła do niego.

Jej ludziom kazał przycumować łódkę do jachtu, a potem wejść, by mogli odpocząć na stosunkowo wygodnym pokładzie. Ją zaprosił do głównej kabiny.

Była pięknie i gustownie udekorowana, ale nie przesadnie wielka czy pretensjonalna. Demonstrowała akurat odpowiednią nutę dyskretnego bogactwa. Człowiek o wyrobionym smaku...

- To nie moja łódź, naturalnie - wyjaśnił Peter. - Czemu miałbym marnować pieniądze WLZ na taką zabawkę? Pożyczyłem ją.

Milczała - w końcu milczenie stanowiło ważną cechę postaci, jaką się stała. Ale była trochę rozczarowana. Skromność to wielka zaleta, lecz dlaczego uznał za stosowne zaznaczyć, że nie jest właścicielem tego jachtu? Że jest oszczędny? Ponieważ uwierzył, że jej wizerunek osoby szukającej tradycyjnej indyjskiej prostoty - nie ubóstwa - to prawda, a nie rola, którą odgrywa, by trafić do serc Hindusów.

No cóż, trudno oczekiwać, żeby był tak spostrzegawczy jak ja. Przecież nie przyjęli go do Szkoły Bojowej.

- Usiądź, proszę - powiedział. - Jesteś głodna?

- Nie, dziękuję - odparła cicho.

Gdyby tylko miała pewność, co się stanie, gdy spróbuje zjeść coś na morzu...

- Herbaty?

- Nic.

Wzruszył ramionami - z zakłopotaniem? Że mu odmówiła? Naprawdę, czy jest aż tak niedojrzały? Brał to do siebie?

Chociaż przecież powinien brać to do siebie. Nie wiedział tylko jak i dlaczego.

Oczywiście, że nie wiedział. Skąd mógł przypuszczać, co chce mu zaproponować?

Pora stać się Virlomi. Pora wyjaśnić, o co chodzi w tym spotkaniu.

Stał przy barku z lodówką i chyba się zastanawiał, czy poprosić ją, by usiadła z nim przy stole, czy na miękkich fotelach przymocowanych do podłogi.

Podeszła, przytuliła się do niego, otoczyła go ramionami Indii. Stanęła na palcach i pocałowała go w usta. Nie gwałtownie, ale delikatnie, ciepło. To nie był niewinny pocałunek dziewczyny, lecz obietnica miłości - jak potrafiła ją najlepiej przekazać. Nie miała aż tak

wielu doświadczeń, nim zjawił się Achilles i zmienił Hajda-rabad w czyste i straszne miejsce pracy. Kilka pocałunków z chłopcami, których знаła. Ale nauczyła się trochę tego, co ich podnieca, a przecież Peter ledwie wyrósł z chłopięcego wieku. Prawda?

I chyba to podziało. Na pewno oddał jej pocałunek.

Wszystko szło tak, jak się spodziewała. Bogowie ją wspierali.

- Usiądźmy - zaproponował.

Ku jej zdziwieniu wskazał stół, nie miękkie fotele. Nie ten szeroki, gdzie mogliby usiąść oboje.

Stół, gdzie będą mieli między sobą drewniany blat - gładki i zimny.

Kiedy zajęli miejsca, Peter przyjrzał się jej trochę zdziwiony.

- Czy właśnie po to przypłynęłaś aż tutaj?

- A jak myślisz? - spytała.

- Miałem nadzieję, że ma to jakiś związek z ratyfikacją przez Indie konstytucji WLZ.

- Nie czytałam jej - odparła. - Ale musisz wiedzieć, że Indie nie zrezygnują łatwo ze swojej suwerenności.

- Owszem, całkiem łatwo, jeśli poprosisz mieszkańców, żeby tak głosowali.

- Ale widzisz, muszę wiedzieć, co Indie otrzymają w zamian.

- To, co otrzymuje każdy kraj w ramach WLZ. Pokój. Ochronę. Wolny handel. Prawa człowieka i wybory.

- To samo dajecie Nigerii.

- To samo dajemy też Vanuatu i Karibati. Oraz Stanom Zjednoczonym, Rosji, Chinom i owszem, Indiom, kiedy postanowią się do nas przyłączyć.

- Indie są najludniejszym państwem na Ziemi. A ostatnie trzy lata walczą o przetrwanie. Potrzebują czegoś więcej niż tylko ochrony. Zasługują na miejsce w pobliżu ośrodka władzy.

- Ale ja nie jestem ośrodkiem władzy - stwierdził Peter. - Nie jestem królem.

- Wiem, kim jesteś - oświadczyła Virlomi.

- Kim? - Wydawał się rozbawiony.

- Jesteś Dżyngisem, Waszyngtonem, Bismarckiem. Budowniczym imperiów. Jednoczycielem ludzi. Stwórcą narodów.

- Jestem niszczycielem narodów, Virlomi. Zachowamy słowo „naród”, ale będzie oznaczał tyle, co „stan” w Ameryce, choć kiedyś słowem tym określano państwo. Jednostka administracyjna, nic więcej. Indie mają wspaniałą historię, ale od dzisiaj będziemy mieli historię ludzkości.

- To bardzo szlachetne - przyznała Virlomi. Sprawy nie układały się zgodnie z jej planem. - Chyba nie do końca rozumiesz, co ci proponuję.

- Proponujesz coś, na czym mi bardzo zależy: Indie w WLZ. Jednak cena, jaką każesz mi płacić, jest zbyt wysoka.

- Cena? - Czy naprawdę jest aż tak głupi? - Mieć mnie to nie jest cena, którą płacisz. To ofiara, jaką ja składam.

- I kto powiedział, że romantyzm umarł... - mruknął Peter. - Virlomi, skończyłaś Szkołę Bojową. Z pewnością rozumiesz, czemu nie mogę wprowadzić Indii do WLZ przez małżeństwo.

Dopiero wtedy, w chwili kiedy rzucił wyzwanie, wszystko stało się jasne. Zrozumiała świat - nie taki, jaki widziała ona, skupiony na Indiach, ale świat, jaki on widział, z nim w samym centrum wszystkiego.

- Więc chodzi o ciebie - powiedziała. - Nie potrafisz z nikim dzielić się władzą.

- Mogę się dzielić władzą z każdym - zapewnił Peter. - I robię to. Tylko głupiec wierzy, że może rządzić sam. Do rządzenia niezbędne jest dobrowolne posłuszeństwo i współpraca rządzonych. Oni muszą chcieć, żebym ich prowadził. A gdybym się z tobą ożenił, choć to oferta bardzo atrakcyjna pod każdym względem, nie byłbym już postrzegany jako uczciwy gracz. Zamiast ufać mi, że kieruję polityką zagraniczną i militarną WLZ dla dobra całego świata, wszyscy by uznali, że każdą sprawę rozstrzygam na korzyść Indii.

- Nie każdą - zaprotestowała.

- Byłbym uznawany za narzędzie Indii. Możesz być pewna, że kalif Alai natychmiast wypowiedziałby wojnę nie tylko Indiom,

gdzie wszędzie stacjonują jego żołnierze, ale też WLZ. I czekałaby mnie krwawa walka w Sudanie i Nubii, a tego nie chcę.

- Dlaczego miałbyś się lękać walki?

- Dlaczego nie?

- Masz Groszka - stwierdziła. - Jak Alai może ci sprostać?

- No cóż... Jeśli Groszek jest tak potężny i niepokonany, do czego potrzebuję ciebie?

- Ponieważ Groszkowi nigdy nie możesz zaufać tak całkowicie jak żonie. I Groszek nie przyniesie ci miliarda ludzi.

- Virlomi - westchnął Peter. - Byłbym durniem, gdybym ci zaufał, jako mojej żonie czy nie. Nie włączyłabyś Indii do WLZ, ale WLZ do Indii.

- Dlaczego nie mogą być partnerami?

- Ponieważ bogowie nie potrzebują śmiertelnych partnerów. Za długo już jesteś

boginią. Nie ma mężczyzny, którego możesz poślubić, dopóki wierzysz, że wywyższasz go, pozwalając mu sobie dotknąć.

- Nie mów tego, czego potem nie zdołasz cofnąć - ostrzegła.

- Nie zmuszaj mnie do mówienia tego, czego tak trudno wysłuchać - odparł Peter. - Nie mam zamiaru ryzykować przywództwa WLZ tylko po to, żeby skłonić do przystąpienia jeden kraj.

Mówił poważnie... Naprawdę uważał, że stoi wyżej od niej. Sądził, że jest większy niż Indie! Większy niż bogini! Że poniży się, przyjmując to, co ona oferuje.

Ale w tej chwili nie warto już z nim rozmawiać. Nie będzie marnować czasu na puste groźby. Pokaże mu, co może zrobić z tymi, którzy chcą mieć Indie za wroga.

- Przykro mi, że nie przewidziałem, co mi zaproponujesz - powiedział, wstając. - Nie marnowałbym twojego czasu. Naprawdę nie chciałem cię stawiać w niezręcznej sytuacji. Sądziłem, że lepiej zrozumiesz moją.

- Jestem tylko jedną kobietą. Indie to tylko jeden kraj. Skrzywił się. Nie podobało mu się, że rzuciła mu w twarz te

głupie, aroganckie słowa. No cóż, przekonasz się, że rzucę w ciebie nie tylko słowa, bracie Endera.

- Sprowadziłem jeszcze dwie osoby, które chcą się z tobą spotkać - rzekł. - Jeśli się zgodzisz.

Otworzył drzwi. Do kabiny wszedł pułkownik Graff i ktoś nieznajomy.

- Virłomi, znasz chyba ministra Graffa. A to jest Mazer Rackham.

Pochyliła głowę, nie okazując zaskoczenia. Usiedli i przekazali jej swoją propozycję.

- Zyskałam już miłość i wierność największego narodu na Ziemi - oświadczyła Virłomi. - Nie pokonali mnie najgorsi wrogowie, których wysłali przeciw mnie Chińczycy i muzułmanie. Dlaczego miałabym teraz uciekać i ukrywać się w jakiejś kolonii?

- To szlachetne dzieło - odparł Graff. - Nie ukrywanie się, lecz budowanie.

- Termyty też budują - stwierdziła Virłomi.

- A hieny rozzdzierają.

- Nie potrzebuję i nie interesuje mnie stanowisko, jakie proponujecie.

- Po prostu na razie jeszcze nie dostrzegasz tej potrzeby - zapewnił Graff. - Zawsze trudno ci było zmienić poglądy na sytuację. To hamowało twoje postępy w Szkole Bojowej.

- Nie jest pan już moim nauczycielem.

- Ale na pewno się mylisz przynajmniej w jednej sprawie, niezależnie od tego, czy jestem twoim nauczycielem, czy nie.

Czekała.

- Nie spotkałaś jeszcze najstraszniejszych przeciwników, jakich mogą wysłać przeciw tobie Chiny i świat islamu.

- Sądzą, że Han Tzu zdoła jeszcze raz wdrzeć się do Indii? Nie jestem Tikalem Chapekarem.

- A on nie jest ani biurem politycznym, ani Śnieżnym Tygrysem.

- Ach, jest członkiem jeeshu Endera - powiedziała z udawanym lękiem.

- Nie uwierzył we własny wizerunek - odezwał się Rackham, który do tej chwili milczał. - Dla własnego dobra, Virlomi, popatrz kiedyś uważnie w lustro. Tak właśnie wygląda megalomania na początkowym etapie.

- Niczego nie chcę osiągnąć dla siebie.

- Jeśli definiujesz Indie jako to, co sobie wyobrażasz, pewnego strasznego ranka obudzisz się i odkryjesz, że są inne, niż chcesz.

- A mówi pan to na podstawie swego długiego doświadczenia w rządzeniu... jaki to był kraj, panie Rackham?

Rackham uśmiechnął się tylko.

- Pycha, kiedy ją szturchnąć, staje się małostkowa.

- Czy to już jest przysłowie? - spytała Virlomi. - Czy powinnam to zanotować?

- Oferta pozostaje w mocy - zapewnił ją Graff. - Nie będzie cofnięta, dopóki żyjesz.

- Dlaczego takiej samej nie złożycie Peterowi? To on powinien wyruszyć w długą podróż.

Uznała, że nie znajdzie lepszego zdania pożegnalnego, więc powoli i z gracją ruszyła do drzwi. Nikt się nie odezwał, kiedy wychodziła.

Rybacy pomogli jej zejść do łódki i odcumowali. Peter nie wyszedł na pokład, żeby jej pomachać - kolejna nieuprzejmość, choć oczywiście nie okazałaby, że go dostrzega, gdyby nawet wyszedł. Co do Graffa a i Rackhama, już niedługo przyjdą do niej znowu, by prosić o fundusze... nie, o pozwolenie na działanie tego ich głupiego Ministerstwa Kolonizacji.

Dhow dopłynął do innej rybackiej wioski niż ta, z której wyruszył - nie warto ułatwiać działań Alai, gdyby odkrył jej wyjazd i ją śledził.

Wróciła do Hajdarabadu koleją, jako zwykła pasażerka - gdyby jakiś muzułmański żołnierz okazał się tak szalony, żeby przeszukać pociąg. Ale inni wiedzieli, kim jest. Czyja twarz była lepiej znana w całych Indiach? A że nie była muzułmanką, nie musiała twarzy zakrywać.

Pierwsze, co zrobię, kiedy już będę władała w Indiach, to zmienię nazwę

Hajdarabadu. Nie na poprzednią, Bhagnagar - chociaż miasto zyskało ją na cześć indyjskiej kobiety. Nazwę tę nadał muzułmański książę, który zburzył oryginalną indyjską wioskę, by wznieść Charminar, pomnik własnej potęgi, podobno dla uczczenia swej ukochanej żony Hinduski.

Nigdy już Indie nie będą niszczone, by zaspokoić żądzę władzy muzułmanów. Nową nazwą Hajdarabadu stanie się nazwa tamtej dawnej wioski, Chichlam.

Virlomi przedostała się ze stacji kolejowej do kryjówki w mieście, stamtąd z pomocą swych ludzi wróciła do chaty, gdzie rzekomo medytowała i modliła się o Indie przez te trzy dni, kiedy wyruszyła na spotkanie z Peterem. Tam przespała się kilka godzin.

Następnie wstała i wysłała adiutanta, by przyniósł jej eleganckie, choć proste sari. Wiedziała, że jest w nim piękna i pełna gracji. Kiedy udrapowała je odpowiednio, przeszła z chaty do bramy kompleksu wojskowego.

Żołnierze w punkcie kontrolnym wytrzeszczyli oczy. Nikt się przecież nie spodziewał, że spróbuje tam wejść, więc nikt nie miał pojęcia, jak zareagować.

Kiedy nerwowo próbowali uzyskać wskazówki od swoich zwierzchników, Virlomi po prostu weszła do środka. Nie ośmielili się jej zatrzymać czy pytać o cokolwiek - nie chcieli odpowiadać za rozpoczęcie wojny.

Znała dobrze cały kompleks i wiedziała, w którym budynku znajduje się kwatery kalifa. Choć kroczyła z godnością, bez pośpiechu, droga tam nie zajęła jej wiele czasu.

Nadal nie zwracała uwagi na strażników, urzędników, sekretarzy czy muzułmańskich oficerów. Na pewno poznali już decyzję Alai, a decyzja ta brzmiała najwyraźniej, by ją przepuścić, gdyż nikt nie stanął jej na drodze.

Rozsądny wybór.

Jakiś młodszy oficer truchtał nawet przed nią, otwierał drzwi i wskazywał, w którą stronę ma skręcić.

Doprowadził ją do sporej sali. Tam czekał już Alai i kilkunastu wyższych oficerów stojących pod ścianami.

Przeszła na środek.

- Czy obawiasz się jednej samotnej kobiety, kalifie Alai?

I zanim zdążył powiedzieć to, co oczywiste - że nie boi się, bo pozwolił jej przejść bez przeszkód i bez kontroli przez kompleks wojskowy i dopuścił ją do siebie - Virlomi zaczęła odwijać z siebie sari. Po chwili stała już naga. Uniosła ręce, rozpięła swe długie włosy i przeczesowała je palcami.

- Jak widzisz, nie mam ukrytej broni. Indie stają przed tobą nagie i bezbronne.

Dlaczego się obawiasz?

Gdy tylko stało się jasne, że się rozbiera, Alai odwrócił wzrok. Podobnie co bardziej pobożni z jego oficerów. Inni jednak wyraźnie uznali, że do ich obowiązków należy sprawdzenie, czy istotnie jest bezbronna. Bawiło ją ich zakłopotanie i - jak podejrzewała - pożądanie. Przybyliście tu, by zbezczścić Indie, prawda? A jednak jestem nadal poza waszym zasięgiem. Bo nie przyszłam tu dla was, pachołkowie. Jestem tu dla waszego pana.

- Zostawcie nas samych - polecił swoim ludziom Alai. Nawet najbardziej skromni nie mogli się powstrzymać, by niezerknąć na nią, kiedy wychodzili.

- Bardzo symboliczny gest, Virlomi - rzekł Alai, gdy już byli tylko we dwoje. Wciąż na nią nie patrzył. - O tym na pewno będzie się mówiło.

- Propozycja, jaką chcę ci złożyć, jest zarówno symboliczna, jak i realna - odpowiedziała. - Ten parwienusz Peter Wiggin posunął się tak daleko, jak można mu pozwolić. Dlaczego muzułmanin i Hindus mają być wrogami, kiedy wspólnie mamy dość siły, by zgnieść jego nagie ambicje?

- Jego ambicje nie są tak nagie jak ty, Virlomi - odparł Alai. - Proszę, ubierz się, bym mógł na ciebie spojrzeć.

- Czy mężczyzna nie może spojrzeć na swą oblubienicę? Alai parsknął śmiechem.

- Małżeństwo dynastyczne? Chyba powiedziałaś już Han Tzu, co może zrobić z takim pomysłem.

- Han Tzu niczego nie mógł mi ofiarować. Ty jesteś przywódcą muzułmanów w Indiach. Duża część mojego ludu została oderwana od Matki Indii przez tę bezsensowną wrogość. I dlaczego? Spójrz na mnie, Alai.

Albo dał się przekonać, albo nie zdołał opanować pożądania, albo może uznał, że skoro są sami, nie musi zachowywać pozorów absolutnej prawości. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, spokojnie, bez żadnej reakcji. Virlomi splótła ręce nad głową i obróciła się.

- Oto Indie - powiedziała. - Nie opierają ci się już, nie unikają ciebie. Otwierają się przed tobą jako oblubienica, jak żyzna gleba, w której wzrośnie nowa cywilizacja zjednoczonego islamu i hinduizmu.

Znowu stanęła twarzą do niego.

Nadal się przyglądał, nie próbując nawet skupiać wzroku na jej twarzy.

- Intrygujesz mnie - wyznał.

Wcale się nie dziwię, odpowiedziała w myślach. Muzułmanie tylko udają, że są tak cnotliwi.

- Muszę to rozważyć.

- Nie - odparła.

- Sądzisz, że natychmiast podejmę decyzję?

- Nie obchodzi mnie to. Ale za moment wyjdę z tej sali. Albo wyjdę ubrana w sari, jako twoja oblubienica, albo wyjdę naga i zostawię tu ubranie. Naga przejdę przez cały kompleks i naga wrócę do swych rodaków. Niech sami zdecydują, co ich zdaniem spotkało mnie w tych murach.

- Sprowokowałabyś wojnę?

- Wasza obecność w Indiach już jest prowokacją, kalifie. Proponuję ci pokój i jedność między naszymi ludami. Proponuję ci trwały sojusz, który pozwoli nam wspólnie, Indiom z islamem, zjednoczyć świat pod jednym rządem, a po drodze pozbyć się Petera Wiggina. Nigdy nie był godzien nosić nazwiska swojego brata, a zajął już zbyt wiele czasu i uwagi całemu światu.

Podeszła tak blisko, że zetknęli się kolanami.

- Kiedyś będziesz musiał się z nim rozprawić, kalifie. Czy uczynisz to z Indiami w swoim łożu i u swego boku, czy też uczynisz to, gdy większość twoich wojsk musi pozostawać tutaj i powstrzymywać nas przed atakowaniem was od tyłu? Bo to właśnie zrobię. Albo będziemy kochankami, albo wrogami. Teraz musisz wybrać.

Nie wygłaszał pustych gróźb, że aresztuje ją albo zabije - wiedział, że nie może tego zrobić, tak jak nie może pozwolić jej wyjść nago z kompleksu. Kluczowe pytanie brzmiało: czy zostanie jej mężem niechętnie, czy z entuzjazmem.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Wybrałeś mądrze, kalifie - zapewniła. Pocałowała go. Taki sam pocałunek ofiarowała Peterowi Wigginowi, a on to potraktował, jakby nic się nie stało.

Alai oddał jej pocałunek. Jego dłonie przesuwwały się po jej ciele.

- Najpierw ślub - stwierdziła.

- Pozwól, że zgadnę. Chcesz, by ceremonia odbyła się natychmiast?

- W tej sali.

- Ubierzesz się, żebyśmy mogli pokazać nagranie? Roześmiała się i pocałowała go w policzek.

- Dla lepszej promocji tak, ubiorę się.

Zaczęła odchodzić, ale chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował jeszcze raz, tym razem namiętnie.

- To dobry pomysł - powiedział. - Śmiały pomysł. Ryzykowny pomysł. Ale dobry.

- Będę stała obok ciebie we wszystkim - obiecała.

- Nie przede mną - odparł. - Nie za mną, nie powyżej i nie niżej. Objęła go i pocałowała chustę. Po czym zdarła mu ją z głowy

i pocałowała we włosy.

- Teraz będę musiał się męczyć z zakładaniem tego z powrotem - poskarżył się.

Będziesz się męczył, kiedykolwiek tego zechcę, pomyślała. Właśnie odniosłam zwycięstwo, kalifie Alai, dzisiaj, w tym pokoju. Ty i twój Allach może jeszcze nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale bogowie Indii rządzą tym miejscem i to oni dali mi zwycięstwo tak, by ani jeden żołnierz więcej nie zginął w tej bezsensownej wojnie.

Jacyż byli głupi w Szkole Bojowej, że nie przyjmowali więcej dziewcząt. Po powrocie na Ziemię chłopcy byli całkiem bezradni wobec kobiet.

18

Erewan

From: PetraDelphiki@FreePeopleofEarth.fp.gov

To: DinkMeeker@colmin.gov

Subject: Trudno uwierzyć, że jesteś pod tym adresem

Kiedy Groszek opowiedział mi, co się działo na spotkaniu, pomyślałam, że znam przynajmniej jedną osobę, która nie zgodzi się na żaden plan Graffa.

Potem dostałam twoją informację o zmianie adresu. Pomyślałam jeszcze trochę i zrozumiałam, że nie ma na Ziemi miejsca, gdzie Dink Meeker by pasował. Zbyt dużą posiadasz zdolność bycia zadowolonym wszędzie, gdzie tylko pozwolą ci służyć.

Uważam jednak, że popełniasz błąd, nie zgadzając się zostać przywódcą kolonii, do której chcesz się przyłączyć. Zastanów się dobrze: sądzisz, że znajdzie się ktoś lepszy od ciebie? Nie rozśmieszaj mnie.

Ale główna przyczyna jest inna: Jakim piekłem na ziemi okaże się dla przywódcy kolonii to, że ma w swoim zespole człowieka niesubordynowanego? W dodatku wszyscy będą wiedzieli, że byłeś w jeeshu Endera, i będą się zastanawiać, czemu nie ty jesteś szefem.

Nie interesuje mnie, jak bardzo wierzysz, że będziesz lojalny. Jesteś bezczelnym łobuzem i zawsze nim będziesz. Przyznaj więc, że nie nadajesz się na podwładnego, i STAŃ NA CZELE.

I na wypadek gdybyś o tym nie wiedział, ty najgłupszy ze wszystkich możliwych geniuszy: nadal cię kocham. Zawsze cię kochałam. Ale żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wyjdzie za ciebie i nie urodzi ci dzieci, ponieważ NIKT NIE WYTRZYMA ICH WYCHOWYWANIA. Będziesz miał naprawdę piekielne dzieci. No więc miej je w kolonii, gdzie przynajmniej znajdą jakieś miejsce, do którego będą mogły uciekać z domu jakieś piętnaście razy, zanim skończą dziesięć lat.

Dink, będę szczęśliwa na dalszą metę. Owszem, wybrałam sobie ciężki los, kiedy poślubiłam człowieka, który wkrótce umrze i którego dzieci prawdopodobnie będą cierpiały na tę samą co on chorobę. Ale Dink – nikt przecież nie może poślubić nikogo, kto kiedyś NIE UMRZE.

Niech Bóg będzie z tobą, przyjacielu. Niebiosa świadkiem, że diabeł już jest.

Ucałowania, Petra

Podczas lotu z Kijowa do Erewanu Groszek trzymał dwójkę dzieci, a Petra jedno - to, które było najbardziej głodne, dostawało mamę. Rodzice Petry mieszkali teraz w stolicy; kiedy już zginął Achilles i mogli znów żyć w Armenii, lokatorzy ich dawnego domu w Maraliku za bardzo go przebudowali, żeby tam wracać.

Poza tym Stefan, młodszy brat Petry, stał się prawdziwym światowcem i Maralik był dla niego za mały. Erewan, choć nikt nie nazwałby go jedną z wielkich stolic świata, był jednak stolicą państwa i miał uniwersytet wart ukończenia, kiedy Stefan zaliczy już szkołę średnią.

Dla Petry Erewan był miastem obcym, tak samo jak byłby Wołgograd czy którekolwiek z miast nazywanych San Salvador. Nawet język ormiański, który wciąż słyszała tu i tam na ulicach, brzmiał dziwnie. Co napełniło ją smutkiem. Nie mam ziemi ojczystej, pomyślała.

Groszek za to chłonał nowe otoczenie. Petra wsiadła do taksówki pierwsza, a on podał jej Bellę i najmłodszego - ale największego - Ramona, którego przywiózł z Filipin. Kiedy sam znalazł się w samochodzie, podsadził Endera do okna. A że ich pierworodny zaczynał już chyba rozumieć mowę, nie była to tylko kwestia zabawy.

- To jest rodzinny kraj twojej mamy - tłumaczył Groszek. - Wszyscy ci ludzie wyglądają tak jak ona. - Obejrzał się na dwójkę na rękach Petry. - Wy, dzieci, różnicie się od siebie, gdyż połowa waszego materiału genetycznego pochodzi ode mnie, a ja jestem kundlem. Więc przez całe życie nie znajdziecie takiego miejsca, w którym byście wyglądali tak jak miejscowi.

- Świetny pomysł. Przygnębiam i izoluję dzieci od samego początku - powiedziała Petra.

- U mnie to podziałało świetnie.

- Jako dziecko wcale nie byłeś przygnębiony. Byłeś zdesperowany i przestraszony.

- Więc staramy się zapewnić dzieciom lepszy start.

- Patrz, Bella, patrz, Ramon - powiedziała Petra. - To jest Erewan. Miasto, gdzie żyje mnóstwo ludzi, których w ogóle nie znamy. Cały świat pełen jest obcych.

Kierowca taksówki odezwał się po ormiańsku.

- Nikt w Erewanie nie jest obcy dla Petry Arkanian.

- Petry Delphiki - poprawiła go łagodnie.

- Tak, tak, oczywiście - odparł we wspólnym. - Tylko mówić, że gdybyś ty chciała napić się w tawerna, nikt nie pozwoli ci płacić.

- Czy to samo dotyczy jej męża? - zainteresował się Groszek.

- Duży chłop jak ty? Nie podać ci cena, tylko pytać, ile chcesz dać! - Taksówkarz zarechotał głośno z własnego żartu. Nie zdawał sobie sprawy, naturalnie, że wzrost Groszka go zabija. - Wielki chłop jak ty, małe dzieci jak one.

Zaśmiał się znowu.

Ciekawe, jak byłby rozbawiony, gdyby wiedział, że Ramon, największy z dzieci, jest

też najmłodszy...

- Wiedziałem, że powinniśmy z lotniska iść piechotą - powiedział Groszek po portugalsku.

Petra się skrzywiła.

- Nieuprzejmie jest rozmawiać w języku, którego on nie zna.

- Och... Cieszę się, że pojęcie nieuprzejmości wciąż jeszcze w Armenii istnieje.

Taksówkarz zrozumiał wzmiankę o Armenii, chociaż reszta zdania pozostała dla niego tajemnicą.

- Wy chcieli trasa po Armenii? Nieduży kraj, móc was przewieźć, cena specjalna, bez licznik.

- Nie mamy na to czasu - odparła Petra po ormiańsku. - Ale dziękujemy za propozycję.

Rodzina Arkanianów mieszkała w ładnym bloku - samo szkło i balkony - na tyle ekskluzywnym, że od strony ulicy nie było widać suszącego się prania. Petra uprzedziła rodziców, że przylatuje, ale prosiła, by nie wychodzili po nią na lotnisko. Przyzwyczaili się już do ścisłych środków bezpieczeństwa z czasów, kiedy Petra i Groszek ukrywali się przed Achillesem, więc przyjęli to bez dyskusji.

Portier rozpoznał Petrę ze zdjęć, jakie pojawiały się w armeńskich gazetach, kiedy tylko pisały cokolwiek o Groszku. Nie tylko wpuścił ich bez zapowiedzi, ale uparł się, że wniesie ich bagaże.

- Wy dwoje, trójka dzieci, to jest cały bagaż?

- Rzadko kiedy nosimy ubrania - wyjaśniła mu Petra takim tonem, jakby było to najrozsądniejsze na świecie.

Roześmiał się dopiero po dłuższej chwili.

- Ty żartujesz!

Groszek dał mu studolarową monetę. Portier podrzucił ją w dłoni i schował do kieszeni.

- Dobrze, że to on mi dał - stwierdził. - Gdyby Petra Arkanian dała, moja żona nie pozwoli mi wydać.

- Od dzisiaj w Armenii ty dajesz napiwki - postanowił Groszek, kiedy drzwi windy zamknęły się za nimi.

- I tak zatrzymają pieniądze. Nie oddadzą nam przecież.

- Aha. Ech...

Matka Petry otworzyła tak szybko, jakby czekała pod drzwiami. Może zresztą

naprawdę czekała.

Nastąpiły uściski i ucałowania, popłynęła lawina słów po ormiańsku i we wspólnym. W przeciwieństwie do taksówkarza i portiera rodzice Petry płynnie władali wspólnym, podobnie jak Stefan, który dzisiaj zwolnił się ze szkoły. Najmłodszy Dawid najwyraźniej był wychowywany ze wspólnym jako pierwszym językiem, gdyż paplał niemal bezustannie od chwili, gdy Petra weszła do mieszkania.

Był oczywiście obiad i zaproszeni sąsiedzi, bo choć mieszkali w wielkim mieście, wciąż była to Armenia. Jednak po paru godzinach zostali tylko w gronie rodzinnym.

- Dziewięcioro - stwierdziła Petra. - Nasza piątka i was czworo. Tęskniłam za wami.

- Masz już tyle dzieci, ile my - zauważył ojciec.

- Prawo się zmieniło - przypomniał Groszek. - Poza tym nie planowaliśmy mieć wszystkich jednocześnie.

- Czasami wydaje mi się - zwróciła się mama do Petry - że ciągle jesteś w Szkole Bojowej. Muszę sobie przypominać: nie, wróciła do domu, wyszła za męża, ma dzieci. Teraz wreszcie możemy te dzieci zobaczyć. Ale takie malutkie...

- Mają to schorzenie genetyczne - wyjaśnił Groszek.

- Naturalnie, wiemy o tym - zapewnił ojciec. - Ale jednak nie spodziewałem się, że są takie małe. A przy tym takie... dojrzałe.

- Te naprawdę malutkie są podobne do ojca - oświadczyła Petra z kwaśnym uśmiechem.

- A to normalne do matki - dokończył Groszek. - Dzięki, że pozwoliliście nam wykorzystać swoje mieszkanie na tę dzisiejszą nieoficjalną rozmowę.

- To miejsce nie jest całkiem bezpieczne - ostrzegł ojciec.

- Rozmowy są nieoficjalne, nie tajne. Spodziewamy się, że tureccy i azerscy obserwatorzy złożą meldunki.

- Na pewno nie spróbują was zamordować? - upewnił się Stefan.

- Powiem prawdę. Zrobili ci pranie mózgu jeszcze w dzieciństwie - odparł Groszek. - Kiedy padnie kluczowe słowo, ruszysz do akcji i zabijesz wszystkich obecnych na spotkaniu.

- Nie, idę do kina - odparł Stefan.

- To okropne! Jak możesz mówić coś takiego, nawet w żartach! - upomniała męża Petra.

- Alai to nie Achilles - wyjaśnił Stefanowi Groszek. - Jesteśmy przyjaciółmi i nie pozwoli mużulmańskim agentom nas zabić.

- Jesteś przyjacielem wroga? - zdziwił się Stefan, jakby było to zbyt niewiarygodne.

- To się czasem zdarza na wojnie - stwierdził ojciec.
- Ale jeszcze nie mamy tu wojny - przypomniała matka.

Zrozumieli sugestię, przestali rozmawiać o bieżących problemach i zaczęli wspominać. Chociaż Petra - ponieważ w tak młodym wieku trafiła do Szkoły Bojowej - nie miała zbyt wielu wspomnień. Czuła się, jakby słuchała instrukcji na temat nowej tożsamości przed tajną misją. Te rzeczy powinnaś pamiętać z dzieciństwa, gdybyś je miała...

Potem pojawili się premier, prezydent i minister spraw zagranicznych. Matka zabrała dzieci do sypialni, a Stefan z Dawidem wyszli do kina. Ojciec, jako wiceminister spraw zagranicznych, mógł zostać, ale miał się nie odzywać.

Rozmowa była ostrożna, choć przyjazna. Minister spraw zagranicznych wyjaśnił, jak chętnie Armenia przystąpiłaby do WLZ, po czym prezydent powtórzył wszystko, co mówił minister. Następnie premier zaczął kolejną powtórkę.

Groszek uniósł dłoń.

- Przestańmy unikać prawdy. Jesteście krajem śródlądowym, a Turcy i Azerowie otaczają was niemal całkowicie. Ponieważ Gruzja w tej chwili odmawia przystąpienia do WLZ, obawiacie się, że nie zdołamy was nawet zaopatrzyć, a co dopiero mówić o obronie przed nieuniknionym atakiem.

Z wyraźną ulgą przyjęli fakt, że Groszek rozumie ich sytuację.

- Chcecie tylko, żeby zostawić was w spokoju - dodał.

Pokiwali głowami.

- Ale prawda jest taka: jeśli nie pokonamy kalifa i nie złamiemy tej dziwnej i nieoczekiwanej unii państw islamskich, to w końcu muzułmanie podbiją wszystkie okoliczne kraje. Nie dlatego że Alai osobiście tego chce, ale dlatego że nie pozostanie długo kalifem, jeśli nie będzie agresywnie realizował polityki ekspansjonizmu. Twierdzi, że nie jest to jego zamiarem, jednak w efekcie z pewnością tak właśnie postąpi, gdyż nie będzie miał wyboru.

Nie podobało im się to stwierdzenie, ale słuchali.

- Armenia wcześniej czy później stanie do wojny z kalifem. Pytanie tylko, czy zrobi to teraz, póki jeszcze ja dowodzę siłami WLZ, które staną w waszej obronie, czy później, kiedy zostaniecie całkiem sami przeciwko przytłaczającym siłom wroga.

- Tak czy tak, Armenia zapłaci - stwierdził ponuro prezydent.

- Wojna jest nieprzewidywalna - przyznał Groszek. - A jej koszty wysokie. Ale to nie my umieściliśmy Armenię w takim miejscu, otoczoną przez muzułmanów.

- Bóg tak uczynił. Dlatego staramy się nie narzekać.

- Czemu Izrael nie może wam posłużyć za prowokację? - zapytał premier. - Militarnie

są o wiele silniejsi od nas.

- Wręcz przeciwnie. W sensie geograficznym ich pozycja jest i zawsze była beznadziejna. W efekcie zintegrowali się z narodami islamskimi dookoła tak mocno, że jeśli teraz dołączą do WLZ, muzułmanie poczują się zdradzeni. Ich wściekłość będzie straszna i nie zdołamy Izraela obronić. Podczas gdy wy... Powiedzmy tyle, że przez stulecia muzułmanie wybili więcej Ormian niż Żydów. Nienawidzą was, uważają za paskudny wrzód na ich terenach, chociaż byliście tutaj, zanim jeszcze Turcy nadciągnęli z Azji Środkowej. Obok nienawiści czują jednak ciężar winy. Wasze przystąpienie do WLZ rozzłości ich, to jasne, ale nie poczują się zdradzeni.

- Te niuanse przekraczają moją zdolność analizy - wyznał sceptycznym tonem prezydent.

- Powodują ogromną różnicę w tym, jak walczy armia. Armenia jest kluczowa, by zmusić Alai do działania, zanim będzie gotów. W tej chwili unia z Indiami wciąż istnieje tylko formalnie, nie w rzeczywistości. Są małżeństwem, ale nie rodziną.

- Nie musi pan cytować mi Lincolna.

Petra skrzywiła się dyskretnie. Cytat o „małżeństwie, ale nie rodzinie” nie pochodził od Lincolna. Znalazł się w jej własnym eseju Martela. To zły znak, że ludzie zaczynają ich mylić... Ale oczywiście wołała nie poprawiać tej pomyłki, by nie okazało się, że zbyt dobrze zna teksty Lincolna i Martela.

- Nasza sytuacja nie zmienia się od tygodni - oświadczył prezydent. - O zbyt wiele prosicie Armenię...

- Zgadzam się - przyznał Groszek. - Ale proszę pamiętać, że jednak prosimy. Kiedy muzułmanie w końcu uznają, że Armenia nie powinna istnieć, nie będą prosić.

Prezydent przycisnął palce do czoła. Petra nazywała taki gest „dowiercaniem się do mózgu”.

- Jak możemy w tej sytuacji zorganizować plebiscyt? - zapytał.

- Właśnie plebiscytu potrzebujemy.

- Dlaczego? Jak wam to pomoże militarnie, poza rozciągnięciem waszych sił i sprowokowaniem stosunkowo niewielkiej części wojsk kalifa?

- Znam Alai - oświadczył Groszek. - Nie zaatakuje Armenii. Teren tutaj to koszmar dla prawdziwej kampanii. Nie stwarzacie poważnego zagrożenia. Atak na Armenię nie ma sensu.

- Czyli nie zostaniemy zaatakowani?

- Z całą pewnością zostanieie.

- Jest pan dla nas zbyt subtelny - stwierdził premier. Petra się uśmiechnęła.

- Mój mąż nie jest subtelny. Jego teza jest tak oczywista, że myślą panowie: przecież nie może mu chodzić właśnie o to. Alai nie zaatakuję. Ale muzułmanie zaatakują... A to zmusi go do działania. Jeśli sam nie zaatakuję, ale zrobią to inni, wtedy przywództwo dżihadu przejdzie na kogoś innego. Czy Alai ukarze tych niezależnych napastników, czy nie, świat islamu się podzieli i dwaj przywódcy będą ze sobą konkurować.

Prezydent nie był głupi.

- Liczycie na coś więcej - stwierdził.

- Wszyscy wojownicy pełni są nadziei - odparł Groszek. - Ale rozumiem wasz brak zaufania do mnie. Dla mnie to wielka rozgrywka. Wam chodzi o wasze domy i rodziny. Dlatego właśnie chcieliśmy spotkać się z wami tutaj. By was przekonać, że to również nasz dom i nasza rodzina.

- Siedzieć i czekać na akcję przeciwnika to samobójstwo - oświadczyła Petra. - Prosimy, by Armenia złożyła tę ofiarę i podjęła ryzyko, ponieważ jeśli nie, skazana jest na zagładę. Jeśli jednak przyłączycie się do Wolnych Ludów Ziemi, Armenia zyska najpotężniejszą obronę.

- A z czego będzie się składać ta obrona?

- Ze mnie - stwierdziła krótko Petra.

- Matki karmiącej? - rzucił premier.

- Armeńskiej członkini jeeshu Endera - odparła. - Stanę na czele sił zbrojnych Armenii.

- Nasza górską bogini przeciwko bogini indyjskiej - podsumował minister.

- To chrześcijański kraj - przypomniał ojciec. - A moja córka nie jest boginią.

- Żartowałem - zapewnił jego szef.

- Ale prawda, która tkwi u podstaw tego żartu - dodał Groszek - brzmi tak, że Petra jest dla Alai równorzędnym przeciwnikiem. Ja również. A Virlomi nie dorównuje żadnemu z nas.

Petra miała nadzieję, że tak jest rzeczywiście. Virlomi miała całe lata doświadczeń w polu - jeśli nie w logistyce przesuwania wielkich armii, to właśnie w takich niewielkich operacjach, jakie będą najbardziej skuteczne w Armenii.

- Musimy się nad tym zastanowić - stwierdził prezydent.

- W takim razie wracamy do punktu wyjściowego - odparł minister. - Zastanawiamy się.

Groszek wstał - był to imponujący widok - i skłonił głowę.

- Dziękuję, że zechcieli panowie spotkać się z nami.

- Czy nie byłoby lepiej - odezwał się premier - gdybyście popchnęli to indyjsko-muzułmańskie... coś do wojny z Chinami?

- Och, ta wojna w końcu wybuchnie - zapewnił Groszek. - Ale kiedy? Chcemy jak najszybciej złamać kark Ligi Islamskiej kalifa. Zanim urośnie w siłę.

A Petra wiedziała, co naprawdę myśli: zanim umrę. Ponieważ Groszek był najskuteczniejszą bronią.

Prezydent podniósł się z miejsca, ale gestem powstrzymał dwóch pozostałych.

- Mamy tutaj Petrę Arkanian. I Juliana Delphiki. Czy nie moglibyśmy ich poprosić, by skonsultowali się z naszymi wojskowymi w sprawie przygotowań do wojny?

- Zauważyłam, że nie ma tu żadnego przedstawiciela sił zbrojnych - stwierdziła Petra.

- Nie chciałabym, by uznali, że zostaliśmy im narzuceni.

- Na pewno tak nie pomyślą - zapewnił uprzejmie minister. Petra wiedziała, że siły zbrojne nie są tu reprezentowane, gdyż dowództwo gorąco popierało przystąpienie do WLZ - właśnie dlatego że nie byli pewni, czy sami zdołają obronić Armenię. Nie będzie więc żadnych problemów z inspekcją.

Kiedy najwyżsi przywódcy Armenii opuścili mieszkanie Arkanianów, ojciec i Petra rozsiedli się wygodnie na fotelach, a Groszek rozciągnął na podłodze. Natychmiast zaczęli omawiać wszystko, co zaszło przed chwilą i co się - ich zdaniem - wydarzy. Matka wróciła, kiedy rozmowa już wygasła.

- Słodkie maleństwa zasnęły - oznajmiła. - Stefan podrzuci Dawida po kinie, ale na razie mamy chwilę dla siebie, sami dorośli.

- Bardzo dobrze - przyznał ojciec.

- Właśnie się zastanawialiśmy - wyjaśniła Petra - czy przylot tutaj nie był dla nas stratą czasu.

Matka przewróciła oczami.

- Jak można to uznać za stratę czasu?

A potem, ku ogólnemu zaskoczeniu, załaza się łzami. Natychmiast zaczęła się martwić o męża i córkę.

- Co się stało?

- Nic - odparła. - Ja tylko... Bo przecież nie z powodu ważnych negocjacji przylecieliście do nas i przywieźliście dzieci. Nie zaszło nic, czego nie można by załatwić przez telekonferencję.

- Więc dlaczego tu jesteśmy, twoim zdaniem? - zdziwiła się Petra.

- Przylecieliście, żeby się pożegnać.

Petra spojrzała na Groszka i po raz pierwszy uświadomiła sobie, że to może być prawda.

- Jeśli nawet - zapewniła - nie taki mieliśmy plan.

- Ale to właśnie robicie. Zjawiliście się osobiście, bo możecie już nigdy nas nie zobaczyć. Z powodu wojny.

- Nie - sprzeciwił się Groszek. - Nie z powodu wojny.

- Mamo, wiesz przecież, jaki jest stan Groszka.

- Nie jestem ślepa! Widzę, że wyrósł jak żyrafa i ledwie się mieści w mieszkaniu.

- Tak samo będzie z Enderem i Bellą. Mają to samo schorzenie. Więc kiedy odnajdziemy już wszystkie nasze dzieci, polecimy w kosmos. Z prędkością światła. W ten sposób wykorzystamy efekty relatywistyczne. Dzięki temu Groszek będzie jeszcze żył, kiedy w końcu znajdą lekarstwo.

Ojciec pokręcił tylko głową.

- Wszyscy umrzemy, zanim wrócicie do domu - stwierdziła matka.

- Udawajcie, że znowu mnie zabrali do Szkoły Bojowej.

- Mam wnuki, ale... ale zaraz je stracę... - Matka znowu się rozplakała.

- Nie odejdę - obiecał Groszek - dopóki Peter Wiggin nie będzie bezpiecznie wszystkiego kontrolował.

- I dlatego tak wam się spieszy, żeby zacząć tę wojnę - domyślił się ojciec. - Czemu zwyczajnie im nie powiecie?

- Chcemy, żeby we mnie wierzyli - wyjaśnił Groszek. - Tłumaczenie, że mogę umrzeć w samym środku kampanii, nie zachęciłoby ich raczej do wstąpienia do WLZ.

- Czyli te dzieciaki będą dorastały w statku kosmicznym? - upewniła się sceptycznie matka.

- Naszą radością będzie patrzeć, jak rosną - odparła Petra. - A przy tym żadne nie rośnie takie wielkie jak ich ojciec.

Groszek uniósł wielką stopę.

- Ciężko im będzie wejść w moje buty...

- Ale to rzeczywiście prawda - dodała Petra - że tę wojnę, wojnę w Armenii, chcemy stoczyć. Tu, w górach... będzie się toczyła powoli.

- Powoli? - zdziwił się ojciec. - Przecież zależy wam na czymś przeciwnym.

- Zależy nam, żeby wojna skończyła się jak najprędzej - zapewnił Groszek. - Ale to jedna z sytuacji, kiedy powolność przyspiesza rozwój wypadków.

- To wy jesteście wybitnymi strategami. - Ojciec ruszył do kuchni. - Ktoś jeszcze chciałby coś zjeść?

* * *

Tej nocy Petra nie mogła zasnąć. Wyszła na balkon i patrzyła na miasto.

Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego nie miałabym odlecieć?

Przez większą część życia byłam z dala od rodziny. Czy to znaczy, że będę za nimi tęsknić bardziej, czy mniej?

Po chwili uświadomiła sobie, że niepokój nie ma nic wspólnego z melancholią. Nie mogła zasnąć, gdyż wiedziała, że zbliża się wojna. Ich plan polegał na tym, żeby ograniczyć konflikt do gór, zmusić Turków do płacenia wysokiej ceny za każdy zdobyty metr. Ale nie ma powodu, by wierzyć, że wojska kalifa - czy jakiegokolwiek muzułmańskie wojska, które nadejdą - powstrzymają się przed atakowaniem dużych centrów populacji. Precyzyjne bombardowania były standardem już od tak dawna - od uderzenia jądrowego na Mekkę - że nagły powrót do bombardowań masowych, skierowanych przeciw ludności cywilnej, stanie się demoralizującym wstrząsem.

Wszystko zależy od tego, czy uda się zdobyć i utrzymać panowanie w powietrzu. A WLZ nie ma tylu samolotów co Liga Islamska.

Niech diabli porwą tych krótkowzrocznych Izraelczyków! Przeszkolili arabskich pilotów i teraz ich lotnictwo należy do najlepszych na świecie.

Czemu Groszek jest taki pewny siebie?

Może dlatego że wkrótce opuści Ziemię i nie będzie musiał mierzyć się z konsekwencjami?

Nie, to niesprawiedliwe. Powiedział, że zostanie, dopóki Peter nie będzie Hegemonem faktycznie, nie tylko z tytułu. Groszek nie łamie danego słowa.

Czy kiedykolwiek znajdą lekarstwo? A jeśli będziemy lecieć w przestrzeni bez końca? A jeśli Groszek umrze i zostawi mnie tam z dziećmi?

Usłyszała za sobą kroki. Uznała, że to na pewno Groszek, ale to była jej matka.

- Nie śpisz, chociaż dzieci cię nie budzą?

Petra się uśmiechnęła.

- Mam wiele spraw, które nie pozwalają zasnąć.

- Ale potrzebujesz snu.

- W końcu organizm wygrywa, chcę czy nie.

Matka spojrzała ponad miastem.

- Tęskniłaś za nami?

Petra wiedziała, że matka chce, by odpowiedziała: każdego dnia. Ale musi jej wystarczyć prawda.

- Kiedy miałam czas, żeby w ogóle o czymkolwiek pomyśleć, wtedy tak. Ale to nie była tęsknota. Raczej... cieszę się, że jesteście w moim życiu. Na tym świecie. Nie jestem już małą dziewczynką. Oczywiście, jestem wciąż bardzo młoda i z pewnością wiem bardzo mało, ale stałam się częścią cyklu życia. Nie należę już do najmłodszego pokolenia. Dlatego nie trzymam się kurczowo rodziców, tak jak kiedyś bym chciała. Tęskniłam za wami w Szkole Bojowej. Dzieci potrzebują rodziny.

- I tworzą rodzinę z tego, co mają pod ręką - dokończyła ze smutkiem matka.

- To nigdy nie spotka moich dzieci. Świat nie jest atakowany przez obcych. Mogę być przy nich.

Wtedy przypomniała sobie, że według pewnych ludzi niektóre z jej dzieci są właśnie obcą inwazją. Nie mogła o tym myśleć.

- Tak wielki ciężar nosisz w sercu... - Matka pogładziła ją po włosach.

- Nie taki jak Groszek. O wiele mniejszy niż Peter.

- Czy Peter jest dobrym człowiekiem? Wzruszyła ramionami.

- Czy ludzie wielcy są kiedykolwiek naprawdę dobrzy? Wiem, że mogą, ale oceniamy ich według innych norm. Wielkość ich zmienia, niezależnie od tego, jak zaczynali. To jak z wojną: czy wojna w ogóle może coś rozwiązać? Ale nie tak je oceniamy. Testem słuszności wojny nie jest to, czy cokolwiek załatwiła. Pytanie, jakie należy zadać, brzmi: Czy przystąpienie do tej wojny było lepsze niż nieprzystępowanie do niej? I chyba taką samą miarkę należy przykładać do ludzi wielkich.

- O ile Peter Wiggin jest wielki.

- Mamo, przecież on był Lokiem. Pamiętasz? Powstrzymał wojnę. Był już wielki, zanim jeszcze wróciłam do domu ze Szkoły Bojowej. A miał wtedy ledwie kilkanaście lat. Był młodszy niż ja w tej chwili.

- W takim razie zadałam niewłaściwie pytanie - uznała matka. - Czy świat, którym on będzie rządził, stanie się miejscem, w którym dobrze jest żyć?

Petra znowu wzruszyła ramionami.

- Wierzę, że on tego chce. Nie zauważyłam, żeby był mściwy. Ani skorumpowany. Bardzo pilnuje, żeby każdy naród, wstępując do WLZ, dokonywał tego drogą powszechnego głosowania, więc ludzie do niczego nie są zmuszani. Przyznasz, że to obiecujące.

- Armenia tyle wieków marzyła o własnym państwie. A teraz je mamy i okazuje się, że aby je utrzymać, musimy z niego zrezygnować.

- Armenia nadal pozostanie Armenią, mamó.

- Nie, wcale nie - zaprotestowała. - Kiedy Peter Wiggin wygra już wszystko, co próbuje wygrać, Armenia będzie... jak Kansas.

- Niemożliwe!

- Wszyscy będziemy mówić wspólnym, a jeśli polecisz z Erewanu do Rostowa, Ankary czy Sofii, nawet nie zauważysz, że jesteś w innym mieście.

- Mówimy wspólnym już teraz. I nigdy nie przyjdzie taki czas, kiedy nie da się odróżnić Ankary od Erewanu.

- Bardzo jesteś tego pewna.

- Jestem pewna wielu rzeczy. I mniej więcej w połowie przypadków mam rację.

Uśmiechnęła się do matki, ale ona odpowiedziała jej tylko wymuszonym grymasem.

- Jak sobie dałaś z tym radę? - spytała Petra. - Jak zdołałaś oddać swoje dziecko?

- Nie zostałam „oddana”. Zostałam zabrana. Wierzyłam, że tak się stało w słusznej sprawie. Ale czasem płakałam. To nie była śmierć, bo przecież nadal żyłaś. Byłam z ciebie dumna. Tęskniłam za tobą. Byłaś miłym towarzystwem niemal od swego pierwszego słowa. Ale och, jaka byłaś ambitna!

Petra uśmiechnęła się dyskretnie.

- Teraz jesteś mężatką - ciągnęła matka. - Własne ambicje się skończyły. Pozostała ambicja w kwestii dzieci.

- Chcę tylko, żeby były szczęśliwe.

- To coś, czego nie możesz dla nich zrobić. Więc nie stawiaj sobie takiego celu.

- Nie mam żadnego celu, mamó.

- To miło. W ten sposób nic nie złamie ci serca. - Matka spojrzała na nią z martwym wyrazem twarzy.

Petra zaśmiała się cicho.

- Wiesz, nie było mnie tu przez jakiś czas i zapomniałam już, że ty wiesz wszystko.

- Petro, przed niczym nie zdołam cię obronić - powiedziała matka z uśmiechem. - Ale chciałabym. Obroniłabym, gdybym mogła. Czy to ci pomoże? Wiedza, że ktoś pragnie, byś była szczęśliwa?

- Bardziej niż się domyślasz.

Matka kiwnęła głową. Łzy pociekły jej po policzkach.

- Wyruszyć w kosmos... To jakby zamknąć się w trumnie. Wiem, wiem... ale dla mnie tak to wygląda. Zdaję sobie sprawę, że utracę cię tak, jakbyś umarła. To dlatego stoisz tu teraz i żegnasz się z Erewanem?

- Z Ziemią, mamó. Erewan to niewielki problem.

- Cóż, Erewan nie będzie za tobą tęsknił. Miasta nie tęsknią. Żyją dalej, a nasza nieobecność nie sprawia im żadnej różnicy. Tego właśnie nienawidzę w miastach.

To prawda również jeśli chodzi o ludzkość, pomyślała Petra.

- Chyba dobrze, że życie trwa dalej. Jak woda w wiadrze. Zabierzesz trochę, to reszta wypełni ubytek.

- Kiedy moje dziecko odejdzie, nic nie wypełni tej straty.

Petra wiedziała, że mama mówi o latach, które bez niej przeżyła. Ale przez głowę przemknęła jej myśl o szóstce dzieci, których jeszcze nie znaleźli. I ta myśl stała się zbyt bolesna.

Petra rozpląkała się. Nie znosiła płaczu. Matka ją objęła.

- Przepraszam cię, Pet - szepnęła. - Nie myślałam. Tęskniłam za jednym dzieckiem, a tym masz tak wiele i nie wiesz nawet, czy żyją, czy umarli.

- Przecież one nie są dla mnie rzeczywiste. Sama nie wiem, czemu płaczę. Nigdy ich nawet nie widziałam.

- Pragniemy naszych dzieci - odpowiedziała matka. - Chcemy się nimi opiekować, kiedy już powołamy je do istnienia.

- Nawet tego nie zrobiłam. Inne kobiety rodziły te dzieci, wszystkie oprócz jednego. I to jedno utracę.

Nagle życie wydało się zbyt straszne. Szlochała, przytulona do matki.

- Moje biedactwo - szeptała matka. - Twój los łamie mi serce.

- Jak mogę tak narzekać? - spytała Petra głosem piskliwym od płaczu. - Brałam udział w największych wydarzeniach historii...

- Kiedy twoje dzieci cię potrzebują, historia nie daje wielkiej pociechy.

I jak na hasło, usłyszały cichy płacz dziecka. Matka zrobiła ruch, jakby chciała tam pobiec, ale Petra ją zatrzymała.

- Groszek się nią zajmie. - Otarła oczy brzegiem koszulki.

- Umiesz po płaczu rozpoznać, które to dziecko?

- A ty nie umiałaś?

- Nigdy nie miałam dwóch noworodków w tym samym czasie, a co dopiero trzech. W naszej rodzinie nie było wielu ciąż mnogich.

- No więc odkryłam doskonały sposób na dziewięcioraczki: znaleźć sobie osiem kobiet do pomocy. - Petra zdołała roześmiać się słabo z własnego czarnego humoru.

Dziecko zakwiliło znowu.

- To na pewno Bella, zawsze jest taka uparta. Groszek ją przewinie, a potem

przyniesie do mnie.

- Może ja się tym zajmę, a ty pójdziesz spać?

- To nasze najpiękniejsze chwile razem, mamó. Kiedy zajmujemy się dziećmi.

Matka cmoknęła ją w policzek.

- Zrozumiałam aluzję.

- Dziękuję, że ze mną porozmawiałś, mamó.

- Dziękuję, że wróciłaś do domu.

Matka zniknęła w mieszkaniu. Po chwili przyczłapał bosó Groszek. Petra podciągnęła koszulkę i Bella zaczęła ssać hałaśliwie.

- Masz szczęście, że twój brat Ender uruchomił tę mleczarnię - powiedziała Petra. - Inaczej dostałabyś butelkę.

Stała tak, karmiąc Bellę i spoglądając na miasto w nocy. Wielkie dłonie Groszka gładziły jej ramiona. Takie delikatne. Takie łagodne.

Kiedyś był mały jak ta dziewczynka.

Ale zawsze był olbrzymem, zanim jeszcze ciało to ujawniło.

19

Wrogowie

Źródło: „List do Hegemona: Płot nie powstrzyma epidemii”

Autor: „Martel”

Umieszczone w: „Sieć Wczesnego Ostrzegania”

Obecność w Armenii Juliana Delphiki, „policjanta” Hegemonii, może się wydawać rodzinnymi wakacjami, ale niektórzy z nas pamiętają, jak Delphiki przybył do Rwandy tuż przed ratyfikowaniem konstytucji WLZ.

Kiedy jeszcze przypomnimy sobie, że żona Delphiki, Petra Arkanian, także należąca do jeeshu Endera, jest Ormianką, do jakich wniosków możemy dojść prócz tych, że Armenia, chrześcijańska enklawa niemal całkowicie otoczona przez państwa islamskie, szykuje się do ratyfikacji?

Dodajmy jeszcze bliskie związki między Hegemonem a Tajlandią, gdzie lewa ręka Wiggina, generał Suriyawong, w tej chwili

„konsultuje się” z generałem Phetem Noi i premierem Paribatra, który niedawno powrócił z chińskiej niewoli, a także pozycję WLZ w Nubii – a wygląda to, jakby Hegemon okrążał małe imperium kalifa Alai.

Wielu mędrców twierdzi, że strategią Hegemona jest „powstrzymywanie” kalifa Alai. Ale teraz, kiedy Hindusi przeszli do łóżka – ehm, chciałem powiedzieć „do obozu” – muzułmanów, powstrzymywanie nie wystarczy.

Gdy kalif Alai, ten współczesny Tamerlan, postanowi, że chciałby dostać piękny, wielki stos ludzkich czaszek (tak trudno dzisiaj o dobrych dekoratorów wnętrz), może wyprawić w pole potężne armie i skoncentrować je gdzie tylko zechce w swoich granicach. Jeśli Hegemon będzie siedział beczynnie, starając się „powstrzymać” Alai za płotem aliansów, może nagle odkryć przeważające siły przeciwnika w dowolnym miejscu, w którym Alai postanowi uderzyć.

Islam, krwiożercza „jednokierunkowa religia”, ma historię działań tylko trochę mniej zabójczą dla ludzkiej rasy niż robale.

Pora, by Hegemon zachował się odpowiednio do swego tytułu i podjął stanowcze działania wyprzedzające. Najlepiej w Armenii, gdzie jego siły będą mogły uderzyć jak nóż w kark islamu. A kiedy to uczyni, pora też, by Europa, Chiny i Ameryka przebudziły się i przyłączyły do niego. Potrzebna nam jedność wobec tej groźby, tak samo jak kiedyś była nam potrzebna w obliczu obcej inwazji.

From: PeterWiggin%personal@FreePeopleOfEarth.fp.gov
To: PetraDelphiki%getlost@FreePeopleOfEarth.fp.gov
Subject: Ostatni esej Martela

„Uderzyć jak nóż w kark islamu”, akurat. Przy użyciu jakiej ogromnej armii? Jakiego potężnego lotnictwa, żeby zneutralizować muzułmanów ORAZ przerzucić tę ogromną armię nad górzystym terenem między Armenią a „karkiem islamu”?

Na szczęście, o ile Alai i Virlomi wiedzą, że tekst Martela to czyste kuso, muzułmańska prasa znana jest ze swojej paranoi. ONI powinni uwierzyć w to zagrożenie. Czyli wywarliśmy nacisk i zaczęła się rozgrywka. Jesteś urodzonym podżegaczem, Petro. Obiecuj, że nigdy nie staniesz przeciwko mnie w żadnych wyborach.

Nie, zaraz... Jestem przecież Hegemonem dożywotnim, prawda?

Dobra robota, mamusiu.

Kalif Alai i Virlomi siedzieli obok siebie u szczytu stołu konferencyjnego w Chichlam - który prasa muzułmańska wciąż nazywała Hajdarabadem.

Alai nie mógł zrozumieć, czemu Virlomi tak zależy, by zmusił muzułmanów do określania miasta jego przedmuzułmańską nazwą. Miał dość kłopotów nawet bez tej niepotrzebnie upokarzającej zmiany. W końcu przecież Hindusi nie wywalczyli sobie niezależności, raczej załatwili samorządność drogą małżeństwa. Owszem, to metoda o wiele lepsza niż wojna - ale skoro nie odnieśli żadnego zwycięstwa na polu bitwy, wydawało się niewłaściwe, by Virlomi upierała się przy takich symbolach tryumfu, jak zmuszanie niepokonanych zdobywców, by zmieniali nazwę, jakiej sami używają dla własnej siedziby rządu.

Przez ostatnie kilka dni Alai i Virlomi odbyli kilka spotkań.

Na konferencji głów państw islamskich słuchali skarg i sugestii tak oddalonych od siebie ludów jak Indonezyjczycy, Algierczycy, Kazachowie i Jemeńczycy.

Na o wiele spokojniejszej konferencji mniejszości islamskich cierpliwie wysłuchiwali rewolucyjnych fantazji filipińskich, francuskich, hiszpańskich i tajskich potencjalnych dżihadystów.

A między tymi konferencjami wydawali bankiety dla ministrów spraw zagranicznych Francji, Ameryki i Rosji, a wtedy wysłuchiwali surowych rad.

Ci książęta starożytnych, upadających imperiów... Czy nie zauważyli, że ich narody już dawno zeszły ze sceny? Owszem, Rosjanie i Amerykanie nadal posiadali znakomite armie, ale gdzie się podziała ich wola panowania nad światem? Wydawało im się, że wciąż mogą rozkazywać takim ludziom jak Alai, który miał siłę i potrafił jej używać.

Jednak kalifa nic nie kosztowało udawanie, że państwa te wciąż jeszcze wiele znaczą. Trzeba tylko ugłaskać ich mądrym kiwaniem głową i łagodzącym słowem, a wrócić do domu zadowolonym, że pomogli sprawie „pokoju na Ziemi”.

Alai skarżył się potem Virlomi. Czy Amerykanom nie wystarczy, że cały świat używa ich dolarów i że pozwolili im zdominować MF? Czy nie wystarczy Rosjanom, że kalif Alai trzyma swoje armie z dala od ich granic i nic nie robi, by pomóc zbuntowanym grupom muzułmańskim na ich terytorium?

A Francuzi... Czego się spodziewali? Że co zrobi Alai, kiedy usłyszy opinię ich rządu? Czy nie pojmują, że z własnego wyboru są już tylko widzami w wielkiej grze? Gracz nie pozwoli kibicom kierować rozgrywką, nieważne, jak dobrze sami grali za dawnych czasów.

Podczas tych spotkań Virlomi słuchała łaskawie i milczała. Większość gości odchodziła przekonana, że jest tylko figurantką, pełną władzę sprawuje kalif Alai. To wrażenie nikomu nie mogło zaszkodzić. Ale - jak o tym wiedział Alai i jego najbliżsi doradcy - było też całkowicie fałszywe.

Dzisiejsza narada miała o wiele większą wagę. Przy stole zgromadzili się ludzie, którzy realnie kierowali islamskim imperium - ludzie, którym Alai ufał, którzy dbali, by różni przywódcy państw islamskich robili, co Alai każe, nie złościąc się przy tym na to, jak mocno trzyma ich w garści. Ponieważ kalif cieszył się entuzjastycznym poparciem muzułmanów, dysponował mocnym środkiem nacisku, pozwalającym mu zyskać współpracę ich rządów. Nie odważył się jednak na razie wprowadzić niezależny system finansowy, był więc uzależniony od kontrybucji rozmaitych islamskich republik i królestw, które mu służyły.

Ludzie przy tym stole dbali, by pieniądze płynęły do Hajdarabadu, a posłuszeństwo rozpływało się z niego na wszystkie strony przy możliwie minimalnym tarcu.

A co najbardziej interesujące, żaden z tych ludzi nie był teraz bogatszy niż wtedy, kiedy Alai ich mianował. Mimo wielu okazji do wzięcia łapówki czy przejęcia części pieniędzy pozostali czysti. Motywowało ich oddanie sprawie kalifa i duma ze stanowisk wymagających wierności i honoru.

Zamiast jednego wezyra Alai miał ich tuzin. Zebrali się przy tym stole, by mu doradzić i wysłuchać jego decyzji.

I każdy był urażony obecnością Virlomi.

A Virłomi nie starała się załagodzić sytuacji. Choć bowiem odzywała się rzadko i krótko, uparcie używała tego cichego głosu i tajemniczych gestów, które tak dobrze pełniły swoją funkcję wśród Hindusów. Jednak muzułmanie nie mieli bogiń w swojej tradycji - może z wyjątkiem Indonezji i Malezji, gdzie bardzo się starali tłumić takie wierzenia, gdy tylko je wykryli. Virłomi była obca między nimi.

Nie mieli tu kamer. Dlaczego się upiera, żeby nadal grać boginię? Jej rola nie trafiała do tej publiczności.

Czy to możliwe, że sama w to wierzy? Że po latach wcielania się w tę rolę, by podtrzymać indyjski ruch oporu, nabrała przekonania, że działa z boskiej inspiracji? Śmieszna byłaby sama myśl o tym. Gdyby muzułmanie sądzili, że Virłomi tak uważa, oczekiwaliby, że Alai rozwiedzie się i skończy z tymi bzdurami. Pogodzili się z faktem, że kalif, jak król Salomon przed wiekami, może brać sobie żony z wielu królestw, co symbolizuje poddanie tych królestw jego władzy, jak żona poddaje się mężowi.

Nie może wierzyć, że jest boginią. Alai był tego pewien. Takie przesady stłumiliby już w Szkole Bojowej.

Z drugiej strony Szkoła Bojowa była już dawno za nimi, a przez większość tego czasu Yirlomi żyła w izolacji i wśród pochlebstw. Wydarzenia, jakie zachodziły, mogły zmienić każdego. Opowiedziała mu o kampanii kamieni na drogach, „Wielkim Murze Indii”, kiedy jej działania zmieniły się w powszechny ruch. Jak najpierw stała się świątobliwą kobietą, a potem boginią w ukryciu na wschodzie kraju.

Kiedy tłumaczyła mu, co to jest *satyagraha*, zdawało mu się, że zrozumiał. Trzeba poświęcić wszystko, żeby zrobić to, co słuszne, nie krzywdząc przy tym innych.

A jednak zabijała też ludzi z broni trzymanej we własnych rękach. Bywały sytuacje, kiedy nie cofała się przed wojną. Opowiedziała mu o swoim oddziale bojowników, którzy stanęli przeciwko całej chińskiej armii, nie pozwalając, by znowu zalała Indie lub choćby zaopatrywała wojska systematycznie rozbijane przez Persów i Pakistańczyków Alai. Zrozumiał wtedy, jak wiele zawdzięcza jej talentom jako dowódcy, który potrafi zainspirować żołnierzy do aktów niezwyklej brawury, i jako nauczyciela, który potrafił wyszkolić chłopów i zmienić ich w okrutnych żołnierzy.

Gdzieś pomiędzy *satyagraha* i rzezią musiało istnieć miejsce, w którym naprawdę żyła Virłomi - dziewczyna ze Szkoły Bojowej.

A może nie? Może brutalne okoliczności jej działań doprowadziły do tego, że odpowiedzialność przerzuciła gdzie indziej. Służyła bogom. Sama należała do ich grona. A zatem nie było nic złego w tym, że jednego dnia żyła zgodnie z *satyagraha*, a następnego

grzebała pod kamienną lawiną cały konwój.

Ironia tkwiła w tym, że im dłużej był z nią, tym bardziej ją kochał. Była słodką, oddaną kochanką, rozmawiała z nim szczerze, po dziewczęcemu, jakby byli szkolnymi przyjaciółmi. Jakby wciąż jeszcze byli dziećmi.

Bo przecież są nimi, prawda?

Nie. Alai stał się mężczyzną, choć nie miał jeszcze dwudziestu lat. A Virlomi, starsza od niego, na pewno już dzieckiem nie była.

Jednak nie mieli dzieciństwa. Samotni razem... Ich małżeństwo było raczej zabawą w męża i żonę niż prawdziwym związkiem. Wciąż dawało im radość.

Ale kiedy dochodziło do takich spotkań jak to, Virlomi potrafiła wyłączyć tę figlarność, odsunąć dziewczęcą naturalność i stać się irytującą hinduską boginią, bezustannie wbijającą klin pomiędzy kalifa i jego najbardziej zaufanych doradców.

Naturalnie, rada niepokoiła się Peterem Wigginem, Groszkiem, Petrą i Suriyawongiem. Esej Martela został potraktowany bardzo poważnie. Więc naturalnie, by wszystkich zirytować, Virlomi go zlekceważyła.

- Martel może sobie pisać, co chce. To nic nie znaczy. Starając się nie zaprzeczać jej wprost, Hadrubel Sasar, Cierń, wykazał oczywistość:

- Oboje Delphiki naprawdę są w Armenii i przebywają tam już od tygodnia.

- Mają tam rodzinę - przypomniała Virlomi.

- Pojechali na wakacje, zabierając dzieci w odwiedziny do babci i dziadka - rzucił Alamandar.

Jak zwykle jego ironia była tak oschła, że można było całkiem przeoczyć pogardę dla tego pomysłu.

- Oczywiście, że nie - odparła Virlomi, a jej lekceważenie niebyło aż tak subtelne. - Wiggin chce, byśmy uwierzyli, że coś planuje. Wycofamy tureckich żołnierzy z Sinkiangu, żeby uderzyli na Armenię. I wtedy Han Tzu zaatakuje Sinkiang.

- Może al-kalif ma jakieś raporty wywiadu sugerujące, że cesarz Chin działa w przymierzu z Hegemonem - wtrącił Cierń.

- Peter Wiggin wie, jak wykorzystywać ludzi tak, by nie wiedzieli, że są wykorzystywani - odparła Virlomi.

Alai słuchał jej i myślał: Ta zasada równie dobrze może się odnosić do Ormian, co do Han Tzu. Może to Peter Wiggin wykorzystuje Ormian bez ich zgody. Prosta gra: wysłać Groszka i Petrę w odwiedziny do Arkanianów, a potem rozpowszechnić fałszywą teorię, że oznacza to bliskie przystąpienie Armenii do WLZ.

Uniósł rękę.

- Najjas, zechcesz porównać język esejów Martela z tekstami Petera Wiggina, w tym z esejami, które pisał jako Locke. Powiesz mi, czy ich autorem może być ta sama osoba.

Pomruk aprobaty zabrzmiał wokół stołu.

- Nie podejmujemy działań przeciwko Armenii z powodu plotek z sieci - oznajmił kalif Alai. - Ani też z powodu naszych zadawnionych podejrzeń wobec Ormian.

Obserwował ich. Niektórzy z satysfakcją kiwali głowami, inni ukrywali swoje reakcje. A Musafi, najmłodszy z wezyrów, jawnie okazywał sceptycyzm.

- Przemów do nas, Musafi - rzekł Alai.

- Dla ludzi to niewielka różnica, czy potrafimy udowodnić, że Ormianie knują przeciwko nam, czy nie - oświadczył Musafi. - To nie jest proces sądowy. Jednak wielu ich przekonuje, że zamierzaliśmy przez małżeństwo pokojowo przejąć Indie, a straciliśmy je w ten sposób.

Alei nie spojrzał w stronę Virlomi; nie wyczuł jednak żadnego zeszywnienia czy zmiany postawy.

- Nic nie zrobiliśmy, kiedy Hegemon upokorzył Sudańczyków i ukradł ziemię islamu w Nubii. - Musafi uniósł dłoń, powstrzymując nieuniknione protesty. - Ludzie wierzą, że ta ziemia została nam ukradziona.

- Boisz się więc, że uznają swojego kalifa za nieskutecznego.

- Spodziewali się, że rozprzestrzenisz islam po całym świecie. Tymczasem wydaje się, że tracimy teren. Fakt, że Armenia nie może być bazą dla poważnej inwazji, oznacza też, że jest miejscem bezpiecznym, by podjąć pewne ograniczone działania. Takie działania przekonają ludzi, że kalifat wciąż troszczy się o sprawę islamu.

- A ilu ludzi ma zginąć dla czegoś takiego? - spytał Alai.

- Dla trwałej jedności ludów islamu? Tylu, ilu kocha Boga.

- Dostrzegam w tym mądrość - przyznał Alai. - Ale wyznawcy Proroka nie są jedynymi ludźmi na świecie. Poza islamem, Ormianie uznawani są za naród bohaterski i prześladowany. Czy nie istnieje ryzyko, że dowolna akcja w Armenii będzie uznana za dowód szerzenia się islamu, tak jak twierdzi Martel? Co wtedy czeka islamskie mniejszości w Europie?

Virlomi pochyliła się i zuchwale spojrzała w oczy każdemu z doradców po kolei, jakby to ona miała władzę przy tym stole. Zachowywała się bardziej agresywnie niż Alai wobec swych przyjaciół. Ale w końcu nie byli to jej przyjaciele.

- Jedność jest dla was ważna?

- Zawsze stanowiła problem w świecie islamu - odparł Ala-mandar.

Kilku parsknęło śmiechem.

- Wolne Ludy nie mogą nas zaatakować, bo jesteśmy silniejsi w każdym punkcie, gdzie mogą uderzyć - stwierdziła Virłomi. - Czy naszym celem jest zjednoczenie świata pod rządami kalifa Alai? W takim razie naszym najgroźniejszym przeciwnikiem nie jest Peter Wiggin, ale Han Tzu. Przybył do mnie, intrygując przeciw kalifowi. Proponował małżeństwo, by Chiny i Indie zjednoczyły się do walki z islamem.

- Kiedy to było? - spytał Musafi. Alai zrozumiał, czemu pyta.

- Zanim jeszcze Virłomi i ja nawet pomyśleliśmy o małżeństwie, Musafi. Moja żona zachowuje się absolutnie poprawnie.

Wyjaśnienie zadowoliło Musafiego. Virłomi nie dała po sobie poznać, że w ogóle się przejęła tym pytaniem.

- Nie prowadzi się wojen, by wzmocnić jedność wewnętrzną. Aby to osiągnąć, prowadzi się politykę gospodarczą, od której poddani się bogacą i obrastają w tłuszcz. Wojny służą temu, by zapewnić bezpieczeństwo, poszerzyć granice i wyeliminować przyszłe zagrożenia. Han Tzu jest takim zagrożeniem.

- Odkąd objął rządy, nie podjął żadnych agresywnych działań - zauważył Cierń. - Zachowuje się pojednawczo wobec wszystkich sąsiadów. Odesłał nawet do domu indyjskiego premiera.

- To nie był pojednawczy gest - zaznaczyła Virłomi.

- Ten ekspansjonista, Śnieżny Tygrys, odszedł. Jego strategia upadła. Nie mamy się czego obawiać ze strony Chin.

Posunął się za daleko i wszyscy przy stole zdawali sobie z tego sprawę. Co innego zgłaszać sugestie, a co innego wprost się przeciwstawić.

Virłomi ostentacyjnie spojrzała na Alai, czekając, aż ukarze winowajcę.

Ale Cierń zyskał swoje przezwisko, ponieważ nie bał się głosić niewygodnych prawd. Alai nie zamierzał usuwać swoich współpracowników z rady tylko dlatego, że Virłomi się na nich zirytowała.

- Raz jeszcze nasz przyjaciel Cierń dowiódł, że jego imię dobrze jest wybrane. I raz jeszcze wybaczymy mu jego szczere, czy raczej ostre słowa.

Śmiechy... Ale wciąż obawiali się jej gniewu.

- Jak widzę, rada woli posyłać wiernych na śmierć w kosmetycznych wojnach, a prawdziwy wróg może bez przeszkód zbierać siły tylko dlatego, że jeszcze nas nie zaatakował. - Virłomi zwróciła się bezpośrednio do Ciernia. - Dobry przyjaciel mojego męża,

Cień, jest jak człowiek w ciekącej łódce otoczonej przez rekiny. Ma strzelbę i jego współpasażer mówi: „Czemu nie wystrzelasz tych rekinów? Kiedy łódź zatoni i znajdziemy się w wodzie, nie będziesz mógł użyć strzelby”. „Ty głupcze”, odpowiada ów człowiek. „Dlaczego miałbym prowokować rekiny? Żaden jeszcze mnie nie ugryzł”.

Cień wyraźnie postanowił zaryzykować.

- Znam tę opowieść w innej wersji. Łódź była otoczona przez delfiny, a człowiek ów strzelał do nich, aż skończyła mu się amunicja. „Dlaczego to zrobiłeś?”, spytał jego przyjaciel. „Bo jeden z nich był rekinem w przebraniu”. „Który?”, chciał wiedzieć jego towarzysz. „Ty głupcze, mówiłem przecież, że był w przebraniu”. Wtedy krew w wodzie zwabiła wiele rekinów. Ale strzelba była już pusta.

- Dziękuję za wasze mądre rady - powiedział Alai. - Muszę teraz zastanowić się nad wszystkim, co mówiliście.

Virlomi uśmiechnęła się do Cienia.

- Muszę zapamiętać alternatywną wersję tej historii. Trudno ocenić, która jest zabawniejsza. Może jedna z nich jest zabawna dla hinduistów, a druga dla muzułmanów.

Alai wstał i zaczął ścisnąć dłonie zebranych przy stole, w ten sposób pozwalając im odejść. Ciągnięcie rozmów było już bardzo niegrzeczne ze strony Virlomi. Mimo to nadal nie chciała ustąpić.

- A może - dodała, zwracając się do całej grupy - opowieść Cienia jest zabawna tylko dla rekinów. Ponieważ jeśli uwierzymy w jego wersję, rekiny będą bezpieczne.

Nigdy jeszcze nie posunęła się tak daleko. Gdyby była muzułmańską żoną, wzięłby ją za rękę i delikatnie wyprowadził z pokoju, a potem wyjaśnił, dlaczego nie powinna mówić takich rzeczy do ludzi, którzy nie mogą swobodnie odpowiadać.

Ale też, gdyby była muzułmańską żoną, w ogóle nie zasiadłaby przy tym stole.

Podał ręce pozostałym, a oni okazali mu szacunek. Zauważył jednak narastającą rezerwę. Nie zdołał powstrzymać Virlomi przed skandaliczną obrazą - owszem, wobec człowieka, który sam posunął się za daleko - i to wydało im się słabością. Wiedział, że będą się teraz zastanawiać, jaki wpływ ma na niego żona. I czy wciąż jeszcze funkcjonuje jako kalif, czy też jest pantoflarzem, który poślubił kobietę uważającą się za boginię.

Krótko mówiąc, czy kalif Alai oddaje się bałwochwalstwu, będąc mężem tej wariatki.

Co nie znaczy, że którykolwiek mógł to powiedzieć głośno, nawet na osobności.

Właściwie to prawdopodobnie wcale tak nie myśleli.

Ja tak myślę.

Kiedy zostali z Virlomi sami, Alai wyszedł do toalety, gdzie opłukał ręce i twarz.

Virlomi weszła za nim.

- Jesteś silny czy słaby? - zapytała. - Wyszłam za ciebie dla twojej siły.

Nie odpowiedział.

- Wiesz, że mam rację. Peter Wiggin nie może nas ruszyć. Tylko Han Tzu stoi między nami a zjednoczeniem świata pod naszą władzą.

- To nieprawda, Virlomi.

- Więc i ty mi się sprzeciwiasz?

- Jesteśmy równi, Virlomi. Możemy sprzeciwiać się sobie, kiedy zostajemy sami.

- No więc skoro się myślę, to kto jest większym zagrożeniem od Han Tzu?

- Jeśli zaatakujemy Han Tzu bez żadnej prowokacji, i jeśli będzie się wydawało, że może przegrać... albo przegra... to można się spodziewać, że wszyscy muzułmanie zostaną usunięci z Europy. Kraje europejskie się zjednoczą, prawdopodobnie zawiążą koalicję ze Stanami Zjednoczonymi, prawdopodobnie z Rosją. Zamiast górskiej granicy, której Han Tzu nie zagraża, będziemy mieli niemożliwą do obrony granicę długości tysięcy kilometrów na Syberii oraz nieprzyjaciół, wobec których połączonych sił zbrojnych nasze staną bez szans.

- Ameryka! Europa! Ci tłusci staruszkowie!

- Jak widzę, głęboko rozważasz moje tezy.

- Na wojnie nic nie jest pewne - stwierdziła Virlomi. - To może się zdarzyć albo tamto... Ale powiem ci, co się zdarzy na pewno. Indie wyruszą przeciw Chinom, niezależnie od tego, czy muzułmanie się do nas przyłączą.

- Indie, mające niewiele sprzętu i żadnych przeszkolonych żołnierzy, zaatakują zaprawionych w bojach chińskich weteranów? I to bez pomocy tureckich dywizji w Sinkiangu ani indonezyjskich na Tajwanie?

- Lud indyjski zrobi to, o co poproszę - oświadczyła.

- Lud indyjski zrobi to, o co poprosisz, o ile to jest możliwe.

- Kim ty jesteś, żeby mi mówić, co jest możliwe?

- Virlomi.... - Alai westchnął. - Nie jestem Aleksandrem Macedońskim.

- Co jest aż nazbyt widoczne. Właściwie, Alai, w jakiej bitwie w ogóle walczyłeś i wygrałeś?

- Chodzi ci o przed czy po ostatniej wojnie z robalami?

- Oczywiście... Należałeś do tego sławnego jeeshu. Czyli masz rację we wszystkim już na wieki!

- I to mój plan zniszczył wolę walki Chińczyków.

- Twój plan... który zależał od mojej grupki patriotów, powstrzymujących chińską

armię w górach wschodnich Indii!

- Nie, Virłomi. Twoje działania powstrzymujące ocaliły tysiące istnień, ale nawet gdyby każdy chiński żołnierz, którego wysłali przez góry, stanął w walce przeciwko nam, i tak byśmy wygrali.

- Łatwo ci mówić.

- Ponieważ mój plan przewidywał, że kiedy większość chińskiej armii będzie związana w Indiach, oddziały tureckie zajmą Pekin. Wtedy Chińczycy wycofaliby swoje wojska z Indii. Twoje bohaterskie akcje ocaliły wiele istnień i przyspieszyły zwycięstwo. O jakieś dwa tygodnie i około stu tysięcy zabitych i rannych. Dlatego jestem ci wdzięczny. Ale nigdy nie prowadziłaś wielkich armii do walki.

Virłomi machnęła tylko ręką, jak gdyby ten gest mógł sprawić, że niewygodny fakt zniknie.

- Kocham cię i nie chcę cię skrzywdzić - powiedział Alai. - Ale przez cały ten czas walczyłaś przeciwko bardzo złym dowódcom. Nigdy nie stanęłaś wobec kogoś takiego jak ja. Albo Han Tzu. Albo Petra. A już na pewno nie przeciwko komuś takiemu jak Groszek.

- Gwiazdy Szkoły Bojowej! - parsknęła Virłomi. - Dawne wyniki testów i członkostwo w klubie, którego prezes został wymanewrowany i odesłany na wygnanie. Co osiągnąłeś ostatnio, kalifie Alai?

- Ożeniłem się z kobietą mającą zuchwały plan.

- Ale za kogo ja wyszłam?

- Za człowieka, który chce, by świat zjednoczył się w pokoju. Myślałem, że kobieta, która zbudowała Wielki Mur Indii, będzie pragnęła tego samego. Myślałem, że nasze małżeństwo jest tego elementem. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jesteś krwiożercza.

- Nie krwiożercza, tylko realistyczna. Dostrzegam naszego prawdziwego wroga i zamierzam z nim walczyć.

- Naszym... rywalem jest Peter Wiggin - oświadczył Alai. - Ma plan zjednoczenia świata, ale jego powodzenie zależy od tego, czy islam pogrzeje się w chaosie i przestanie być liczącą się potęgą. I temu właśnie miał służyć esej Martela: sprowokować nas do zrobienia czegoś głupiego w Armenii. Albo w Nubii.

- Dobrze, że przynajmniej ten plan przejrzałeś.

- Przejrzałem wszystko - zapewnił Alai. - A ty nie dostrzegasz sprawy najbardziej oczywistej. Im dłużej czekamy, tym bliższy jest dzień, kiedy Groszek umrze. Wtedy Peter Wiggin straci swoje najlepsze narzędzie.

Virłomi spojrzała na niego z głęboką pogardą.

- Czyli wracamy do wyników testów ze Szkoły Bojowej.

- Wszystkie dzieciaki w Szkole były testowane - przypomniał Alai. - Ty również.

- Tak, i co im z tego przyszło? Siedzieli tu, w Hajdarabadzie, jak niewolnicy, i pozwalali Achillesowi się dręczyć. Ja uciekłam. Ja! Byłam jakoś inna. Ale czy wykazały to te ich testy? Są cechy, których wyraźnie nie testowali.

Alai nie powiedział tego, co oczywiste: była inna tylko dlatego, że Petra zwróciła się o pomoc właśnie do niej, a nie do kogoś innego. Bez prośby Petry Virlomi nie próbowałyby uciekać.

- Jeesh Endera nie powstał na podstawie testów - stwierdził tylko. - Wybrali nas z powodu tego, co robiliśmy.

- Tego, co robiliście, a co Graff uznał za ważne. Pewnych cech nie uważał za ważne, więc ich nie szukał.

Alai się roześmiał.

- Co, jesteś zazdrosna, bo nie byłaś w jeeshu Endera?

- Jestem zde gustowana, bo ty wciąż uważasz, że Groszek jest niepokonany. Ponieważ jest taki inteligentny - szydziła.

- Nie widziałas go w akcji. Jest przerażający.

- Nie. To ty jesteś przerażony.

- Virlomi, nie rób tego - poprosił Alai.

- Czego?

- Nie zmuszaj mnie do wojny.

- Do niczego cię nie zmuszam. Jesteśmy równi, tak? Ty mówisz swoim wojskom, co mają robić, a ja mówię swoim.

- Jeśli pošlesz swoich żołnierzy do samobójczego ataku na Chiny, Chiny przystąpią do wojny także ze mną. To właśnie oznacza nasze małżeństwo. Czyli wpychasz mnie w wojnę, chcę tego czy nie.

- Potrafię wygrać bez ciebie.

- Nie wierz własnej propagandzie, ukochana - poradził Alai. - Nie jesteś bogiem. Nie jesteś nieomylna. A w tej chwili jesteś tak nieracjonalna, że mnie to przeraża.

- Nie nieracjonalna - poprawiła go Virlomi. - Przekonana. I zdeterminowana.

- Uczyłaś się tam gdzie ja. I doskonale znasz wszystkie powody, dla których atak na Chiny jest szaleństwem.

- Dzięki temu osiągniemy przewagę zaskoczenia. I dzięki temu wygramy. Poza tym - dodała - nasze plany wojenne nakreślił sam wielki kalif Alai. A on należał do jeeshu Endera!

- Gdzie się podziało założenie, że jesteśmy równi?
- Jesteśmy.
- Nigdy cię do niczego nie zmuszałem.
- Ja też cię nie zmuszam.
- Powtarzanie tego zdania w kółko nie sprawi, że stanie się prawdziwe.
- Ja robię to, co postanowię, i ty robisz to, co postanowisz. Jednego tylko chcę od ciebie... Chcę nosić w sobie twoje dziecko, zanim poprowadzę żołnierzy do bitwy.
- Coś ty! Myślisz, że wróciliśmy do średniowiecza? Nie prowadzi się żołnierzy do bitwy!
- Ja prowadzę - oznajmiła Yirlomi.
- Tak, kiedy jesteś dowódcą drużyny! Ale to bez sensu, kiedy masz armię liczącą milion ludzi. Nie widzą cię, więc to w niczym nie pomaga.
- Przypomniałeś mi przed chwilą, że nie jesteś Aleksandrem Macedońskim. No więc, Alai, ja owszem, jestem Joanną d'Arc.
- Kiedy mówiłem, że nie jestem Aleksandrem, nie chodziło mi o jego talenty wojskowe - wyjaśnił Alai. - Miałem na myśli jego małżeństwo z perską księżniczką. Chyba się zirytowała.
- Ja studiowałam jego kampanie!
- Wrócił do Babilonu i poślubił córkę dawnego króla Persji. Swoich oficerów też skłonił do małżeństw z perskimi kobietami. Próbował zjednoczyć Persów i Greków, uczynić z nich jeden naród. Chciał, by Grecy stali się bardziej perscy, a Persowie bardziej greccy.
- Czego chcesz tym dowieść?
- Grecy powiedzieli: podbiliśmy świat, będąc Grekami. Persowie stracili swoje imperium, będąc Persami.
- Czyli nie próbujesz zmienić muzułmanów na trochę bardziej hinduistycznych, a Hindusów na trochę islamskich? Bardzo dobrze.
- Starał się połączyć żołnierzy Persji i żołnierzy Grecji w jedną armię. Bezskutecznie. Rozpadła się.
- Nie powtarzamy jego błędów.
- Otóż to. Nie mam zamiaru popełniać błędów, które doprowadzą do rozpadu mojego kalifatu.
- Yirlomi się zaśmiała.
- No więc dobrze. Jeśli sądzisz, że inwazja na Chiny jest takim poważnym błędem, co z tym zrobisz? Rozwiedziesz się ze mną? Unieważnisz traktat? Co wtedy? Będziesz musiał

wycofać się z Indii i wyjdiesz na jeszcze większą *zopę*. Albo spróbujesz tu zostać, a wtedy ja stanę do walki przeciw tobie. Wszystko się rozsypie, Alai. Zatem nie oddalisz mnie. Będziesz moim mężem, będziesz mnie kochał, będziemy mieli dzieci, podbijemy świat i będziemy razem nim władać. A wiesz dlaczego?

- Dlaczego? - spytał ze smutkiem.

- Bo tak właśnie chcę. Tego się nauczyłam przez ostatnie lata. O czymkolwiek pomyślę, jeśli uznam, że tego chcę, że to jest niezbędne, wtedy tak się dzieje. Jestem szczęśliwą dziewczyną, której marzenia się spełniają.

Objęła go i pocałowała. Oddał pocałunek, ponieważ nierozsądne byłoby okazywanie, jak bardzo jest smutny i przestraszony, i jak mało jej w tej chwili pożąda.

- Kocham cię - powiedziała. - Ty jesteś moim najpiękniejszym marzeniem.

20

Plany

From: ImperialSelf%KantZupa@ForbiddenCity.en.gov
To: Weaver%Virlomi@MotherIndia.in.net, Caliph%Salaam@caliph.gov
Subject: Nie róbcie tego

Alai, Virlomi, co wy sobie myślicie? Nie da się ukryć ruchów wojsk. Czy naprawdę chcecie tej krwawej rzezi? Tak wam zależy na wykazaniu, że Graff ma rację i żadne z nas nie ma miejsca na Ziemi?

Kant Zupa

From: Weaver%Virlomi@MotherIndia.in.net
To: ImperialSelf%KantZupa@ForbiddenCity.en.gov
Subject: Głupi dzieciak

Czy sądziłeś, że chińskie zbrodnie w Indiach będą zapomniane? Jeśli nie chcesz rozlewu krwi, to przysięgnij wierność Matce

Indiom i kalifowi Alai. Rozpuść swoje wojska i nie stawiaj oporu. Będziemy o wiele bardziej łaskawi niż Chińczycy wobec Indii.

From: Caliph%Jeeshman@caliph.gov

To: ImperialSelf%KantZupa@ForbiddenCity.en.gov

Subject: Spójrz raz jeszcze

Nie podejmuj działań pochopnie, przyjacielu. Sprawy nie potoczą się tak, jak wydają się toczyć.

Mazer Rackham usiadł naprzeciw Petera Wiggina w jego gabinecie w Rotterdamie.

- Niepokoiśmy się - oświadczył.

- Ja też.

- Co tutaj puściłeś w ruch, Peter?

- Ja tylko naciskam, wykorzystując te drobne narzędzia, jakie mam do dyspozycji - odparł Peter. - To oni decydują, jak reagować na moje naciski. Przypuszczałem, że dojdzie do inwazji na Armenię. Przypuszczałem, że dojdzie do masowego usuwania muzułmanów z jednego lub wszystkich krajów europejskich.

- A na wojnę między Indiami i Chinami też byłeś przygotowany?

- To są wasi geniusze, Mazer. Twoi i Graffa. Wy ich szkoliliście. Ty mi wytłumacz, czemu Alai i Virłomi decydują się na akcję tak bezsensowną i samobójczą, jak rzucenie marnie uzbrojonych żołnierzy indyjskich przeciwko armii Han Tzu, zaprawionej w bojach, doskonale wyposażonej i pragnącej zemsty.

- Więc to nie twoje dzieło?

- Nie jestem taki jak ty i Graff - zirytował się Peter. - Nie uważam się za władcę marionetek. Mam w świecie pewne możliwości i wpływy, które jednak nie są wiele warte. Mam koło miliarda obywateli, którzy jeszcze nie stali się prawdziwym narodem, więc muszę tańczyć na linie, żeby utrzymać WLZ przy życiu. Mam siły zbrojne, dobrze wyszkolone i wyposażone, mające znakomite morale, ale tak nieliczne, że nikt by ich nawet nie zauważył na polach bitew w Indiach czy Chinach. Mam swoją osobistą reputację jako Locke i swój już nie tak pozbawiony znaczenia urząd Hegemonia. No i mam Groszka, zarówno jego zdolności, jak i niezwykłą reputację. To jest mój arsenał. Czy na tej liście dostrzegasz coś, co pozwoliłoby mi choćby pomyśleć o doprowadzeniu do wojny między dwoma światowymi

mocarstwami, na które nie mam żadnego wpływu?

- Po prostu tak ładnie zagrali pod ciebie, aż nie mogliśmy się powstrzymać od podejrzeń, że masz z tym coś wspólnego.

- Nie. To wy macie. To wy w Szkole Bojowej doprowadziliście te dzieciaki do obłądu. Teraz są szalonymi władcami, używającymi swoich poddanych jak pionków w prymitywnej konkurencji kto lepszy.

Rackham wyprostował się z miną, jakby dostał mdłości.

- Też tego nie chcieliśmy. I nie wydaje mi się, żeby byli obłąkani. Ktoś musiał dostrzec jakąś korzyść w wybuchu tej wojny, tyle że nie mam pojęcia kto. Ty jedyny coś zyskasz, więc...

- Wierzcie lub nie, ale nie rozpocząłbym takiej wojny, nawet gdybym miał potem skorzystać, zbierając szczątki. Kto rozpętuje wojnę, której wynik jest uzależniony od mas ludzkich koszonych ogniem karabinów maszynowych, to fanatyk albo idiota. Wydaje mi się, że idiotyzm możemy spokojnie wykluczyć. Czyli... pozostaje Virlomi.

- Tego właśnie się obawiałem. Że w końcu naprawdę uwierzy we własny wizerunek. Pobłogosławiona przez bogów i niepokonana. - Rackham uniósł brew. - Ale wiedziałeś o tym. Spotkałeś się z nią.

- Zaproponowała mi małżeństwo - wyjaśnił Peter. - Odmówiłem.

- Zanim poszła do Alai...

- Mam wrażenie, że wyszła za Alai z zemsty.

Rackham się roześmiał.

- Ofiarowała ci Indie.

- Ofiarowała mi wplątanie się w trudną sytuację. Udało mi się zmienić to w sposobność.

- Wiedziałeś, że kiedy jej odmówisz, rozzłości się i zrobi coś głupiego?

Peter wzruszył ramionami.

- Wiedziałem, że zrobi coś złośliwego. Coś, czym okaże się. Nie miałem pojęcia, że spróbuje z Alai, a już z pewnością bym nie zgadł, że on się na to złapie. Nie wiedział, że to wariatka? Nie mówię w sensie medycznym, ale obłąkana władzą.

- Ty mi wytłumacz, czemu tak postąpił.

- Należał do jeeshu Endera. Ty i Graff macie o nim tyle papierów, że wiecie pewnie, kiedy drapie się w tyłek.

Rackham czekał bez słowa.

- No więc nie wiem, czemu tak postąpił. Może miał nadzieję, że zdoła nią pokierować

- rzekł Peter. - Kiedy wrócił z Erosa do domu, był naiwnym i pobożnym muzułmańskim chłopcem, który od tego czasu żył pod kloszem. Może nie był jeszcze gotów, by poradzić sobie z prawdziwą, żywą kobietą. Pytanie brzmi teraz: jak to się dalej potoczy.

- A jak myślisz?

- Dlaczego mam wam mówić, co myślę? Jaką korzyść będę miał z tego, że ty i Graff się dowiedziecie, czego się spodziewam i co mam zamiar z tym zrobić?

- A czy ci to zaszkodzi?

- Zaszkozi, bo gdybyście uznali, że wasze cele różnią się od moich, zaczniecie majstrować. Niektóre wasze interwencje doceniam, ale w tej chwili nie chcę, żeby ani KolMin, ani MF robiły cokolwiek. Żongluję zbyt wieloma piłkami, żeby wkraczał teraz jakiś żongler amator i próbował mi pomóc.

Rackham parsknął śmiechem.

- Peter, Graff miał absolutną rację co do ciebie.

- Co?

- Kiedy nie wziął cię do Szkoły Bojowej.

- Bo byłem zbyt agresywny - stwierdził kwaśno Peter. - A popatrz, kogo w efekcie przyjął.

- Peter... - upomniał go Rackham. - Pomyśl, co właśnie powiedziałeś.

Peter zastanawiał się przez chwilę.

- O żonglowaniu?

- O tym, czemu cię nie przyjęli do Szkoły Bojowej.

Peter poczuł się głupio. Rodzicom powiedzieli, że odrzucono go, gdyż jest zbyt agresywny - niebezpiecznie agresywny. I wydobył z nich tę informację jeszcze w bardzo młodym wieku. Od tego czasu świadomość, że jest niebezpieczny, stała się brzemieniem, które dźwigał w sobie. Czasami czyniło go to zuchwałym, ale częściej sprawiało, że nie ufał własnym osądom, własnemu kośćcowi moralnemu. Czy robię tak, ponieważ to słuszne? Czy naprawdę przyniesie mi to korzyść? Czy tylko dlatego, że jestem agresywny i nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać? Zmuszał się do większej cierpliwości, większej subtelności, niż podpowiadał pierwszy impuls. Raz po raz się wycofywał. Z tego właśnie powodu wykorzystywał Valentine i Petrę do pisania tych groźniejszych, demagogicznych esejów - nie chciał, by jakaś analiza tekstu wskazała na niego jako autora. Dlatego powstrzymywał się przed zbytnim naciskaniem krajów, które grały z nim w przystępowanie do WLZ - nie mógł sobie pozwolić, by ktokolwiek uznał go za zbyt represyjnego.

I przez cały ten czas jego założenie było błędne.

- Nie jestem zbyt agresywny.

- Nie można być za agresywnym do Szkoły Bojowej - wyjaśnił Rackham. - Brawura, owszem, to by było niebezpieczne. Ale nikt przecież nie zarzucił ci brawury, zgadza się? Zresztą twoi rodzice by się zorientowali, że to nieprawda, bo przecież widzieli, jakim jesteś wyrachowanym draniem już w wieku siedmiu lat.

- Dziękuję...

- Nie. Graff sprawdził twoje testy, obejrzał twój monitor, po czym porozmawiał ze mną i pokazał mi wszystko. Zrozumieliśmy: nie jesteś tym, kogo byśmy chcieli na dowódcę armii, ponieważ ludzie cię nie kochają. Przykro mi, ale to prawda. Nie masz w sobie ciepła. Nie budzisz przywiązania. Byłbyś dobrym dowódcą pod kimś takim jak Ender. Ale nigdy nie zdołałbyś poprowadzić całości tak jak on.

- Całkiem dobrze sobie radzę, jak sędzę.

- Nie dowodzisz żołnierzami, Peter. Czy Groszek albo Suri cię kochają? Czy oddaliby za ciebie życie? Czy raczej służą ci, ponieważ wierzą w twoją sprawę?

- Uważają, że świat zjednoczony pod rządami moimi jako Hegemona będzie lepszy, niż zjednoczony pod władzą kogokolwiek innego albo wcale nie zjednoczony.

- Prosty rachunek.

- Rachunek oparty na zaufaniu, na które sobie uczciwie zasłużyłem.

- Ale nie na osobistym przywiązaniu - podsumował Rackham. - Nawet Valentine... Nigdy nie była ci naprawdę oddana, a przecież знаła cię lepiej niż ktokolwiek inny.

- Nienawidziła mnie.

- Za ostro, Peter. Za mocne słowo. Nie ufała ci. Bała się ciebie. Twój umysł widziała jako podobny do mechanizmu zegarka. Bardzo błyskotliwy. Zawsze uważała, że jesteś o sześć kroków przed nią.

Peter tylko wzruszył ramionami.

- Ale nie byłeś, prawda?

- Rządzenie światem to nie gra w szachy - stwierdził Peter. - A jeśli nawet, to gra z tysiącem potężnych figur i ośmioma miliardami pionków, w dodatku jedne i drugie wciąż zmieniają swoje możliwości, a szachownica też nie pozostaje taka sama. Więc jak daleko w przód mogę coś przewidywać? Mogłem jedynie ustawić się w pozycji o największym możliwym oddziaływaniu i korzystać z okazji, jakie się nadarzą.

Rackham skinął głową.

- Jedno było pewne. Twoja przekraczająca skalę agresywność, twoja pasja do kontrolowania wydarzeń... Wiedzieliśmy, że ustawią cię w samym centrum wszystkiego.

Tym razem Peter się roześmiał.

- Czyli nie zabraliście mnie do Szkoły Bojowej i zostawiliście w domu, żebym stał się tym, kim jestem dzisiaj?

- Jak już mówiłem, nie nadawałeś się do wojskowego życia. Nie umiesz przyjmować rozkazów. Ludzie nie są ci oddani, a ty nie jesteś oddany nikomu innemu.

- Mógłbym, gdybym spotkał kogoś, kogo dostatecznie szanuję.

- Jedyna osoba, która budziła w tobie taki szacunek, znajduje się teraz na statku kolonizacyjnym. Nigdy już go nie spotkasz.

- Nie mógłbym iść za Enderem.

- Nie, nie mógłbyś. Ale był jedynym człowiekiem, którego aż tak szanowałeś. Kłopot polegał na tym, że był też twoim młodszym bratem. Nie mógłbyś przeżyć takiej hańby.

- No cóż, całkiem ładna analiza. Ale jak może nam teraz pomóc?

- My też nie mamy planu, Peter - wyznał Rackham. - My także przesuwamy użyteczne bierki na odpowiednie miejsca. Inne usuwamy z gry. Mamy pewne środki, tak samo jak ty. Mamy nasz arsenał.

- Macie całą MF. Moglibyście to powstrzymać.

- Nie - sprzeciwił się Rackham. - Polemarcha Chamrajnagar jest bardzo stanowczy w tej kwestii. I ma rację. Moglibyśmy zmusić armie świata do zatrzymania się. Posłuchałyby nas albo zapłaciły straszliwą cenę. Ale kto wtedy rządziłby światem?

- Flota.

- A kto to jest flota? To ochotnicy z Ziemi. I od tej chwili kto by się zgłaszał na ochotnika? Ludzie, którzy chcą lecieć w kosmos? Czy ludzie, którzy chcą kontrolować rządy Ziemi? Wkrótce zmienilibyśmy się w instytucję zajęta tylko Ziemią. To by zablokowało projekty kolonizacyjne. W dodatku flota byłaby znienawidzona, gdyż w krótkim czasie zdominowałiby ją ludzie kochający władzę.

- Mówisz, jakbyście byli stadkiem strachliwych dziewczic.

- Bo jesteśmy. I to dość dziwna uwaga od takiej strachliwej dziewczicy jak ty.

Peter zignorował ten przycinek.

- Czyli mówisz, że ty i Graff nie zrobicie nic, co naraziłoby na szwank czystość MF?

- Dopóki ktoś znowu nie wyciągnie broni jądrowej. Do tego nie możemy dopuścić.

Dwie wojny atomowe wystarczą.

- Nie mieliśmy przecież wojny atomowej...

- Druga wojna światowa była wojną atomową - stwierdził Rackham. - Nawet jeśli spadły tylko dwie bomby. A bomba, która zniszczyła Mekkę, była końcem wojny domowej w

świecie islamu, wojny prowadzonej poprzez kraje zastępcze i metodami terroryzmu. Od tamtych czasów nikt nawet nie rozważał użycia broni jądrowej. Ale wojny, które kończą się uderzeniami jądrowymi, to wojny atomowe.

- Świetnie. Definicje.

- Hyrum i ja robimy, co tylko można - zapewnił Rackham. - Tak samo Polemarcha. I wierz albo nie, ale naprawdę staramy się ci pomagać. Chcemy, żeby ci się udało.

- I teraz udajesz, że popieraliście mnie cały czas?

- Wcale nie. Nie mieliśmy pojęcia, czy staniesz się tyranem, czy mądrym władcą. Nie wiedzieliśmy, jakich metod zechcesz użyć ani jak będzie wyglądał twój rząd światowy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie osiągniesz sukcesu dzięki charyzmie, bo nie masz jej wiele. I przyznaję, że lepiej cię oceniliśmy, kiedy zdążyliśmy się dobrze przyjrzeć Achillesowi.

- Czyli tak naprawdę stanęliście przy mnie, dopiero kiedy zrozumieliście, że jestem lepszy od Achillesa.

- Twoje osiągnięcia były tak niezwykle, że wciąż trochę się ciebie obawialiśmy. Wtedy Achilles pokazał nam, że tak naprawdę jesteś rozważny i powściągliwy... bo dał nam porównanie z tym, co mógłby zrobić ktoś rzeczywiście bezwzględny. Zobaczyliśmy tyrana w działaniu i pojęliśmy, że ty nim nie będziesz.

- Zależy, jak definiujecie tyrana.

- Peter, chcemy ci pomóc. Chcemy, żebyś zjednoczył świat pod cywilnym rządem. Bez żadnych rad z naszej strony postanowiłeś osiągnąć ten cel drogą perswazji i plebiscytów, zamiast użyć armii i terroru.

- Używam armii.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Nie chciałem tylko, żebyście mieli jakieś złudzenia.

- Powiedz mi zatem, co myślisz. Co planujesz. Żebyśmy ci nie przeszkodzili naszym wtrącaniem się.

- Bo stoicie po mojej stronie - rzucił niechętnie Peter.

- Nie stoimy po twojej stronie. Tak naprawdę nie uczestniczymy w tej rozgrywce, najwyżej wtedy, kiedy dotyczy nas bezpośrednio. Zajmujemy się rozsiewaniem ludzkości na możliwie licznych światach. Jednak do tej pory wystartowały tylko dwa statki kolonizacyjne. Minie jeszcze pokolenie, zanim któryś z nich wyląduje. O wiele dłużej, zanim się dowiemy, czy kolonie przetrwały i się rozwinęły. I jeszcze dłużej, zanim będziemy wiedzieć, czy pozostaną izolowanymi światami, czy też handel okaże się dostatecznie opłacalny, by ekonomicznie umotywować podróże międzygwiazdne. Tylko o to nam chodzi. Ale by to

osiągnąć, musimy dostać rekrutów z Ziemi i musimy płacić za statki - tym, co dostajemy z Ziemi. Nie mamy żadnej nadziei na finansowe korzyści przez jeszcze co najmniej sto lat. Kapitalizm nie jest zbyt dobry w planowaniu na sto lat w przód. Dlatego potrzebne nam fundusze rządowe.

- Które jakoś zdobywacie, kiedy ja nie mogę wyciągnąć ani centa.

- Nie, Peter. Nie rozumiesz? Wszyscy oprócz Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i garstki mniejszych krajów przestali płacić swoje składki. Zużywamy nasze potężne rezerwy finansowe. Wystarczyło tego, żeby wyposażyć dwa statki, żeby zbudować nową klasę statków kurierskich z napędem grawitacyjnym, może jeszcze na kilka podobnych projektów. Ale pieniądze się kończą. Nie mamy jak zapłacić nawet za te statki, które są już w budowie.

- Chcecie, żebym wygrał i potem płacił za flotę.

- Chcemy, żebyś wygrał, bo wtedy ludzkość przestanie wydawać swoje ogromne nadwyżki na szukanie metod zabijania się nawzajem. Zamiast tego będzie mogła wysłać w kosmos wszystkich, którzy zginęliby w wojnach. Wszystkie pieniądze, jakie wydalibyśmy na broń, wydamy na statki kolonizacyjne, a potem na handlowe. Ludzkość zawsze wytwarzała ogromną nadwyżkę ludzkich istot i bogactw, po czym zużywała prawie wszystko albo na głupie pomniki, jak piramidy, albo w okrutnych, krwawych, bezsensownych wojnach. Chcemy, żebyś zjednoczył świat, bo wtedy można będzie skończyć z tym marnotrawstwem.

- Jacy z was marzyciele! - Peter się roześmiał. - Jacy idealisci!

- Jesteśmy wojownikami i badaliśmy naszych wrogów. Królowe kopców. Przegrały, ponieważ były zbyt jednolite. Ludzie zbudowani są według lepszego schematu. Jak tylko skończą się te wojny, dokonamy tego, czego próbowały królowe kopców. Rozrzucimy ludzi tak, żeby mogli stworzyć całkiem nowe kultury.

- Nowe kultury? Kiedy upieracie się, żeby każdą kolonię tworzyli ludzie z jednego narodu, jednej grupy językowej...

- Nie jesteśmy całkiem sztywni w tej kwestii, ale owszem. Na różnorodność można spojrzeć dwojako. Jedno podejście jest takie, że każda kolonia powinna zawierać pełną kopię ludzkiej cywilizacji: każdą kulturę, każdy język, każdą rasę. Ale jaki to ma sens? To samo mamy już na Ziemi i sam widzisz, co z tego wychodzi. Nie, wielkie przedsięwzięcia kolonizacyjne w przeszłości odniosły sukces właśnie dlatego, że koloniści byli wewnętrznie zjednoczeni. Znali się, ufali sobie, mieli wspólne cele i przestrzegali tych samych praw. Każde z tych przedsięwzięć było na początku monochromatyczne. Ale kiedy wysłamy pięćdziesiąt monochromatycznych statków, ale każdy w innym kolorze, że tak powiem...

Pięćdziesiąt różnych kolonii o odmiennych korzeniach kulturowych i językowych, wtedy rodzaj ludzki będzie mógł przeprowadzić pięćdziesiąt różnych eksperymentów. To prawdziwa różnorodność.

- Nie obchodzi mnie, co mówisz - rzekł Peter. - Nigdzie nie lecę.
- Nie chcemy, żebyś odleciał - powiedział Rackham z uśmiechem.
- Te dwa statki kolonizacyjne, które wysłaliście... Jeden był Endera.
- Zgadza się.
- Kto dowodzi drugim?
- No więc dowódcą statku jest...
- Kto będzie rządził kolonią?
- Dink Meeker.

Czyli taki był plan. Zamierzali zebrać jeesh Endera i wszystkich innych, niebezpiecznie utalentowanych militarnie, i wysłać ich w kosmos.

- Czyli z waszego punktu widzenia ta wojna między Alai i Han Tzu to najgorszy koszmar? - domyślił się Peter.

Rackham przytaknął.

- Nie martwcie się.
- Mamy się nie martwić?

- No dobrze - rzekł Peter. - Martwcie się, jeśli chcecie. Ale wasza oferta dla jeeshu Endera, że zabierzecie ich z Ziemi i dacie kolonie... Teraz rozumiem, o co chodziło. Zależy wam na tych dzieciakach, które tak wykorzystaliście. Chcecie wysłać ich na inne planety, gdzie nie będą miały rywali. Mogą używać swoich zdolności, by pomóc społeczności zatryumfować w nowym świecie.

- Tak.
- Ale co najważniejsze, nie będzie ich już na Ziemi.

Rackham wzruszył ramionami.

- Wiecie - ciągnął Peter - że nikt nie zdoła zjednoczyć świata, póki wciąż żyją na nim ci doskonale wyszkoleni, wysoce agresywni i publicznie uznani geniusze.

- Uznaliśmy, że nie ma sposobu, by to się udało.
- To kłamstwo - zaprotestował Peter. - Musieliście dostrzec ten sposób, gdyż jest całkiem oczywisty. Jeden z nich zostaje władcą świata, a pozostali nie żyją.
- Owszem, to rzeczywiście jest rozwiązanie. Ale nie było takiej opcji.
- Dlaczego nie? To ludzka metoda załatwiania spraw.
- Kochamy te dzieci, Peter.

- Kochacie czy nie, w końcu przecież i tak wszyscy umrą. Nie. Myślę, że pozwolilibyście im rozstrzygnąć to między sobą, gdybyście uznali, że to się uda. Gdybyście wierzyli, że jeden z nich wyjdzie z konfliktu zwycięsko. Jednak nie urchadza was świadomość, że są tak wyrównani i prawdopodobnie żaden nie wygra. Zużyją wszystkie rezerwy Ziemi, całą nadwyżkę ziemskiej populacji, a wciąż nie pojawi się wyraźny zwycięzca.

- To by do niczego nie doprowadziło - przyznał Rackham.

- Gdybyście więc mogli znaleźć lekarstwo dla Groszka, nie byłbym wam już potrzebny. Bo Groszek by to zrobił. Potrafiłby zjednoczyć świat. Jest od nich wyraźnie lepszy.

- Ale on umrze - stwierdził Rackham.

- A wy go kochacie. Dlatego spróbujecie uratować mu życie.

- Chcemy, żeby najpierw pomógł ci wygrać.

- To niemożliwe - stwierdził Peter. - Za mało czasu wam pozostało.

- Przez wygraną rozumiem, że pomoże ci osiągnąć sytuację, w której twoje zwycięstwo będzie nieuniknione, biorąc pod uwagę twoje zdolności. W tej chwili mogą cię powstrzymać najrozmaitsze wypadki losowe. Mając przy sobie Groszka, zwiększasz własne wpływy. Kolejna rzecz, która by ci pomogła, to zabranie z Ziemi całego jeeshu Endera. Jeśli usuniemy z szachownicy wszystkie figury, jakie mogą ci zagrozić... jeśli będziesz hetmanem w grze, gdzie pozostały tylko skoczki i gońce... wtedy Groszek przestanie ci być potrzebny.

- Kogoś jednak będę potrzebował. Nie znam się na operacjach wojskowych tak jak ci po Szkole Bojowej. A jak sam powiedziałaś, nie jestem człowiekiem, za którego żołnierze oddadzą życie.

Rackham pochylił się nad biurkiem.

- Peter, powiedz nam, co zaplanowałeś.

- Niczego nie zaplanowałem. Po prostu czekam. Kiedy spotkałem się z Virłomi, zrozumiałem, że ona jest kluczem do wszystkiego. Jest zmienna, jest potężna, jest pijana władzą. Wiedziałem, że zrobi coś destabilizującego. Coś, co rozbije obecny układ.

- Czyli uważasz, że wojna między Indiami i Chinami rzeczywiście wybuchnie? I że Liga Islamska zostanie do niej wciągnięta?

- To możliwe - przyznał Peter. - Mam nadzieję, że tak się nie stanie.

- Ale jeśli tak, będziesz gotów zaatakować Alai, gdy jego siły będą związane walkami w Chinach.

- Nie.

- Nie?

- Nikogo nie zamierzam atakować.

- W takim razie... co? - zdziwił się Rackham. - Ktokolwiek wyjdzie z tej wojny...

- Nie sądzę, żeby ta wojna wiele zmieniła, o ile w ogóle nastąpi. Jeśli tak, to obie strony wyjdą z niej osłabione. A nie brakuje ambitnych państw, gotowych wkroczyć i zebrać, co pozostało.

- Myślisz, że tak się wszystko rozwinie?

- Nie wiem. I chciałbym, żebyś mi uwierzył. Tylko jednego jestem pewien: małżeństwo Alai i Virłomi nie przetrwa długo. I jeśli chcecie, żeby któreś z nich lub oboje kierowali jedną z tych waszych bezcennych kolonii, lepiej się przygotujcie, żeby wysłać ich z Ziemi szybko.

- Planujesz coś? - spytał Rackham.

- Nie! Czy ty w ogóle słuchasz? Obserwuję tę piekielną sytuację tak samo jak wy! Ja już zagrałem swoją kartą: wzbudziłem w muzułmanach podejrzenia co do moich intencji. Prowokuję ich. Plus nieco dyskretnej dyplomacji...

- Z kim?

- Z Rosją - wyjaśnił Peter.

- Starasz się ich nakłonić, żeby przyłączyli się do ciebie w ataku na Alai? Czy na Chiny?

- Nie, nie, nie. Gdybym tego spróbował, wiadomość by się rozeszła, a wtedy jaki kraj islamski kiedykolwiek wstąpiłby do WLZ?

- No więc co załatwiasz tą swoją dyplomacją?

- Błagam Rosjan, żeby się nie wtrącali.

- Inaczej mówiąc, wskazujesz im możliwość i zapewniasz, że w żaden sposób nie będziesz interweniował?

- Tak.

- Polityka jest taka... okrężna.

- Dlatego zdobywcy rzadko kiedy bywają wielkimi władcami.

- A wielcy władcy rzadko są zdobywcami.

- Zamknęliście przede mną karierę zdobywcy - przypomniał Peter. - Skoro zatem mam zostać władcą świata, i to dobrym, powinienem zdobyć to stanowisko tak, żebym potem nie musiał stale zabijać ludzi, by go utrzymać. Świata nic z tego nie przyjdzie, jeśli wszystko ma zależeć ode mnie, a po mojej śmierci się rozsypie. Muszę budować system po kawałku, z potężnymi instytucjami mającymi własny rozpęd, tak że nie będzie miało większego znaczenia, kto stoi na czele. Tego się nauczyłem, dorastając w Ameryce. To naród stworzony

z niczego... Mieli tylko zestaw ideałów, którym nigdy nie zdołali sprostać. Od czasu do czasu zdarzali się wielcy przywódcy, ale częściej polityczne miernoty. I to od samego początku. Waszyngton był wielki, za to Adams paranoiczny i leniwy, a Jefferson to najbrzydlivszy polityczny intrygant, jakim ten naród został przeklęty. Od niego się nauczyłem, jak niszczyć przeciwników politycznych demagogią drukowaną pod pseudonimem.

- Czyli cenileś go.

- Chcę tylko powiedzieć, że Ameryka kształtowała się przy wsparciu instytucji tak solidnych, że mogły przetrwać korupcję, głupotę, próżność, ambicje, lekkomyślność, a nawet chorobę psychiczną swojego szefa. Staram się dokonać tego samego z Wolnymi Ludami Ziemi. Oprzeć organizację na kilku prostych, ale skutecznych zasadach. Wprowadzać kolejne ludy, bo z własnej woli postanowiły się przyłączyć. Zjednoczyć je wspólnym językiem i systemem prawnym, dać im udział w instytucjach, które zaczną żyć własnym życiem. Ale nic z tego się nie uda, jeśli choć jedno państwo podbiję i zmuszę do przystąpienia. To reguła, której absolutnie nie mogę złamać. Moje wojska pokonają wrogów, którzy zaatakują WLZ, a jeśli będzie trzeba, poniosą wojnę na ich terytorium. Ale kiedy chodzi o przystąpienie do WLZ, może nastąpić jedynie wtedy, kiedy zechce tego większość obywateli. Jeśli zdecydują, że chcą być poddani naszym prawom i uczestniczyć w naszych instytucjach.

- Ale nie jesteś ponad skłanianie innych państw, by za ciebie dokonywały podbojów.

- Islam nigdy się nie nauczył, jak być religią - oświadczył Peter. - Z samej swojej natury jest tyranią. Dopóki nie uzna, że drzwi mogą się otwierać w obie strony, nie pozwoli muzułmanom, by przestali być muzułmanami i nie bali się kary, dopóty świat nie ma wyboru. Musi walczyć z islamem, by zachować wolność. Gdyby kraje islamu wciąż były podzielone, gdyby wciąż działały przeciwko sobie, nie stanowiłyby dla mnie problemu. Mógłbym wyjmować jeden po drugim. Zwłaszcza kiedy WLZ będzie już dostatecznie duże i zobaczą, jak dobrze się powodzi ludziom w naszych granicach.

- Ale zjednoczeni pod rządami Alai...

- Alai to porządny gość. Wydaje mi się, że chciałby zliberalizować islam od góry. A to niemożliwe. Nie ma racji. Jest generałem, nie politykiem. Dopóki przeciętny muzułmanin uważa za swój obowiązek zamordowanie każdego muzułmanina, który próbuje przestać być muzułmaninem, dopóki uważają, że mają święte prawo używać broni, by zmusić niewierzących do przestrzegania praw islamu, nie da się zliberalizować tej religii, nie da się przerobić jej w rozsądny system dla nikogo. Nawet dla muzułmanów. Ponieważ najokrutniejsi, najbardziej ograniczeni, najgorsi ludzie zawsze sięgną po władzę, gdyż oni właśnie zawsze najchętniej owijają się flagą z półksiężycem i mordują innych w imię boże.

- Czyli Alai skazany jest na porażkę.

- Alai skazany jest na śmierć. Kiedy fanatycy zauważą, że nie jest tak fanatycznie czystym muzułmaninem jak oni, zabiją go.

- I wybiorą nowego kalifa?

- Mogą sobie wybierać, kogo tylko zechcą - zapewnił Peter. - To już bez znaczenia. Bez Alai nie ma jedności islamu, bo tylko Alai potrafi ich poprowadzić do zwycięstwa. A pokonani muzułmanie nie pozostaną zjednoczeni. Oni suną jak wielka fala, dopóki nie trafią na skałę, która się nie cofnie. Wówczas rozbijają się i odpływają.

- Jak wtedy, kiedy pokonał ich Karol Martel.

- Alai uczynił z nich potęgę. Kłopot polega na tym, że Alai wcale się nie podoba to, co musi robić, żeby władać takim totalitarnym systemem jak islam. Zabił już o wiele więcej ludzi, niżby chciał. Alai nie jest zabójcą, ale stał się nim i coraz mniej mu się to podoba.

- Uważasz, że nie podąży za Virlomi do wojny?

- To jest wyścig - wyjaśnił Peter. - Między wyznawcami Alai, którzy planują zabić Virlomi, żeby uwolnić kalifa spod jej wpływów, i fanatycznymi muzułmanami, którzy chcą zabić Alai, ponieważ zdradził islam... przede wszystkim żeniąc się z Virlomi.

- Wiesz, kim są spiskowcy?

- Nie muszę. To nie byłoby muzułmańskie imperium, gdyby nie miało spiskowców planujących zamachy. Trwa też inny wyścig: czy zabiją Alai albo Virlomi, zanim uderzą Chiny albo Rosja? I nawet jeśli zginie któryś z nich albo oboje, czy powstrzyma to Chiny albo Rosję przed atakiem, czy tylko zachęci, bo zwycięstwo wyda się bardziej prawdopodobne?

- Czy jest jakiś scenariusz, w którym ty też przystąpisz do wojny?

- Tak - potwierdził Peter. - Jeśli pozbędą się Virlomi, a Rosja ani Chiny nie zaatakują. Wtedy Alai lub jego następca, jeśli Alai też zginie, będzie zmuszony do ataku na Armenię albo Nubię. I tę wojnę gotów jestem toczyć. Rozniesiemy ich. Będziemy tą skałą, w którą islam uderzy i rozpadnie się na kawałki.

- A gdyby Chiny albo Rosja zaatakowały, zanim zdążą ruszyć na ciebie, i tak skorzystasz na tej wojnie - podsumował Rackham. - Przerazone państwa zjednoczą się z tobą albo przeciwko Rosji, albo przeciwko Chinom, zależnie który z tych krajów wyda się bardziej agresywny i niebezpieczny.

- Jak już mówiłem, nie mam pojęcia, jak to wszystko się potoczy. Wiem tylko, że jestem przygotowany, by wykorzystać każdą sytuację, jaką mogę przewidzieć. I przyglądam się bardzo uważnie, żeby w razie jakichś zdarzeń, których nie przewidziałem, także je wykorzystać.

- Zadam więc najważniejsze pytanie - oznajmił Rackham. - To informacja, po którą tutaj przybyłem.

- Nie mogę się doczekać.

- Jak długo jeszcze będziesz potrzebował Groszka?

Peter myślał przez chwilę.

- Musiałem tworzyć swoje plany wiedząc, że niedługo umrze. Albo, kiedy przedstawiliście mu swoją ofertę, odleci. A więc odpowiedź brzmi: dopóki mam go przy sobie, będę go wykorzystywał do zastraszenia potencjalnych wrogów albo by dowodził naszymi siłami, kiedy ruszymy na wojnę. Ale jeśli umrze lub odleci, poradzę sobie. Moje plany nie zależą od obecności Groszka.

- Czyli gdyby odleciał za trzy miesiące...

- Rackham, czyżbyście już znaleźli wszystkie jego dzieci? To chcesz mi powiedzieć? Znaleźliście je i nic nie mówicie jemu ani Petrze, bo uważacie, że wciąż go potrzebuję?

- Nie wszystkie.

- Jesteście bez serca. Straszne z was sukinsyny. Wciąż używacie dzieci jako narzędzi.

- Zgadza się - przyznał Rackham. - Jesteśmy sukinsyny. Ale chcemy dobrze. Tak jak ty.

- Oddajcie Groszkowi i Petrze ich dzieci. I ratujcie mu życie, jeśli zdołacie. To dobry człowiek i zasłużył na coś więcej, niż na to, żebyście wciąż się nim bawili.

21

Papiery

From: Wbity na Pal

To: HonestAbe%Lincoln@RailSplitter.org/WriteToTheAuthor

Subject: Niech Bóg mi pomoże

Czasami udzielasz rady, zakładając, że nikt jej nie posłucha. Mam tylko nadzieję, że ten na górze wybaczy mi i jednak znajdzie dla mnie miejsce. Tymczasem powiedz dużemu gościowi, że musi zrobić coś z tym dzbanem, który rozbiłem.

From: PeterWiggin%private@hegemon.gov

To: Graff%pilgrimage@colmin.gov

Subject: Fwd: Niech Bóg mi pomoże

Drogi Hyrumie,

jak przeczytasz poniżej, nasz słowiański przyjaciel najwyraźniej przedstawił swojemu rządowi sugestie, które

zostały przyjęte, i teraz żałuje. Zakładając, że to ty jesteś tym na górze, ten otwarty szyfr sugeruje, iż chce się wydostać. Moje źródła umiejscowiły go ostatnio na Florydzie, ale jeśli jest dokładnie obserwowany, zapewne został przerzucony do Idaho.

Co do tego rozbitego dzbana, chodzi mu chyba o to, że Rosja, zamiast szukać okazji do ataku na Alai, dogadała się z Ligą Islamską. I kiedy Chiny pilnują południa, żeby walczyć z Indiami, Rosjanie ruszą na Han Tzu od północy, Turcy zaatakują od zachodu, Indonezyjczycy z Tajwanu, a obłąkana inwazja Virlomi nadejdzie przez góry. Nie taka obłąkana w tej sytuacji. Ponieważ jednak pisząc o dużym gościu, nasz Rosyjski Chłopiec mógł myśleć o kimś innym niż „ten na górze”, może mu chodzić tylko o pewnego olbrzymia, który jest naszym wspólnym znajomym. Naradzę się z nim i panią Olbrzymową, co – o ile w ogóle cokolwiek – można zrobić w tej sytuacji.

Peter

Alai wydał rozkazy i teraz postanowił dopilnować, żeby znaleźć się poza Hajdarabadem, kiedy będą wykonywane. Kalif nie może skalać się aresztowaniem własnej żony.

Ale kalif nie może też pozwolić, by nim rządziła. Alai wiedział, że wezyrowie z rady jej nienawidzą; jeśli nie każe jej aresztować ludziom lojalnym wobec siebie, z pewnością zostanie zamordowana.

Później, kiedy wszystko się uspokoi, kiedy Virlomi odzyska rozsądek i przestanie wierzyć, że jest niepokonana, uwolni ją z więzienia. Nie może wypuścić jej w Indiach - to nie wchodzi w rachubę. Może Graff ją weźmie. Nie należała do jeeshu Endera, ale na podstawie tego samego rozumowania, jakie przedstawił w swoim zaproszeniu, świat stanie się bezpieczniejszy, kiedy ona odejdzie, natomiast kolonia będzie miała szczęście, dostając na przywódcę kogoś o takich zdolnościach i ambicjach.

Tymczasem, bez Virlomi, zniknie konieczność sprawowania rządów z Hajdarabadu. Nadal będzie respektował traktat z Indiami i wycofa swoje wojska. Niech starają się

odbudować kraj, ale już bez szaleństwa Virlomi, przedwcześnie pchającej ich do wojny. Indie jeszcze przez długie lata nie będą w stanie rozpocząć kampanii militarnej przeciwko czemuś silniejszemu niż stado ptaków.

Najbliższe kilka lat Alai poświęci na porządkowanie islamskiego domu i wykuwanie prawdziwego narodu z tej mieszaniny, jaką zostawiła dla niego historia. Skoro Syryjczycy, Irakijczycy i Egipcjanie nie znoszą się i pogardzają sobą nawzajem, kiedy tylko usłyszą swój akcent, jak można się spodziewać, że Marokańczycy, Persowie, Uzbegy i Malajowie spojrzą na świat w ten sam sposób? Tylko dlatego że wszystkich na modły wzywa muezin?

Poza tym trzeba jakoś rozwiązać kwestię ludów bez własnych państw - Kurdów, Berberów, połowy plemion koczowniczych starożytnej Baktirii... Ci muzułmanie nie pójda za kalifem, który zechce utrzymywać status quo - nie wtedy, gdy Peter kusi rewolucjonistów na całym świecie obietnicą państwowości i przykładami Runy i Nubii.

Sami sprowadziliśmy na siebie tę Nubię, myślał Alai. Pradawna muzułmańska wzgarda dla najczarniejszej Afryki wciąż bulgotała pod powierzchnią; gdyby Alai nie należał do jeeshu Endera, byłoby nie do pomyślenia, że on - jako czarny Afrykanin - zostanie kalifem. Właśnie w Sudanie obie rasy spotykały się twarzą w twarz, a paskudna choroba ujawniła się z taką gwałtownością. Reszta świata islamu powinna już dawno przywołać Sudan do porządku. Teraz wszyscy płacili za to cenę - cenę upokorzenia Sudanu z rąk WLZ.

Czyli musimy dać Kurdom i Berberom własne rządy. I to prawdziwe, nie jakieś fikcyjne „terytoria autonomiczne”. A to nie będzie dobrze przyjęte w Maroku, Iraku i Turcji - z tego Alai zdawał sobie sprawę. Dlatego jest wyjątkową głupotą angażować się w wojny zdobywcze teraz, kiedy wewnątrz świata islamu nie ma pokoju ani jedności.

Alai będzie odtąd rządził z Damaszku, mającego o wiele bardziej centralne położenie. Tam będzie go otaczała kultura islamska, nie hinduistyczna. Rząd będzie zasadniczo cywilny - żadnej oczywistej dyktatury wojskowej. I wszyscy się przekonają, że islamu nie interesuje podbój świata. Że kalif Alai już teraz wyzwolił spod władzy okrutnych zdobywców więcej ludzi, niż kiedykolwiek zdoła Peter Wiggin.

Kiedy wyszedł z gabinetu, dwaj strażnicy bez słowa ruszyli za nim. Odkąd Virlomi tak po prostu dotarła do jego biura tamtego dnia, kiedy się pobrali, Alamandar uparł się, że przejście do kluczowych części kompleksu nie powinno być tak łatwe. „Znajdujemy się w okupowanym kraju nieprzyjaciela, mój kalifie”, tłumaczył i miał rację.

Mimo to coś budziło niepokój Alai, kiedy chodząc przez kompleks, musiał zabierać eskortę. To nie było właściwe. Kalif powinien poruszać się wśród swego ludu z zaufaniem i bez obstawy.

Kiedy przeszedł przez drzwi krytego parkingu, kolejni dwaj strażnicy dołączyli do dwójki, która przyszła z nim z góry. Jego limuzyna czekała przy krawężniku z włączonym silnikiem. Otworzyły się tylne drzwi.

Zauważył, że ktoś biegnie w jego stronę pomiędzy zaparkowanych samochodów.

To był Ivan Lankowski. Alai odwdzieczył mu się za wierną służbę, stawiając na czele administracji tureckich narodów w Azji Środkowej. Ale co robi tutaj? Alai nie wzywał go, a Ivan nie pisał ani nie dzwonił, żeby uprzedzić o przyjeździe.

Ivan sięgnął pod marynarkę. Tam, gdzie miałby pistolet, gdyby go nosił w kaburze pod pachą.

I na pewno miał - nosił broń przez zbyt wiele lat, by teraz bez niej czuć się swobodnie.

Alamandar wyskoczył przez otwarte drzwi limuzyny.

- Zastrzelcie go, durnie! - krzyknął. - Chce zabić kalifa!

Pistolet Ivana ukazał się spod marynarki. Ivan strzelił i strażnik po lewej ręce Alai padł na ziemię jak kamień. Dźwięk brzmiał dziwnie - na lufie był tłumik, lecz Alai stał tak blisko linii strzału, że odgłos dobiegł do niego nie tyle wytłumiony, ile ukierunkowany.

Powinienem rzucić się na ziemię, pomyślał. Żeby ratować życie, powinienem zejść z linii ognia. Ale jakoś nie mógł traktować zagrożenia poważnie. Nie wyczuwał niebezpieczeństwa.

Pozostali strażnicy wydobyli już broń. Ivan zabił jeszcze jednego, ale potem strzały - niewytłumione - posypały się w przeciwnym kierunku i padł na ziemię. Pistolet nie wysunął mu się z dłoni - ścisnął kolbę aż po kres swego życia.

A może jeszcze żył? Może poświęci swe ostatnie chwile na wyjaśnienie Alai, jak mógł go tak zdradzić.

Alai podszedł do niego i sprawdził puls. Ivan miał otwarte oczy. Był martwy.

- Jedźmy, mój kalifie! - zawołał Alamandar. - Mogą być też inni spiskowcy!

Spiskowcy... Nie istniała możliwość, by byli jeszcze inni spiskowcy. Ivan nikomu nie ufał dostatecznie, by z nim spiskować. Jedyna osoba, której ufał bez zastrzeżeń to...

To ja.

Ivan był doskonałym strzelcem. Nawet w biegu nie mógł - mierząc do mnie - trafić przez pomyłkę dwóch ochroniarzy.

- Moi strażnicy - odezwał się, patrząc na Alamandara. - Ci, których postrzelił... Wyjdą z tego?

Jeden z pozostałych podszedł i sprawdził.

- Obaj nie żyją - rzekł.

Jednak Alai już wiedział. Ivan nie mierzył do niego. Przybył tu z jedną tylko misją - misją, która od lat kierowała jego życiem. Przybył, by chronić swego kalifa.

Rozwiązanie pojawiło się w myślach Alai z nagłą oczywistością. Ivan odkrył spisek - spisek, w którym uczestniczyli ludzie tak bliscy kalifa, że Ivan nie mógłby ostrzec go z daleka, nie ryzykując, że zaalarmuje zamachowców.

Alai wyciągnął rękę, by zamknąć Ivanowi oczy, a drugą wyjął pistolet z jego martwych palców. Wciąż nie odrywając wzroku od twarzy przyjaciela, wystrzelił w górę, do żołnierza, który stał przy nim. Potem spokojnie wymierzył w drugiego, który wrócił obejrzeć ciała zabitych, i pociągnął za spust. Nigdy nie strzelał tak dobrze jak Ivan. Nie potrafiłby trafić w biegu. Ale klęcząc, nie miał problemów.

Strażnik, którego zastrzelił nie patrząc, leżał na chodniku w drgawkach, Alai strzelił do niego jeszcze raz, po czym skierował broń na Alamandara wsiadającego z powrotem do limuzyny.

Strzelił. Alamandar upadł do środka, a samochód z piskiem opon odjechał od krawężnika. Ale drzwi się jeszcze nie zatrzasnęły, Alamandar zaś nie był w stanie ich teraz zamknąć. Kiedy więc mijali Alai, musiał nastąpić krótki moment, gdy kierowca nie będzie chroniony przez pancerne blachy i kuloodporne szkło. Alai posłał szybko trzy pociski, żeby z większą pewnością uchwycić ten moment.

Udało mu się. Samochód nie skręcił, ale uderzył w mur.

Alai podbiegł do wciąż otwartych tylnych drzwi, gdzie leżał Alamandar. Dyszał ciężko i trzymał się za pierś. Oczy rozszerzyły mu się z wściekłości i strachu, kiedy Alai skierował na niego lufę pistoletu Ivana.

- Nie jesteś kalifem! - wycharczał. - Ta hinduska kobieta bardziej jest kalifem od ciebie, czarny psie!

Alai strzelił mu w głowę i Alamandar umilkł.

Kierowca był nieprzytomny. Alai zabił go także.

Potem wrócił do ciał dwóch strażników, ubranych w zachodnie garnitury. Jednego z nich Ivan trafił w głowę. Był trochę za wysoki, ale ubranie powinno się nadać. Alai błyskawicznie zrzucił białą szatę - pod spodem miał dzinsy, jak zawsze. Musiał trochę cię namęczyć ze zwłokami, ale w końcu udało mu się ściągnąć z nich marynarkę i koszulę, nie urywając przy tym guzików.

Obu strażnikom zabrał pistolety, z których nie zdążyli wystrzelić, i wsunął je do kieszeni marynarki. Pistolet z tłumikiem miał już chyba prawie pusty magazynek, więc Alai pchnął go po chodniku w stronę ciała Ivana.

Czy wyobrażam sobie, że gdziekolwiek w Hajdarabadzie może się ukryć Afrykanin? Żadna twarz nie jest bardziej znana od twarzy kalifa, a ci, którzy nie rozpoznają twarzy, muszą rozpoznać rasę. Szybko też odkrywają, że nie mówi w hindi. Nie uda mu się pokonać w mieście nawet stu metrów.

Ale też nie ma szans, żeby wydostać się z kompleksu żywy.

Czekaj... Myśl...

Nie czekaj. Uciekaj z miejsca zabójstwa!

Ivan biegł między zaparkowanymi samochodami. Ludzie Alamandara z pewnością usunęli z parkingu wszelkich przypadkowych obserwatorów, co oznacza, że Ivan musiał się ukryć w samochodzie. Gdzie jest ten samochód?

Kluczyki w stacyjce... Dzięki, Ivan. Zaplanowałeś wszystko. Nie mogłeś marnować czasu na ich szukanie, kiedy już wciągniesz mnie do auta, żeby stąd wywieźć.

Gdzie chciałeś mnie zabrać, Ivan? Komu byś zaufał?

Ostatnie słowa Alamandara zabrzmiały mu w uszach. Ta hinduska kobieta bardziej jest kalifem od ciebie.

A sądził, że wszyscy jej nienawidzą... Teraz jednak zdał sobie sprawę, że to ona parla do wojny. Ekspansji. Odrodzenia wielkiego imperium.

Tego chcieli. A wszystkie te jego przemowy o pokoju, o konsolidacji, o zreformowaniu islamu od wewnątrz, zanim sięgnie się po resztę świata, o konkutowaniu z Peterem Wigginem przy użyciu tych samych metod, zachęcaniu innych narodów, by przyłączyły się do kalifatu, nie wymagając, by wcześniej przeszły na islam albo żyły pod szariatem - słuchali, przytakiwali, ale nie mogli się z tym pogodzić i rosła w nich nienawiść.

Nienawiść do niego.

Więc kiedy zauważyli rozłam między nim a Virlomi, wykorzystali to.

Czy... może Virlomi za tym stoi?

Czy Virlomi nosi jego dziecko?

Kalif jest martwy. Ale oto jego dziecko, narodzone po śmierci, ale od dnia urodzin obdarzone łaską Boga. W imieniu małego kalifa będzie rządzić rada wezyrów. A że matką nowego kalifa jest władczyni Indii, połączy on w jedno dwa wielkie narody. Z Virlomi jako regentką, naturalnie.

Nie. Virlomi nie mogła planować, by został zamordowany.

Na Ivana z pewnością czeka samolot. Samolot, którym tu przyleciał. Z jego zaufaną załogą.

Alai jechał z normalną szybkością. Ale nie stanął przy bramie, którą zwykle docierał

na lotnisko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa była obsadzona przez spiskowców. Zahamował więc pod bramą służbową.

Strażnik podbiegł i zaczął mu tłumaczyć, że tylko upoważnione pojazdy mogą tędy przejechać.

- Jestem kalifem. I chcę przejechać przez tę bramę.

- Och... - Strażnik wyraźnie był zagubiony. - Rozumiem. Zaraz... Wyjął telefon komórkowy i zaczął wybierać numer.

Alai nie chciał go zabijać. Strażnik był idiotą, nie spiskowcem. Dlatego otworzył tylko drzwi tak, by w niego uderzyć. Nie mocno - tyle żeby zwrócić jego uwagę. Potem zamknął drzwi i wyciągnął rękę przez okno.

- Daj mi ten telefon.

Żołnierz podał mu aparat. Alai wyłączył go.

- Jestem kalifem. Kiedy mówię, że chcę przejechać, nikogo więcej nie musisz pytać o zgodę.

Żołnierz kiwnął głową, pobiegł do budki i wrota bramy się rozsunęły.

Kiedy tylko Alai znalazł się za bramą, zauważył niewielki firmowy odrzutowiec z napisem w cyrylicy pod nazwą firmy we wspólnym. Takiego samolotu użyłby Ivan.

Silniki ruszyły, kiedy się zbliżył. Nie - kiedy zbliżył się samochód Ivana.

Alai zahamował i wysiadł. Drzwi samolotu były opuszczone, tworząc stopnie aż do ziemi. Z ręką na kolbie pistoletu w kieszeni marynarki - ponieważ miał zamiar przejąć ten samolot, czy należał do Ivana, czy nie - Alai wspiął się po stopniach.

Wewnątrz stanął przed nim biznesmen - przynajmniej tak wyglądał.

- Gdzie jest Ivan? - zapytał.

- Nie czekamy na niego - odparł Alai. - Zginął, ratując mi życie.

Mężczyzna skinął głową, po czym podszedł do drzwi i wcisnął klawisz, by je zamknąć.

- Lecimy! - zawołał. I zwrócił się do Alai. - Usiądź, proszę, i zapnij pasy, mój kalifie.

Samolot ruszył z miejsca, zanim drzwi całkiem się zamknęły.

- Nie róbcie nic nietypowego - ostrzegł Alai. - Nic, co mogłoby zwrócić ich uwagę. Mają tu broń, którą łatwo mogą zestrzelić ten samolot.

- Dokładnie taki jest nasz plan.

Co zrobią spiskowcy, kiedy odkryją, że Alai uciekł?

Nic nie robią. Nic nie powiedzą. Jak długo pozostanie możliwość, że Alai może gdzieś pokazać się żywy, nie będą chcieli, by zostało zanotowane, że cokolwiek mówili.

Z pewnością wciąż będą działać w jego imieniu. Jeśli nadal zechcą realizować plany Virłomi, jeśli jej oblężona inwazja będzie się rozwijać, wtedy Alai zdobędzie pewność, że z nią współpracowali.

Kiedy znaleźli się w powietrzu - doczekawszy się z wieży zwykłego pozwolenia na start - człowiek Ivana powrócił i z szacunkiem stanął dwa metry od Alai.

- Mój kalifie, czy wolno mi spytać? Alai przytaknął.

- Jak zginął?

- Próbował wystrzelać strażników wokół mnie. Załatwił dwóch, zanim go dostali. Użyłem jego broni, by zabić pozostałych. W tym Alamandara. Czy wiesz, jak głęboko sięgał spisek?

- Nie, kalifie - odparł. - Wiedzieliśmy tylko, że masz zostać zabity w samolocie do Damaszku.

- A ten samolot? Dokąd mnie zabiera?

- Ma bardzo duży zasięg. Gdzie będziesz się czuł bezpieczny?

* * *

Matka Petry zajmowała się dziećmi, gdy Petra i Groszek nadzorowali ostatnie przygotowania do pierwszych starć. Wiadomość od Petera była dość lakoniczna: Jak bardzo możecie zająć Turków, pilnując przy tym Rosjan na tyłach?

Turków i Rosjan jako sprzymierzeńców, przynajmniej potencjalnie... Jaką grę prowadzi Alai? Czy Vlad w niej uczestniczy? Peter jak zwykle nie powiedział nic ponad to, co uznał, że musi - nieodmiennie o wiele mniej, niż inni sądzili, że jest potrzebne.

Mimo to razem z Groszkiem każdą wolną chwilę poświęcali na szukanie sposobów, by przy pomocy niedoszkolonej i niedozbrojonej armii armeńskiej spowodować jak największe szkody.

Rajd na najbardziej znany turecki cel, Istanbuł, z pewnością ich rozwścieczy, niczego nie dając w zamian.

Blokada Dardaneli byłaby ciężkim ciosem dla wszystkich Turków, jednak nie znaleźli sposobu, aby przerzucić dostateczne siły armeńskie na zachodnie wybrzeże Morza Czarnego i utrzymać je tam.

Och, szkoda, że minęły już dni, kiedy ropa była surowcem strategicznym! Wtedy rosyjskie, azerskie i perskie szyby naftowe byłyby idealnym celem. Teraz jednak wieże wydobywcze zostały zdemontowane, a Morze Kaspijskie służyło przede wszystkim jako źródło wody - była odsalana i pompowana, by nawadniać pola wokół Jeziora Aralskiego. Spływające wody służyły do odtworzenia tego wysychającego niegdyś akwenu. A atak na

rurociąg wodny zrujnowałby biednych rolników, nie zmniejszając zdolności bojowych przeciwnika.

Plan, jaki w końcu stworzyli, był całkiem prosty, kiedy już ktoś uznał podstawowe założenie.

- Nie ma sposobu, by zaatakować Turków bezpośrednio - tłumaczył Groszek. - Nic tam nie jest scentralizowane. Dlatego uderzymy na Iran. Jest silnie zurbanizowany, a wszystkie wielkie miasta leżą na północnym zachodzie. Posypią się żądania, by irańscy żołnierze wrócili do domu. Pojawią się naciski na Turków, by udzielili pomocy, a kiedy wyprowadzą bardzo źle zaplanowany atak, my będziemy na nich czekać.

- Czemu uważasz, że atak będzie źle zaplanowany? - zainteresowała się Petra.

- Ponieważ nie Alai teraz dyryguje grą po stronie islamskiej.

- A kiedy coś się zmieniło?

- Gdyby Alai wszystkim kierował - odparł Groszek - nie pozwoliliby Virłomi robić tego, co robi w Indiach. To zbyt głupie i zginie zbyt wielu ludzi. Czyli... w jakiś sposób stracił rządy. A w takim wypadku muzułmański nieprzyjaciół, z którym musimy się zmierzyć, jest niekompetentny i fanatyczny. Działają powodowani gniewem i paniką, z marnym planowaniem.

- A jeśli to jednak Alai, tylko że nie znasz go tak dobrze, jak myślałeś?

- Petra... - westchnął Groszek. - Oboje znamy Alai.

- Owszem. A on zna nas.

- Alai jest budowniczym, jak Ender. Zawsze taki był. Imperium zdobyte drogą zuchwałych i krwawych podbojów nie jest warte rządzenia. On chce zbudować to islamskie imperium tak, jak Peter buduje WLZ: transformując islam w system, do którego inne narody z własnej woli chciałyby przystąpić. Tyle że ktoś postanowił, by nie realizować tych planów. Albo Virłomi, albo jacyś nadgorliwcy z jego rządu.

- Albo ona i oni naraz? - domyśliła się Petra.

- Wszystko jest możliwe.

- Z wyjątkiem Alai nadal dowodzącego islamskimi wojskami.

- Wiesz, sprawa jest prosta - stwierdził Groszek. - Jeśli się mylimy i turecki kontratak okaże się genialnie zaplanowany, to zaczniemy przegrywać. Możliwie powoli. Z nadzieją że Peter ma jeszcze jakiegoś asa w rękawie. Ale naszym zadaniem jest odciągnąć siły i uwagę Turków od Chin.

- A tymczasem wywrzemy nacisk na przymierze islamskie - dodała Petra. - Cokolwiek zrobią Turcy, Persowie nie uwierzą, że zrobili dosyć.

- Sunnici przeciwko szyitom - uzupełnił Groszek. - To najlepsze, co udało mi się wymyślić.

Dlatego od dwóch dni układali plany szybkiego i brawurowego desantu na Tabriz, a potem, kiedy Irańczycy jakoś na niego zareagują, natychmiastowej ewakuacji i desantu na Teheran. Tymczasem Petra, na czele sił zbrojnych Armenii, miała zadbać o to, by w górach Turcy drogo płacili za każdy zdobyty metr.

W końcu wszystko było gotowe i czekali tylko na znak od Petera. Petra i Groszek nie byli właściwie potrzebni - żołnierze przemieszczali się na tereny działań, zaopatrzenie transportowano do składów w rejonach, gdzie będzie potrzebne. Wszystko było teraz w rękach armeńskiej armii.

- Co mnie przeraża - wyznała Petra Groszkowi - to ich absolutne przekonanie, że wiemy, co robimy.

- Dlaczego cię przeraża?

- Ciebie nie?

- Petra, my wiemy, co robimy. Nie wiemy tylko dlaczego.

W tym okresie bezczynności, pomiędzy planowaniem a rozkazem, by ruszać do akcji, Petra odebrała telefon. Od matki.

- Petra! Oni mówią, że są przyjaciółmi, ale zabierają dzieci. Poczula nagłą panikę.

- Kto jest z nimi? Daj do telefonu tego, kto dowodzi.

- Nie chce rozmawiać. Mówi tylko, że „nauczyciel” prosi, żebyś spotkała się z nimi na lotnisku. Co to za nauczyciel? O Boże, Petra! To całkiem jak wtedy, kiedy porwali ciebie!

- Powiedz im, że będę na lotnisku i jeśli dzieciom coś się stanie, to ich pozabijam. Ale nie, mam, to zupełnie coś innego.

Chyba że jednak nie...

Powiedziała Groszkowi, co się dzieje, i spokojnie pojechali na lotnisko. Zobaczyli Rackhama czekającego na chodniku i poprosili kierowcę, żeby tam ich wysadził.

- Przepraszam, że was wystraszyłem - powiedział Rackham. - Nie mamy czasu na dyskusję, dopóki nie znajdziemy się w samolocie. Tam możecie na mnie wrzeszczeć, ile tylko macie ochotę.

- Nic nie jest tak pilne, żebyście musieli kraść nasze dzieci - odparła Petra możliwie jadowitym tonem.

- Widzisz? Kłócisz się, zamiast iść ze mną.

Ruszyli więc za nim tylnymi korytarzami do prywatnego odrzutowca. Petra protestowała po drodze.

- Nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Pomyślą, że ich zostawiamy. Że nas porwali.

Rackham nie zwracał na nią uwagi. Szedł bardzo szybko jak na kogoś tak starego.

Dzieci były w samolocie, każdym zajmowała się osobna opiekunka. Tylko Ramon ssął jeszcze pierś, gdyż dwójka z syndromem Groszka żywiła się już mniej więcej stałymi pokarmami. Petra usiadła więc i zaczęła Ramona karmić. Rackham zasiadł naprzeciw nich w fotelu luksusowego odrzutowca i tłumaczył:

- Musieliśmy wyrwać was stamtąd natychmiast, ponieważ za godzinę czy dwie port lotniczy w Erewanie zostanie zrównany z ziemią. Kiedy to nastąpi, chcemy być już nad Morzem Czarnym.

- Skąd wiecie? - chciała wiedzieć Petra.

- Zdradził nam to człowiek, który zaplanował ten atak.

- Alai?

- To atak rosyjski - wyjaśnił Rackham. Groszek nie wytrzymał.

- Więc po co to całe *kuso* z odciąganiem Turków?

- Wszystko pozostaje w mocy. Gdy tylko zobaczymy, jak z południowej Rosji startują bombowce, powiadomię was, a wtedy możecie przekazać rozkaz, by rozpocząć atak na Iran.

- To jest plan Vlada - domyśliła się Petra. - Nagły, uprzedzający atak, by powstrzymać WLZ od działania. Zneutralizować mnie i Groszka.

- Vlad kazał wam przekazać, że bardzo mu przykro. Przyzwyczał się do tego, że żaden z jego planów nie jest realizowany.

- Rozmawialiście z nim?

- Trzy godziny temu wyciągnęliśmy go z Moskwy i natychmiast przesłuchaliśmy. Oni chyba jeszcze nie wiedzą, że zniknął. Ale gdyby nawet wiedzieli, nie ma powodów, by nie działali zgodnie z jego planami.

Telefon przy fotelu zabrzączał krótko. Rackham podniósł słuchawkę. Słuchał przez chwilę. Potem wcisnął guzik i wręczył słuchawkę Petrze.

- W porządku. Wystartowali.

- Zakładam, że muszę podać kod kraju?

- Nie. Wybierz numer, jakbyś wciąż była w Erewanie. Według nich jesteś tam. Powiedz, że naradzacie się z Peterem i dołączycie do nich, kiedy atak się zacznie.

- A dołączymy?

- Potem zadzwoń do matki i powiedz, że wszystko w porządku i żeby nikomu nie mówiła, co się stało.

- Na to jest o godzinę za późno.

- Moi ludzie ją uprzedzili, że jeśli zadzwoni do kogokolwiek oprócz ciebie, dopóki się nie skontaktujesz, to pożałuje.

- Dzięki, że przeraziliście ją jeszcze bardziej. Czy w ogóle macie pojęcie, co ta kobieta w życiu przeszła?

- Ale zawsze wszystko się dobrze kończyło. Czyli lepiej na tym wyszła niż wielu innych.

- Dziękuję za ten radosny optymizm.

Kilka minut później grupa uderzeniowa była już w drodze, ogłoszono ostrzeżenie i rozkaz opróżnienia lotniska, przekierowania wszystkich lotów, ewakuacji okolicznych dzielnic Erewanu. Oraz uprzedzono ludzi we wszystkich możliwych celach wojskowych w granicach Armenii.

Co do matki Petry, to płakała tak bardzo - z ulgi i z gniewu na to, co się stało - że ledwie rozumiała słowa córki. W końcu jednak rozmowa dobiegła końca i Petra była jeszcze bardziej wściekła niż przedtem.

- Kto wam dał prawo?! Dlaczego wam się wydaje, że...

- Wojna dała mi prawo - przerwał jej Rackham. - Gdybym czekał, aż zdołacie wrócić do domu, zabrać dzieci i w końcu spotkać się z nami na lotnisku, ten samolot nigdy by nie wystartował. Odpowiadam też za życie moich ludzi, nie tylko za twoje uczucia macierzyńskie.

Groszek położył Petrze dłoń na kolanie. Uznała, że należy zachować spokój, i zamilkła.

- Mazer - odezwał się Groszek. - O co tu chodzi? Mogłeś nas uprzedzić przez telefon.

- Mamy wasze pozostałe dzieci.

Petra już wcześniej była rozemocjonowana. Teraz zalała się łzami. Opanowała się jednak szybko. I nienawidziła tego, że zachowała się tak... matczynie.

- Wszystkie? Jednocześnie?

- Obserwowaliśmy je od kilku tygodni - wyjaśnił Rackham. - Czekaliśmy na odpowiedni moment.

Groszek domyślił się niemal natychmiast:

- Czekaliście, aż Peter uzna, że już można. Że nie potrzebujecie nas już w tej wojnie.

- On nadal cię potrzebuje - odparł Rackham. - Tak długo, jak to możliwe.

- Jak długo czekaliście, Mazer?

- Ile? - wtrąciła Petra. - Ile ich jest?

- Jeszcze jedno z syndromem Groszka. I czworo bez.

- To osiem - stwierdził Groszek. - Gdzie jest dziewiąte? Rackham potrząsnął głową.

- Czyli nadal szukacie?

- Nie, nie szukamy.

- A zatem macie pewne informacje, że dziewiątego nie zaimplantowano. Albo że nie żyje.

- Nie. Mamy pewne informacje, że czy żyje, czy nie, nie pozostały nam już żadne kryteria. Jeśli to dziewiąte dziecko przyszło na świat, Volescu za dobrze ukrył jego narodziny i jego matkę. A może ona sama się ukrywa. Program... gra myślowa, jeśli wolisz, okazała się bardzo skuteczna. Bez jej kreatywnych przeszukiwań danych nie znaleźlibyśmy żadnego z normalnych dzieci. Ale wie też, kiedy nie ma już czego próbować. Odzyskaliście ośmioro z dziewięcioroga dzieci. Troje z nich ma syndrom, pięcioro jest normalnych.

- A co z Volescu? - zapytała Petra. - Można mu podać jakieś narkotyki...

- Czemu nie tortury? - zadrwił Rackham. - Nie, Petro. Nie możemy. Bo jest nam potrzebny.

- Po co? Chodzi o jego wirusa?

- Mamy już jego wirusa. I on nie działa. To humbug. Porażka. Ślepy zaułek. Zresztą Volescu wiedział o tym. Po prostu bawił się, dręcząc nas myślą, że zagroził całemu światu.

- Więc do czego jest wam potrzebny?

- Chcemy, żeby opracował lekarstwo dla Groszka i dzieci.

- No tak - mruknął Groszek. - Chcecie wypuścić go na swobodę w laboratorium.

- Nie. Poślemy go w przestrzeń, na stację badawczą na asteroidzie, pod ścisłym nadzorem. Został osądzony i skazany na śmierć za terroryzm, porwania i zabójstwa. Za zabicie twoich braci, Groszku.

- Nie ma przecież kary śmierci.

- W kosmosie działa sąd wojskowy. Volescu wie, że żyje, dopóki robi postępy w poszukiwaniu legalnego lekarstwa dla ciebie i dzieci. W końcu nasz zespół badawczy będzie wiedział tyle co on. A kiedy nie będziemy go już potrzebować...

- Nie chcę, żebyście go zabili - oświadczył Groszek.

- Nie - zgodziła się Petra. - Chcę, żebyście zabili go powoli.

- Może i jest zły, ale gdyby nie on, ja bym nie istniał.

- Był taki czas - zauważył Rackham - kiedy to byłoby największą zbrodnią, o jaką go oskarżasz.

- Miałem dobre życie - stwierdził Groszek. - Niezwykłe, czasami trudne... Ale doznałem wiele szczęścia. - Ścisnął kolano Petry. - Nie chcę, żeby zginął.

- Sam ocaliłeś swoje życie... przed nim - przypomniała Petra. - Nic mu nie jesteś winien.

- To bez znaczenia - przerwał jej Rackham. - Nie mamy zamiaru go zabijać. Kiedy przystanie być użyteczny, trafi na statek kolonizacyjny. Nie jest człowiekiem skłonny do przemocy, za to bardzo inteligentnym. Przyda się przy badaniu obcej biosfery. Zabicie go byłoby marnotrawstwem. A na żadnej kolonii nie znajdzie sprzętu, który mógłby zaadaptować do stworzenia czegokolwiek... biologicznie destruktywnego.

- Pomyśleliście o wszystkim - zgodziła się Petra.

- A jednak mogłeś nam to powiedzieć przez telefon - upierał się Groszek.

- Nie chciałem - odparł krótko Rackham.

- MF nie posyła takiego zespołu jak ten ani takiego człowieka jak ty z taką misją jak ta tylko dlatego, że nie ma ochoty korzystać z telefonu.

- Chcemy, żeby statek kurierski wystartował już - oświadczył Rackham.

- Na wypadek gdybyś sam siebie nie słuchał - wtrąciła z irytacją Petra - to właśnie wybuchła wojna.

Groszek i Rackham nie zwracali na nią uwagi. Patrzyli na siebie. Długo.

A potem zobaczyła, że w oczach Groszka wzbierają łzy. To nie zdarzało się często.

- Co się dzieje, Groszku?

Pokręcił głową.

- Masz je? - zwrócił się do Rackhama.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Rackham wyjął kopertę i wręczył Groszkowi, który ją otworzył, wydobyl plik papierów i podał Petrze.

- To są dokumenty naszego rozvodu.

Petra zrozumiała natychmiast. Nie chciał jej ze sobą zabrać. Zostawiał ją tutaj, z normalnymi dziećmi. I, zabierał w kosmos troje cierpiących na jego chorobę. Chciał, żeby była wolna, żeby mogła ponownie wyjść za mąż.

- Jesteś moim mężem - oświadczyła i przedarła papiery.

- To kopie - powiedział Groszek. - Rozwód nabrał mocy prawnej, czy ci się to podoba, czy nie, czy podpiszesz te dokumenty, czy nie. Nie jesteś już kobietą zamężną.

- Dlaczego? Myślisz, że znajdę sobie kogoś innego? Mówił dalej, ignorując jej pytanie.

- Ale wszystkie dzieci zostały prawnie uznane za nasze. Nie są dziećmi nieślubnymi, nie są sierotami, nie są adoptowane. Są dziećmi rozwiedzionych rodziców. Tobie sąd przyznał opiekę nad piątką, mnie nad trójką. Jeśli znajdzie się kiedyś dziewiąte, opieka nad nim

przypadnie tobie.

- To dziewiąte to jedyny powód, dla którego w ogóle tego słucham - oznajmiła ze złością. - Bo jeśli tu zostaniesz, umrzesz, a jeśli polecimy oboje, może zostać dziecko, które...

Była zbyt rozgniewana, żeby dokończyć. Przecież kiedy Groszek to planował, nie mógł wiedzieć, że jednego dziecka nie znajda. Załatwił wszystko i trzymał przed nią w tajemnicy przez... przez...

- Od jak dawna to planowałeś? - spytała.

Łzy płynęły jej po twarzy, ale panowała nad sobą na tyle, by mówić normalnym głosem.

- Odkąd znaleźliśmy Ramona i wiedzieliśmy, że są jakieś normalne dzieci.

- To bardziej skomplikowane, Petro - odezwał się Rackham. - Wiem, jakie to dla ciebie trudne...

- Wcale nie wiesz!

- Właśnie że wiem, do diabła! - zirytował się. - Zostawiłem za sobą rodzinę, kiedy polecałem w przestrzeń na taką samą relatywistyczną, okrężną trasę, w jaką wyrusza Groszek. Przed startem rozwiódłem się z żoną. Mam jej listy... Cały ten gniew i gorycz.

A potem pojednanie. Wreszcie długi list, pisany pod koniec jej życia. Opowiedziała mi, jak była szczęśliwa ze swoim drugim mężem. I że dobrze wychowała dzieci. I że nadal mnie kocha. Miałem ochotę się zabić. Ale zrobiłem to, co musiałem. Więc mi nie mów, że nie wiem, jakie to trudne.

- Ty nie miałeś wyboru. Ale ja mogłabym z nim lecieć. Moglibyśmy zabrać wszystkie dzieci...

- Petro - rzekł Groszek - gdybyśmy mieli syjamskie bliźnięta, rozdzielilibyśmy je. Nawet gdyby jedno z nich z całą pewnością miało umrzeć, zdecydowalibyśmy się na operację, żeby przynajmniej to drugie mogło prowadzić normalne życie.

Petra nie mogła już pohamować łez. Tak, rozumiała jego argumentację. Dzieci bez syndromu mogą prowadzić normalne życie na Ziemi. Dlaczego mają spędzać dzieciństwo uwięzione w statku kosmicznym?

- Czemu nie pozwoliłeś mi przynajmniej wspólnie podjąć decyzji? - zapytała, kiedy w końcu mogła normalnie mówić. - Czemu mnie wykluczyłeś? Przecież bym zrozumiała!

- Byłem egoistą. Nie chciałem poświęcać naszych ostatnich wspólnych miesięcy na dyskusje. Nie chciałem, żebyś rozpaczała po mnie, Enderze i Belli za każdym razem, kiedy na nas spojrzysz. Chciałem, kiedy odlecę, zabrać ze sobą pamięć o tych miesiącach. To było moje ostatnie życzenie i wiedziałem, że spełnisz je dla mnie, ale nie mogłaś wiedzieć

wcześniej. Więc proszę cię teraz, Petro. Daj mi te ostatnie miesiące, kiedy nie wiedziałas, co ma nastąpić.

- Już je sobie wziąłeś! Ukradłeś je!

- Tak, i dlatego teraz cię proszę. Daj mi je. Niech wiem, że mi wybaczyłaś. Że oddajesz mi je z własnej woli, teraz, po fakcie.

Petra nie mogła mu tego wybaczyć. Nie teraz. Jeszcze nie. Ale przecież nie istniało już żadne później. Przytuliła twarz do jego piersi i zapłakała. Rackham zaczął mówić spokojnie:

- Tylko garstka ludzi wie, co dzieje się naprawdę. A na Ziemi, poza MF, jedynie Peter. Czy to jasne? Więc ten dokument stwierdzający rozwód jest ściśle tajny. Wszyscy inni będą przekonani, że Groszek zginął w rajdzie na Teheran. I nie zabrał ze sobą żadnych dzieci. Nigdy nie było ich więcej niż pięcioro. Dwoje z tych odzyskanych normalnych nazwaliśmy także Andrew i Bella.

W powszechnej opinii wciąż będziesz miała przy sobie wszystkie swoje dzieci.

Petra wypuściła Groszka z uścisku i spojrzała wściekle na Rackhama.

- Chcesz powiedzieć, że nie będzie mi nawet wolno płakać po dzieciach? Nikt nie będzie wiedział, co straciłam, oprócz was i... i Petera Wiggina?

- Twoi rodzice widzieli Endera i Bellę. Do ciebie należy wybór, czy powiesz im prawdę, czy nie będziesz ich odwiedzać, póki nie minie dość czasu, by nie odgadli zamiany.

- No więc im powiem.

- Przemyśl to najpierw - poradził Rackham. - To ciężkie brzemię.

- Nie próbuj mnie uczyć, jak mam kochać swoich rodziców. Wiesz dobrze, i ja też wiem, że w każdym punkcie podejmowałeś decyzję, kierując się tylko tym, co dobre dla Ministerstwa Kolonizacji i Międzynarodowej Floty.

- Chcielibyśmy wierzyć, że znaleźliśmy rozwiązanie najlepsze dla wszystkich.

- Powinnam wyprawić mężowi pogrzeb, chociaż wiem, że wcale nie umarł, i to ma być dla mnie najlepsze?

- Ale ja umrę, Petro - wtrącił Groszek. - Pod każdym praktycznym względem. Odejdę i nigdy nie wrócę. A ty musisz wychować dzieci.

- Owszem, Petro - ciągnął Rackham. - Są również szersze sięgające przyczyny. Twój mąż stał się już postacią legendarną. Gdyby było wiadomo, że nadal żyje, wtedy wszystko, co robi Peter, przypisywano by właśnie jemu. Powstałyby legendy o tym, że kiedyś powróci. I o tym, że w rzeczywistości to najlepszy z absolwentów Szkoły Bojowej zaplanował wszystko, czego dokonał Peter.

- Czyli chodzi o Petera?

- Chodzi o zjednoczenie świata, pokojowe i trwałe. O skończenie z wojnami, które będą wybuchały, dopóki ludzie mogą opierać swoje nadzieje na wielkich bohaterach.

- W takim razie mnie też powinniście gdzieś wysłać albo ogłosić, że zginęłam. Byłam w jeeshu Endera.

- Petro, sama wybrałaś swoją ścieżkę. Wyszłaś za męża. Masz dzieci. Dzieci Groszka. Wybrałaś, na czym ci najbardziej zależy.

Uszanowaliśmy to. Masz dzieci Groszka. I jego samego miałaś prawie tak samo długo, jak długo zostałyby z tobą bez naszej interwencji. Ponieważ on umiera. Według naszych ocen jeśli nie polecą w przestrzeń i nie zaczną żyć w nieważkości, nie przeżyje następnych sześciu miesięcy. We wszystkim postępowaliśmy zgodnie z twoimi wyborami.

- To prawda, że nie żądali naszych dzieci - potwierdził Groszek.

- A zatem żyj tak, jak wybrałaś, Petro - ciągnął Rackham. - Wychowuj dzieci. I pomóż nam zrobić wszystko, by ułatwić Peterowi ocalenie ludzkości przed nią samą. Opowieść o bohaterskiej śmierci Groszka w służbie WLZ również w tym pomoże.

- I tak powstaną legendy - stwierdziła Petra. - Mnóstwo martwych bohaterów ma swoje legendy.

- Tak, ale jeśli się dowiedzą, że wsadziliśmy go do statku i wyrzuciliśmy w przestrzeń, to nie będzie tylko legenda. Nie sądzisz? Uwierzą w nią poważni ludzie, nie tylko normalni szaleńcy.

- Więc jak w ogóle utrzymacie projekt badawczy? - spytała Petra. - Jeżeli każdy będzie uważał, że ludzie, którzy potrzebują lekarstwa, albo nie żyją, albo nigdy nie istnieli... Jak będziecie prowadzić poszukiwania?

- Sporo osób w MF i w KolMin będzie wiedzieć. I będą przez ansibl utrzymywać kontakt z Groszkiem. Wezwiemy go z powrotem, kiedy tylko znajdziemy lek.

Lecieli dalej. Petra starała się jakoś pogodzić z tym, co jej powiedzieli. Groszek obejmował ją prawie przez cały czas, nawet wtedy, kiedy wzbierał w niej gniew i była na niego wściekła.

Straszliwe scenariusze odtwarzały się w jej myślach. Ryzykując, że podsunie Groszkowi pomysł, odezwała się:

- Tylko się nie poddawaj, Julianie Delphiki. Nie uznaj, że nigdy nie powstanie lekarstwo i lepiej skończyć tę podróż. Choćbyś nawet stwierdził, że twoje życie jest bezwartościowe, będziesz tam miał także moje dzieci. Nawet gdyby lot trwał tak długo, że naprawdę będziesz umierał, pamiętaj, że te dzieci są podobne do ciebie. Przeżyją. Dopóki ktoś ich po prostu nie zabije.

- Nie martw się - odpowiedział. - Gdybym miał choćby minimalne tendencje samobójcze, nigdy byśmy się nie spotkali. I nigdy nie zrobię nic, co mogłoby zagrozić moim dzieciom. Wyruszam na tę wyprawę tylko ze względu na nie. W przeciwnym razie wolałbym umrzeć w twoich ramionach tutaj, na Ziemi.

Znowu chwilę popłakała, a potem musiała nakarmić Ramona. Później uparła się, że sama nakarmi Bellę i Endera, że będzie im podawać łyżeczką jedzenie do ust, bo przecież kiedy jeszcze będzie mogła to robić? Starła się zapamiętać każdą chwilę, chociaż zdawała sobie sprawę, że nie zdoła. Wspomnienia zbledną. Te dzieci staną się dla niej tylko dalekim snem. Jej ramiona najlepiej zapamiętają te trzymane najdłużej - te, które z nią zostaną.

Jedyne, które zrodziła z własnego ciała, miała stracić.

Nie płakała jednak przy karmieniu. To byłaby strata. Dlatego pobawiła się z nimi trochę, porozmawiała, żartobliwie zachęcała do mówienia.

- Wiem, że pierwsze słowo powiesz już całkiem niedługo. Więc może już teraz spróbujesz jakiejś łatwutkiej „mamy”, leniuszku?

Dopiero kiedy samolot wylądował w Rotterdamie, a Groszek pilnował opiekunek, które wynosiły dzieci na zewnątrz, Petra została sama z Rackhamem dostatecznie długo, by swe najgorsze lęki ubrać w słowa.

- Niech ci się nie wydaje, Mazer, że nie wiem, jak łatwo byłoby wam sprawić, by ta zainscenizowana śmierć Groszka wcale nie była zainscenizowana. Może w ogóle nie istnieje żaden statek, nie ma projektu poszukiwań leku, a Volescu czeka egzekucja. Wtedy zniknęłaby groźba, że ten nowy gatunek zastąpi waszą ukochaną ludzkość. A nawet wdowa milczałaby o losie swojego męża i dzieci, wierząc, że są gdzieś w kosmosie i lecą z prędkością światła, a nie leżą na jakimś polu bitwy w Iranie.

Rackham wyglądał, jakby uderzyła go w twarz.

- Petra, za kogo ty nas uważasz?

- Za kogoś, kto nie zaprzeczył.

- Zaprzeczam. Czeka na niego statek. I szukamy leku. Wezwiemy go z powrotem.

Wtedy zobaczyła łzy spływające mu po policzkach.

- Petra - rzekł. - Czy nie rozumiesz, że kochamy was, nasze dzieci? Wszystkie? Musieliśmy już odesłać Endera. Wszystkie je odesłamy oprócz ciebie. Dlatego że was kochamy. Nie chcemy, żeby spotkała was krzywda.

- Więc czemu mnie zostawiacie?

- Ze względu na twoje dzieci. Bo chociaż nie mają tego syndromu, są też dziećmi Groszka. On jedyny nie mógł liczyć na normalne życie. Ale dzięki tobie, choć na krótko, stał

się mężem i ojcem, miał rodzinę. Nie wiesz, jak bardzo cię kochamy za to, że dałaś mu to wszystko? I Bóg mi świadkiem, Petro, nigdy nie skrzywdzilibyśmy Groszka dla żadnej przyczyny, a już na pewno nie dla naszej wygody. Nie wiem, za jakie potwory nas uważasz, ale się mylisz. Ponieważ to wy jesteście jedynymi naszymi dziećmi.

Nie miała zamiaru go żałować. Teraz była jej kolej. Dlatego wyminęła go, zbiegła po schodach, chwyciła dłoń męża i razem podążyli za opiekunkami - niosącymi jej dzieci - do furgonetki bez okien.

Czekało na nią jeszcze pięcioro, których nie знаła. Na nią i na Groszka. Życie jeszcze się nie skończyło, chociaż miała wrażenie, że umiera z każdym oddechem.

22

Pogłoski o wojnie

From: Graff%pilgrimage@colmin.gov

To: PeterWiggin%private@FreePeopleOfEarth.fp.gov

Subject: Informacje

W załączeniu przesyłam dane aż do poziomu dywizji, w tym nazwiska dowódców. Ale sens jest dość oczywisty: Rosja stawia wszystko na bezczynność wschodniej Europy. Wszyscy powinni być przerażeni nową, agresywną Rosją. Ten ruch mieli nadzieję wykonać, kiedy był z nimi Achilles i kiedy porwali cały jeesh Endera.

Możesz przekazać z całkowitą pewnością, że Rosja JEST znowu agresywna i CHCE wykazać, że znowu stała się światowym mocarstwem. Ale:

1. Nie ma Vlada. Ma jego plan, jednak nie zdoła go zaadaptować do żadnych nieprzewidzianych sytuacji.

2. My mamy plan Vlada, więc możemy przewidzieć każdy ruch rosyjskich dowódców, a dowodzący generałowie będą postępować według tego planu z religijnym nabożeństwem, nawet kiedy już się dowiedzą, że też go mamy. Vlad zna ludzi w sztabie. Ostatnio w rosyjskiej armii żaden oficer posiadający dość wyobraźni, by improwizować, nie awansuje do poziomu, gdzie miałyby to jakiekolwiek znaczenie.

3. Han Tzu otrzymał te plany, więc ich główne siły czeka katastrofa na wschodzie.

4. Ogołocili linie obronne na zachodzie. Szybko atakująca armia pod kompetentnym dowódcą może z marszu zająć St Petersburg, a Moskwę w ciągu tygodnia. To opinia Vlada. Groszek przejrzał te informacje i się zgadza. Sugeruje, żebyś zabrał Petrę z Armenii i powierzył jej kampanię w Rosji.

Kiedy Suriyawong dostał wiadomość od Petera, był gotów. Premier Paribatra i minister obrony Ambul trzymali akcesję do WLZ w tajemnicy, właśnie na taką okazję. Teraz, uzbrojeni w birmańską i chińską zgodę na przemarsz wojsk przez ich terytoria, tajska armia miała zyskać szansę, by zmierzyć się z Hindusami, którzy zaczęli całą tę awanturę swoim nagłym i niesprowokowanym atakiem na Birmę i Tajlandię.

Żołnierze przejechali pociągami aż na terytorium Chin; chińskie ciężarówki z chińskimi kierowcami przewiozły ich przez resztę drogi, do miejsc, które Suriyawong wyznaczył, gdy tylko Peter zasugerował takie rozwiązanie. Powiedział wtedy: „Istnieje tylko minimalna szansa, bo coś takiego wymagałoby niewyobrażalnej głupoty ze strony niegłupich osób, ale bądź gotowy”.

Gotowy do obrony Chin. W tym tkwiła ironia.

Ale Chiny Han Tzu nie były tymi, które z entuzjazmem przyjęły zdradziecki plan Achillesa i miażdżyły wszystko na swej drodze, porywając cały rząd Tajlandii i rodziców Suriyawonga. Han Tzu obiecał przyjaźń, a Groszek go poparł. Dlatego Suriyawong zdołał przekonać wyższych oficerów, a oni przekonali swoich ludzi, że obrona Chin to ni mniej, ni więcej, tylko wysunięta obrona Tajlandii.

- Chiny się zmieniły - tłumaczył Suriyawong. - Ale Indie nie. Znowu rzucają wojska przez granicę do kraju, który wierzy, że panuje pokój między nimi. Ta bogini, która ich prowadzi... Virłomi... jest tylko jeszcze jedną absolwentką Szkoły Bojowej, jak ja. Ale my mamy coś, czego jej brakuje. Mamy plan Juliana Delphiki. I zwyciężymy.

Co prawda plan Groszka był całkiem prosty.

- Jedyne sposoby, żeby zakończyć to raz na zawsze, to sprawić, żeby skończyło się to dla nich katastrofą. Jak dla legionów Warusa w Lesie Teutoburskim. Żadnych akcji partyzanckich. Żadnej szansy wycofania się. Virłomi niech pozostanie żywa, jeśli to możliwe, ale jeśli będzie się upierać, żeby zginąć, zrób to dla niej.

Taki był plan. Ale Suriyawong nie potrzebował nic więcej. Górskie tereny południowo-zachodnich Chin były krainą wprost stworzoną dla zasadzek. Marnie wyszkoleni żołnierze Virłomi poruszali się pieszo - bezsensownie powoli - w trzech głównych kolumnach. Maszerowali dolinami trzech rzek, po zbyt wąskich drogach. Plan Suriyawonga przewidywał proste, klasyczne zasadzki na wszystkich trzech trasach: ukryte stosunkowo niewielkie, ale świetnie uzbrojone grupy u ujścia dolin - gdzie musieli je mijać indyjscy żołnierze. A daleko, daleko w głębi czekały oddziały o wiele większe, dysponujące środkami transportu, by na rozkaz przemieścić się do bitwy.

Pozostało tylko czekać na dwie rzeczy.

Pierwsza zdarzyła się drugiego dnia oczekiwania. Najbardziej na południe wysunięty posterunek zawiadomił, że kolumna wkroczyła do doliny i posuwa się naprzód szybkim marszem. To nie była niespodzianka - ci żołnierze mieli o wiele łatwiejszą trasę niż obie armie północne.

- Nie dbają o rozpoznanie - poinformował generał dowodzący tamtą grupą. - Surowi żołnierze i maszerują na ślepo. Obserwowałem ich i ciągle mi się wydawało, że starają się nas oszukać. Ale nie... Idą cały czas, z dużymi przerwami w kolumnie, maruderzy... I tylko niektóre jednostki posyłają zwiadowców. Żaden nawet się nie zbliżył do odkrycia nas. Nie wystawili ani jednego obserwatora na zboczach. Są niedbali.

Kiedy trochę później dwa pozostałe posterunki zameldowały o tym samym, Suriyawong przekazał te wiadomości Ambulowi.

I czekając na kolejne wydarzenie, polecił obserwatorom, by postarali się ustalić, czy Virłomi towarzyszy którejś ze swoich armii.

Nie było to trudne. Podróżowała otwartym jeepem z północną kolumną. Żołnierze wiwatowali, kiedy ich mijała, jeżdżąc tam i z powrotem wzdłuż szczy. Spowalniała tym marsz, gdyż musieli ustępować jej z drogi na pobocze.

Suriyawong słuchał tego ze smutkiem. Była przecież taka błyskotliwa. Jej ocena, w jaki sposób walczyć z chińską okupacją, okazała się bezbłędna. Jej akcje powstrzymujące Chińczyków przed powrotem do Indii albo zaopatrywaniem armii podczas inwazji Persów i Pakistańczyków godne były Termopilów. Różnica polegała na tym, że Virlomi była ostrożniejsza od Spartan - pilnowała wszystkich bocznych dróg. Nic nie mogło się przebieć przez jej hinduskich partyzantów.

Była piękna, mądra i tajemnicza. Suriyawong uratował ją kiedyś i uczestniczył w małym przedstawieniu, które ten ratunek umożliwiło - wykorzystując jej reputację bogini.

W tamtych czasach wiedziała jednak, że to tylko gra.

Ale czy naprawdę? Może wyobrażenie o własnej boskości skłoniło ją do odrzucenia sugestii przyjaźni i więcej niż przyjaźni ze strony Suriyawonga? Cios był bolesny, ale nie miał do niej żalu. Roztaczała wokół siebie aurę wielkości, tego nie widział u żadnego innego dowódcy, nawet Groszka.

Formacje, jakie stosowała tutaj, nie były takie, jakich by oczekiwał od kobiety, która tak dbała o życie żołnierzy przy wcześniejszych akcjach. Ani od kobiety, która płakała nad ofiarami muzułmańskich masakr. Czy nie widzi, że prowadzi swoje wojska do katastrofy? Nawet gdyby w górach nie było żadnej zasadzki - choć powinna przewidzieć, że będzie - armia tak nieprzygotowana zostanie bez trudu rozbita przez wyszkolonego i zdeterminowanego nieprzyjaciela.

Jak napisał Eurypides, kogo bogowie chcą zniszczyć, temu odbierają rozum.

Znając uczucie Suriyawonga do Virlomi, Ambul zaproponował, by dowodził tylko tą częścią wojsk, które nie staną przeciw niej bezpośrednio. Ale Suri odmówił.

- Pamiętaj, co mówił Groszek o tym, czego uczył Ender: aby poznać przeciwnika tak, by go pokonać, musisz go poznać tak dobrze, że nie możesz go nie pokochać.

No więc Suriyawong już kochał przeciwnika. I znał ją. Dostatecznie dobrze, by sądzić, że rozumie nawet jej szaleństwo.

Nie była próżna. Nie sądziła, że przeżyje. Ale wszystkie jej plany się udawały. Nie potrafiła uwierzyć, że to z powodu jej zdolności. Dlatego uważała, że sprawia to jakaś łaska bogów.

Ale to naprawdę były jej zdolności i szkolenie, a teraz z nich nie korzystała. I jej żołnierze za to zapłacą.

Suriyawong zostawił im dużo miejsca, by weszli w doliny, zanim dotrą do zasadzek. Nie posuwali się w tym samym tempie, więc musiał zadbać o to, by pułapki zatrzasnęły się równocześnie. Wszystkie trzy armie powinny w całości minąć wejście do zasadzki.

Suriyawong udzielił swoim ludziom bardzo wyraźnych instrukcji: przyjmijcie kapitulację każdego żołnierza, który rzuci broń i podniesie ręce. Zabijcie każdego, który tego nie zrobi. Ale nikogo nie możecie wypuścić z doliny. Wszyscy giną albo trafiają do niewoli.

A Virłomi pozostanie żywa, jeśli nam na to pozwoli.

Pozwól nam, Virłomi. Proszę, pozwól nam przywrócić się do rzeczywistości.

Do życia.

* * *

Han Tzu maszerował wśród swoich żołnierzy. Nie wierzył w bzdury, że cesarz powinien być niewidzialny. Żołnierze chińskiej armii wybrali go i podtrzymywali jego autorytet. Należał do nich i powinni często go oglądać, jak dzieli z nimi niewygody, słucha ich i wyjaśnia.

Nauczył się tego od Endera. Jeśli wydajesz rozkazy i niczego nie tłumaczysz, możesz uzyskać posłuszeństwo, ale żadnej samodzielności. Jeśli wyjaśnisz im swoje cele, to kiedy oryginalny plan zawiedzie, znajdą inny sposób, by osiągnąć cel. Tłumaczenie ludziom nie osłabia ich szacunku dla ciebie - dowodzi twojego szacunku dla nich.

Dlatego Han Tzu tłumaczył, dyskutował, pracował, pomagał, jadł razem z prostymi żołnierzami, śmiał się z ich żartów i słuchał narzekań. Jeden z żołnierzy skarżył się, że nie da się spać na ziemi. Han Tzu zajął jego namiot i sam w nim przenocował, bez żadnych zmian, żołnierz natomiast spędził noc w namiocie Han Tzu. Rankiem przysięgał, że prycja Han Tzu jest chyba najgorsza w całej armii. Przed wieczorem tę historię znali już wszyscy.

Żołnierze Han Tzu nie kochali go bardziej niż żołnierze indyjscy Virłomi. I nie było w tym uczuciu nawet cienia czci religijnej.

Kluczowa różnica polegała na tym, że Han Tzu sam pracował nad szkoleniem tej armii, sam dopilnował, żeby była możliwie dobrze wyposażona. Znali też opowieści z poprzedniej wojny, kiedy to Han Tzu bezustannie ostrzegał zwierzchników przed błędami, zanim jeszcze je popełnili. Powszechnie wierzono, że gdyby od początku był cesarzem, nie straciliby tych wszystkich ziem, jakie zdobyli.

Nie rozumieli tylko, że gdyby Han Tzu był cesarzem, nie mieliby żadnych podbitych ziem do tracenia. Ponieważ Achilles zaraz po przybyciu do Chin zostałby aresztowany i przekazany MF, z wyroku której trafił do szpitala dla psychicznie chorych. Nie byłoby inwazji na Indie ani Azję Południowo-Wschodnią, jedynie działania powstrzymujące, blokujące indyjską inwazję na Birmę i Tajlandię.

Prawdziwy wojownik nienawidzi wojny - Han Tzu rozumiał to dobrze. Widział, jak załamany był Ender, kiedy się dowiedział, że ostatnia gra, końcowy egzamin, była prawdziwą

bitwą, i że jego zwycięstwo całkowicie zniszczyło przeciwnika.

Dlatego ludzie ufali Han Tzu, kiedy wycofywał się dalej i dalej w głąb Chin, od jednej pozycji obronnej do następnej, nigdy nie pozwalając swojej armii na starcie z rosyjskimi najeźdźcami. Słyszał, co mówią żołnierze, jakie zadają pytania. Jego odpowiedzi były w zasadzie prawdziwe. „Im dalej się posuną, tym dłuższe są ich linie zaopatrzenia”. „Chcemy ich wciągnąć głęboko do Chin, żeby nie mogli już wrócić do domu”. „Nasza armia rośnie, im dalej w głąb Chin zmierzamy, a ich maleje, bo muszą zostawiać ludzi, żeby pilnowali szlaków”.

A kiedy pytali go o pogłoski na temat wielkiej armii indyjskiej atakującej od południa, uśmiechał się tylko i odpowiadał: „Ta wariatka? Jedynym Hindusem, który podbił Chiny, był Gautama Budda, a on dokonał tego przez swe nauki, nie artylerią”.

Nie mógł im jednak powiedzieć, że czeka.

Na Petera Wiggina.

* * *

Peter Wiggin stał przed mikrofonem w Helsinkach. Towarzyszyli mu szefowie rządów Finlandii, Estonii i Łotwy.

Adiutanci przez szyfrowane telefony komórkowe utrzymywali kontakt z dyplomatami w Bangkoku, Erewanie, Pekinie i wielu stolicach wschodniej Europy.

Peter uśmiechnął się do reporterów.

- Na prośbę rządów Armenii i Chin, które oba padły ofiarą równoczesnej, niesprowokowanej agresji Rosji, Indii i Ligi Islamskiej kalifa Alai, Wolne Ludy Ziemi podjęły decyzję o interwencji. W tej operacji przyłączą się do nas liczni nowi sprzymierzeńcy, z których wielu zgodziło się przeprowadzić plebiscyty, by zdecydować, czy ratyfikować konstytucję WLZ. Cesarz Chin, Han Tzu, zapewnia, że jego wojska są w stanie odeprzeć połączone siły rosyjskie i tureckie, działające obecnie w chińskich granicach na północy. Na południu Birma i Chiny otworzyły swoje granice, by umożliwić bezpieczny transport armii dowodzonej przez naszego starego przyjaciela, generała Suriyawonga. W tej chwili w Bangkoku premier Paribatra ogłasza na konferencji prasowej, że Tajlandia również zorganizuje plebiscyt ratyfikacyjny, i że od tego momentu tajske siły zbrojne uważane są za pozostające pod tymczasowym dowództwem WLZ. W Armenii, gdzie z powodu działań wojennych nie można chwilowo zorganizować konferencji prasowej, atakowany naród zwrócił się do WLZ o pomoc i dowództwo. Przekazałem armeńskie siły zbrojne pod bezpośrednią komendą Juliana Delphiki. Dowodzeni przez niego żołnierze stawiają opór agresji tureckiej i rosyjskiej; operują w tej chwili głęboko na terytorium przeciwnika, w

Tabrizie i Teheranie. Tutaj, we wschodniej Europie, gdzie Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Słowacja, Czechy i Bułgaria wstąpiły już do WLZ, dołączyli do nas nowi sojusznicy: Polska, Rumunia, Węgry, Serbia, Austria, Grecja i Białoruś. Wszystkie te kraje odrzuciły Układ Warszawski, który zresztą i tak nie zobowiązywał ich do uczestnictwa w wojnie zaborczej. Pod dowództwem Petry Delphiki armie sojusznicze szybko posuwają się w kierunku kluczowych celów na terytorium Rosji. Jak dotąd nie napotykają na znaczący opór, są jednak gotowe, by stanąć do walki z dowolnymi siłami, jakie Rosja zechce posłać przeciwko nim.

Zamilkł na chwilę, nim podjął znowu.

- Wzywamy agresorów: Rosję, Indie i Ligę Islamską, do złożenia broni i natychmiastowego ogłoszenia rozejmu. Jeśli ta propozycja nie zostanie przyjęta w ciągu najbliższych dwunastu godzin, rozejm nastąpi tylko na naszych warunkach i w czasie przez nas wybranym. Wrogowie pokoju mogą się spodziewać, że utracą wszystkie wojska, jakich używają w tej niemoralnej wojnie.

Znowu przerwał.

- Teraz chciałbym odtworzyć wam wideo, nagrane niedawno w bezpiecznej kryjówce. Na wypadek gdybyście nie rozpoznali, ponieważ Rosjanie od wielu lat trzymali go w ukryciu, mówiącym jest Władimir Denisowicz Proczkot, obywatel Białorusi, który jeszcze kilka dni temu przebywał wbrew swej woli na służbie obcego mocarstwa, Rosji. Możecie też pamiętać go jako należącego do grupy wojowników, którzy pokonali wroga zagrażającego istnieniu ludzkości.

Peter odstąpił od mikrofonu. W sali zgasy światła, rozjaśnił się ścienny ekran.

Stał tam Vlad - przed czymś, co wyglądało jak zwyczajne biurko w zwyczajnym pokoju na Ziemi. Tylko Peter wiedział, że nagrania dokonano w przestrzeni - dokładniej, w dawnej stacji kosmicznej służącej Szkole Bojowej, a obecnie Ministerstwu Kolonizacji.

- Przekazuję swoje przeprosiny mieszkańcom Armenii i Chin, których granice zostały naruszone, a obywatele są zabijani przez Rosjan korzystających ze stworzonych przeze mnie planów. Zakładałem, że plany te posłużą tylko w sytuacji ostatecznej, w obronie przed inwazją. Nie wiedziałem, że będą wykorzystane do agresji, i to bez najmniejszej prowokacji. Gdy tylko zrozumiałem, do czego ma posłużyć moja praca, uciekłem rosyjskim strażom i teraz znajduję się w bezpiecznym miejscu, skąd wreszcie mogę powiedzieć prawdę. Tuż przed ucieczką z Moskwy dowiedziałem się, że przywódcy Rosji, Indii i Ligi Islamskiej podzielili świat między siebie. Indie obejmą całą Azję Południowo--Wschodnią i większą część Chin. Do Rosji trafi część Chin oraz cała Europa Wschodnia i Północna. Liga Islamska dostanie Afrykę i kraje zachodniej Europy, mające liczne mniejszości muzułmańskie.

Odrzucam ten plan. Odrzucam wojnę. Nie mogę pozwolić, by moja praca służyła zniewoleniu niewinnych ludzi, którzy nikogo nie skrzywdzili i nie zasługują na życie w tyranii. Przekazałem więc Wolnym Ludom Ziemi pełną wiedzę o stworzonych dla Rosji planach. Żadne posunięcie, jakiego teraz dokonują agresorzy, nie będzie zaskoczeniem dla sił działających pod egidą WLZ. Zachęcam też obywateli Białorusi, mojej prawdziwej ojczyzny, by głosowali za przystąpieniem do Wolnych Ludów Ziemi. Czy jest jeszcze ktoś, kto występował uparcie przeciwko agresji, w obronie pokoju i szacunku dla każdego narodu, każdego obywatela? Co do mnie... Moje talenty i moje szkolenie są ukierunkowane wyłącznie na walkę. Nie oddam więc już swoich zdolności w służbę żadnemu narodowi. Poświęciłem dzieciństwo wojnie z obcymi wrogami, którzy próbowali zniszczyć ludzkość. Ale nie po to walczyłem z robalami, żeby teraz miliony ludzi ginęły w wojnach, a setki milionów były podbite i żyły w niewoli. Ogłaszam strajk. Zachęcam wszystkich absolwentów Szkoły Bojowej, oprócz tych, którzy służą WLZ, by postąpili tak samo. Nie planujcie wojen, nie stawajcie do wojen, chyba że wspomócie Hegemona Petera Wiggina w zniszczeniu armii najeźdźców. Zwracam się też do zwykłych żołnierzy: nie słuchajcie swoich oficerów. Poddajcie się przy pierwszej sposobności. Wasze posłuszeństwo sprawia, że wojny są możliwe. Weźcie odpowiedzialność za własne czyny i dołączcie do mojego strajku. Jeśli się poddacie, wojska WLZ podejmą wszelkie wysiłki, by ocalić wam życie i przy pierwszej okazji umożliwić powrót do waszych rodzin. I raz jeszcze błagam o wybaczenie, gdyż w wyniku realizacji moich planów zginą ludzie. Nigdy więcej.

Wideo dobiegło końca.

Peter wrócił do mikrofonu.

- Wolne Ludy Ziemi i nasi sojusznicy są teraz w stanie wojny z agresorami. Powiedzieliśmy wam już wszystko, co możemy, a co nie zagraża trwającym operacjom wojskowym. Nie będzie pytań.

Wyszedł z sali.

* * *

Groszek stał między pięcioma łózeczkami na kółkach, gdzie leżało pięcioro jego normalnych dzieci. Tych, których już więcej nie zobaczy.

Mazer Rackham położył mu dłoń na ramieniu.

- Pora ruszać, Julianie.

- Cała piątka... Jak Petra da sobie radę?

- Dostanie pomoc. Prawdziwy problem jest inny. Jak ty dasz sobie radę na tym statku kurierskim? Będą miały nad tobą przewagę trzy do jednego.

- Mogę zaświadczyć, że dzieci z moją szczególną skazą genetyczną stają się samowystarczalne już w bardzo wczesnym okresie życia.

Dotknął łóžeczka Andrew. Takie samo imię jak najstarszego... ale to dziecko było normalnym niemowlęciem. Nie za małym jak na swój wiek.

I ta druga Bella... Będzie miała normalne życie. Tak jak Ramon, Julian i Petra.

- Tych pięcioro jest normalne - zwrócił się do Rackhama - więc dziewiąte byłoby... prawdopodobnie... zdefektowane?

- Jeżeli szansa przekazania twoich cech jest pół na pół, a wiemy, że pięć z dziewięciu ich nie odziedziczyło, to rozsądek podpowiada, że brakujące dziewiąte ma większą szansę. Chociaż każdy specjalista od prawdopodobieństwa powie ci, że szansa dla każdego dziecka wynosi 50 procent i rozkład syndromu wśród pozostałych ośmiu nie ma żadnego wpływu na wynik u dziewiątego.

- Może będzie lepiej, jeśli Petra nigdy nie odnajdzie... tego ostatniego.

- Moim zdaniem, Groszku, nie ma dziewiątego dziecka. Nie każdy implant się przyjmuje. Mogło się zdarzyć poronienie. To by wyjaśniało brak jakichkolwiek zapisów możliwych do wyśledzenia przez nasz program.

- Nie wiem, czy ma mnie to ucieszyć, czy przerazić, że twoim zdaniem śmierć mojego dziecka przyniesie mi ulgę.

Rackham się skrzywił.

- Wiesz, o co mi chodziło.

Groszek wyjął z kieszeni kopertę i wsunął pod małego Ramona.

- Powiedzcie opiekunkom, żeby ją tu zostawiły, nawet jeśli się posusia i całą przemoczy.

- Oczywiście - zapewnił Rackham. - I choć to może nie najważniejsze, twoja emerytura będzie inwestowana tak jak Endera. Administrowana przez ten sam program.

- Nie. Oddajcie wszystko Petrze. Przyda jej się, ma pięcioro dzieci do wychowania. Może kiedyś sześcioro.

- A co z tobą, kiedy już wrócisz do domu? Kiedy znajdą lekarstwo?

Groszek spojrzał na niego jak na szaleńca.

- Naprawdę wierzysz, że znajdą?

- Jeżeli ty nie wierzysz, to po co lecis?

- Bo może się udać. A gdybyśmy tu zostali, mamy wszyscy gwarantowaną przedwczesną śmierć. Jeśli odkryją lekarstwo i jeśli wrócę do domu, wtedy możemy pogadać o emeryturze. Coś ci powiem. Kiedy już Petra umrze, kiedy zestarzeje się i umrze tych

pięcioro dzieci, wtedy zaczniście przekazywać moje pieniądze na fundusz kontrolowany przez program inwestycyjny.

- Wróćsz wcześniej.

- Nie - odparł Groszek. - Nie, to... Nie. Kiedy minie już dziesięć lat, a pojawi się szansa na lek, to nawet jeśli go uzyskacie, nie wzywajcie nas z powrotem, dopóki... no, dopóki nie będzie pewne, że Petra umrze przed naszym powrotem. Rozumiesz? Bo jeśli znowu wyjdzie za mąż, a bardzo bym tego chciał, lepiej, żeby nie musiała mnie znowu oglądać. Żeby nie widziała mnie takiego, jak teraz wyglądam, tego chłopca, którego poślubiła... Olbrzymiego chłopca. Dostatecznie okrutne jest to, co robimy teraz. Nie chcę przed śmiercią sprawiać jej dodatkowych cierpień.

- Dlaczego nie pozwolisz jej samej zdecydować?

- Bo nie do niej należy wybór. Kiedy już wystartujemy, będziemy jak martwi. Odejdziemy na zawsze. Nie może już wrócić do życia, które utraci. Ale nie martwiłbym się tym, Mazer. Nie ma na to lekarstwa.

- Jesteś pewien?

- Znam Volescu. On nie chce znaleźć leku. Nie uważa, że to choroba. Wierzy, że to nadzieja dla ludzkości. A poza Antonem nikt nie zna się na tym tak dobrze, żeby wiedzieć, co robić dalej. Już zbyt długo była to nielegalna dziedzina badań. Wciąż jest podejrzana. Metody użyte przez Volescu, cały proces związany z kluczem Antona... Nikt już więcej tego klucza nie przekreśli, a zatem nie będziecie mieli naukowców, którzy wiedzą, o co w tym chodzi. Projekt okaże się coraz mniej ważny dla waszych następców. Pewnego dnia, w niezbyt dalekiej przyszłości, ktoś spojrzy na ten punkt w budżecie i powie: „Za co my płacimy?”. I cały projekt padnie.

- To się nie zdarzy - oświadczył Rackham. - Flota nie zapomina o swoich.

Groszek roześmiał się głośno.

- Nie załapałeś, prawda? Peterowi się uda. Świat będzie zjednoczony. Międzynarodowe wojny się skończą. A wraz z nimi umrze też poczucie lojalności między żołnierzami. Zostaną tylko... statki kolonizacyjne, statki handlowe i naukowe instytuty badawcze, oburzone na myśl o marnowaniu pieniędzy dla wyświadczenia osobistej przysługi jakiemuś żołnierzowi, który żył sto lat temu. Albo dwieście. Albo trzysta.

- Finansowanie nie będzie warunkowe. Finansujemy ten projekt, korzystając z tego samego programu inwestycyjnego. Jest naprawdę dobry, Groszku. To będzie jeden z najlepiej finansowanych projektów w historii. Już za parę lat.

- Mazer... - Groszek westchnął. - Nie zdajesz sobie sprawy, jak daleko mogą się

posunąć ludzie, by położyć łapę na pieniądzach, które ich zdaniem są marnotrawione na czysto naukowe badania. Zobaczysz. A właściwie nie, cofam to. Ty nie zobaczysz, bo to nastąpi już po twojej śmierci. Ja zobaczę. I wypiję za ciebie, wśród moich małych dzieci, i powiem „Twoje zdrowie, Mazerze Rackhamie, niepoprawny stary optymista, który wierzył, że ludzie są lepsi, niż są, i dlatego zadał sobie tyle trudu, żeby parę razy uratować ludzkość”.

Mazer objął Groszka i uściśnął mocno.

- Pocałuj dzieci na pożegnanie.

- Raczej nie. Nie chcę, by potem miały koszmary, jak jakiś olbrzym pochyła się nad nimi, żeby je zjeść.

- Zjeść?

- Dzieci boją się, że zostaną pożarte - wyjaśnił Groszek. - Są po temu mocne ewolucyjne przyczyny. Weź pod uwagę, że w ojczyźnie naszych przodków, w Afryce, hieny chętnie porwałyby ludzkie dziecko, żeby je pożreć. Mam wrażenie, że nigdy nie czytałeś literatury na temat wychowywania dzieci.

- Dla mnie brzmi to raczej jak baśnie braci Grimm. Groszek przeszedł od łóżeczka do łóżeczka, dotykając kolejno swych dzieci. Może odrobinę dłużej zatrzymał się przy Ramonie, ponieważ spędził z nim dużo więcej czasu - pozostałe widział raptem parę minut.

Potem wyszedł z pokoju i ruszył za Rackhamem do czekającej na nich furgonetki bez okien.

* * *

Suriyawong odebrał raport i rozkaz: Konferencja prasowa zakończona, przystąpienie Tajlandii do WLZ ogłoszone, zacznijcie aktywne działania przeciwko nieprzyjacielowi.

Suri tak wyliczył wymarsz sześciu oddziałów, by dotarły na miejsca mniej więcej równocześnie. Ustawił też na pozycjach chińskie śmigłowce szturmowe, gotowe włączyć się do walki, kiedy tylko jego ludzie zaatakują.

Jeden ze śmigłowców miał go zabrać tam, gdzie znajdzie się Virłomi.

Jeżeli jacyś bogowie pilnują jej teraz, myślał, to niech pozwolą jej przeżyć. Nawet jeśli sto tysięcy żołnierzy zginie z powodu jej dumy, niech ona przeżyje. Jej wielkość, dobro, które czyniła, powinny przecież się liczyć. Błędy generałów mogą zabić tysiące, ale to jednak błędy. Wyruszyła po zwycięstwo, nie po katastrofę. Kara należy się jej za intencje, nie rezultaty.

Co nie znaczy, że te intencje były dobre.

Ale wy, bogowie wojny! Sziwo niszczycielu! Virłomi to wasza służka? Czy pozwolicie, by wasza służka zginęła tylko dlatego, że tak dobrze wykonywała wasze dzieła?

* * *

Sankt Petersburg padł o wiele prędzej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Opór nie był nawet taki, by nazwać go symbolicznym. Policja także uciekła, więc w rezultacie Finowie i Estończycy musieli utrzymywać porządek publiczny, zamiast walczyć z gotowym na wszystko przeciwnikiem.

To wszystko było jednak dla Petry tylko kwestią, o jakiej czytała w meldunkach. Bez potężnego lotnictwa nie była w stanie przerzucić drogą powietrzną do Moskwy swoich Brazylijczyków i Rwandyjczyków. Transportowała ich zatem pociągami osobowymi, pilnie obserwując z czegoś, co wyglądało na zwykłą turystyczną awionetkę, by wiedzieć, kiedy zaczną się kłopoty. Ciężki sprzęt przemieszczał się po drogach w wielkich polskich i niemieckich ciężarówkach tego typu, jakie krążyły po autostradach całej Europy, zatrzymując się tylko po to, by kierowcy mogli coś zjeść, skoczyć do toalety albo skorzystać z usług przydrożnych prostytutek. Teraz wozy niosły wprost do Moskwy wojnę, którą zaczęli Rosjanie.

Gdyby nieprzyjaciół był bardziej zdecydowany, potrafiłby śledzić marsz armii Petry. Nie dało się przecież ukryć tego, co wiozą pociągi, kiedy nie zatrzymując się, przejeżdżały przez stacje i żądały zwolnienia torów przed sobą, „bo rozwalimy na strzępy was, waszą stację i całą tę głupią wioskę Rosjan dzieciobójców!”. Czysta retoryka - zwykły słup telegraficzny, rzucony tu i tam na tory, poważnie spowolniłby ich przemarsz. No i nie mogli przecież zacząć zabijać cywilów.

Ale Rosjanie o tym nie wiedzieli. Peter przekazał jej, że zdaniem Włady pozostawieni w Moskwie dowódcy wpadną w panikę. „Wolą uciekać, niż się bronić. To oczywiście nie znaczy, że nikt nie stanie do walki. Ale raczej lokalne grupy. Rozrzucone. Kiedy tylko napotkacie opór, omińcie ich. Jeśli armia rosyjska w Chinach zostanie powstrzymana, a międzynarodowe widy pokażą Moskwę i Sankt Petersburg w waszych rękach, to albo rząd poprosi o pokój, albo wybuchnie rewolucja. Albo jedno i drugie”.

Cóż, coś takiego udało się Niemcom we Francji w 1940. Dlaczego nie tutaj?

Utrata Włady miała zabójczy wpływ na morale Rosjan. Zwłaszcza że wszyscy wiedzieli, iż kontratak zaplanował Julian Delphiki, a Petra Arkanian prowadzi armię, która „pędzi przez Rosję”.

Raczej „sapiąc, sunie przez Rosję”.

Dobrze przynajmniej, że to nie zima.

* * *

Han Tzu wydał rozkazy i jego cofające się oddziały zajęły pozycje. Wyliczył czas

swego przemarszu tak, by zwabić Rosjan dokładnie do miejsca, gdzie chciał ich mieć, dokładnie w przewidzianym czasie. Ze sporym wyprzedzeniem w stosunku do ustalonych przez Vlada terminów - ale to jedyne odchylenie od jego planu. Obserwacje satelitarne, przekazane mu przez Petera, dowodziły, że Turcy cofnęli się na zachód, w stronę Armenii. Tak jakby mogli dotrzeć tam na czas, by cokolwiek zdziałać. Kalif Alai najwyraźniej nie rozwiązał odwiecznego problemu muzułmańskich wojsk. Jeśli ktoś nie sprawował nad nimi żelaznej kontroli, łatwo dawały się zwieść na manowce. Alai dotąd umiał tego dopilnować, więc Han Tzu zaczął się zastanawiać, czy Alai wciąż jest u władzy.

Nieważne. Celem Han Tzu była ogromna, rozciągnięta i zmęczona rosyjska armia, wciąż sztywno trzymająca się planów Vlada. Mimo że grupy oskrzydłające natrafiły na opustoszały Pekin, bez żadnych chińskich sił do rozbicia ani rządu do schwytania. I że z Moskwy musiały docierać paniczne meldunki, gdyż wciąż słyszeli tam o postępach Petry, a nie wiedzieli, gdzie jest naprawdę.

Rosyjski dowódca, który prowadził inwazję, miał rację, nie przerywając kampanii. Atak Petry na Moskwę był w ostatecznym rozrachunku raczej kosmetyczny, z czego ona sama z pewnością zdawała sobie sprawę. Miała wywołać panikę, brakowało jej jednak sił, by jakikolwiek cel utrzymać przez dłuższy czas.

Na południu podobnie: wojska Suriego wykonają ważne zadanie, ale armia Indii od początku nie była poważnym zagrożeniem. Groszek w Armenii odciągnął siły tureckie, które jednak bez trudu mogą powrócić.

Wszystko zależało od tej bitwy.

A zdaniem Han Tzu - lepiej, by żadnej bitwy nie było.

Znajdowali się wśród pól pszenicy w Jinan. Plan Vlada zakładał, że Chińczycy zajmą podwyższony teren na południowy wschód od Huang He i będą bronić przepraw przez rzekę. Rosjanie byli więc wyposażeni w ruchome mosty i pontony, by przekroczyć rzekę w nieoczekiwanych miejscach i okrążyć chińskich obrońców.

I rzeczywiście - tak jak przewidywał plan Vlada - Chińczycy zajęli pozycje na wyższym terenie i z zachęcającą nieskutecznością ostrzeliwali nadchodzące oddziały rosyjskie. Rosyjski dowódca musiał być pewien sukcesu. Zwłaszcza kiedy zastał mosty przez Huang He nieudolnie „zniszczone”, możliwe do szybkiego naprawienia.

Han Tzu nie mógł sobie pozwolić na otwartą bitwę, działa w działa i czołg w czołg. Zbyt wiele sprzętu utracił w poprzednich wojnach. I chociaż jego żołnierze byli zaprawionymi w boju weteranami, a armia rosyjska nie walczyła od lat, w krótkim czasie, kiedy sprawował rządy, nie zdołał przywrócić swoim wojskom pełnej sprawności bojowej. I

ten czynnik byłby zapewne decydujący. Nie zamierzał posyłać mas ludzkich, by załazy atakujących Rosjan. Nie mógł sobie pozwolić na zmarnowanie tej armii. Musiał zachować ją w pełni sił do starcia z bardziej niebezpiecznymi wojskami muzułmańskimi, gdyby się jednak połączyły i przystąpiły do wojny.

Rosyjskie samoloty bezpilotowe dorównywały chińskim, więc obaj dowódcy będą dysponowali dokładnym obrazem pola bitwy. Teren był rolniczy, idealny dla rosyjskich czołgów. Han Tzu nie mógł zrobić absolutnie nic, by zaskoczyć przeciwnika. Plan Włada musiał się powieść. Rosyjski dowódca musiał być tego pewny.

Oddziały ukryte na tyłach Rosjan zameldowały, że ostatni przeciwnicy minęli punkty obserwacyjne, nie zdając sobie sprawy, co oznaczają niewielkie czerwone chorągiewki na płotach, krzakach, drzewach i znakach drogowych. Przez najbliższe czterdzieści minut armię Han Tzu czekało tylko jedno zadanie: utrzymać rosyjskie wojska pomiędzy tymi chorągiewkami a wzniesieniami na drugim brzegu Huang He, oraz dopilnować, by nikt z chińskich żołnierzy nie zabłąkał się do tej strefy.

Czy Rosjanie nie zauważyli, że wszyscy bez wyjątku cywile zostali ewakuowani? Że nigdzie nie widać nawet jednego cywilnego pojazdu? Że domy są ogołoczone?

Hyrum Graff miał kiedyś wykład, w którym powiedział, że Bóg wskaże im sposób zniszczenia wroga przy użyciu sił natury. Jego głównym przykładem było to, jak Bóg wykorzystał wylew Morza Czerwonego, by zatopić egipskie rydwany.

Małe czerwone chorągiewki oznaczały maksymalny zasięg fali.

Han Tzu wydał rozkaz wysadzenia tamy. Ściana wody potrzebowała czterdziestu minut, by tu dotrzeć i zniszczyć rosyjską armię.

* * *

Armeńscy żołnierze zrealizowali wszystkie cele. Zmusili przerażony rząd Iranu, by zażądał powrotu ich żołnierzy z Indii. Wkrótce jednak się tu zjawia przeważające siły wroga, a oni wszyscy mieli zginąć.

Kiedy nadleciały czarne helikoptery, sądzili, że nadeszła ich ostatnia chwila.

Jednak żołnierze, którzy wyskoczyli z maszyn, okazali się Tajami w mundurach WLZ. Była to oryginalna grupa uderzeniowa, wyszkolona przez Groszka i w tak wielu rajdach prowadzona przez Suriyawonga.

Sam Groszek także wysiadł z helikoptera.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział.

W ciągu kilku minut żołnierze WLZ zabezpieczyli perymetr, a Ormianie zaczęli pakować się do śmigłowców.

- Będziecie wracać do domu bardzo okreżną drogą - stwierdził ze śmiechem jeden z Tajów.

Groszek bardzo wyraźnie poinformował, że schodzi na dół, żeby sprawdzić, jak wyglądają przednie stanowiska obrony. Ormianie widzieli, jak schyla głowę i wchodzi do na wpół zburzonego budynku. A kilka chwil później budynek wyleciał w powietrze. Nic nie pozostało całe. Żadnych murów, żadnego komina. Żadnego Groszka.

Helikopter wystartował. Ormianie byli tak uszczęśliwieni tym ratunkiem w ostatniej chwili, że trudno im było pamiętać o strasznej wiadomości, którą będą musieli przekazać Petrze Arkanian. Jej mąż zginął. Widzieli to. W żaden sposób nie mógł przeżyć nikt, kto znajdował się w tym budynku.

23

Kolonistka

From: CzarnyPies%Salaam@IComeAnon.com

To: Graff%pilgrimage@colmin.gov

Klucz szyfrujący: *****

Klucz deszyfrujący: *****

Subject: Pożegnalna wiadomość Vlada

Czemu piszę to z ukrycia, powinno być oczywiste. Dokładniej opowiem może kiedyś później.

Chciałbym skorzystać z waszego zaproszenia, jeśli nadal jest aktualne. Przekonałem się ostatnio, że choć jestem prawdziwym magikiem w dziedzinie strategii wojskowej, zupełny ze mnie tępak, jeśli chodzi o motywacje moich ludzi – nawet tych, których uważałem za najbliższych. Na przykład kto by przypuszczał, że modernizującego, szukającego zgody czarnego kalifa będą nienawidzili o wiele bardziej niż bałwochwalczą i bezwstydną Hinduskę o zapędach dyktatorskich?

Zamierzałem po prostu zniknąć z historii i uważałem się już nad sobą na tym wygnaniu, opłakując wiernego przyjaciela, który w Hajdarabadzie oddał swe życie, by ocalić moje. I nagle zrozumiałem, że programy informacyjne, bez przerwy powtarzające mowę Vlada, pokazują mi, co powinienem zrobić.

Zorganizowałem nagranie widu z pobliskim meczecie. W kraju, gdzie mogę bezpiecznie pokazać swoją twarz, więc nie masz się o co martwić. Nie mam zamiaru załatwiać emisji, korzystając z waszych lub Petera kontaktów – to by całkiem zdyskredytowało moje tezy. Załatwię to wyłącznie kanałami muzułmańskimi.

Uświadomiłem sobie bowiem coś ważnego: może i straciłem poparcie armii, lecz nadal jestem kalifem. To nie tylko funkcja polityczna, ale również religijna. I żaden z tych błaznów nie ma prawa mnie jej pozbawić .

Tymczasem dowiedziałem się, jak mnie nazywali za plecami. Czarny pies. Usłyszają jeszcze ode mnie te słowa, możecie być pewni.

Kiedy wid będzie opublikowany, dam wam znać, gdzie jestem. O ile nadal mnie chcecie.

Randi pilnie śledziła wiadomości. Na początku była pełna nadziei - kiedy dowiedziała się, że Julian Delphiki zginął w Iranie. Może wrogowie śledzący jej dziecko zostaną zmiżdżeni, a ona będzie mogła się ujawnić i ogłosić, że ma przy sobie syna i dziedzica Achillesa.

Ale zaraz uświadomiła sobie, że zło na tym świecie nie zniknie tylko dlatego, że kilkoro wrogów Achillesa zostanie zabitych albo pokonanych. Demonizując go, wykonali dobrą robotę. Gdyby odkryli, kim jest jej syn, byłby w najlepszym razie obserwowany i bezustannie badany, w najgorszym - by jej go odebrali. Albo zabili. Nie powstrzymają się przed niczym, by usunąć ze świata dziedzictwo Achillesa.

Stała przy przenośnym łóżeczku syna w dawnym pokoju motelowym, który teraz był najtańszym jednopokojowym mieszkaniem z wnęką kuchenną, jakie miała do zaproponowania północna Wirginia. Randi niczego więcej nie potrzebowała, kupiła tylko przenośne łóżeczko. Synek był taki mały...

Poród całkiem ją zaskoczył - o miesiące za wcześnie. Chłopiec po prostu... wyszedł. I choć mały, nie miał żadnych problemów. Nie przypominał nawet innych wcześniaków, które wyglądały... jak embriony. Jak ryby. Ale nie jej synek. Był śliczny, całkiem normalny. Tyle że mały.

Mały i inteligentny. Czasami niemal ją przerażał. Parę dni temu wypowiedział swoje pierwsze słowo. „Mama”, oczywiście - przecież nie znał nikogo innego. Mówiła do niego, tłumaczyła mu wszystko, opowiadała o ojcu. Zdawało się, że słucha z uwagą. Zdawało się, że rozumie. Czy to możliwe?

Oczywiście! Syn Achillesa powinien być bardzo mądry. A jeśli mały, no cóż... Achilles urodził się ze zdeformowaną stopą. Nienormalne ciało, ale wyjątkowe talenty.

W tajemnicy nazwała syna Achilles Flandres II. Lecz była ostrożna. Nie zapisała tego imienia nigdzie, jedynie w sercu. Według świadectwa urodzenia nazywał się Randall Firth. Sama używała teraz nazwiska Nichelle Firth. Prawdziwa Nichelle Firth była opóźnioną w rozwoju kobietą w szkole specjalnej, gdzie Randi pracowała jako salowa. Wiedziała, że wygląda dostatecznie staro, by uwierzono w jej oficjalny wiek - długa ucieczka, ciężka praca, bezustanne zmartwienia ją postarzały. Ale czy wygląd jest ważny? Nie starała się przyciągnąć mężczyzny. Znała ich dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że żaden nie ożeni się z kobietą tylko po to, by całą swą opiekuńczość poświęcała dziecku innego człowieka.

Dbiała o siebie tylko w takim zakresie, by dostać przyzwoitą pracę tam, gdzie nie wymagali specjalnych referencji. Pytali: „Gdzie pani wcześniej pracowała?”. A ona odpowiadała: „Nigdzie od college'u, pewnie mnie nawet nie pamiętają; byłam z tych, co siedzą w domu, ale mój mąż nie był z tych, co śpią w domu, więc teraz nie mam żadnych referencji oprócz tego, że moje dziecko jest zdrowe, moje mieszkanie czyste i potrafię pracować, jakby od tego zależało moje życie, bo teraz właśnie zależy”. Ten tekst załatwiał jej przyjęcie do pracy wszędzie, gdzie się zgłosiła. Nigdy nie została wyższą urzędniczką, ale też nie miała takich planów. Odrabiała swoje godziny, odbierała „Randalla” ze żłobka, a potem rozmawiała z nim, śpiewała mu i uczyła się, jak być dobrą matką i wychować zdrowe, śmiałe dziecko, które będzie miało dość siły charakteru, by przewyciężyć zjadłość skierowaną przeciwko swemu ojcu, by stanąć do walki z całym światem.

Martwiły ją wojny i paskudna twarz Petera Wiggina na ekranie, kiedy oznajmiał, że to

państwo przystąpiło do WLZ, a tamto jest sojusznikiem WLZ... Nie mogła przecież wiecznie się ukrywać. Nie da się zmienić odcisków palców, a miała za sobą aresztowanie za drobną kradzież w sklepie, jeszcze w college'u. To było głupie. Naprawdę zapomniała, że zabrała tę drobnostkę. Gdyby pamiętała, zmieniłaby pewnie zdanie i zapłaciła, jak przy innych okazjach. Ale zapomniała i zatrzymali ją przed sklepem, więc dokonała kradzieży, tak mówili, a że była już pełnoletnia, trafiła do aresztu i w ogóle. Zwolnili ją, ale odciski palców pozostały w systemie. Kiedyś ktoś dowie się, kim jest naprawdę. Ten człowiek, który z nią rozmawiał, który dał jej dziecko Achillesa - jak może być pewna, że nie zdradzi? A mając to, co ten człowiek im powie, i mając jej odciski palców, potrafią ją znaleźć, choćby nie wiadomo jak często zmieniała nazwisko.

Wtedy właśnie rozumiała, że kiedy ktoś na całej Ziemi nie może znaleźć sobie bezpiecznego miejsca, to po raz pierwszy w historii ma dokąd pójść.

Dlaczego jej mały Achilles Flandres II ma dorastać tutaj, w ukryciu, gdzie krwiożercze potwory usiłują go zabić, by ukarać jego ojca za to, że był lepszy od nich? Przecież może dorastać w czystym, nowym kolonizowanym świecie, gdzie nikt nie będzie się przejmował, że dziecko naprawdę nie jest jej, i że jest takie małe, jeśli tylko okaże się inteligentne i pracowite, a ona dobrze go wychowa? Obiecywali, że będzie możliwa wymiana pomiędzy koloniami, że będą ich odwiedzać statki kosmiczne. Kiedy dla Achillesa II nadejdzie właściwa chwila, by odebrał swoje dziedzictwo, swoją spuściznę, swój tron, wtedy zaprowadzi go na pokład takiego statku i wróci na Ziemię.

Czytała o relatywistycznych efektach podróży międzygwiazdnych. Może minąć nawet sto lat albo więcej - pięćdziesiąt w jedną, pięćdziesiąt w drugą stronę - ale dla nich będą to trzy, może cztery lata w podróży. A zatem wszyscy wrogowie Achillesa zdążą umrzeć. Nikomu nie będzie zależało, żeby dłużej rozpowszechniać ohydne kłamstwa na jego temat. Ludzie będą gotowi, by słuchać o nim na nowo, z otwartymi umysłami.

Nie mogła zostawić synka samego w mieszkaniu. Jednak popołudnie było raczej deszczowe. Czy warto ryzykować, że się przeziębii?

Opatuliła go dobrze i włożyła do nosidełka na piersi. Był lekki - wydawało się, że nawet jej torebka jest cięższa. Parasol osłaniał bezpiecznie oboje. Nic im nie groziło.

Od stacji metra dzielił ją długi spacer, ale była to najlepsza - i najsuchsza - droga do biura Ministerstwa Kolonizacji, gdzie mogła się zgłosić. Oczywiście, istniało pewne ryzyko. Mogą jej pobrać odciski palców. Mogą sprawdzić... Ale z pewnością wielu ludzi trafia na statki kolonizacyjne, ponieważ chcą zerwać ze swoim dawnym życiem. A gdyby odkryli, że zmieniła nazwisko, ten areszt za kradzież w sklepie może to wyjaśnić. Wpadła w świat

przestępczy i... co pomyślą? Pewnie o narkotykach. Ale teraz chciała zacząć od nowa, pod nowym nazwiskiem.

A może powinna podać prawdziwe?

Nie, ponieważ pod tamtym nazwiskiem nie miała dziecka. A jeśli zaczną sprawdzać, czy „Randall” naprawdę jest jej, jeśli przeprowadzą testy DNA, odkryją, że w rzeczywistości nie ma żadnych jej genów. Mogą pomyśleć, że go porwała. Jest tak mały, że uznają go za noworodka. A poród był taki łatwy, żadnych śladów... Czy mają jakieś testy potwierdzające, że urodziła dziecko? Koszmary, koszmary... Nie, poda im nowe nazwisko i będzie gotowa do ucieczki, gdyby po nią przyszli. Co jeszcze może zrobić?

Warto zaryzykować, żeby zabrać go z tej planety.

W drodze do metra przeszła obok meczetu, przed którym stali policjanci i kierowali ruchem. Czyżby wybuchła bomba? Takie rzeczy zdarzały się w innych miejscach - w Europie, jak słyszała - ale przecież nie w Ameryce. W każdym razie nie ostatnio.

Nie, nie bomba. Tylko jakiś mówca. Tylko...

- Kalif Alai - usłyszała czyjś głos.

Kalif Alai! Jedyny człowiek na Ziemi, który miał chyba dość odwagi, by przeciwstawić się Peterowi Wigginowi.

Na szczęście miała na głowie chustkę - wyglądała dostatecznie muzułmańsko jak na to świeckie miasto, gdzie wielu muzułmanów w ogóle nie nosiło specjalnych okryć. Nikt nie zaczepił kobiety z dzieckiem, choć oczywiście wszyscy musieli zostawiać parasole, torebki i płaszcze przy stanowisku ochrony.

Przeszła do kobiecej części meczetu. Zaskoczyło ją, że ozdobne rzeźbione przepierzenia nie pozwalają zobaczyć, co dzieje się w części męskiej. Najwyraźniej nawet w liberalnych amerykańskich meczetach nadal uważano, że kobiety nie muszą widzieć mówcy. Randi słyszała o takich rzeczach, ale jedyny kościół, w jakim bywała, należał do obrządku prezbiteriańskiego i rodziny siedziały tam razem.

Nad całą częścią męską wznosiły się kamery, więc widziała równie dobrze jak mężczyźni. Zresztą nie zamierzała przecież nawracać się na islam. Chciała tylko zobaczyć kalifa Alai.

Mówił we wspólnym, nie po arabsku. To ją ucieszyło.

- Pozostaję kalifem niezależnie od tego, gdzie się znajdę. Zabiorę ze sobą do mojej kolonii jedynie muzułmanów, którzy wierzą w islam jako religię pokoju. Pozostawiam za sobą tych żądnych krwi, fałszywych muzułmanów, którzy nazywali swego kalifa czarnym psem i próbowali go zamordować, aby móc wypowiedzieć wojnę pokojowo nastawionym

sąsiadom. Oto co mówi prawo islamu od dni Mahometa po wieczne czasy: Bóg zgadza się, żebyśmy ruszali do wojny jedynie wtedy, kiedy zaatakuje nas jakiś przeciwnik. Gdy muzułmanin wznosi rękę przeciwko komuś, kto go nie atakuje, wtedy nie uczestniczy w dżihadzie, ale staje się samym szejtanem. Ogłaszam, że ci, którzy zaplanowali inwazję na Chiny i Armenię, nie są muzułmanami i każdy wierny muzułmanin, który spotka tych ludzi, powinien ich aresztować. Od tej chwili narody islamu mogą być rządzone tylko przez przywódców, których same wskażą w wolnych wyborach. Niemuzułmanie także mogą głosować w tych wyborach. Zakazane jest prześladowanie jakichkolwiek niemuzułmanów, nawet jeśli byli kiedyś muzułmanami, zakazane jest odmawianie im jakichkolwiek praw czy jakakolwiek dyskryminacja. A jeśli naród islamu zagłosuje, by przyłączyć się do Wolnych Ludów Ziemi i przestrzegać ich konstytucji, jest to dozwolone przez Boga. Nie ma w tym grzechu.

Randi była załamana. To całkiem jak mowa Vlada. Całkowita kapitulacja wobec fałszywych „ideałów” Petera. Musieli zaszantażować, oszołomić narkotykami albo zastraszyć nawet kalifa Alai.

Ostrożnie przeciskała się do wyjścia między siedzącymi, stojącymi, opierającymi się o ściany kobietami. Wiele z nich spoglądało na nią tak, jakby grzeszyła; wiele innych patrzyło na kalifa Alai z miłością i zachwytem.

Źle kierujecie wasze uczucia, myślała Randi. Tylko jeden człowiek pozostał czysty, obejmując władzę, a był nim mój Achilles.

Jedna z kobiet spoglądała na nią ze szczególną wrogością; Randi wskazała pieluchę małego Achillesa i skrzywiła się. Kobieta złagodniała natychmiast. Oczywiście, matka musi się zająć dzieckiem, nawet jeśli to oznacza, że nie wysłucha słów kalifa.

Jeśli sam kalif nie może stanąć przeciwko Peterowi Wigginowi, to na Ziemi nie ma już dla mnie miejsca, gdzie mogłabym wychować syna, uznała Randi.

Przeszła pieszo pozostałą część drogi do metra. Deszcz padał coraz mocniej, ale parasolka spełniła swoje zadanie i dziecko było suche. Potem weszła na stację i deszcz ustał.

Tak będzie w kosmosie. Nie będzie już musiała osłaniać małego Achillesa. Będzie mogła odłożyć parasolkę, a on nie musi się niczego obawiać. W nowym świecie będzie mógł chodzić w promieniach nowego słońca - jak wolny duch, którym się urodził.

Kiedy wróci na Ziemię, będzie jak olbrzym wyrastający ponad tych moralnych karłów.

Do tego czasu Peter Wiggin będzie już martwy, tak jak Julian Delphiki. Tylko tego żałowała - że jej syn nigdy nie stanie twarzą w twarz z mordercami swojego ojca.

24

Ofiara

From: Mosca%Molo@FilMil.gov.ph
To: Graff%pilgrimage@colmin.gov
Subject: Mój bilet

Akurat kiedy na Ziemi robi się ciekawie, zaczyna mnie dręczyć uczucie, że miałeś rację. Nie znoszę, kiedy mi się to zdarza.

Przyszli do mnie dzisiaj, podnieceni jak dzieciaki. Petra zajęła Moskwę swoją zbieraniną żołnierzy podróżującą pociągiem pasażerskim! Han Tzu zlikwidował całą armię rosyjską, tracąc nie więcej niż kilkudziesięciu ludzi! Groszek zdołał ściągnąć oddziały tureckie do Armenii i nie dopuścić, żeby włączyły się do walk w Chinach! I oczywiście Groszkowi przypisuje się też zwycięstwo Suriyawonga w Chinach – wszyscy się starają, by cała chwała przypadła chłopcom i dziewczynie z jeeshu Endera.

Wiesz, czego ode mnie chcieli?

Mam podbić Tajwan. Poważnie. Mam stworzyć plany inwazji. Ponieważ, rozumiesz, mój biedny, posklejany z różnych wysepek kraj ma mnie, chłopaka z jeeshu, i to czyni go mocarstwem. Jak śmia ci muzułmańscy najeźdźcy wciąż tkwić na Tajwanie?

Przypomniałem, że Han Tzu teraz, kiedy wygrał z Rosją, a muzułmanie pewnie się nie ośmiela zaatakować, prawdopodobnie sam spróbuje odzyskać Tajwan dla Chin. A nawet jeśli nie, czy im się wydaje, że Peter Wiggin będzie siedział bezczynnie, gdy Filipiny dokonują aktu nieuzasadnionej agresji przeciwko Tajwanowi?

Nie chcieli słuchać. Odpowiadali w stylu: rób, co ci każą, mały geniuszu.

Co mi w tej sytuacji pozostało, Hyrum? (Czuję się grzeszny, kiedy zwracam się do ciebie po imieniu). Postąpić tak jak Vlad, ułożyć im te plany i pozwolić, żeby wpadli we własne sidła? Postąpić jak Alai, potępić ich otwarcie i wezwać do rewolucji? (Bo on to właśnie zrobił, prawda?). Czy może jak Han: dokonać zamachu stanu i zostać imperatorem Filipin i Władcą Świata Mówiącego w Tagalogu?

Nie chcę porzucać domu. Ale nie będzie dla mnie pokoju na Ziemi. Nie jestem pewien, czy mam ochotę dźwigać ciężar przywództwa kolonii, jednak przynajmniej nie będę wtedy musiał kreślić schematów śmierci i podbojów. Tylko nie wysyłaj mnie do tej samej kolonii co Alai. Uważa się za takiego twardego faceta, bo jest następcą Proroka

Woda zmyła nawet czołgi, niektóre o całe kilometry. Tam, gdzie Rosjanie formowali

swe siły do ofensywy przeciwko armii Han Tzu, nie pozostało nic. Żadnego śladu, że tutaj byli.

I ani śladu, że były tu kiedyś wioski i pola uprawne.

Pozostała błotna wersja księżycowego krajobrazu. Oprócz kilku głęboko zakorzenionych drzew nie było nic. Trzeba będzie długiego czasu i ciężkiej pracy, by przywrócić tę ziemię do życia.

Ale na razie mieli co innego do roboty. Przede wszystkim z rejonów w dole rzeki zebrać ocalałych, jeśli jacyś byli. Następnie oczyścić teren z trupów, ściągnąć wszystkie czołgi i inne pojazdy, a przede wszystkim - sprawne uzbrojenie.

Han Tzu musiał przerzucić sporą część swej armii na północ, by odbić Pekin i wymieść z kraju resztki rosyjskiej inwazji, które mogły pozostać na tyłach. Tymczasem Turcy mogą postanowić, że wrócą.

Wojna się jeszcze nie skończyła.

Ale morderczej, krwawej kampanii, jakiej się obawiał - kampanii, która rozdarłaby Chiny i wykrwawiła na śmierć całe pokolenie - udało się uniknąć. Zarówno tutaj, na północy, jak i na południu.

A potem co? Cesarz chiński, akurat... Czego oczekują ludzie? Teraz, kiedy osiągnął wielkie zwycięstwo, czy powinien wrócić i znowu ujarzmić Tybetańczyków? Znowu przygnieść chińskim butem tureckojęzycznych mieszkańców Sinkiangu? Zalać chińską krwią plaże Tajwanu, by zaspokoić zadawnioną wiarę, że Chińczycy mają jakieś przyrodzone prawo do rządzenia etnicznie malajską większością tej wyspy? A potem atakować każdy kraj, który źle traktował chińskie mniejszości? Gdzie to się skończy? W dżunglach Papui? Znowu w Indiach? Czy na dawnej zachodniej granicy imperium Dżyngisa, na ziemiach Złotej Ordy w stepach Ukrainy?

Najbardziej go przerażała świadomość, że może te scenariusze zrealizować. Wiedział, że ma w Chinach naród posiadający dostateczną inteligencję, energię, zasoby i zjednoczoną wolę - wszystko, czego trzeba władcy, by ruszył w świat i co tylko zobaczy, uczynił sobie poddanym. A że było to możliwe, jakaś jego część pragnęła rozegrać tę partię, sprawdzić, dokąd prowadzi ta droga.

Wiem, dokąd prowadzi, myślał Han Tzu. Prowadzi do Virlomi wiodącej swą niedozbrojoną armię ochotników ku pewnej śmierci. Prowadzi do Juliusza Cezara krwawiącego na posadzce Senatu i szepczącego, że został zdradzony. Albo do Augusta poszukującego następcy tylko po to, by uświadomić sobie, że musi wszystko przekazać obrzydliwemu zboczeńcowi, swojemu... pasierbowi? Kim był dla niego Tyberiusz? Smutne,

ale tak nieodmiennie się kończą imperia. Ponieważ ci, którzy wznoszą się w imperiach na szczyty, to albo biurokratyczni specjaliści od walk o wpływy, albo skrytobójcy, albo wodzowie.

Czy tego chcę dla mojego ludu? Zostałem cesarzem, ponieważ wiedziałem, jak obalić Śnieżnego Tygrysa i nie pozwolić, żeby on zabił mnie pierwszy. Ale Chiny nie potrzebują cesarstwa. Chiny potrzebują dobrego rządu. Chińczycy powinni zostać w domach i zarabiać pieniądze albo podróżować po świecie i zarabiać jeszcze więcej pieniędzy. Powinni zajmować się nauką, tworzyć sztukę, stać się częścią ludzkiej cywilizacji.

A ich synowie nie powinni już ginąć w bitwach. Nie powinni z pola walki uprzątać ciał nieprzyjaciół. Potrzebują pokoju.

* * *

Wieści o śmierci Groszka powoli docierały z Armenii. Petra dowiedziała się o niej - co niezwykle - przez telefon komórkowy w Moskwie, gdzie kierowała oddziałami przejmującymi miasto. Informacje o porażającym zwycięstwie Han Tzu także dotarły już do niej, ale nie do publicznej wiadomości. Chciała zdobyć pełną kontrolę nad stolicą, zanim ludzie dowiedzą się o katastrofie. Musiała mieć pewność, że zdoła zapanować nad ich reakcjami.

Dzwonił ojciec. Głos miał chrapliwy i od razu się domyśliła, co chce jej powiedzieć.

- Żołnierze, których ewakuowali z Teheranu... wrócili przez Izrael. Widzieli... Julian nie wrócił z nimi.

Petra doskonale wiedziała, co się stało. A co ważniejsze, doskonale wiedziała, o co Groszek się postarał, żeby ludziom zdawało się, że widzą. Ale odgrywała swoją rolę, wypowiadała słowa, których ojciec się od niej spodziewał.

- Zostawili go tam?

- Nie było... nie było już czego przywozić. - Chlipnięcie. Dobrze wiedzieć, że ojciec pokochał Groszka. A może płakał nad swoją córką, już wdową, choć dopiero co stała się kobietą. - Zginął w eksplozji budynku. Cała budowla wyparowała. Nie mógł tego przeżyć.

- Dziękuję, tato, że mi powiedziałeś.

- Wiem, że to... Co z dziećmi? Wracaj do domu, Pet, postaramy się...

- Kiedy już skończę tę wojnę, tato, wtedy wrócę, będę opłakiwać męża i zatroszczę się o dzieci. Są teraz pod dobrą opieką. Kocham cię. I mamę. Poradzę sobie. Do zobaczenia.

Rozłączyła się.

Kilku oficerów spojrzało na nią pytająco. To, co mówiła o opłakiwaniu męża...

- Ta informacja jest ściśle tajna - zaznaczyła. - Mogłaby zachęcić do walki

przeciwników Wolnych Ludów. Ale mój mąż... W Teheranie wszedł do budynku, który wyleciał w powietrze. Nikt wewnątrz nie mógł tego przeżyć.

Nie znali jej ci Finowie, Estończycy, Litwini i Łotysze. Nie tak dobrze, by powiedzieć coś więcej niż szczere, ale niewystarczające: „Przykro mi”.

- Robota czeka - powiedziała, uwalniając ich z konieczności szukania słów współczucia.

Nie mogli wiedzieć, że to, co demonstruje, to nie żelazna samokontrola, ale zimna wściekłość. Co innego stracić męża na wojnie, a co innego stracić go, bo nie chciał jej ze sobą zabrać.

Była niesprawiedliwa. Przecież gdyby mogła decydować, wybrałaby to samo rozwiązanie. Pozostało jedno nieodnalezione dziecko. A nawet gdyby nie żyło albo nigdy nie istniało - skąd mogli wiedzieć, ile naprawdę ich było, skoro jedynym źródłem informacji był Volescu - ta piątka normalnych nie powinna mieć tak drastycznie zniszczonego życia. To jakby zmuszać zdrowego bliźniaka, by całe życie spędził w szpitalnym łóżku tylko dlatego, że jego brat jest w śpiączce.

Wybrałaby tak samo... gdyby tylko miała czas.

Ale nie miała. Życie Groszka i tak już było zagrożone. Traciła go.

A przecież od początku wiedziała, że go straci w taki czy inny sposób. Prosił, by nie wychodziła za niego, przekonywał, że nie powinni mieć dzieci - żeby nie przeżywała tego, co przeżywa w tej chwili.

Wiedza, że to wszystko jej wina, jej własny wybór, jej wiara, że tak będzie lepiej, ani odrobinę nie zmniejszała cierpienia. Jeśli już, to tylko je pogarszała.

Dlatego była wściekła. Na siebie. Na ludzką naturę. Na fakt, że jest człowiekiem, a zatem musi mieć taką naturę, czy to się jej podoba, czy nie. Pragnienie, by urodzić dzieci najlepszego z mężczyzn, jakich знаła, pragnienie, by zawsze był przy niej...

I pragnienie, by ruszyć do bitwy i wygrać, przechytrzyć wroga, pokonać go, odebrać mu wszelkie siły, a potem stanąć dumnie nad zwyciężonym.

To straszne - odkryć w sobie, że kocha wojenne współzawodnictwo tak bardzo, jak bardzo tęskni za mężem i dziećmi. I że zajęcie jednym pozwala jej nie myśleć o drugim.

* * *

Kiedy zaczął się ostrzał, Virlomi poczuła dreszcz podniecenia. Ale też otepiające przerażenie. Jak gdyby знаła jakąś straszną tajemnicę tej kampanii - tajemnicę, której nie pozwalała sobie wysłuchać, dopóki huk wystrzałów nie przebił się z informacją wprost do jej świadomości.

Niemal natychmiast kierowca spróbował odjechać z nią w bezpieczne miejsce. Ale uparła się, by dotrzeć w sam ogień bitwy. Wiedziała, gdzie są stanowiska nieprzyjaciela - na wzgórzach po obu stronach. Natychmiast rozpoznała stosowaną taktykę.

Zacząła wydawać rozkazy. Nakazała zawiadomić pozostałe dwie kolumny, by wycofały się i przeprowadziły rozpoznanie. Swoje elitarne oddziały, walczące od lat u jej boku, posłała na zbocza, by powstrzymywały przeciwnika, umożliwiając jej odwrót z resztą wojsk.

Jednak masa niewyszkolonych żołnierzy była zbyt przerażona, by słuchać poleceń i wykonywać je pod ogniem. Wielu nie wytrzymało i zaczynało uciekać - w górę doliny, przez otwarty teren. A Virlomi wiedziała, że niedaleko za nimi znajdują się oddziały pościgowe, które minęła po drodze, nie zauważając nawet.

Wszystko dlatego że nie spodziewała się, by zajęty Rosjanami Han Tzu zdołał wysłać na południe jakiejkolwiek liczące się siły.

Uspokajała swoich oficerów - to tylko niewielki oddział, nie możemy pozwolić, żeby nas powstrzymali. Ale wciąż padali ludzie. Ostrzał wydawał się coraz silniejszy. I wtedy zrozumiała, że siły, z którymi walczy, to nie jakaś wiekowa grupa obrony cywilnej, mająca za zadanie nękać ich podczas marszu. To zdyscyplinowane oddziały, które zapędzają jej żołnierzy - jej setki tysięcy żołnierzy - na pola śmierci wzdłuż drogi i brzegu rzeki.

A jednak bogowie nadal ją ochraniaли. Chodziła pomiędzy kryjącymi się żołnierzami i nie drasnęła jej żadna kula. Zabici padali wokół, a ona wciąż była nietknięta.

Wiedziała, jak interpretują to jej ludzie: bogowie ją osłaniają.

Ale ona rozumiała to całkiem inaczej: nieprzyjaciel otrzymał rozkaz, żeby mnie nie zranić. A tamci żołnierze są tak dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani, że ten rozkaz wykonują.

Oddziały, które atakowały, nie były wielkie - siła ognia nie przytłaczała. Ale większość jej żołnierzy w ogóle nie strzelała. Jak mieli strzelać, skoro nie widzieli celu? A nieprzyjaciel na pewno skoncentrowałby ogień na dowolnej grupie, która próbowałaby zejść z drogi i zaatakować zbocza wzgórz, by przedrzeć się przez ich linie.

O ile mogła to ocenić, jeśli zginął ktokolwiek z żołnierzy przeciwnika, to tylko przypadkiem.

Jestem jak Warus, myślała. Wprowadziłam moich żołnierzy w pułapkę, jak Warus swoje rzymskie legiony, a teraz wszyscy zginiemy. Zginiemy, nie wyrządzając wrogowi żadnej szkody.

O czym ja myślałam? Przecież ten teren jest wręcz stworzony do zasadzki. Czemu

tego nie zauważyłam? Czemu byłam taka pewna, że nieprzyjaciel nie może nas tutaj zaatakować? Jeśli jesteś pewna, że przeciwnik nie może czegoś zrobić, co jednak zniszczy cię, gdyby udało mu się to mimo wszystko, trzeba zaplanować obronę. To elementarne.

Nikt z jeeshu Endera nie popełniłby takiego błędu.

Alai wiedział. Ostrzegał ją od samego początku. Jej żołnierze nie byli gotowi do takiej kampanii. Skończyłaby się rzezią. I oto tutaj giną wokół niej, cała droga zasłana jest poległymi. Jej ludzie zmuszeni są składać w stosy ciała zabitych, by stworzyć jakąś osłonę przed ogniem nieprzyjaciela. Nie warto nawet wydawać im rozkazów, bo nie będą zrozumiane ani wykonane.

A jednak jej ludzie walczyli.

Zadzwonił telefon komórkowy.

Od razu wiedziała, że to wróg - dzwoni, by zaproponować jej kapitulację. Ale skąd zna jej numer?

Czy to możliwe, że jest z nimi Alai?

- Virlomi...

Nie Alai. Ale знаła ten głos.

- Tu Suri.

Suriyawong... Czyżby to byli żołnierze WLZ? Albo tajscy? Ale jak mogli tajscy żołnierze przedostać się przez Birmę i aż tutaj?

Wcale nie Chińczycy... Dlaczego dopiero teraz wszystko jest takie oczywiste? Czemu nie rozumiała tego wcześniej, kiedy Alai ją ostrzegał? W prywatnych rozmowach Alamandar przekonywał, że wszystko się uda, bo Rosjanie całkowicie zaangażują chińską armię na północy. Przed którąkolwiek ofensywą Han Tzu spróbuje się bronić, ta druga przetoczy się przez Chiny. A jeśli spróbuje walczyć na obu frontach, wtedy każda ze stron zniszczy wysłaną przeciw sobie część jego armii.

Żadne z nich nie przewidziało, że Han Tzu równie łatwo jak oni może sobie znaleźć sojuszników.

Suriyawong, którego miłość odrzuciła. Miała wrażenie, że minęło już wiele lat... Byli wtedy dziećmi. Czy teraz się mścił, bo wyszła za Alai, nie za niego?

- Słyszysz mnie, Vir?

- Tak - potwierdziła.

- Wolałbym raczej wziąć twoich ludzi do niewoli - oświadczył. - Nie chcę spędzić całego dnia na dobijaniu ich.

- Więc przestań.

- Nie poddadzą się, dopóki ty walczysz. Czczą cię. Umierają dla ciebie. Powiedz, żeby złożyli broń i niech ocaleli wrócą do swoich rodzin, kiedy wojna się skończy.

- Mam powiedzieć Hindusom, żeby poddali się Syjamczykom?

I natychmiast pożałowała tych słów. Kiedyś troszczyła się przede wszystkim o życie swoich ludzi. Teraz nagle odkryła, że przemawia przez nią urażona duma.

- Vir - powiedział Suri. - Oni giną po nic. Ratuń im życie. Przerwała połączenie. Rozejrzała się. Ci z żołnierzy, którzy pozostali przy życiu, kulili się za stosami poległych towarzyszy, szukali jakiegoś celu między drzewami na zboczach... i nie znajdowali żadnego.

- Przestali strzelać - zauważył jeden z pozostałych jeszcze oficerów.

- Dość już zginęło z powodu mojej dumy - rzekła Virłomi. - Niech zabici mi wybaczą. Przeżyję tysiące żywotów, by odpracować ten jeden dzień głupoty i próżności. - Podniosła głos. - Złóżcie broń! Virłomi nakazuje: rzućcie broń i wstańcie z rękami w górze! Dość zabijania! Rzućcie broń!

- Zginiemy za ciebie, Matko Indii! - zawołał któryś z ludzi.

- *Satyagraha*! - zawołała Virłomi. - Znieśmy to, co znieść trzeba! A dzisiaj musimy znieść kapitulację! Matka Indii nakazuje wam żyć, byście mogli powrócić do domów, pocieszyć swe żony, spłodzić dzieci, zaleczyć te straszne rany, jakie dzisiaj wyrwano w sercu Indii!

Niektóre słowa i cały sens jej poleceń przekazano w górę i w dół szlaku trupów.

Dała przykład, podnosząc ręce i przechodząc pomiędzy zwałami ciał na otwartą przestrzeń. Oczywiście nikt do niej nie strzelił, bo przecież nie strzelał od początku bitwy. Ale po chwili dołączyli inni. Stawali rzędami po tej samej stronie muru trupów, którą ona wybrała. Broń zostawiali za sobą.

Spomiędzy drzew po obu stronach drogi wyszli czujni tajscy żołnierze z karabinami gotowymi do strzału. Byli złani potem i dopiero teraz opuszczało ich podniecenie walką.

Virłomi odwróciła się. Zza drzew po drugiej stronie wyszedł Suriyawong. Przeszła znowu między trupami żołnierzy, by spotkać go na trawie przy drodze. Zatrzymali się o trzy kroki od siebie.

Wskazała gestem drogę.

- No tak... Oto twoje dzieło.

- Nie, Virłomi - odparł ze smutkiem. - Twoje.

- Tak - przyznała. - Wiem.

- Pójdiesz ze mną i przekażesz dwóm pozostałym armiom, żeby zaprzestały walki? Poddadzą się tylko wtedy, kiedy ty im to powiesz.

- Dobrze. Teraz?

- Zadzwoń i zobaczmy, czy posłuchają. Gdybym spróbował cię teraz stąd zabrać, twoi żołnierze znowu chwycą za broń, żeby mnie powstrzymać. Z jakiegoś powodu nadal cię wielbią.

- W Indiach oddajemy cześć Niszczycielowi, nie tylko Wisznu i Brahmie.

- Ale nie wiedziałem, że ty służysz Sziwie.

Nie miała na to odpowiedzi. Sięgnęła po telefon komórkowy i przeprowadziła rozmowy.

- Postarają się skłonić ludzi, by przestali walczyć.

Milczeli przez chwilę. Słyszała krótkie polecenia tajskich żołnierzy, którzy dzielili jej ludzi na niewielkie grupy i prowadzili w głąb doliny.

- Nie spytasz o męża? - zdziwił się Suri.

- A co z nim?

- Taka jesteś pewna, że twoi muzułmańscy współspiskowcy go zabili?

- Nikt nie miał zamiaru go zabijać - odparła. - Mieli go tylko uwięzić do zwycięstwa.

Suri roześmiał się gorzko.

- Od tak dawna walczysz z muzułmanami, Vir, i wciąż ich nie rozumiesz? To nie szachy. Osoba króla nie jest nietykalna.

- Nigdy nie planowałam jego śmierci.

- Odebrałaś mu władzę. Próbował powstrzymać cię przed tym, co dzisiaj zaszło, a ty spiskowałaś przeciwko własnemu mężowi. Był lepszym przyjacielem Indii niż ty kiedykolwiek. - Głos łamał mu się z pasji.

- Nie możesz powiedzieć mi nic okrutniejszego niż to, co sama teraz sobie mówię.

- Ta dziewczyna, Virłomi... taka dzielna i mądra, czy nadal istnieje? Czy może bogini zniszczyła ją także?

- Bogini już nie ma - stwierdziła Virłomi. - Pozostała tylko głupia kobieta i morderczyni.

Zatrzeszczała krótkofalówka, którą miał u pasa. Ktoś powiedział coś po tajsku.

- Chodź teraz ze mną, Virłomi. Jedna armia się poddała, ale w drugiej żołnierze zastrzelili oficera, z którym rozmawiałaś, kiedy próbował wydać im rozkaz kapitulacji.

Zbliżył się helikopter. Wylądował. Wsiedli.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Suriyawong, kiedy byli już w powietrzu.

- Jestem twoim jeńcem. Co ty zrobisz?

- Jesteś jeńcem Petera Wiggina. Tajlandia przystąpiła do Wolnych Ludów Ziemi.

Wiedziała, jak Suriyawong musi to przeżywać. Tajlandia... nawet nazwa oznaczała „kraj wolnych”. Nowy „naród” Petera przyjął nazwę ojczyzny Suriyawonga. A teraz ta ojczyzna nigdy już nie będzie suwerenna. Zrezygnowali ze swojej niezależności. Peter Wiggin zostanie władcą wszystkich.

- Przykro mi - powiedziała.

- Przykro? Bo moi rodacy będą wolni w swoich granicach i skończą się wojny?

- A co z moimi rodakami?

- Nie wrócisz do nich - uprzedził Suri.

- Jak bym mogła, nawet gdybyś mi pozwolił? Jak mogłabym spojrzeć im w oczy?

- Miałem nadzieję, że przynajmniej oni spojrzą w twoje. Na widzie. Że pomożesz naprawić część szkód, jakie dzisiaj spowodowałaś.

- Co mogłabym w ogóle powiedzieć czy zrobić?

- Oni nadal cię wielbią. Jeśli teraz znikniesz, jeśli już nigdy o tobie nie usłyszą, przez najbliższe sto lat Indie będą nie do opanowania.

Virlomi odpowiedziała mu szczerze:

- Indie zawsze były nie do opanowania.

- Więc będą trudniejsze do opanowania niż kiedykolwiek - odparł Suri. - Ale jeśli przemówisz do ludzi, jeśli powiesz...

- Nie każę im poddać się kolejnemu obcemu mocarstwu, nie po tym, jak podbili nas i okupowali najpierw Chińczycy, a potem muzułmanie!

- Jeśli poprosisz ich, żeby głosowali... By sami zdecydowali, czy wolą żyć w pokoju, w ramach Wolnych Ludów...

- I oddać Peterowi Wigginowi zwycięstwo?

- Dlaczego tak się wściekasz na Petera? Co on ci zrobił, poza udzielaniem pomocy w walce o wolność twojego narodu, w każdy możliwy dla siebie sposób?

To prawda. Dlaczego tak się wścieka? Ponieważ ją pokonał.

- Peterowi Wigginowi przysługuje prawo podboju - oświadczył Suriyawong. - Jego żołnierze rozbili twoje wojska w bitwie. Okazał litość, a nie musiał.

- Ty okazałeś...

- Wykonywałem jego instrukcje. On nie chce w Indiach żadnych obcych okupantów. Chce, żeby muzułmanie się wycofali. Żeby tylko Hindusi rządili Hindusami. Wstąpienie do WLZ to właśnie znaczy. Wolne Indie. Ale Indie, które nie potrzebują, a zatem nie mają sił zbrojnych.

- Kraj bez armii jest niczym - stwierdziła Virlomi. - Każdy nieprzyjaciół może go

zniszczyć.

- Na tym polega praca Hegemona. Aby niszczyć agresorów, dzięki czemu pokojowo myślące narody mogą zachować wolność. Indie były agresorem. Pod twoim przywództwem Indie były najeźdźcą. Teraz, zamiast karać twój lud, proponuje mu wolność i ochronę, jeśli tylko złoży broń. Czy to nie jest *satyagraha*, Vir? Zrezygnować z czegoś, co dawniej wydawało się cenne, ponieważ teraz służysz ważniejszej sprawie?

- Nie będziesz mnie uczył, na czym polega *satyagraha*.

- Posłuchaj arogancji w swoim głosie, Vir.

Speszona odwróciła wzrok.

- Uczę cię, na czym polega *satyagraha*, ponieważ żyłem nią od lat. Głęboko ukrywałem swe myśli, żeby właśnie mnie zaufał Achilles w chwili, kiedy mogłem go zdradzić i uratować przed nim świat. Pod koniec nie pozostała mi już duma ani godność. Żyłem w bagnie przez... przez wieczność. Ale Groszek przyjął mnie z powrotem i zaufał mi. A Peter Wiggin zachowywał się tak, jakby od początku wiedział, jaki jestem naprawdę. Przyjęli moją ofiarę. A teraz ciebie proszę, Vir, o twoją ofiarę. Twoją *satyagraha*. Kiedyś złożyłaś wszystko na ołtarzu Indii. Potem twoja pycha niemal zniszczyła wszystko, co zdołałaś osiągnąć. Pytam cię teraz: Czy pomożesz swojemu ludowi żyć w pokoju, w jedyny sposób, w jaki da się osiągnąć pokój na tym świecie? Przyłączając się do Wolnych Ludów Ziemi?

Czuła, jak łzy spływają jej po twarzy.

Jak tamtego dnia, kiedy nagrywała wideo z rzezi.

Tylko że dzisiaj to ona sprowadziła śmierć na indyjskich chłopców. Przyszli tu ginąć, bo ją kochali i jej służyli. Była coś winna ich rodzinom.

- Jeśli cokolwiek pomoże mojemu ludowi żyć w pokoju - szepnęła - uczynię to.

25

Listy

From: Groszek@Gdziekolwiekulichajestem
To: Graff%pilgrimage@colmin.gov
Subject: Naprawdę to zrobiliśmy?

Nie mogę uwierzyć, że wciąż trzymacie moje połączenie z siecią. Teraz przez ansibla, skoro poruszamy się już z prędkością relatywistyczną.

Dzieci czują się tu dobrze. Mają dość miejsca, żeby raczkować. Biblioteka jest dostatecznie duża, więc raczej nie braknie im ciekawych lektur i widów na... tygodnie. Bo miną tylko tygodnie, prawda?

Zastanawiam się, czy naprawdę tego dokonaliśmy. Czy zrealizowałem wasz cel? Patrzę na mapę i nadal nie widzę, żeby wynik był nieunikniony. Han Tzu wygłosił swoją mowę pożegnalną, tak jak Vlad, Alai i Virłomi. Czuję się trochę oszukany. Oni

mieli szansę, żeby pożegnać się ze światem, zanim zniknęli wśród nocy. Chociaż z drugiej strony oni mieli narody, które powinni przekonać. A ja nigdy właściwie nie miałem nikogo, kto by szedł za mną. Nigdy nie chciałem. To jest właśnie to, jak sądzę, co odróżniało mnie od reszty jeeshu: jako jedyny nie marzyłem, żeby być Enderem.

No więc popatrz na mapę, Hyrum. Czy kupią projekt Hana, żeby podzielić Chiny na sześć narodów, które potem wszystkie przyłączą się do Wolnych Ludów? Czy zostaną zjednoczeni i też się przyłączą? Albo poszukają następnego cesarza? Czy Indie jakoś się pozbierają po upokorzeniu klęski Virłomi? Czy postąpią według jej rady i wstąpią do WLZ? Nic nie jest przesądzone, a ja musiałem odejść.

Wiem, zawiadomisz mnie przez ansibla, gdyby działo się coś ciekawego. W pewien sposób nie dbam o to. Nie będzie mnie tam, nie mam na to żadnego wpływu.

W innym sensie dbam o to nawet mniej. Bo nigdy mi na tym nie zależało.

A jednak martwię się o to całym sercem. Bo tam została Petra i te dzieci, których naprawdę pragnałem – te bez żadnych defektów. Ze sobą mam tylko kaleki. I obawiam się, że umrę, zanim zdążę cegokolwiek je nauczyć.

Nie wstydz się, kiedy zobaczysz, że twoje życie dobiega już końca, a wciąż nie znaleźliście dla mnie lekarstwa. Nigdy nie wierzyłem w lekarstwo. Uznałem, że szansa jest wystarczająca, by wykonać skok w noc, a będzie lekarstwo czy nie, na pewno nie chciałem, żeby moje zdefektowane dzieci żyły wystarczająco długo, by powtórzyć mój błąd i reprodukować się, pokolenie za pokoleniem podtrzymywać tę straszliwą klątwę. Cokolwiek się

zdarzy, tak jest dobrze.

Czasem się zastanawiam, co by było, gdyby siostra Carlotta miała rację. A jeśli Bóg czeka na mnie z otwartymi ramionami? Wtedy wszystkie moje starania odsuwają tylko to spotkanie. Myślę o tym, jak będzie wyglądało. Czy będzie podobne do spotkania z moim ojcem i matką? (O mało co nie napisałem: z rodzicami Nikolaia). Lubiłem ich. Chciałem ich pokochać. Ale wiedziałem, że to Nikolai jest dzieckiem, które urodziła, dzieckiem, które wychowali. A ja... przyszedłem znikąd. Dla mnie ojcem była mała dziewczynka nazywana Buch, a matką siostra Carlotta – i obie nie żyją. Więc kim są właściwie tamci ludzie? Czy spotkanie z Bogiem okaże się właśnie takie? Czy prawda mnie rozczaruje, bo przyzwyczaiłem się do substytutów, które mi dotąd wystarczały?

Podoba ci się to, Hyrum, czy nie, ale to ty byłeś Bogiem w moim życiu. Nie zapraszałem cię. Nawet cię nie lubiłem, ale ty ciągle się wtrącałeś. A teraz wysłałeś mnie w ciemność poza światem, z obietnicą zbawienia. I nie wierzę, że zdołasz tę obietnicę spełnić. Ale ty przynajmniej nie jesteś obcy. Znam cię. I sądzę, że szczerze chciałeś jak najlepiej. Gdybym miał wybierać między wszechmocnym Bogiem, który pozostawia świat w takiej sytuacji, i Bogiem, który ma tylko odrobinę mocy, ale naprawdę się troszczy i próbuje coś poprawić, za każdym razem wybrałbym ciebie. Baw się w Boga dalej, Hyrum. Nie wychodzi ci to źle. A czasem robisz mniej więcej to, co należy.

Dlaczego to wszystko piszę? Możemy emailować do siebie, kiedy tylko przyjdzie nam ochota. Chodzi o to, że tutaj nic się nie wydarzy, więc nie będę miał ci o czym opowiadać. A nic, co ty mi powiesz, nie będzie dla mnie aż takie ważne – tym mniej, im dalej znajdę się od Ziemi. Więc pora jest odpowiednia na mowy pożegnalne.

Mam nadzieję, że Peterowi uda się zjednoczyć świat w pokoju. Sądzę, że wciąż ma przed sobą kilka dużych wojen.

Mam nadzieję, że Petra wyjdzie za mąż. Gdyby spytała cię, co myślisz, przekaż jej, że powiedziałem: chcę, żeby moje dzieci miały ojca. Nie jakąś na wpół zapomnianą legendę ojca, ale prawdziwego. Więc jeśli tylko wybierze kogoś, kto będzie je kochał i mówił, że dobrze się spisują, niech to zrobi. I niech będzie szczęśliwa.

Mam nadzieję, że dożyjesz chwili, kiedy zobaczysz rozwijające się kolonie i ludzkość rozkwitającą na innych planetach. To dobre marzenie.

Mam nadzieję, że Buch i siostra Carlotta będą na mnie czekały, kiedy umrę. Siostra Carlotta będzie mogła mi powiedzieć: A nie mówiłam? A ja im powiem, jak mi przykro, że nie potrafiłem ich ocalić, po wszystkich tych kłopotach, jakie przeszły, by ocalić mnie.

Dość. Pora uruchomić regulator grawitacji i wyprowadzić tę łódź na morze.

From: Graff%pilgrimage@colmin.gov

To: Groszek@Gdziekolwiekulichajestem

Subject: Zrobiłeś dosyć

Zrobiłeś dosyć, Groszku. Miałeś niewiele czasu, a tak dużą jego część poświęciłeś na pomoc Peterowi, mnie i Mazerowi. Cały ten czas mógł należeć do ciebie, Petry i dzieci. Dość już zrobiłeś. Od tego miejsca Peter może radzić sobie sam.

Co do sprawy z Bogiem – nie sądzą, żeby prawdziwy Bóg miał tak marne wyniki, jak ci się wydaje. Pewnie, wielu ludzi miało

paskudne życie – w jakiejś mierze. Ale nie przychodzi mi do głowy nikt, komu byłoby trudniej niż tobie. A popatrz, kim się stałeś. Nie chcesz przypisywać zasługi Bogu, bo nie wierzysz, że istnieje. Ale jeśli zamierzasz mieć do niego pretensje o całe to gówno, musisz też docenić go za to, co wyrasta z użyźnionej gleby.

To, co mówiłeś o Petrze, która powinna znaleźć prawdziwego ojca dla waszych dzieci... Wiem, że nie o siebie ci chodziło. Ale muszę to powiedzieć, ponieważ to prawda, a ty zasłużyłeś, żeby tego wysłuchać.

Groszku, jestem z ciebie dumny. Jestem dumny z siebie, ponieważ poznałem się na tobie. Pamiętam, jak siedziałem tam zaraz po tym, kiedy odkryłeś, co się naprawdę dzieje w wojnie z robalami. Co ja mam zrobić z tym dzieciakiem? Nie utrzymamy przed nim tajemnicy.

I postanowiłem: Zaufam mu.

Nie zawiodłeś mojego zaufania. Przekroczyłeś wszelkie oczekiwania. Jesteś wielki duchem. Mogłeś patrzeć na mnie z góry długo przed tym, zanim wyrosłeś taki wysoki.

Dobrze się spisałeś.

Plebiscyt się zakończył i Rosja przystąpiła do WLZ. Liga Islamska się rozpadła, a większość agresywnych krajów została pokonana. Na razie Armenia była bezpieczna.

Petra odesłała swoich żołnierzy do domów - tymi samymi cywilnymi pociągami, które dostarczyły ich do Moskwy.

Zajęło jej to rok.

W tym czasie tęskniła za dziećmi. Ale nie mogła znieść myśli, że je zobaczy. Nie zgadzała się, żeby je do niej przywieziono. Odmawiała nawet krótkiego urlopu, żeby je odwiedzić.

Wiedziała bowiem, że kiedy wróci do domu, zostanie tam tylko pięcioro. A tych dwojga, które poznała najlepiej, a zatem kochała najbardziej, już nie zobaczy.

Wiedziała, że musi jakoś stawić czoło życiu bez Groszka.

Dlatego szukała sobie zajęć - a nie brakowało ważnych zadań do wykonania. Powtarzała sobie: w przyszłym tygodniu wezmę urlop i polecę do domu.

A potem przyjechał do niej ojciec i prośbą i groźbą utorował sobie drogę przez adiutantów i urzędników, którzy odgradzali ją od zewnętrznego świata. Prawdę mówiąc, byli chyba zadowoleni, że go widzą i mogą przepuścić. Ponieważ Petra była nie do wytrzymania i budziła lęk w całym swoim otoczeniu.

Ojciec dotarł do niej i oznajmił tonem twardym jak stal:

- Wychodzimy stąd.

- O czym ty mówisz?

- Matka i ja straciliśmy połowę twojego dzieciństwa, bo nam ciebie zabrali. Ty sama kradniesz sobie najpiękniejszy okres życia swoich dzieci. Dlaczego? Czego się boisz? Jesteś wybitnym żołnierzem, a dzieci budzą w tobie strach?

- Nie mam ochoty na tę rozmowę. Jestem dorosła. Sama podejmuję decyzje.

- Nigdy nie wyrośniesz na tyle, by przestać być moją córką.

Stanął nad nią i na moment ogarnął ją dziecięcy lęk, że zaraz... zaraz... da jej klapsa. Ale on tylko objął ją ramionami i przytulił do siebie. Mocno.

- Udusisz mnie, tato.

- Czyli to działa.

- Poważnie...

- Dopóki nie brakuje ci tchu, żeby się ze mną kłócić, moja misja nie jest zakończona.

Roześmiała się.

Wypuścił ją z objęć, ale nadal trzymał dłonie na jej ramionach.

- Pragnęłaś tych dzieci. I miałaś rację. A teraz chcesz ich unikać, bo się boisz, że nie zniesiesz żalu po tych, których nie ma. Więc mówię ci, że się mylisz. Wiem. Ponieważ byłem ze Stefanem przez wszystkie te lata, kiedy ty odeszłaś. Nie chowałem się przed nim tylko dlatego, że nie miałem ciebie.

- Wiem, że masz rację - zapewniła Petra. - Myślisz, że jestem głupia? Przecież nie postanowiłam, że nie chcę ich widzieć. Tylko cały czas to odkładałam.

- Twoja matka i ja pisaliśmy do Petera i błagaliśmy, żeby rozkazał ci wracać. Odpowiedział tylko: Przyjdzie, kiedy nie będzie już mogła tego znieść.

- I nie mogliście go posłuchać? Jest Hegemonem całego świata.

- Jeszcze nawet nie połowy - stwierdził ojciec. - Poza tym może sobie być hegemonem narodów, ale nie ma władzy w mojej rodzinie.

- Dziękuję, że przyjechałeś, tato. Jutro demobilizuję wojsko i odsyłam ludzi do domów przez granice, na których nie potrzebują paszportów, bo wszystko jest teraz terytorium Wolnych Ludów Ziemi. Czegoś dokonałam, siedząc tutaj. Ale skończyłam. I tak miałam wracać. Ale teraz wrócę, bo mi kazałeś. Widzisz? Naprawdę chcę być posłuszna, jeśli tylko każesz mi robić coś, co i tak chciałam zrobić.

* * *

Wolne Ludy Ziemi miały teraz cztery stolice - do Kiyagi, Rotterdamu i Blackstream doszedł Bangkok. Ale to w Blackstream - Ribeirao Preto - mieszkał Hegemon. I tam właśnie Peter polecił przewieźć dzieci. Nie pytał jej o zgodę i wściekła się, kiedy ją o tym poinformował. Ale sama była zajęta w Rosji, a Peter powiedział, że Rotterdam nie jest dla niej domem, i dla niego też nie, i że do domu właśnie wraca, więc zabiera dzieci tam, gdzie może dopilnować, by miały właściwą opiekę.

Dlatego teraz wróciła do domu do Brazylii. I czuła się z tym dobrze. Moskiewskie mrozy były koszarne, gorsze nawet niż w Armenii. Poza tym lubiła Brazylię, rytm życia, chłopców grających w piłkę na ulicach i to, jak ludzie nigdy nie byli do końca ubrani, i melodię portugalskiego dobiegającą z pobliskich barów, i batuque, sambę, śmiechy i ostry zapach pingi.

Część drogi przejechała taksówką, ale potem zapłaciła kierowcy, kazała dostarczyć bagaż do osiedla, a sama poszła dalej pieszo. Nie planując tego właściwie, znalazła się przed małym domkiem, gdzie mieszkali z Groszkiem.

Dom się zmienił. Po chwili uświadomiła sobie: połączono go z sąsiednim, dobudowując kilka pokoi między nimi i burząc mur dzielący ogrody. Teraz był to jeden spory budynek.

Szkoda. Nie potrafią zostawić niczego w spokoju.

A potem zobaczyła nazwisko na małej tabliczce w murze obok bramy.

Delphiki.

Otworzyła furtkę, nie klaszcząc i nie czekając na zaproszenie. Już wiedziała, co się stało, ale nie mogła uwierzyć, że Peter zadał sobie tyle trudu.

Otworzyła drzwi, weszła do środka i...

W kuchni stała matka Groszka. Przygotowywała coś z dużą ilością oliwek i czosnku.

- Oj... - powiedziała Petra. - Przepraszam. Nie wiedziałam, że... Myślałam, że jesteście w Grecji.

Uśmiech na twarzy pani Delphiki wystarczył za odpowiedź.

- Ależ oczywiście. No wejdź, przecież ty tu mieszkasz. Ja jestem gościem. Witaj w domu!

- Przyjechaliście... Jesteś tu, żeby opiekować się dziećmi?

- Pracujemy teraz dla WLZ. I przylecieliśmy w związku z pracą. Ale nie mogłam wytrzymać bez wnuków. Wzięłam urlop. Teraz gotuję, zmieniam brudne pieluchy i wrzeszczę na *empregadas*.

- Gdzie są...?

- Poobiednia drzemka - wyjaśniła pani Delphiki. - Ale mogę się założyć, że mały Andrew tylko udaje. Nigdy nie zasypia. Ile razy do niego zajrzę, powieki ma odrobinę uchylone.

- Nie poznają mnie - zmartwiła się Petra.

Matka Groszka tylko machnęła ręką.

- Oczywiście, że nie. Ale myślisz, że będą o tym pamiętać? Nie pamięta się nic przed trzecim rokiem życia.

- Tak się cieszę, że tu jesteś... Czy on... Czy się z wami pożegnał?

- Nie był sentymentalny - odparła pani Delphiki. - Ale owszem, zadzwonił do nas. I przysłał nam miłe listy. Myślę, że Nikolai odczuł to mocniej niż my, bo znał go lepiej. No wiesz, ze Szkoły Bojowej. Ale Nikolai się ożenił, wiedziałaś? Więc już niedługo doczekamy się może następnego wnuka. Nie to, żebyśmy narzekali. Ty i Julian naprawdę świetnie się spisaliście, jeśli o nas chodzi.

- Czy jeżeli będę bardzo cicho i ich nie obudzę, mogę tam zajrzeć?

- Rozdzieliliśmy je na dwa pokoje. W jednym jest Andrew z Bella, bo on nigdy nie śpi, a ona potrafi przespać wszystko. Julian, Petra i Ramon śpią w drugim. Trzeba im zasłaniać okno. Ale gdybyś je obudziła, nic się nie stanie. W łódeczkach mają opuszczone boki, bo i tak stale wychodzą.

- Już chodzą?

- Biegają. Wspinają się. Spadają z różnych rzeczy. Mają już ponad rok! To normalne dzieci!

Petra z trudem się opanowała, bo te słowa przypomniały jej o dzieciach, które normalne nie były. Ale pani Delphiki nie o to chodziło i nie było powodów, by za tę przypadkową uwagę karać ją łzami.

A więc ta dwójka, która nosiła imiona najmocniej opłakiwanych dzieci, spała w jednym pokoju. Miała chyba dość odwagi, by do nich zajrzeć... A zatem tam poszła najpierw.

Nic w tych dzieciach nie przypominało jej utraconych. Były takie duże... Już nie noworodki. I rzeczywiście, Andrew miał otwarte oczy. Odwrócił głowę i popatrzył na nią.

Uśmiechnęła się do niego.

Zamknął oczy i udawał, że śpi.

No cóż, dajmy mu spokój. Niech sam zdecyduje, co o mnie myśli. Nie będę wymagać, żeby mnie kochały, skoro mnie nawet nie znają.

Podeszła do łóżeczka Belli. Dziewczynka spała mocno; wilgotne czarne loki przylegały jej do skóry. Genetyczne dziedzictwo Delphikich było takie skomplikowane... U Belli naprawdę ujawniły się afrykańskie korzenie Groszka. Natomiast Andrew wyglądał jak Ormianin, kropka.

Dotknęła kosmyka włosów Belli, ale mała nawet nie drgnęła. Policzek miała gorący i spocony.

Jest moja, pomyślała Petra.

Odwróciła się i zobaczyła, że Andrew siedzi w łóżeczku i przygląda się jej z powagą.

- Hej, mama - powiedział.

Nie mogła złapać tchu.

- Skąd mnie znasz?

- Obrazek - wyjaśnił.

- Chcesz wstać?

Spojrzał na zegar, stojący na szafce.

- Nie pora.

To mają być normalne dzieci?

Tyle że skąd pani Delphiki ma wiedzieć, co jest normalne? Nikolai przecież też nie był głuptasem.

Choć Andrew i Bella nie byli aż tak rozwinięci. Oboje nosili pieluchy.

Petra podeszła do Andrew i wyciągnęła rękę. Czy ja go uważam za pieska, że podaję mu rękę do obwąchania?

Andrew złapał dwa jej place, tylko na chwilę, jakby chciał się upewnić, że jest prawdziwa.

- Hej, mama.

- Mogę cię pocałować?

Odwrócił do niej twarz i wysunął wargi. Pochyliła się i pocałowała go.

Dotyk jego dłoni. Ten całus. Kosmyk włosów na policzku Belli. Na co ona czekała? Czego się bała?

Głupia. Byłam głupia.

Andrew położył się i zamknął oczy. Tak jak uprzedzała pani Delphiki, to było absolutnie niewiarygodne. Widziała białka pod jego uchylonymi powiekami.

- Kocham cię - szepnęła.

- Też cię kocham - wymamrotał.

Petra był zadowolona, że ktoś powtarzał mu te słowa dostatecznie często, by odpowiedź padała odruchowo.

Przeszła przez korytarz do drugiego pokoju. Tu było znacznie ciemniej. Nie widziała tak dobrze, by odważyć się wejść. Dopiero po chwili oczy przyzwyczyły się do mroku i dostrzegła trzy łóżeczka.

Czy pozna Ramona, kiedy go zobaczy?

Ktoś poruszył się po lewej stronie. Była zaskoczona i była żołnierzem. W jednej chwili stanęła w pozycji obronnej, gotowa do skoku.

- To tylko ja - szepnął Peter Wiggin.

- Nie musiałeś przychodzić i...

Uniósł palec do warg. Potem podszedł do ostatniego łóżeczka.

- Ramon - szepnął.

Zbliżyła się i stanęła nad dzieckiem.

Peter wyciągnął rękę i pokazał jej coś. Papier.

- Co to jest? - spytała szeptem. Wzruszył ramionami.

Jeśli nie wiedział, co to takiego, po co jej pokazywał? Wyjęła to coś spod Ramona. Koperta, ale nie zawierała zbyt wiele.

Peter delikatnie wziął Petrę za łokieć i pokierował do drzwi.

- Nie przeczytasz przy tym świetle - powiedział cicho, kiedy byli już w korytarzu. - A gdy Ramon się obudzi, będzie tego szukał i bardzo się rozzłości, kiedy nie znajdzie.

- A co to takiego?

- Papier Ramona. Petro, Groszek włożył tu tę kopertę przed odlotem. To znaczy nie tu, oczywiście. To było w Rotterdamie. Ale wsunął ją Ramonowi za pieluchę, kiedy mały spał. Miałas ją tam znaleźć. Więc Ramon miał ją przy sobie każdego dnia swego życia. Tylko dwa razy ją obsiusiał.

- Od Groszka.

Ze wszystkich emocji najlepiej radziła sobie z gniewem.

- Wiedziałaś, że to napisał i...

Peter wciąż ją prowadził z korytarza do salonu.

- Nie prosił o dostarczenie ani mnie, ani nikogo innego. Chyba że liczysz Ramona. Dał ją Ramonowej pupie.

- Ale kazałeś mi czekać rok, zanim...

- Nikt nie sądził, że potrwa to aż rok, Petro.

Powiedział to łagodnie, ale prawda w jego słowach zakłuła. Zawsze potrafił ją ukłuć i nigdy się przed tym nie cofał.

- Zostawię cię samą, żebyś mogła przeczytać - dodał.

- Chcesz powiedzieć, że nie zjawieś się tu na moje powitanie, żeby się dowiedzieć, co tam jest?

- Petro... - Pani Delphiki stanęła w drzwiach. Wydawała się nieco zaszokowana. - Peter nie przyszedł tu dla ciebie. Przychodzi cały czas.

Petra spojrzała na niego, a potem znów na panią Delphiki.

- A po co?

- One po prostu go uwielbiają. Kładzie je do snu. Słuchają go o wiele bardziej niż mnie.

Myśl o tym, że Hegemon Ziemi przychodzi bawić się z jej dziećmi, wydała się dziwaczna. A potem gorzej niż dziwaczna - całkiem niesprawiedliwa.

- Przychodzisz do mojego domu i bawisz się z moimi dziećmi? Nie okazał żadnej reakcji, ale też się nie cofnął.

- To świetne dzieciaki.

- Może pozwól, żebym sama się o tym przekonała, co? Sama to odkryła.

- Nikt cię nie powstrzymuje.

- Ty mnie powstrzymywałeś! Ja męczyłam się dla ciebie w Moskwie, a ty tutaj bawiłeś się z moimi dziećmi!

- Proponowałem, że ci je przywiozę.

- Nie chciałam ich w Moskwie. Miałam mnóstwo pracy!

- Proponowałem ci urlop, żebyś mogła wrócić do domu. Niejeden raz.

- Miałam pozwolić, żeby cała moja praca poszła na marne?

- Petro - wtrąciła pani Delphiki. - Peter był bardzo dobry dla twoich dzieci. I dla mnie. A ty zachowujesz się bardzo źle.

- Nie, pani Delphiki - sprzeciwił się Peter. - Tylko trochę źle. Petra jest wyszkolonym żołnierzem i fakt, że jeszcze stoję na nogach...

- Nie nabijaj się ze mnie! - Petra wybuchnęła płaczem. - Straciłam rok życia moich dzieci, i to wyłącznie z własnej winy. Myślisz, że tego nie wiem?

Z sypialni dobiegł płacz dziecka.

Pani Delphiki przewróciła oczami i wyszła ratować to, co wymagało ratunku.

- Robiłaś, co musiałaś - rzekł Peter. - Nikt cię nie krytykuje.

- Ale ty mogłeś poświęcać czas moim dzieciom.

- Nie mam własnych - zauważył.

- I to moja wina?

- Chciałem tylko powiedzieć, że miałem czas. I... byłem to winien Groszkowi.

- Jesteś mu winien o wiele więcej.

- Ale to jest coś, co mogłem zrobić.

Nie chciała, żeby Peter Wiggin grał rolę ojca w życiu jej dzieci.

- Petra, jeśli zechcesz, przestanę. Będą pytać, czemu nie przychodzę, a potem zapomną. Jeśli nie chcesz mnie tu oglądać, zrozumieć. To dom twój i Groszka, nie chcę się narzucać. I owszem, chciałem tu być, kiedy otworzysz tę kopertę.

- Co w niej jest?

- Nie wiem.

- Nie kazałeś któremuś z tych twoich typów otworzyć jej nad parą?

Peter zrobił tylko zirytowaną minę.

Wróciła pani Delphiki z Ramonem na rękach. Chłopiec chlipał i powtarzał:

- Mój papier...

- Powinienem to przewidzieć - mruknął Peter. Petra pokazała małemu kopertę.

- Tutaj jest.

Ramon wyciągnął rączkę. Petra oddała mu kopertę.

- Psujesz go - zauważył Peter.

- To twoja mama, Ramon - oznajmiła pani Delphiki. - Karmiła cię, kiedy byłeś malutki.

- On jeden mnie nie gryzł, zanim...

Nie wiedziała, jak zakończyć to zdanie, nie wspominając przy tym o Groszku i dwójce pozostałych dzieci, które musiały przejść na stałe pokarmy, ponieważ tak nieprawdopodobnie wcześnie miały ząbki...

Pani Delphiki nie rezygnowała.

- Pokaż mamie swój papier, Ramon.

Ramon mocniej przycisnął kopertę. Dzielenia się nie było jeszcze w programie.

Peter odebrał mu kopertę i wręczył Petrze. Ramon natychmiast zaniósł się płaczem.

- Oddaj mu ją - powiedziała Petra. - Czekałam już tak długo... Peter wsunął palec w

róg, rozerwał kopertę i wyjął pojedynczą kartkę papieru.

- Jeśli pozwolisz im stawiać na swoim tylko dlatego, że płaczą, wychowasz zgraję samolubnych beks, z którymi nikt nie wytrzyma.

Wręczył jej list, a kopertę oddał Ramonowi, który uspokoił się natychmiast i zaczął badać odmieniony skarb.

Petra trzymała list i ze zdumieniem odkryła, że pismo drży. To znaczy, że ręka jej się trzęsie. A przecież wcale tego nie czuła.

I nagle Peter trzymał ją za ramiona, usadzał na sofie, a nogi jakoś nie mogły jej utrzymać.

- Spokojnie, usiądź tutaj, to szok, zaraz minie...

- Chcesz jeść? - zapytała pani Delphiki Ramona, który usiłował wsunąć do koperty całą rękę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Peter. Petra kiwnęła głową.

- Mam teraz zostawić cię samą, żebyś mogła to przeczytać?

Znowu przytaknęła.

Peter był w kuchni, żegnając się z panią Delphiki i Ramonem, kiedy z korytarza przydreptał Andrew. Zatrzymał się przy wejściu.

- Pora - powiedział.

- Tak, Andrew - zgodziła się Petra. - Już pora.

Patrzyła, jak mały idzie chwiejnie w stronę kuchni. A w chwilę później usłyszała jego głos.

- Mama - oznajmił.

- Masz rację - zgodziła się pani Delphiki. - Mama wróciła do domu.

- Do widzenia, pani Delphiki - powiedział Peter. Petra usłyszała otwierane drzwi.

- Peter, zaczekaj chwilę! - zawołała.

Wrócił, zamknął drzwi. I kiedy zjawił się w salonie, wręczyła mu list.

- Nie mogę tego czytać.

Nie pytał dlaczego. Każdy dureń zauważyłby łzy w jej oczach.

- Chcesz, żebym ci przeczytał?

- Może jakoś dam radę, jeśli to nie jego głos będę słyszeć. Peter rozłożył kartkę.

- Nie jest długi - zauważył.

- Wiem.

Zaczął czytać, niegłośnie, by tylko ona słyszała.

- Kocham cię - powiedział. - Jest jeszcze jedna sprawa, którą zapomnieliśmy

rozstrzygnąć. Nie możemy mieć dwóch par dzieci o tych samych imionach. Dlatego postanowiłem, że tego Andrew, który jest ze mną, będę nazywał „Ender”, bo tym imieniem go nazywaliśmy, kiedy się urodził. A o tym Andrew, który jest z tobą, będę myślał jako o „Andrew”.

Łzy strumieniem ciekły Petrze po policzkach. Z trudem powstrzymywała szloch. Z jakiegoś powodu świadomość, że myślał o takich rzeczach, zanim odszedł, rozdzierała jej serce.

- Mam czytać dalej? - spytał Peter. Przytaknęła.

- A Bellę, która jest z tobą, będziemy nazywać Bella. Ponieważ tę, która jest ze mną, postanowiłem nazywać Carlottą.

Nie wytrzymała. Uczucia, które wzbierały w niej od roku, choć jej podwładni zaczęli już podejrzewać, że ona nie ma żadnych uczuć, teraz zerwały tamy.

Ale tylko na chwilę. Opanowała się szybko i skinęła ręką, by czytał.

- I chociaż nie ma jej przy mnie, tę małą dziewczynkę, której daliśmy imię po tobie, mam zamiar nazywać „Buch”, żeby dzieci nie myliły jej z tobą. Ty nie musisz. Jesteś jedyną Petrą, jaką znam, a Buch powinna mieć kogoś nazwanego na swoją pamiątkę.

Petra nie wytrzymała. Objęła Petera, a on przytulił ją jak przyjaciel. Jak ojciec.

Nic nie mówił. Żadnego „już dobrze” ani „rozumiem”, może dlatego że wcale nie było dobrze, a był dość inteligentny, by wiedzieć, że nie może zrozumieć.

Odezwał się dużo później, ona była o wiele spokojniejsza i cicha, i kolejne dziecko przeszło przed drzwiami, głośno informując:

- Pani płacze.

Usiadła i poklepała Petera po ręku.

- Dziękuję ci. I przepraszam.

- Przykro mi, że ten list nie jest dłuższy - odparł. - Najwyraźniej przyszło mu to do głowy w ostatniej chwili.

- Jest idealny - zapewniła.

- Nawet go nie podpisał.

- To nieważne.

- Ale myślał o tobie i dzieciach. Zadbał o to, żebyś ty i on określali ich tymi samymi imionami.

Kiwnęła głową. Bała się, że znowu zacznie płakać.

- Pójdę już - oświadczył Peter. - Nie wrócę, dopóki mnie nie zaprosisz.

- Przyjdź, kiedy zwykle przychodzisz. Nie chcę, żeby przeze mnie zniknął z domu

ktoś, kogo dzieci pokochały.

- Dziękuję.

Chciała też mu podziękować, za czytanie, i że nie skarżył się, kiedy zalała mu łzami całą koszulę, ale nie była pewna, czy zdoła to powiedzieć, więc tylko kiwnęła głową.

Dobrze, że mogła się wypłakać. Kiedy poszła do kuchni, umyła twarz i usłyszała, jak Petra - Buch - znów mówi „Pani płacze”, zdołała bardzo spokojnie odpowiedzieć:

- Płakałam, bo jestem bardzo szczęśliwa, że was widzę. Tęskniłam za wami. Nie pamiętacie mnie, ale jestem waszą mamą.

- Pokazywaliśmy im twoje zdjęcie rano i wieczorem - oświadczyła pani Delphiki. - Całują je.

- Dziękuję.

- Opiekunki to zaczęły, zanim jeszcze się zjawiłam.

- Teraz sama będę mogła całować moich synków i córeczki - oświadczyła Petra. - Dobrze? Koniec z całowaniem obrazka.

To było dla nich zbyt skomplikowane. Zresztą jeśli chciały jeszcze przez jakiś czas całować zdjęcie, jej nie będzie to przeszkadzać. To tak jak z kopertą Ramona. Nie warto odbierać im czegoś, co nauczyły się cenić.

Ojciec w waszym wieku, pomyślała, radził sobie całkiem sam i próbował nie umrzeć z głodu na ulicach Rotterdamu.

Ale wy wszystkie dogonicie go i wyprzedzicie. Będziecie miały po dwadzieścia lat, skończycie studia, znajdziecie mężów i żony, a on wciąż pozostanie szesnastolatkiem czołgającym się przez czas, gdy jego statek pędzi przez przestrzeń. Kiedy mnie pochowacie, on nie skończy jeszcze siedemnastu. A wasi bracia i siostry wciąż będą małymi dziećmi. Całkiem jakby wcale się nie zmieniały.

Czyli to tak, jakby umarli. Nasi najbliżsi, którzy umierają, też nigdy się nie zmieniają. We wspomnieniach zawsze są w tym samym wieku.

To, co przeżywam, nie jest aż tak wyjątkowe. Jak wiele kobiet owdowiało na wojnie? Jak wiele matek grzebało dzieci, ledwie zdążywszy potrzymać je na rękach? Jestem aktorką w tej samej co wszyscy sentymentalnej komedii, w której po smutnych scenach zawsze następuje śmiech, a po śmiechu łzy.

Dopiero później, kiedy została już sama i położyła się do łóżka, kiedy pani Delphiki poszła do sąsiedniego domu - a właściwie do drugiego skrzydła tego samego budynku - spróbowała jeszcze raz przeczytać list Groszka. To było jego pismo. Spieszył się i miejscami trudno było odczytać litery. A papier był poplamiony - Peter nie żartował, kiedy mówił, że

Ramon siusiał na kopertę.

Potem zgasła światło.

I wtedy coś sobie uświadomiła. Znów zapaliła lampę i sięgnęła po list. Oczy miała zamglone i ledwie widziała pismo, więc może naprawdę zasnęła, a ta myśl ją obudziła.

List zaczynał się: „Jest jeszcze jedna sprawa, którą zapomnieliśmy rozstrzygnąć”.

Ale kiedy Peter go czytał, zaczął od „Kocham cię”.

Musiał szybko przejrzeć list i stwierdzić, że Groszek tego nie napisał. Że to tylko notatka, o której przypomniał sobie w ostatniej chwili. Peter zmartwił się pewnie, że brak tych słów ją zaboli.

Nie mógł wiedzieć, że Groszek nie składał takich oświadczeń na piśmie. Chyba że w podtekście. Bo przecież cały ten list mówił „Kocham cię”...

Znowu zgasła światło, ale nadal trzymała w ręku list. Ostatnią wiadomość dla niej od Groszka.

I kiedy odpływała w sen, inna myśl przemknęła jej przez głowę: Kiedy Peter to mówił, wcale nie czytał.

26

Przemów dla mnie

From: PeterWiggin%hegemon@FreePeopleOfEarth.fp.gov

To: ValentineWiggin%historian@BookWeb.com/AuthorsService

Subject: Gratulacje

Droga Valentine,

przeczytałem siódmy tom i stwierdzam, że jesteś nie tylko znakomitą pisarką (co przecież zawsze wiedzieliśmy), ale też dokładnym badaczem i uczciwym analitykiem. Dobrze znałem Hyruma Graffa i Mazera Rackhama przed śmiercią i uważam, że potraktowałaś ich absolutnie sprawiedliwie. Wątpię, czy dyskutowaliby choć z jednym słowem twojej książki, nawet tam gdzie okazują się nie aż tak doskonali. Zawsze byli uczciwymi ludźmi, nawet kiedy zakłamywali swoje żopy do nieprzytomności. Urząd Hegemona nie ma ostatnio zbyt wiele do roboty. Ostatnie przedsięwzięcia wojskowe, jakie były niezbędne, miały miejsce ponad dziesięć lat temu – końcowy zryw mentalności plemiennej,

który udało nam się zdusić praktycznie samą demonstracją siły.
Od tego

czasu z dziesięć razy próbowałem przejść na emeryturę – nie, czekaj, mówię do historyka... Dwa razy, ale nie wierzą, że mówię poważnie, i dalej trzymają mnie na stanowisku. Czasami nawet proszą o radę, a ja jestem uprzejmy i staram się nie wspominać, jak załatwialiśmy sprawy w pierwszych latach WLZ. Tylko dobre stare Stany Zjednoczone wciąż nie chcą się przyłączyć, ale mam nadzieję, że odpuszczą sobie to swoje „nie wtrącajcie się do nas” i postąpią słusznie. Z badań opinii wynika, że Amerykanie mają już dość bycia jedynym narodem, który nie uczestniczy w światowych wyborach. Może jeszcze przed śmiercią zobaczę cały świat formalnie zjednoczony. A jeśli nawet nie, to i tak mamy pokój na Ziemi.

Petra cię pozdrawia. Szkoda, że nie mogłaś jej poznać, ale tak już jest z podróżami międzygwiazdowymi. Przekaż Enderowi, że Petra jest piękniejsza niż kiedykolwiek – i niech się zapluje z zazdrości. A nasze wnuki są takie zachwycające, że ludzie klaszczą, kiedy wychodzimy z nimi na spacer.

Jeśli już o Enderze mowa... Przeczytałem „Królową Kopca”. Słyszałem o niej już wcześniej, lecz nigdy nie czytałem, dopóki nie dołączyłaś jej na końcu swojego ostatniego tomu – ale przed indeksem, bo inaczej bym jej nie zobaczył.

Wiem, kto ją napisał. Jeśli potrafi mówić dla robali, to potrafi też dla mnie.

Peter

Nie po raz pierwszy Peter żałował, że nie skonstruowano przenośnego ansibla. Oczywiście, nie miało to ekonomicznego sensu. Owszem, zminiaturyzowali go jak się dało,

żeby montować na statkach kosmicznych. Ale ansibl sprawdzał się tylko w komunikacji poprzez pustkę przestrzeni. Oszczędzał godziny przy łączności wewnątrzsystemowej, dziesięciolecia przy łączności z koloniami albo statkami w locie.

To nie była technologia stworzona do pogawędek.

Peterowi pozostało jeszcze kilka przywilejów wynikających z resztek dawnej władzy. Mógł być siedemdziesięciolatkiem - i to, jak często zaznaczał w rozmowach z Petrą, starym siedemdziesięciolatkiem, pradawnym siedemdziesięciolatkiem - ale wciąż był Hegemonem, a tytuł ten oznaczał kiedyś ogromną władzę. Oznaczał śmigłowce szturmowe w locie, przesuwane armie i floty, oznaczał karanie agresji, ściąganie podatków, pilnowanie przestrzegania praw człowieka, czyszczenie politycznej korupcji.

Peter pamiętał też czasy, kiedy tytuł ten był właściwie żartem, i nadali go nastoletniemu chłopcu, który mądrze pisywał w sieciach.

To on nadał temu tytułowi znaczenie. A potem - ponieważ stopniowo oddawał kolejne funkcje innym urzędom WLZ, czyli rządowi światowemu, EarthGov, jak go często nazywano - stanowisko znowu stało się czysto ceremonialne.

Ale nie było pustym tytułem. Nie było żartem i już nigdy nie będzie.

Nie żart, ale też niekoniecznie coś dobrego. Żyło jeszcze wielu ludzi, którzy pamiętali Hegemoną jako miażdżącą siłę, która rozbiła ich marzenia o tym, jak Ziemia powinna wyglądać (choć ich marzenia zwykle były koszmarem dla wszystkich pozostałych). A historycy i biografowie często go atakowali, i mieli to robić znowu i znowu, już zawsze.

Historycy mają taką cechę, że potrafią ułożyć wszystkie dane w równiutkie rzędkie, ale cały czas tracą z oczu, o co w tym wszystkim chodziło. Wymyślają ludziom najdziwniejsze motywacje. Istniała na przykład biografia Virlomi, przedstawiająca ją jako idealistyczną świętą, i oskarżającą Suriyawongę - akurat jego! - o rzeź, która zakończyła wojskową karierę Virlomi. Nieważne, że Virlomi osobiście zaprzeczyła tym tezom, pisząc przez ansibla z kolonii na Andhrze. Biografów zawsze irytowało, kiedy obiekt ich zainteresowań okazywał się żywy.

Peter nigdy nie próbował odpowiadać. Nawet tym biografom, które atakowały go bardzo ostro, obciążając winą za wszystko to, co poszło źle, a innym przypisując zasługi za wszystko, co poszło dobrze. Petra wściekała się na nie całymi dniami, aż w końcu uprosił ją, żeby ich więcej nie czytała. Jednak sam czytał, nie mógł się oprzeć. Nie brał tego wszystkiego do siebie... Większość ludzi w ogóle nie miała swoich wydanych drukiem biografii.

Petra doczekała się tylko dwóch, i obu w stylu „wielkie kobiety” i „wzór do naśladowania dla dziewcząt”, a nie poważnych prac naukowych. Peter wiedział to, co

biografii całkiem pomijały: że kiedy wszyscy inni członkowie jeeshu Endera opuścili Ziemię i odlecieli do kolonii, ona została i kierowała ministerstwem obrony WLZ prawie trzydzieści lat - dopóki nie stało się ono raczej wydziałem policyjnym niż wojskowym; wtedy uparła się, że odejdzie, by móc bawić wnuki.

Przez cały czas była na miejscu, jak mówił jej Peter, kiedy narzekał na tę sytuację.

- Byłaś przyjacielem Endera i Groszka w Szkole Bojowej... Rany boskie, przecież to ty uczyłaś Endera strzelać... Byłaś w jego jeeshu...

Wtedy zawsze go uciszała.

- Nie chcę, żeby ktoś opowiadał te historie - tłumaczyła. - Nie wypadnie dobrze, jeśli cała prawda wyjdzie na jaw.

Peter jej nie wierzył. Zresztą można przecież pominąć to wszystko i zacząć od miejsca, kiedy wróciła na Ziemię i... Czy to nie Petra właśnie, kiedy prawie cały jeesh został porwany, znalazła sposób, by przekazać wiadomość Groszkowi? Czy nie ona знаła Achillesa lepiej niż ktokolwiek inny, kogo nie udało mu się zabić? Była jednym z największych dowódców wojskowych w historii, żoną Juliana Delphiki, Olbrzyma i legendy, a potem Petera Hegemona, kolejnej legendy, na dodatek wychowała pięcioro dzieci, które miała z Groszkiem, i kolejną piątkę, którą miała z Peterem.

I żadnej biografii. Dlaczego więc miałby się skarżyć, że on sam ma z tuzin, i każda z nich robi błędy w prostych, oczywistych faktach, które można przecież sprawdzić... A co dopiero mówić o czymś bardziej skomplikowanym, takim jak motywy, tajne porozumienia i...

Nagle zaczęły wychodzić książki Valentine o wojnie z robalami, tom za tomem. Jeden o Pierwszej Inwazji, dwa o Drugiej - tej, w której zwycięstwo odniósł Mazer Rackham. A potem cztery tomy o Trzeciej Inwazji, tej, w której walczył i zwyciężył jeesh Endera, kiedy uważali, że to gra ćwiczebna na asteroidzie Eros. Jeden pełny tom opowiadał o rozwoju Szkoły Bojowej - z krótkimi biografiami kilkunastu dzieci, które okazały się kluczowe dla poprawek w programie, doprowadzając w końcu do prawdziwie efektywnego szkolenia i legendarnych bitew w Sali Bojowej.

Peter widział, co napisała o Graffie i Rackhamie, i o dzieciakach z jeeshu Endera - w tym Petrze - i choć zdawał sobie sprawę, że jej wiedza w dużej części bierze się stąd, że obok siebie w kolonii Szekspir ma Endera, to prawdziwym źródłem doskonałości tych książek są jej własne dociekania. Nie znajdowała „tematów” i nie narzucała opowieści. Wydarzenia następowały po sobie i były logicznie powiązane, ale kiedy nie znała motywów, nie udawała, że je odkryła. A jednak rozumiała ludzi.

Zdawało się, że kocha nawet tych okropnych.

I pomyślał: Szkoda, że nie ma jej tutaj, żeby napisać biografię Petry.

Choć oczywiście to nierozsądne - jej obecność nie była konieczna, przez ansibla mogła przecież dotrzeć do wszelkich potrzebnych dokumentów. Jednym z podstawowych założeń działania Ministerstwa Kolonizacji Graffa była nienaruszalna gwarancja, że każda kolonia ma dostęp do wszystkich bibliotek, wszystkich zbiorów danych na wszystkich ludzkich planetach.

Ale dopiero kiedy wyszedł siódmy tom i Peter przeczytał „Królową Kopca”, odkrył biografa, o którym pomyślał: Chciałbym, żeby napisał o mnie.

„Królowa Kopca” nie była długa. I choć dobrze napisana, jednak wcale nie wyjątkowo poetycka. A przy tym bardzo prosta. Jednak kreśliła portret królowych kopców taki, jaki same mogłyby namalować. Potwory, którymi straszono dzieci od ponad stu lat - i nadal jeszcze, chociaż wszystkie zginęły - nagle stały się piękne i tragiczne.

Ale nie był to również tekst propagandowy. Straszne rzeczy, których dokonały, nie zostały pominięte, ale uczciwie opisane.

Później dopiero zaczął się domyślać, kto jest autorem. Nie Valentine, której wszystkie teksty miały oparcie w faktach. Tę książkę napisał ktoś, kto zrozumiał wrogów tak dobrze, że ich pokochał. Jak często Petra cytowała mu to, co mówił Ender? Ona - albo Groszek, albo ktoś jeszcze - nawet to zapisał. „Myślę, że nie da się zrozumieć kogoś do końca, jego pragnień, jego wierzeń, i nie pokochać go tak, jak on sam siebie kocha”.

I to właśnie osiągnął autor „Królowej Kopca”, który podpisał się jako Mówca Umarłych, wobec obcych, którzy kiedyś nawiedzali nas w koszmarach, myślał Peter.

A im częściej ludzie czytali tę książkę, tym bardziej żalowali, że nie rozumieli lepiej swego wroga, że bariera językowa okazała się nieprzekraczalna, że wszystkie królowe kopców zginęły.

Pewnie, łatwo kochać wroga, kiedy jest już bezpiecznie martwy. Mimo to... ludzie niechętnie rezygnowali ze swoich czarnych charakterów.

To musiał być Ender. Dlatego Peter napisał do Valentine - pogratulował jej, ale też poprosił, by zachęciła Endera, żeby o nim napisał. Wymiana listów trwała przez jakiś czas. Peter zapewniał, że nie oczekuje żadnej aprobaty. Chciał porozmawiać z bratem. Jeśli powstanie z tego książka, świetnie. Jeśli książka przedstawi go jako potwora, jeśli tak zobaczy go Mówca Umarłych, trudno. „Bo cokolwiek napisze, wiem, że będzie o wiele bliższy prawdy niż całe to kuso, które tutaj publikują”.

Valentine śmiała się, że używa takich słów jak kuso. „Odkąd to zacząłeś mówić slangiem Szkoły Bojowej?”.

„Teraz to element powszechnie używanego języka”, odpowiedział jej w e-mailu.

Aż wreszcie napisała: „Nie będzie do ciebie mailował. Mówi, że już cię nie zna. Kiedy ostatni raz cię widział, miał pięć lat, a ty byłeś najgorszym starszym bratem na świecie. Musi z tobą porozmawiać”.

„To kosztowne”, odpisał jej Peter, chociaż wiedział, że WLZ może sobie na to pozwolić i mu nie odmówi. Tak naprawdę powstrzymywał go lęk. Ender znał go tylko jako dręczyciela. Nie widział, jak brat walczy, by stworzyć rząd światowy nie drogą podbojów, ale drogą wolnego wyboru ludzi głosujących w kolejnych krajach.

Nie zna mnie.

Ale potem powiedział sobie: Owszem, zna. Peter, którego pamięta, jest tym samym Peterem, który został Hegemonem. Peter, którego Petra zgodziła się poślubić, jest tym samym, który terroryzował Endera i Valentine, pełen jadu i urazy, ponieważ za niegodnego uznali go sędziowie decydujący, które dzieci wyrosną na zbawców świata.

Jak wiele moich osiągnięć brało się z tej urazy?

„Powinien porozmawiać z mamą - odpisał siostrze. - Wciąż jest w pełni władz umysłowych i lubi mnie o wiele bardziej niż kiedyś”.

„Pisuje do niej - odpowiedziała Valentine. - Kiedy ma czas, żeby do kogokolwiek pisać. Bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki. To niewielki świat, ale rządzi nim rozważnie, jakby to była Ziemia.”

W końcu Peter stłumił swoje lęki, ustalił datę i godzinę, a teraz siedział przy interfejsie głosowym w Centrum Komunikacji Międzygwiazdnej w Blackstream. Oczywiście, CKMB nie łączyło się bezpośrednio z żadnym ansiblem prócz Stacjonarnej Sieci Ansibli KolMinu, przekazującej wszystko do odpowiedniej kolonii albo statku.

Audio i wideo były tak strasznym marnotrawstwem pasma, że standardowo kompresowano je, a potem dekompresowano u celu, więc występowało wyraźne opóźnienie w rozmowie.

Żadnych obrazów. Peter musiał gdzieś wyznaczyć granicę. A Ender nie nalegał. Byłoby to zbyt bolesne dla obu - dla Endera, bo zobaczyłby, ile czasu minęło w jego relatywistycznej podróży do Szekspira, i dla Petera, gdyby musiał zobaczyć, jak młody jest wciąż Ender, jak wiele życia ma jeszcze przed sobą, gdy on sam spokojnie przyjmuje swój zaawansowany wiek i zbliżającą się śmierć.

- Jestem, Ender.

- Dobrze jest słyszeć twój głos, Peter. I cisza.

- Żadnych pogawędek, co? - odezwał się Peter. - Za dużo czasu minęło dla mnie, a za

mało dla ciebie. Ender, wiem, że jako dziecko byłem wobec ciebie prawdziwym sukinsynem. Żadnych usprawiedliwień. Wypełniała mnie wściekłość i wstyd, i odgrywałem się na tobie i Valentine, ale głównie na tobie. Nie przypominam sobie, żebym kiedyś powiedział ci coś miłego, w każdym razie kiedy nie spałeś. Jeśli chcesz, mogę o tym opowiedzieć.

- Może później - odparł Ender. - To nie sesja terapii rodzinnej. Teraz chcę się dowiedzieć, co zrobiłeś i dlaczego.

- Ale co konkretnie?

- To, co jest dla ciebie ważne. Co zechcesz mi opowiedzieć jest dla mnie równie istotne jak to, co powiesz o tych wydarzeniach.

- Dużo tego będzie. Umysł mam sprawny. Sporo pamiętam.

- To dobrze. Słucham.

Tego dnia słuchał przez długie godziny. A potem kolejne godziny w kolejnych dniach. Peter wylewał z siebie wszystko. Polityczne starcia. Wojny. Negocjacje. Eseje w sieciach. Budowę siatki wywiadowczej. Wykorzystywanie okazji. Szukanie właściwych sojuszników.

Dopiero pod koniec ich ostatniej sesji sięgnął do wspomnień z czasów, kiedy Ender był dzieckiem.

- Naprawdę cię kochałem. Ciągle prosiłem mamę, żeby pozwoliła mi cię karmić. Przewijać. Bawić się z tobą. Uważałem, że jesteś świetnym dzieciakiem. Ale potem zauważyłem, że kiedy się bawimy, kiedy się śmiesz, a do pokoju wchodzi Valentine, od razu się do niej przyklejasz. A ja przestaję istnieć. Była, hm... świetlista. Oczywiście, że tak na nią reagowałeś. Jak wszyscy. Ja też. Ale byłem przecież dzieckiem. I odbierałem to tak: Ender kocha Valentine bardziej niż mnie. Potem odkryłem, że urodziłeś się, bo mnie uznali za porażkę... znaczy, ci ze Szkoły Bojowej... I to był kolejny uraz. To niczego nie usprawiedliwia. Nie musiałem być z tego powodu takim draniem. Mówię ci tylko, że w końcu zrozumiałem, od czego to się zaczęło.

- W porządku - powiedział Ender.

- Przykro mi - ciągnął Peter - że nie byłem dla ciebie lepszy. Bo widzisz, przez całe moje życie, przy tym wszystkim, o czym opowiadałem w czasie tych niesamowicie kosztownych rozmów, zawsze myślałem: to było dobre. Dobrze to załatwiłem. Enderowi by się spodobało.

- Proszę, nie wmawiaj mi tylko, że robiłeś to wszystko dla mnie.

- Zwariowałeś? Działalem tak, bo byłem najbardziej ambitnym marubo, jaki w ogóle urodził się na tej planecie. Ale moim standardem oceny było: Ender byłby zadowolony, że to zrobiłem.

Ender nie odpowiedział.

- Do diabła, mały, to całkiem proste. To, czego dokonałeś, zanim skończyłeś dwanaście lat, umożliwiło realizację dzieła mojego życia.

- Wiesz, Peter, to, czego dokonałeś, kiedy ja podróżowałem, sprawiło, że warto było odnosić to zwycięstwo.

- Niezłą rodzinę mieli państwo Wigginowie.

- Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać, Peter.

- Ja też.

- Sądzę, że będę mógł o tobie napisać.

- Mam nadzieję.

- Ale nawet gdyby nie, to nie znaczy, że nie jestem zadowolony. Przekonałem się, na jakiego człowieka wyrosłeś.

- Żałuję, że mnie tam nie ma - stwierdził Peter. - Chciałbym się przekonać, na kogo ty wyrosłeś.

- Nigdy nie wyrosnę, Peter - odparł Ender. - Jestem zastygły w historii. Na zawsze dwunastolatek. Miałeś dobre życie, Peter. Przekaż Petrze ucałowania. Powiedz, że za nią tęsknię. I za pozostałymi. Ale za nią najbardziej. Dostałeś najlepszą z nas, Peter.

W owej chwili Peter miał ochotę powiedzieć mu o Groszku i trójce jego dzieci pędzących gdzieś przez kosmos w oczekiwaniu na lekarstwo, którego perspektywy odkrycia w tej chwili nie wyglądały zbyt obiecująco.

Ale zaraz uświadomił sobie, że nie może. To nie była jego historia i nie on miał prawo ją opowiadać.

Gdyby Ender o tym napisał, ktoś mógłby zacząć szukać Groszka. Mógłby spróbować nawiązać z nim kontakt. Wezwać do powrotu. A wtedy cała podróż poszłaby na marne. Cała jego ofiara. Jego *satyagraha*.

Nigdy więcej ze sobą nie rozmawiali.

Peter żył jeszcze potem kilka lat, mimo słabego serca. Przez cały czas mając nadzieję, że Ender może napisać tę książkę, na jakiej mu zależało. Ale kiedy umarł, książka wciąż pozostała nienapisana.

* * *

Tak więc Petra sama przeczytała krótką biografię, zatytułowaną po prostu „Hegemon”, a podpisaną: Mówca Umarłych.

Kiedy skończyła, płakała przez cały dzień.

Przeczytała ją głośno nad grobem Petera, przerywając, kiedy mijał ją jakiś

przechodzień. Dopóki nie zauważyła, że zbliżają się właśnie po to, by posłuchać, jak czyta. Zaprosiła ich więc i zaczęła jeszcze raz, głośno, od początku.

Książka nie była długa, ale miała w sobie siłę. Dla Petry była wszystkim, czego chciał Peter. Podsumowaniem jego życia. Czynów złych i dobrych. Wojen i pokoju. Manipulacji i wolności.

„Hegemon” był właściwie drugą częścią „Królowej Kopca”. Pierwsza książka opowiadała historię całego gatunku; podobnie druga.

Ale dla Petry była to opowieść o człowieku, który kształtował jej życie bardziej niż ktokolwiek inny.

Oprócz jednego. Tego, który żył teraz tylko jako cień w historiach innych ludzi. Olbrzyma.

Nie miał grobu i nie miał książki, którą mogłaby mu przeczytać. A jego opowieść nie była ludzką historią, ponieważ w pewnym sensie nie przeżył ludzkiego życia.

To było życie bohatera. I skończyło się, kiedy odszedł do nieba, umierający, ale nie umarły.

Kocham cię, Peter, powiedziała nad grobem. Ale musiałeś wiedzieć, że nigdy nie przestałam kochać Groszka, pragnąć go i tęsknić za nim, ile razy spojrzałam na twarze naszych dzieci.

A potem wróciła do domu, zostawiając za sobą obu mężów - tego, którego życie zyskało pomnik i książkę, i tego, którego jedyny pomnik wzniosła w swoim sercu.

Podziękowania

Dziękuję dr med. Joan Han, która zajmuje się endokrynologią dziecięcą w National Institute of Health w Bethesda, za informację o tyji, jakie legalne terapie można było wypróbować, by zahamować niepowstrzymany wzrost Groszka. Dr med. M. Jack Long podsunął mi kilka pomysłów, które stały się sugestiami Volescu na temat tego, jak można zapewnić Groszkowi długie życie. Jestem mu za nie bardzo wdzięczny - ale z ulgą przyjąłem fakt, że uświadomił sobie, jak bardzo przerażające są to pomysły (jego list kończył się słowami „Łoj... Mam nadzieję, że nie.”)

Dziękuję Danny'emu Sale za sugestię, że Groszek mógłby mieć swój udział w decyzji, by przerobić grę fantasy ze Szkoły Bojowej w program, który w rezultacie stał się Jane. Farah Khimji z Lewisville w Teksasie przypomniała mi, że potrzebna jest ogólnoswiatowa waluta - a także to, że dolar już taką jest. Andaiye Spencer uświadomiła mi, że nie mogę pozwolić, by dawny związek między Petrą Arkanian i Dinkiem Meekerem, jeszcze ze Szkoły Bojowej, skończył się bez drobnej przynajmniej wzmianki.

Mark Trevor z Nowego Brunszwiku przypomniał, że Peter i Ender rozmawiali raz przed śmiercią Petera, i wyraził życzenie, by zobaczyć tę scenę opisaną dokładniej, zwłaszcza z punktu widzenia Petera. Ponieważ był to pomysł zakończenia o wiele lepszy niż ten, który ja miałem, pochwyciłem go natychmiast i z wdzięcznością. O pewnych sprawach przypominali mi również Rechavia Berman, moja tłumaczka na hebrajski, oraz David Tayman.

Nie najlepiej wychodzi mi liczenie czasu czy wieku moich bohaterów. W prawdziwym życiu nie zwracam uwagi na te sprawy. W odpowiedzi na prośbę zgłoszoną na naszej stronie Hatrack River (www.hatrack.com) Megan Schindele, Nathan Taylor, Maureen Fanta, Jennifer Rader, Samuel Sevlie, Carrie Pennow, Shannon Blood, Elizabeth Cohen i Cecily Kiester wspólnymi siłami sprawdzili wszystkie odniesienia do czasu w „Grze Endera” oraz książkach z cyklu Cienia, by pomóc mi w ich porządkowaniu. Ponadto Jason Bradshaw i C. Porter Bassett odkryli drobną sprzeczność między oryginalną „Grą Endera” i tą powieścią. Jestem bardzo wdzięczny czytelnikom, którzy znają moje książki lepiej ode mnie.

Chciałem też wyrazić wdzięczność wobec moich bliskich przyjaciół, Erin Absher, Aarona Johnstona i Kathy Kidd, za gotowość odłożenia innych, ważniejszych spraw i oceniania wraz z moją żoną Kristine każdego kolejnego rozdziału, gdy tylko został napisany. Nigdy nie przestaje mnie zdumiewać, jak wiele błędów - i to nie tylko literówek, ale też naruszeń ciągłości fabuły czy oczywistych sprzeczności - może umknąć mnie i trzem czy czterem bardzo uważnym czytelnikom tylko po to, by wykrył je następny. Jeśli tego typu błędy pozostały jeszcze w tej książce, nie jest to wina tych osób.

Beth Mearcham, moja redaktorka w wydawnictwie Tor, poświęciła tej książce wyjątkowo wiele trudu. Wciąż cierpiąc po poważnej operacji, naszpikowana po uszy środkami przeciwbólowymi, czytała manuskrypt ze skwierczącymi jeszcze bitami i bajtami, i udzielała mi znakomitych porad. Niektóre z najlepszych scen w powieści znalazły się tam, ponieważ ona je zasugerowała, a ja okazałem dość rozsądku, by od razu rozpoznać świetne pomysły.

Cały zespół produkcyjny w Tor wyjątkowo się starał, by pomóc nam wydać tę książkę w terminie. Doceniam ich cierpliwość okazaną autorowi, którego ocena czasu potrzebnego do ukończenia powieści okazała się wręcz śmiesznie nietrafna.

Natomiast Tom Doherty jest chyba najbardziej kreatywnym wydawcą w całym tym interesie. Nie ma dla niego pomysłu zbyt zwariowanego, by go chociaż nie rozważyć. I kiedy postanowi zrobić coś niezwykłego - na przykład wydać cykl powieści „równoległych” - wkłada w to całą energię i osiąga cel.

Kreatywność i poświęcenie Barbary Bovy, mojej agentki, były błogosławieństwem dla mojej rodziny przez większą część mojej kariery. Nie zapomniałem, że saga Endera po raz pierwszy trafiła do czytelników, zanim jeszcze Barbara została moją agentką; jej mąż, Ben Bova, znalazł opowiadanie zatytułowane „Gra Endera” w stosie nadesłanych tekstów i po kilku niewielkich zmianach zgodził się je opublikować w magazynie „Analog” w sierpniu 1977 roku. Ta jedna decyzja (a nie była oczywista - inni wydawcy odrzucili tekst bez

dyskusji) zagwarantowała mi chleb i otworzyła drzwi przed czytelnikami szukającymi innych moich tekstów.

Ale kiedy skończę już pisanie i schodzę ze swojego poddasza, to widok mojej żony Kristine i córki Ziny sprawia, że warto jest się męczyć. Dziękuję im za całą miłość i radość, jakie dają mi każdego dnia. A innym moim dzieciom za to, że mogę być z nich dumny.